

Alistair MacLean
Alastair MacNeill

Czerwony alarm

(Alistair Maclean's Red Alert)

Przełożył Grzegorz Woźniak

Prolog

We wrześniu 1979 roku pod przewodnictwem sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych odbyło się niejawne, nadzwyczajne posiedzenie z udziałem czterdziestu sześciu ambasadorów – szefów delegacji najważniejszych państw członkowskich ONZ – poświęcone jednej tylko sprawie, a mianowicie: narastającej fali międzynarodowego terroryzmu. Zjawisko to stało się w ostatnich latach szczególnie niepokojące, zwłaszcza że terroryści uchodzili bezkarnie. Przestępcy, którzy dokonywali aktów terroru w obrębie jednego państwa, z łatwością uzyskiwali schronienie i azyl za granicą. Narodowe organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości okazały się bezsilne w walce z terroryzmem także dlatego, że procedury ekstradycji, czyli wydawania przestępców pod sąd krajów, w których dopuścili się naruszenia prawa, okazały się po prostu nieskuteczne. Byłe adwokat był w stanie zonglować paragrafami i odwlekać decyzje w tej sprawie w nieskończoność, a terroryści dość szybko wychodzili na wolność i na nowo podejmowali zbrodniczą działalność. W Organizacji Narodów Zjednoczonych uznano, że temu zjawisku należy bezwzględnie położyć kres, i uzgodniono, że państwa członkowskie powołają, pod egidą Rady Bezpieczeństwa ONZ, specjalną agendę do walki z międzynarodowym terroryzmem. Tak oto powstała UNACO – *United Nations Anti-Crime Organization* – ONZ-owska Organizacja Walki z Przestępczością. Wedle Aktu Założycielskiego (artykuł 1, paragraf 1c Karty) celem UNACO jest „zapobieganie międzynarodowej przestępczości oraz zwalczanie, ściganie oraz eliminowanie osób i grup prowadzących międzynarodową działalność przestępczą”. Przedstawiciele wszystkich państw-sygnatariuszy Karty UNACO zobowiązano do pilnego przedstawienia kandydatów na stanowisko dyrektora UNACO. Ostateczny wybór, spośród wszystkich zgłoszonych osób, zastrzeżono do kompetencji sekretarza generalnego ONZ. i marca 1980 roku UNACO rozpoczęła swoją działalność. Bez fanfar i rozgłosu, jaki zwykle towarzyszy powołaniu każdej nowej agendy międzynarodowej. Karta UNACO (artykuł 1, paragraf 1b) stanowiła bowiem o niejawnym charakterze ONZ-owskiej Organizacji Walki z Przestępczością.

Niedziela

Zakłady chemiczne należące do włoskiego oddziału koncernu Neo-Chem Industries znajdują się w połowie drogi między Rzymem a Tivoli, niedaleko autostrady A24. Od szosy fabrykę oddziela rząd pinii zasadzonych przez wojsko jeszcze w latach pięćdziesiątych, gdy wszystko to należało do armii. Za drzewami wznosi się wysoki na pięć metrów płot, a cały teren patrolują uzbrojeni strażnicy – głównie byli policjanci, którzy odeszli ze służby państwowej, skuszeni znacznie lepszym wynagrodzeniem.

Wyjątkiem był Pietro Vanelli, który nigdy nie służył w policji. Zawsze był ochroniarzem. To było całe jego życie. Trzy lata temu przekroczył pięćdziesiątkę, a z Neo-Chem Industries związany był od ośmiu lat, to znaczy od początku, od kiedy powstał zakład. Patrolował teren, ale pół roku temu przeniesiono go za biurko, na posterunek przy głównej bramie, co zresztą przyjął z zadowoleniem. Uznał bowiem, że należy mu się trochę odpoczynku. Niech młodszy uganiają się po terenie. Później jednak nowa funkcja zaczęła go nudzić. Nic się nie działo. Brakowało mu towarzystwa, nie było z kim pogadać, zapalić papierosa, pożartować i w ogóle. Najbardziej jednak żałował pokera. Chłopcy ze służby patrolowej dwa razy w tygodniu zasiadali do kart w jednym z magazynów, podczas gdy on siedział w wartowni i czytał kryminały dla zabicia czasu. Chciał wrócić do dawnej roboty, ale powiedziano mu, że jest już za stary, więc po cichu zaczął szukać czegoś innego. Lada dzień powinna nadejść odpowiedź, czy zwolniło się miejsce ochroniarza na nocną zmianę w mieście.

Mrok za bramą rozjaśniły reflektory samochodu. Pewnie któryś z pracowników czegoś zapomniał albo ktoś zablądził i chce zapytać o drogę do Rzymu, bo któż inny błąkałby się po tym pustkowiu, zwłaszcza o tej porze. Pietro wziął latarkę, założył służbową czapkę, otworzył drzwi i zanurzył się w nocny chłód. Przed bramą stał żółty fiat regatta. Dziewczyna, która zeń wysiadła, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat – tyle co jego córka. Z daleka wyglądała niczego sobie, miała rude włosy, ale gdy podszedł bliżej, zobaczył krew na twarzy. Czerwone krople sączyły się z kącika ust. Biały podkoszulek miał urwany rękaw, a niebieskie dzinsy były utyłane w błocie. Po policzkach spływały łzy.

– Co się stało? – zapytał, otwierając bramę.

– Niech mi pan pomoże – szepnęła. – Chcą mnie zabić – dodała ledwie słyszalnym głosem.

– Kto? – skierował latarkę w ciemność. Nikogo nie było.

Dziewczyna nagle ruszyła do przodu i schowała się w wartowni. Pobiegł za nią. Przykucnęła w kącie. Ścisnęła dłonie i spoglądała niespokojnie, jakby na coś czekała.

– Już dobrze – starał się ją uspokoić. – Tu nic pani nie grozi – uśmiechnął się na potwierdzenie.

Obrócił się, żeby wyjść i zamknąć bramę, i wtedy zobaczył wymierzony w siebie pistolet maszynowy Sterling L34A1 z tłumikiem. Broń należała do Riccarda Ubrina, zwalistego trzydziestolatka o tłustej, kručzej czuprynie. Za nim stał Paolo Conte, młodszy o dziesięć lat szatyn o kręconych włosach, w drucianych okularach na nosie. Też miał broń, a na sobie mundur ochroniarza; Neo-Chem Industries, taki sam jak Pietro.

– Carla, zabierz mu gnata – rozkazał Ubrino, gestem dłoni wskazując kaburę, w której Vanelli trzymał rugera GP100.

Carla wstała z kąta, zabrała broń i podała Riccardowi. Wsunął pistolet za pas, a z ramienia zdjął drugi automat i dał go Carli.

– Widzę, że podziwiasz moje dzieło – rzekł do Vanellego, który zerkał na poranioną twarz dziewczyny. – Jak prawdziwe, Co? Pracowałem kiedyś w charakteryzatorni w Teatro dell'Opera. Nie uwierzysz, co można stworzyć, gdy się ma trochę wyobraźni.

– Kim jesteście? – Vanelli za wszelką cenę chciał zyskać na czasie. Gdyby tylko udało się uruchomić przycisk alarmu pod biurkiem...

– *Brigate Rosse*, Czerwone Brygady – powiedziała Carla.

– Czego chcecie? – Prawą rękę wsunął pod biurko, szukając palcami ukrytego przycisku.

– Zanim włączysz alarm, pomyśl o rodzinie – Ubrino podniósł automat, kierując go prosto w twarz Vanellego. – Pomyśl o córce. W przyszłym miesiącu wychodzi za mąż, prawda? Głupio byłoby przekładać wesele tylko dlatego, że tatuś grał bohatera.

Vanelli przełknął ślinę i położył dłoń na blacie biurka.

– Bardzo rozsądnie – Ubrino uśmiechnął się z uznaniem i poklepał Pietra po ramieniu. – A teraz dzwoń do Boschetta. To on ma służbę w głównym budynku, prawda?

Vanelli skinął głową na potwierdzenie.

– A więc zadzwoń i powiedz mu, że jest tu taka jedna przestraszona dziewczyna, że oczywiście zawiadomiłeś już policję, a wolałbyś, żeby nie siedziała w wartowni, lecz u Boschetta, w głównym budynku. I pamiętaj o córce, gdy będziesz dzwonił! – dodał gdy Vanelli sięgał po słuchawkę.

– I tak was złapią – rzucił Pietro.

– Na razie dzwoń – warknęła Carla, przyciskając lufę automatu do boku Vanellego.

– Boschetto zna mój głos. Możecie mnie zabić, ale nie wejdziecie do środka.

– Nie bądź taki pewny – powiedziała Carla z przekonaniem. – Paolo był ze mną

w szkole teatralnej, a od kilku tygodni uczył się, jak naśladować twój głos. Może jeszcze nie potrafi mówić dokładnie jak ty, ale na parę zdań przez telefon do Boschetta to zupełnie wystarczy.

– Racja – potwierdził Ubrino, odsuwając Carłę. – Każdy z nas wnosi coś specjalnego do tej operacji. W Czerwonych Brygadach nie lubimy amatorów. No więc jak, chcesz podziwiać talent Paola? Ale zanim powiesz „tak”, pomyśl o córce. Byłoby jej do twarzy w ślubnym welonie.

Vanelli wyrwał słuchawkę z ręki Ubrina. Bez trudu przekonał Boschetta, żeby zajął się dziewczyną.

– Wprowadź wóz do środka – polecił Ubrino młodemu Contemu, gdy Vanelli odłożył słuchawkę. – Trzeba zamknąć bramę. Pośpiesz się.

Vittoria Nardiego Vanelli zobaczył dopiero, gdy zastąpił on Paola Contego przy drzwiach i zaraz przypomniał sobie słowa Ubrina, że w Czerwonych Brygadach wszyscy są zawodowcami. Nardi był wzrostu Vanellego, miał na sobie taki sam firmowy mundur i na pierwszy rzut oka obaj wyglądali identycznie. Vanelli zrozumiał, że jego minuty są policzone. Mylił się. Zostały mu tylko sekundy. Ubrino wystrzelił, gdy Pietro Vanelli chciał w końcu włączyć alarm. Kula z automatu odrzuciła go pod ścianę. Ciało osunęło się na podłogę. Ubrino ukląkł, żeby wziąć go za puls. Pulsu nie było.

– Nie mówiliśmy o mokrej robocie – wyrzucił z siebie Conte, wpadając do środka. – Mówiłeś, że wystarczy, jak ich zwiążemy...

– Nie bądź dzieckiem – wtrącił Nardi.

– Zamknij się – warknął Ubrino, objął młodego Contego ramieniem i wyprowadził go na dwór. – To twoja pierwsza akcja? – zapytał.

Conte potwierdził.

– Widzisz, to już tak jest, że nie da się wszystkiego do końca zaplanować. Vanelli chciał włączyć alarm. Gdybym go nie załatwił, zaraz zjawiłby się tłum strażników i musielibyśmy związać akcję. Rozumiesz?

– No tak, ale... – Conte zawiesił głos i z trudem przełknął ślinę.

– Nigdy jeszcze nie widziałeś trupa, o to chodzi? Ja też nie, dopóki nie wstąpiłem do Brygad. Chodźmy już do auta. Czekają na nas.

Nardi w służbowej czapce ochroniarza, zsuniętej na czoło, zajął miejsce za kierownicą. Carla usiadła obok. Automat położyła na podłodze, żeby nie było widać. Ubrino i Conte przycupnęli z tyłu, podobnie jak kilka minut wcześniej, gdy Carla zajęła fiatek przed bramą. Nardi nacisnął starter i ruszyli krętą drogą wewnątrzzakładową do głównego budynku. Nikt się nimi nie interesował. W zasięgu wzroku nie było strażników, jak się zresztą spodziewali. Chłopcy z niedzielnej

wieczornej zmiany zawsze o tej porze różni w pokera w jednym z magazynów. Zaczynali pod wieczór i grali do rana. Mieli układ z Vanellim i Boschettem, którzy za dwadzieścia patyków od łebka pilnowali, żeby nikt z kierownictwa nie pojawił się niespodziewanie w zaimprovizowanym kasynie, jak to się już kiedyś zdarzyło. Pokerzyści uważali, że dwadzieścia tysięcy lirów to przyzwoita stawka za święty spokój przy kartach.

Nardi zatrzymał auto przed głównym budynkiem i wysiadł z wozu. Boschetto otworzył drzwi wejściowe i wyszedł mu naprzeciw. Nardi stał tyłem, ale pilnie baczył na Boschetta w lusterku wstecznym i w stosownym momencie odwrócił się do strażnika.

Boschetto chciał krzyknąć, ale zamilkł na widok odbezpieczonego rugera. Carla dała znak pozostałym i wszyscy wyskoczyli z auta. Ubrino zerwał pilota – elektroniczne urządzenie do otwierania bramy – którego Boschetto nosił przy pasku, a następnie powalił strażnika kolbą automatu. Boschetto upadłby na ziemię, gdyby nie Nardi, który go przytrzymał i ostrożnie położył na schodach. Zaraz potem Nardi wsiadł do fiata i ruszył z powrotem do bramy.

– Weź Carlę i idźcie do środka – polecił Ubrino Contemu.

– A ty?

– Zaraz do was dołączę. Tylko coś tu sprawdzę. Albo mi się wydaje, albo usłyszałem jakieś szmery...

– A co z nim? – Conte machnął ręką w stronę nieprzytomnego Boschetta.

– Nic mu nie będzie – uspokoił go Ubrino. – Oprzytomnieje za jakieś dwie, trzy godziny. Idź już, Carla czeka.

Gdy tylko Conte z Carlą zniknęli we wnętrzu budynku, Ubrino przyłożył lufę sterlinga do karku strażnika i pociągnął za spust. Trafił w tętnicę, bo strumień krwi rozlał mu się na butach. Zaklął pod nosem, wytarł obuwie o mundur strażnika i ruszył do środka w ślad za dwójką kompanów.

– No i co, widziałeś coś? – zapytał Conte, zamykając drzwi, gdy Ubrino wszedł już do hallu.

– Żywego ducha. Musiało mi się przywidzieć. To nerwy – uśmiechnął się i poprowadził Contego za biurko, obok całego zestawu monitorów telewizji przemysłowej, tam gdzie zwykle zasiadał Boschetto. – Zostań tu, jak tylko zobaczysz coś podejrzanego, zaraz daj mi znać.

– W porządku.

Ubrino włożył słuchawkę radiotelefonu do ucha, sprawdził łączność i ruszył do Carli, która czekała już przy schodach. Gruba guma na podszwach tłumiła odgłos kroków po posadzce. Poszli z Carlą w dół. Plan budynku mieli zakodowany w pamięci. Korytarzem

przeszli do następnej klatki wiodącej do laboratoriów. Ubrino uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc napis informujący, że pracownie oznaczone numerami od 1 do 17 są po lewej, a do pokoi numerowanych od 18 do 40 należy kierować się w prawo.

Ich celem był gabinet numer 27. Znaleźli białe drzwi z czarnym napisem: Profesor David Wiseman. Ubrino zatrzymał się na chwilę, wytarł pot z czoła. Carla przyłgnęła mu do ramienia. Sypiał z nią od roku. Wiedział, że jest w nim zakochana. Mówiła mu o tym. Czasami odpowiadał jej tymi samymi słowami, ale nie dlatego, że też się w niej kochał, lecz po to, by zrobić jej przyjemność. Nie był do niej szczególnie przywiązany. Owszem, była młoda, ładna, atrakcyjna, ale wiele podobnych dziewcząt przewinęło się już w jego życiu. Nie miałby więc żadnych oporów, gdyby trzeba było ją rzucić.

Nie czekając, otworzył drzwi i stanął nieco zaskoczony. Spodziewał się, że zobaczy zwykle laboratorium – z palnikami, szkłem i wykresami na ścianach. Tymczasem znalazł się w eleganckim gabinecie, a ze ścian spoglądały nań dyplomy szacownych uczelni w stosownie dobranych ramach. David Wiseman był głównym konsultantem naukowym zakładów, menedżerem, a nie badaczem. No właśnie! Menedżerowie pracują przecież w gabinetach.

Wiseman siedział za biurkiem, wpatrując się przerażonym wzrokiem w Carłę.

– Ach! To tylko charakteryzacja. Proszę nie zwracać na to uwagi – uspokoił go Ubrino.

– Ale dlaczego? – zapytał Wiseman po włosku, choć nie był Włochem, był Amerykaninem. Miał czterdzieści dziewięć lat, czarne, kręcone włosy i starannie przystrzyżoną brodę.

– Nie pańska sprawa – uciął Ubrino. – Ma pan fiolkę?

– Jest tutaj. – Wiseman wyciągnął z szuflady metalowy pojemnik o rozmiarach i kształcie cygara. – W środku. Ale sto tysięcy to za mało. Za dużo ryzykowałem, więc cena musi być wyższa.

Carla obruszyła się. Wymierzyła sterlinga prosto w pierś Wisemana.

– Spokojnie – odsunął ją Ubrino. – Niech mówi. Ma prawo. Ryzykował.

– Antidotum będzie gotowe gdzieś pod koniec tygodnia. Ale musicie dorzucić jeszcze stówę. Płatne na moje konto w Szwajcarii.

Ubrino skinął głową z rozmysłem i wziął pojemnik do ręki.

Sprawdził numer. SR4785. Zgadza się. Taki właśnie numer podano mu na odprawie przed akcją.

– A więc sto tysięcy albo nie dostaniecie antidotum – powtórzył Wiseman i wstał z miejsca. – A tymczasem chodźmy do mojej pracowni. To tuż obok. Tam mnie zwiążecie. Będzie wyglądało, że złapałem was na gorącym uczynku.

– Jest pewna zmiana w planach – Ubrino uśmiechnął się przeprasząco.
– Co to znaczy? – zjeżył się Wiseman. – Dlaczego nikt mnie nie uprzedził?
– Bo pewnie by się pan nie zgodził. Nie potrzebujemy antidotum.
– To szaleństwo – Wiseman był wyraźnie zdenerwowany. – Zawartość tej próbówki bez antidotum to zagłada. Nikt się nie uratuje.

– Właśnie! – Ubrino spokojnie schował pojemnik do kieszeni. – Załatw go – rzucił w stronę dziewczyny.

Wiseman zdążył jeszcze złapać ciężką popielniczkę z biurka i cisnął ją w Carłę. Trafił w ramię. Boleśnie. Drugą ręką wybił szybką osłaniającą przycisk systemu alarmowego i dłonią nacisnął go. Rozległ się ostry, świdrujący dźwięk, gdy uruchomiły się syreny we wszystkich pomieszczeniach i we wszystkich budynkach zakładu. Ubrino załatwił Wisemana dwoma strzałami i ruszył do drzwi, pociągając Carłę za sobą.

– Zawiadom Nardiego – szepnął, ostrożnie wyglądając na korytarz. Pusto. W zasięgu wzroku nie było nikogo. – Powiedz mu, by czekał na schodach.

Włączyła mikrofon radiotelefonu i dała znać Nardiemu. Potwierdził łączność. Mieli już ruszyć, gdy na korytarzu zjawił się strażnik.

– Odłóż broń – szepnął Ubrino do dziewczyny.

– O co ci chodzi? – zaprotestowała zdziwiona.

– Zaufaj mi, *cara* – wyjął jej sterlinga z rąk i oparł o ścianę. – Mam ich – krzyknął w głąb korytarza, trzymając dziewczynę przed sobą, na oczach strażnika, który widząc mundur ochroniarza, zaczął biec w ich stronę. Gdy zbliżył się na trzy kroki, Ubrino puścił Carłę i strzelił prosto w pierś intruza. Carla złapała za automat i ruszyła śladem Ubrina w stronę schodów. Na górze mignęła kolejna postać w mundurze. Ubrino ściał ją jednym strzałem i w tym momencie obca kula uderzyła w ścianę, o parę ledwie centymetrów od jego głowy. Zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Carla wbiegała już na schody. Odwróciła się na dźwięk strzału i wtedy dostała pierwszy raz. Strzelał strażnik, który przykucnął w głębi korytarza. Drugi strzał był śmiertelny. Wypuściła z dłoni sterlinga i padła ciężko u podnóża schodów. Ubrino poświęcił jej może ćwierć, może pół sekundy, ale nie więcej. Zobaczył tylko, jak na piersi Carli wykwitła plama krwi, i pobiegł w górę. Zatrzymał się na półpiętrze nasłuchując. Cisza. Pobiegł wyżej. Znow przylgnął do ściany, wietrząc niebezpieczeństwo, ale hali wejściowy był pusty. Przykląkł na posadzce ze sterlingiem gotowym do strzału. Ani śladu strażników. Ale z miejsca gdzie się zatrzymał, nie widział posterunku przy drzwiach. Wstał. Ostrożnie przeszedł parę kroków w stronę wind. Znow przywarł do ściany nasłuchując. Przełączył automat na ogień ciągły i wypadł z za węglą, mierząc przed siebie.

Paolo Conte stał za biurkiem przy monitorach, patrząc przerażonym wzrokiem.

Ubrino zdał sobie sprawę, że to zasadzka. To było jasne. Conte przecież nie zgłosił się przez radiotelefon, gdy rozległ się alarm! A więc pod biurkiem, poza zasięgiem wzroku, musi się ktoś kryć, ktoś, kto trzyma Contego na muszce. Stary numer, ale skuteczny. Dobrze przypuszczał. Conte nie miał ikry, żeby być dobrym *Brigatiste*. Nieważne. Wzięli go na tę akcję tylko dlatego, że potrafił naśladować głos Vanellego. Ale to już się nie liczyło. Conte też się nie liczył.

Ubrino omiótł serią biurko i monitory. Conte dostał pięć, może sześć kul, zanim padł na ziemię. Ubrino zmienił magazynek i ruszył do biurka, żeby uruchomić automat otwierający drzwi, i wtedy usłyszał strzał. Pocisk uderzył o milimetry od jego głowy. Padł na posadzkę i przeturlał się za kamienną kolumnę pośrodku hallu. Drugi pocisk z łoskotem uderzył w marmur kolumny. Nie miał więc ruchu. Przygwoździli go. Gdzie, do cholery, jest Nardi? Złapali go, czy co? Właśnie wtedy usłyszał warkot samochodu. Zerknął przez ramię. To Nardi zajechał przed wejście. Ubrino sięgnął po granat, zerwał zawleczkę i rzucił łukiem w stronę schodów. Uruchomił pilotem drzwi i pod zasłoną dymu wybiegł przed budynek i wskoczył do fiata. Nardi ruszył, nim jeszcze z chmury dymu wypełniającej całą hali wyłoniło się paru strażników. Patrzyli bezsilnie załzawionymi oczami na znikający za zakrętem samochód. Nie zwalniając, fiat przemknął przez bramę. Gdy byli po drugiej stronie, Ubrino nacisnął pilota, żeby zamknąć wierzaje. Rzucił potem niepotrzebne już urządzenie do schowka, wsparł się na siedzeniu i przymknął powieki.

– Masz fiolkę? – zapytał Nardi.

Ubrino nie odpowiedział. Poklepał się tylko znacząco po kieszeni.

– A co z Carłą i Paolem?

– Nie żyją.

– Szkoda. Wiem, że ty i Carla... – westchnął.

– Trudno. Wiedziała, czym to grozi – rzekł Ubrino obojętnym tonem.

Nardi skręcił w boczną drogę i zatrzymał samochód tuż za białym fiatem uno, którego Ubrino zostawił tu przed akcją. Wysiedli. Ubrino zaszedł od tyłu i bez ostrzeżenia strzelił Nardiemu w kark. Rozkaz był wyraźny: gdy tylko zdobędzie fiolkę, ma zlikwidować wszystkich. Odrzucił sterlinga w zarośla. Z bagażnika fiata uno wyjął torbę. Przebrał się w dżinsy i szary sweter. Mundur strażnika Neo-Chem wcisnął do torby i zostawił ją tuż przy zwłokach Nardiego. Wycofał fiata uno i po chwili już jechał autostradą A24 do Rzymu.

Poniedziałek

Lino Zocchi założył okulary przeciwsłoneczne i wkroczył dostojnie na spaceriak. Jak zawsze towarzyszyło mu dwóch osiłków z ochrony osobistej. Dzień był ładny, powietrze rześkie, nie takie jak w pełni lata, gdy Rzym dusi się od upałów. Spojrzał w górę, na mury i wieżyczkę strażników. Wcisnął ręce głęboko do kieszeni i ruszył przed siebie, do betonowej ławy po drugiej stronie spacerniaka, gdzie lubił siadywać w słońcu. Ochroniarze szli za nim krok w krok.

Zocchi nie był wysoki, raczej niski, krępy, o pooranej twarzy i kruczych włosach obciętych na jeża. Miał czterdzieści trzy lata. Urodził się i wychował na przedmieściu, w slumsach „Wiecznego Miasta”, gdzie przekonano go do idei Marksa i Engelsa i skąd – jako dwudziestolatek – trafił do Czerwonych Brygad. Sprawdzał się w roli aktywisty. Penetrował uczelnie na południu Włoch, werbując młodych ludzi. W nagrodę awansował, stał się jednym z liderów rzymskiego oddziału Brygad, a w trzy lata później został szefem w stolicy. W dalszym ciągu sprawował tę funkcję, choć właśnie zaczął odsiadywać dziesięcioletni wyrok za udział w próbie zabójstwa jednego z prominentnych włoskich sędziów. Wyrokiem zbyt nie przejmował. Miał tylko jedną ambicję – marzył, żeby stanąć na czele Czerwonych Brygad, w czym odsiadka wcale nie przeszkadzała. Można kierować organizacją, siedząc w więzieniu.

Zocchi wspiął się na betonową ławę i rozsiadł wygodnie, tam gdzie zawsze. Obaj ochroniarze – też zresztą *Brigatisti* z wyrokami – uważnie omietli wzrokiem otoczenie i zasiedli po obu stronach szefa. Zocchi wyjął papierosa. Jeden z ochroniarzy podał ogień... i wtedy usłyszeli warkot śmigłowca. Leciał na niskim pułapie. Z białym lakierem kadłuba kontrastowały czarne litery: *POLIZIA*. Szum śmigła i terkot silnika zagłuszał wszystko, także przekleństwa więźniów, którzy posłali wiązanek w stronę intruza. Helikopter zawisł tuż nad spacerniakiem. Uchyliły się drzwi od kabiny pilotów i padł strzał. Gdy gromadka na dole zaczęła biec w stronę budynku, szukając schronienia, śmigłowiec wzniósł się nieco, a z otwartych drzwi wystrzelono serię, tym razem w kierunku wieżyczki strażnika. Ten przykucnął za ścianą, a gdy podniósł wzrok, śmigłowiec był już poza zasięgiem ognia. Strażnik najpierw zadzwonił na alarm, a dopiero później spojrzął przez lornetkę na spaceriak u podnóża wieżyczki.

Zocchi leżał na ławie – bez ruchu, z odstrzeloną połową czaszki. Tam, gdzie kiedyś zaczynało się czoło, widniała tylko krwawa miazga. Obok tlił się jeszcze dopiero co zapalony papieros.

Sekretarz generalny opuścił gabinet. Malcolm Philpott starannie zamknął drzwi, usiadł za biurkiem i z namysłem zaczął nabijać fajkę. Zapalił, oparł się wygodnie w fotelu i raz jeszcze zaczął analizować sytuację.

Miał pięćdziesiąt sześć lat, rude włosy, posępną twarz rodowitego Szkota. Dyrektorem UNACO został w 1980 roku, wcześniej zaś przez siedem lat kierował Wydziałem Specjalnym Scotland Yardu. Siergiej Kolczynski, który siedział naprzeciwko, był cztery lata młodszy. Przez ćwierć wieku służył w KGB. Szesnaście lat spędził za granicą – formalnie, jako attache wojskowy swojego kraju. Trzy lata temu został zastępcą Philpotta w UNACO, gdy jego poprzednika, też zresztą Rosjanina, odwołano ze stanowiska za „działalność sprzeczną ze statusem pracownika Organizacji Narodów Zjednoczonych”, krótko mówiąc – za szpiegostwo.

Elitę wśród dwustu dziewięciu funkcjonariuszy UNACO stanowiła trzydziestka oficerów operacyjnych. Doświadczenie zdobywali, służąc w rozmaitych agencjach i agendach ścigania i wymiaru sprawiedliwości w swoich krajach. Pracowali w grupach trzyosobowych, tak zwanych Zespołach do Zadań Specjalnych. W UNACO przechodzili dodatkowy trening – uczyli się walki wręcz, poznawali różne rodzaje broni, z tym że mieli prawo wyboru broni na akcję. Szkolenia odbywały się w Ośrodku Badawczym UNACO na Queensie, w Nowym Jorku, nie opodal miejskiej trasy szybkiego ruchu. Niewiele osób wiedziało o jego istnieniu. Cały kompleks bowiem zbudowano pod ziemią.

Philpott sięgnął po laskę i podszedł do okna. Utykał na lewą nogę po postrzale w czasie wojny koreańskiej. Miał pecha, ranę bowiem odniósł tuż przed ogłoszeniem rozejmu. Okna siedziby UNACO, na dwudziestym drugim piętrze budynku Sekretariatu Narodów Zjednoczonych, wychodziły na Rzekę Wschodnią i przy dobrej pogodzie na horyzoncie widać było pasy startowe lotniska imienia Kennedy'ego.

– W świetle meldunku, który nadszedł dziś rano, trzeba będzie zmobilizować Trzeci Zespół Operacyjny – mruknął ni to do siebie, ni do Kolczynskiego.

– Jasne! – Kolczynski zgasił papierosa i natychmiast wyjął następnego z pudełka na biurku. Zapalił. – A zresztą nie mamy lepszych.

– Widzę, Siergiej, że to twoi ulubieńcy. – Philpott wrócił na miejsce za biurkiem.

– Szanuję ich. Sam przyznasz, że to najlepszy zespół. Philpott wrzucił hasło do komputera i przez chwilę uważnie studiował informację na ekranie.

– A nich to! – uderzył gniewnie w biurko. – Właśnie poszli na urlop, jakbyśmy mieli mało problemów. – Sara? – krzyknął przez interkom.

– Słucham?

- Postaraj się znaleźć Mike’a, Sabrinę i C.W. Pilne!
- Tak jest.
- Jeszcze jedno. Powiedz im, że urlopy odwołane i ogłaszamy alarm, kryptonim „Czerwony”.

Sabrina Carver była jedynaczką w zespole oficerów operacyjnych UNACO, dokąd przeszła z FBI. Zrazu patrzono na nią trochę z góry i niezbyt chętnie, uważając, że kobieta nie może się sprawdzić w typowo męskim zawodzie. Gdy jednak okazało się, że jest lepsza od niejednego mężczyzny, zaczęto zazdrościć i Mike’owi Grahamowi i C.W. Whitlockowi, którzy razem z nią stanowili Trzeci Zespół Operacyjny.

Sabrina mieszkała w Nowym Jorku, ale co najmniej dwa razy w roku jeździła na Florydę, do Miami, gdzie żyli jej rodzice. Zajmowali elegancką willę w bogatej dzielnicy Coral Gables, tuż nad zatoką Biscayne. Kiedy wreszcie, w połowie marca, udzielili jej urlopu, postanowiła odwiedzić rodziców, których ostatnio widziała w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy tradycyjnie już zjechali do Nowego Jorku. Na Florydzie zamierzała spędzić dziesięć dni, później wybierała się do Szwajcarii, na narty. Marzec to najlepsza pora na Florydzie: ciepło, słonecznie, ale bez nieznośnych letnich upałów. Cieszyła się więc na myśl o długich, leniwych godzinach na basenie, przy dźwiękach jazzu – uwielbiała jazz – i o rejsach po zatoce luksusową motorówką ojca, dziesięciometrową łodzią typu Maxum, którą za jej sprawą nazwano *Port of Call*, ponieważ uparła się, żeby tytuł ulubionej kompozycji, autorstwa saksofonisty Davida Sanborna, wypisać na burcie łodzi.

Zaparkowała BMW ojca przed hotelem Marina Park i ruszyła na przystań, uśmiechając się do siebie na wspomnienie debaty w sprawie nazwy motorówki. Starala się nie widzieć, że wszystkie oczy skierowały się w jej stronę. Była naprawdę przystojna. Miała dwadzieścia osiem lat i znakomitą figurę. Trzy razy w tygodniu, gdy nie brała udziału w żadnej operacji, chodziła na aerobik i ćwiczenia. Długie blond włosy, które zwykle nosiła rozpuszczone do ramion, upięła pod czapeczką klubu baseballowego Yankees z Nowego Jorku. Dostała ją od Mike’a Grahama, zagorzałego kibica „Jankesów”, który oburzył się, widząc ją kiedyś w czapce klubu Dodgers z Los Angeles. Od tego czasu zawsze nosiła barwy „Jankesów”. Na wycieczkę po zatoce ubrała się w obszerną bawełnianą koszulkę. Pod spodem miała tylko szmaragdowe bikini. Nie zwracała uwagi na znaczące spojrzenia, jakimi obdarzali ją wszyscy bez wyjątku mężczyźni po drodze, bo uważała, że świadczyłoby to o próżności, a niczego tak nie znosiła, jak właśnie próżności, w każdej postaci zresztą.

Przystanąła na chwilę obok *Dream Merchant* – *Kupca snów* – sporego, bo

trzydziestometrowego jachtu należącego do Johna Bernsteina, bankiera i bliskiego przyjaciela ojca. Wiedziała, że Bernstein wyjechał z miasta. Ojciec mówił, że John wybrał się do Waszyngtonu na konferencję międzynarodową i że wróci dopiero za kilka dni. Więc co, u licha, robi tych dwóch facetów na pokładzie? Pewnie nic takiego, ale postanowiła sprawdzić. Trap był podniesiony, więc nie było innego wyjścia, jak skoczyć na pokład. Głośne lądowanie na laminowanych deskach zaalarmowało intruzów. Jeden z nich odwrócił się i zobaczyła, że mierzy w nią z walthera PS. Zrobiła unik, kula przeszła obok i uderzyła o nabrzeże. Drugi coś krzyknął i obaj nagle zniknęli. Usłyszała tylko warkot skuterów wodnych i rzeczywiście dwie postaci na skuterach śmigały w stronę zatoki. Błyskawicznie wróciła na nabrzeże, kierując się tam, gdzie cumowała motorówka ojca. Po drodze jeszcze krzyknęła do załogi sąsiedniego jachtu, aby zawiadomiono policję. Wskoczyła do łodzi, uruchomiła silnik i ruszyła za zbiegami. Zorientowali się, że ktoś ich ściga, więc zastosowali najprostszy manewr. Jeden skręcił w stronę wyjścia z zatoki, gdzie mógł się skryć za wyspą Lummus, drugi wziął kurs na port handlowy, w przeciwnym kierunku. Zdecydowała płynąć za tym drugim, choć na dogonienie go miała tylko jedną szansę na sto. Jeśli zbieg dotrze do portu, to straci go z oczu wśród statków, doków i barek. Przesunęła manetkę gazu do oporu. Skuter był równie szybki i jego sternik wiedział o tym, ale popełnił błąd. Odwrócił się i ocenił, że jednak motorówka może mu odciąć drogę do portu. Przestraszony sięgnął po walthera i w tym momencie stracił równowagę. Skuter podskoczył na fali, a drab wylądował w wodzie. Sabrina zredukowała gaz i podpłynęła do rozbitka. Nie stawiał oporu, gdy wyciągała go na pokład. Zrezygnowany zwałił się do kokpitu. Krwawił. Rozbił głowę, gdy skuter podskoczył na fali.

Wtedy to zjawił się policyjny kuter. Podeszli do motorówki, ktoś rzucił cumę.

– Drugi z nich popłynął za wyspę – zaczęła wyjaśniać.

– Nie gadać. Proszę zamocować cumę – polecił policjant z ryżą czupryną. Z wyglądu miał jakieś pięćdziesiąt lat, a na kurtce naszywki porucznika.

Wyłączyła silnik, obłożyła cumę na knadze. Sternika skutera wciągnięto na pokład kutra, aby go opatryć. Jej też polecono przejść na kuter. Nie skorzystała z pomocy. Sama wspięła się po trapie.

– No i co z tym drugim? – zapytała.

– Już go mamy. Inny patrol zatrzymał go tuż za wyspą – rzekł porucznik i spojrzął na nią badawczo. – No, no – dodał – zapatrzyliśmy się na „Policjantów z Miami” w telewizji, co, kotku?

– Nie jestem pańskim kotkiem – rzuciła przez zęby.

– No jasne! Panienska z Nowego Jorku – syknął, sięgając po jej czapkę.

– Nie radzę – ostrzegła – jeśli nie chcesz wylądować w wodzie.

– Na twoim miejscu nie gadałbym tyle – warknął, grożąc palcem. – Co pani, u diabła, wyprawia? To nie jest prywatny basen, lecz tor wodny. Co to za strzelanina na przystani?

– Skąd mogłam wiedzieć, że są uzbrojeni – odparła już nieco mniej zadziornie. – Jacht należy do mojego znajomego, który właśnie wyjechał. Co miałam zrobić? Patrzeć, jak tych dwóch grabi wszystko, co jest na pokładzie?

– Należało zawiadomić policję.

– Następnym razem, jeśli oczywiście uda mi się znaleźć jakiegoś glinę.

– Jeszcze jedno słowo, a będę musiał panią aresztować.

– Mnie? A za co? Za to, że was wyręczyłam i złapałam tego draba? – powiedziała z ironią.

W tym właśnie momencie uruchomił się jej pager – elektroniczny przywoływacz. Był to znak, że ma się natychmiast zgłosić do centrali. Sprawdziła aparat, który przypięła do kostiumu kąpielowego pod koszulką.

– Muszę pilnie połączyć się z Nowym Jorkiem.

– Rozumiem, że narzeczony się niecierpliwi – zażartował porucznik, a cała załoga wybuchnęła śmiechem.

– Panie poruczniku – powiedziała, siląc się na spokój – jak pan chce, to niech pan połączy się z komendą przez radio i niech sprawdzą *Port of Call*. Motorówka jest zarejestrowana na nazwisko George’a Carvera, byłego kongresmana i ambasadora Stanów Zjednoczonych w Kanadzie i Wielkiej Brytanii. To mój ojciec.

– W porządku – odrzekł, gestem ręki zapraszając ją do kajuty – niech już pani telefonuje do tego swojego Nowego Jorku, ale później pogadamy i spiszymy protokół.

Weszła do kajuty zamykając za sobą drzwi. Podniosła słuchawkę radiotelefonu i wykręciła sobie tylko znany numer.

– Firma Llewelyn and Lee, dzień dobry – rozległ się damski głos – czym mogę służyć?

– Sabrina Carver, hasło 1730630 – podała numer osobisty z UNACO.

– Cześć Sabrina. Pułkownik chce z tobą pilnie rozmawiać. Już przełączam.

– Dzięki, Saro.

W słuchawce zapadła cisza, a po chwili odezwał się Philpott:

– Sabrina? – Poznała go od razu, bo tylko on mówił takim charakterystycznym szkockim akcentem.

– Słucham, szefie.

– Alarm, kryptonim „Czerwony”. Bilet odbierzesz na lotnisku w biurze linii

Continental. Samolot masz za trzy godziny. Odprawa u mnie dziś o piętnastej trzydzieści.

– Jest jeden drobny kłopot, szefie – zaklęła w duchu i w skrócie zameldowała o korowodach z policją.

– W porządku. Zaraz zatelefonuję do komendanta policji w Miami i poproszę, żeby ci nie robili trudności. Jak się nazywa ten twój porucznik?

– Grady – odparła, odczytując nazwisko z wizytówki obok radiotelefonu.

– No to do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i wyszła na korytarz, żeby uprzedzić porucznika, by czekał na telefon od komendanta.

– Mój szef ma telefonować? – zdziwił się. – A kimże, u diabła, pani jest?

– Panienką z Nowego Jorku – odparła na pół złośliwie. – Poczekam na pana na pokładzie.

Zjawił się po kwadransie. Wyjaśnił swoim ludziom, że sprawa jest zamknięta.

– Jest pani wolna. Protokół sobie darujemy, ale tak czy owak będzie musiała pani stawić się na rozprawie przeciwko tym dwóm – dorzucił ze źle skrywaną satysfakcją.

– Wie pan, gdzie mnie szukać, prawda?

Wróciła do motorówki, oddała cumę i wzięła kurs na przystań.

– Chciałbym się z nią kiedyś umówić – głośno zamarzył jeden z policjantów.

– Ku radości swojej żony – skomentował inny, co wszyscy skwitowali wybuchem śmiechu.

– Dość tego – warknął Grady. – Weźcie się lepiej za skuter. Wyciągnąć go z wody, zanim zdryfuje na tor.

Zaniepokoił go już pierwszy strzał. Mike Graham polubił „swoje” stado saren. Obserwował je z zapalem od dwóch lat, to znaczy – od kiedy wyprowadził się z Nowego Jorku. Dobrze się czuł tu, nad brzegiem jeziora Champlain w południowym Vermoncie, gdzie wznosił się jego stylowy, drewniany domek. Przyjeżdżał tu w każdej wolnej chwili i przyglądał się, jak z roczniaków wyrastały dorodne kozły i sarny. Strzał nie wróżył niczego dobrego, przeciwnie – był to sygnał, że stado jest w niebezpieczeństwie. Mike wziął lornetkę, karabin i ruszył w stronę, skąd dobiegł huk. Nie szukał długo, każdy zresztą by trafił, nawet dziecko. Trop wyznaczał rząd pustych puszek po piwie. Po chwili dotarł do miejsca, gdzie przy białym dziepie biwakowała dwójka podochoconych myśliwych. Piekli zająca na ognisku i popijali piwo, licytując się, kto dalej plunie. Wokół rozchodził się aromat pieczonego mięsa i woń „trawki”.

Graham wyglądał wyjątkowo młodo, jak na swoje trzydzieści siedem lat. Przystojny, o kasztanowych długich włosach i błękitnych oczach, budził podziw wysportowaną

sylwetką, ale też codziennie ćwiczył. Świttem biegał po lesie, a później gimnastykował się w małej siłowni, którą urządził w piwnicy. Zawsze zresztą – niemal obsesyjnie – dbał o kondycję i należytą formę. W dzieciństwie, które spędził w Nowym Jorku, na Bronksie, miał tylko jedno marzenie: dostać się kiedyś do pierwszej drużyny klubu footballowego Giants. I spełniło się! Tuż po dyplomie z nauk politycznych, który zrobił na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, wzięto go do drużyny, i to na pozycję *quarterback*, rozgrywającego. Miesiąc później dostał powołanie do wojska, a paskudna rana barku, którą odniósł w Wietnamie, ostatecznie przekreśliła obiecującą karierę sportową. Wstąpił do CIA i szkolił wietnamskich górali w tajnych bazach na terenie Tajlandii, a później, gdy wrócił do Stanów, dostał się do Delty, elitarnego oddziału antyterrorystycznego US Army. Po jedenastu latach został dowódcą kompanii B w Delcie, a pierwsza akcja, którą poprowadził w nowej roli, polegała na zniszczeniu tajnej bazy w Libii, w pobliżu Benghazi, gdzie szkolono terrorystów. Gdy zajął już ze swoimi chłopcami pozycje wyjściowe do ataku, dostał wiadomość, że z mieszkania w Nowym Jorku uprowadzono właśnie jego żonę i syna. O sprawcach wiadomo było, że rozmawiali między sobą po arabsku. Nie zawahał się, nie odwołał akcji. Operacja zakończyła się sukcesem, baza przestała istnieć. FBI wszczęło energiczne śledztwo w sprawie porwania, ale ani żony Carrie, ani syna Mike'a Juniora nigdy nie odnaleziono. Trzy miesiące później Mike zwolnił się z wojska na własną prośbę i zgłosił się do UNACO, ale decyzją sekretarza generalnego, który oparł się na zgodnej opinii psychiatrów, podanie odrzucono. Dopiero Malcolm Philpott zmienił decyzję na własną odpowiedzialność i Grahama przyjęto z zastrzeżeniem, że co roku musi się poddawać badaniom lekarskim.

Starszy z dwóch myśliwych, w śmiesznej szpiczastej czapce na siwej głowie, wyrzucił niedopałek papierosa do ognia, wstał i dobył kolejną puszkę piwa z pojemnika z lodem na tylnym siedzeniu dżipa. Miał już wrócić na miejsce, gdy cichy szmer w krzakach dał mu do myślenia. Gestem nakazał milczenie młodszemu, a palcem pokazał kierunek. Młodszy wyciągnął sztucer, Parker Hale, kaliber.300, wymierzył w kierunku, skąd dobiegł szelest, i strzelił.

– Dostał w nogi, Ray – ocenił starszy. – Duża sztuka – dodał po łyku piwa – będzie co dzielić.

– A pewnie – zaśmiał się Ray. – Popatrz tylko, jak się zbiera. Daleko nie ujdzie na trzech kopytach.

– Dam ci trzy dolary, jeśli trafisz w drugą nogę – zaliczył starszy.

– Okay, Sam, szykuj szmal – odparł Ray, podnosząc broń do strzału.

Tego było już za wiele dla Grahama, który niepostrzeżenie zakradł się w pobliże. Wymierzył cios kolbą swojego M21. Ray rozpląszczył się na masce dżipa, wypuszczając

sztucer z ręki. Sam chciał go podnieść.

– Nie radzę – ostrzegł Graham – chyba że chcesz zaryzykować.

– O co chodzi? Kim pan jest? – zawołał Ray. Krzywił się z bólu. Widać było, że uderzenie kolbą podziałało skutecznie. – Mamy prawo polować.

Graham zbył pytanie. Sięgnął pod kierownicę dżipa, zwolnił ręczny hamulec, wóz zaczął się toczyć po pochyłości w stronę jeziora. Graham pobiegł zobaczyć ranne zwierzę. Kozioł patrzył smutnymi oczami i bezskutecznie usiłował stanąć na nogi. Musiał okropnie cierpieć, a nie było ratunku. Mike wymierzył w tył głowy, pociągnął za spust, zwierzę jeszcze raz drgnęło i znieruchomiło.

– No i co, dumni jesteście? – syknął w stronę myśliwych.

Ray zdołał zatrzymać dżipa tuż przed lustrem jeziora.

– Hej, o co chodzi, chcieliśmy się tylko trochę zabawić.

– Właśnie, zabawić! No to teraz ja się z wami zabawię. Ściągać buty. Obaj, ale już!

– Idź do diabła. Nie masz żadnego prawa. Jest sezon, polujemy zgodnie z przepisami – warknął Sam.

Graham z namysłem popatrzył na jezioro.

– Wybrałem sobie kiedyś to miejsce, bo rzadko kto tu zachodzi. To prawdziwe odludzie. Mogę was zabić, zepchnąć dżipa do jeziora i pies z kulawą nogą was nie znajdzie, a jeśli wyda wam się, że blefuję, to spróbujcie!

– Ależ nic takiego nie mówimy, proszę pana. A jeśli chodzi o pieniądze, to...

– Nie gadać, ściągać buty.

Sam z Rayem spojrzeli po sobie, przysiedli na mchu i zzuli buty, jak im kazano. Graham wziął obie pary i rzucił daleko w głąb jeziora, a następnie, z całym spokojem, przestrzelił dwie tylne opony w dżipie.

– Co pan robi, do cholery? Mamy tylko jedną gumę w zapasie. Jak się wydostaniemy?

– Osiem kilometrów stąd jest miasteczko, Burlington. Zapytajcie o warsztat Charliego, może sprzeda wam gumę, jeśli dacie mu dobrą cenę.

– A jak mamy tam się dostać? – zapytał Ray płacząco patrząc na gołe stopy.

– Jeśli ruszycie zaraz, dojdziecie na miejsce wczesnym popołudniem. Trzeba iść w tę stronę – pokazał im kierunek.

– Na bosaka? – syknął Sam. – Ledwie dojdziemy. Tu nie ma żadnych dróg, jest tylko las.

– Ano właśnie! Jelenie ostępy! – Mike zarzucił karabin na ramię i ruszył przed siebie, nie bacząc na rozpaczliwe błagania obu intruzów. Dwadzieścia minut później dotarł do chaty i już z daleka słyszał ciągły sygnał swojego pagera, który zostawił stoliku

w sypialni. Wpadł do środka, wyłączył aparat i wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę.

– Mike?

– Słucham.

– Sara z tej strony. Llewelyn and Lee.

– 1913204 – podał swój numer identyfikacyjny.

– Zgadza się – odetchnęła z ulgą. – Już od dwóch godzin sygnalizowałam, żebyś się zgłosił do centrali. Co z twoim pagerem, nawalił, czy co?

– Nie mam pojęcia – odparł, patrząc na aparat obojętnym wzrokiem.

– Przywieź do biura. Zamówię ci nowy. Tymczasem szef chce z tobą rozmawiać. A... i pan Kolczynski też, właśnie wszedł tu do mnie.

– Michael? Co się z tobą dzieje? – Kolczynski był wyraźnie niezadowolony. – Dlaczego nie zgłosiłeś się po pierwszym sygnale?

– Nie wiem, nic nie słyszałem – odparł Mike przepraszająco. – A o co chodzi?

– Alarm. Kryptonim „Czerwony”. Nash czeka na ciebie na lądowisku w Burlington. Jest już tam od godziny. Spakuj trochę letnich rzeczy. Nad Morzem Śródziemnym jest dość ciepło o tej porze roku.

– Brzmi to obiecująco...

– I zabierz pager, damy go do sprawdzenia. Nie możesz przecież latać z popsutym sprzętem, prawda?

Mike zrozumiał, że Kolczynski go przejrzał. Zaśmiał się, odłożył słuchawkę i poszedł do schowka po walizkę.

Sabrinie udało się znaleźć wolne miejsce dwie przecznice od ONZ-tu. Zaparkowała mercedesa. Jeździła 500 SEC w kolorze białego szampana. Mignęła strażnikowi legitymacją i weszła do budynku Sekretariatu. Wedle wpisu na przepustce, pracowała w dziale tłumaczeń, co było dość logiczne, bo przecież zrobiła dyplom z filologii romańskiej i magisterium na Sorbonie.

Wysiadła z windy na dwudziestym drugim piętrze i skierowała się do drzwi bez żadnej wizytówki, na końcu korytarza. Nacisnęła właściwy zestaw cyfr na szyfrowym zamku i weszła do środka. Trzy ściany, jak we wszystkich pomieszczeniach biurowych ONZ-tu, wyklejono jasną tapetą, czwarta natomiast pokryta była boazerią, a między listwami zamontowano dwoje przesuwanych drzwi bez klamek. Otwierały się tylko po uruchomieniu odpowiedniego pilota na podczerwień. Drzwi po prawej wiodły do Centrum Dowodzenia UNACO, gdzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę śledzono sytuację, odbierano meldunki z całego świata, analizowano i prognozowano

rozwój wydarzeń. Za drzwiami z lewej znajdował się gabinet Philpotta i bez jego wiedzy i zgody nikomu nie wolno tam było wchodzić.

Sara Thomas oderwała wzrok od komputera i uśmiechnęła się na powitanie. Była nieco starsza od Sabriny. Miała trzydzieści jeden lat, blond włosy, ładną twarz i doskonałą sylwetkę. Kiedyś, gdy stawiała w konkursach na Miss, otrzymała bardzo ciekawą propozycję z Hollywoodu. Nie przyjęła jej. Skończyła college w Chicago, wyszła za mąż za instruktora walki wręcz z Ośrodka Szkoleniowego UNACO i sama też podjęła pracę w organizacji.

– Jak było na wakacjach? – zapytała.

– Jak było? Krótko, tyle ci powiem. Są już chłopcy?

– Pan Kolczyński pojechał po Mike’a na lotnisko.

– A C.W.?

– Jest w Paryżu. Jacques Rust poleci do niego specjalnie z Zurychu.

– Rozumiem. No to powiedz jego lordowskiej mości, że jestem.

Sara skwitowała żart uśmiechem. Między sobą zawsze tak nazywały Philpotta, bo lubił nosić się jak lord.

– Jest Sabrina, szefie – powiedziała przez interkom.

– Niech wejdzie.

– Dzień dobry, szefie.

– Siadaj – odparł bez żadnych wstępnych uprzejmości. – Właśnie telefonowali z policji w Miami – ciągnął nabijając fajkę. – Wygląda na to, że nie tylko ośmieszylaś tego – jak mu tam? – porucznika Grady’ego, ale jeszcze groziłaś mu, i to w obecności jego ludzi.

– Szefie, ten Grady to kawał bufona.

– Ale policjant, i to na służbie – zagrzmiał Philpott. – Po pierwsze, byłaś tam prywatnie, na urlopie, co oznacza, że miejscowych władz nie uprzedzaliśmy o twojej obecności. Po drugie wdałaś się w awanturę. Niezłe musiałem się napocić, żeby nie ciągali cię po sądach. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że gdyby prasa coś zwąchała, to mielibyśmy tu niezły pasztet? Nie życzę sobie, aby ktokolwiek narażał naszą firmę i nie będę tolerował takich ekscesów. Jeszcze raz zrobisz coś podobnego, to możesz się pożegnać ze służbą. Jasne?

– Tak jest – odparła pokornie.

Philpott zapalił fajkę, oparł się na krześle i wypuścił kłąb aromatycznego dymu.

– Zauważyłem – powiedział – że te twoje negatywne cechy zaczęły się objawiać stosunkowo niedawno, właściwie od czasu, gdy zaczęłaś pracować z Grahamem. Podejrzewam, że w pewien sposób przejęłaś od niego niechętny stosunek do instytucji

prawa. Być może chciałaś w ten sposób zyskać jego sympatię i szacunek. Zastanawiałem się nawet, czy nie przenieść cię do innego zespołu, ale doszedłem do wniosku, że to i tak nic nie da.

– Przepraszam, szefie, ale to nieprawda. Z Mike’em nie jest tak. Niczego nie chciałam udowodnić ani w ogóle nic takiego. Jeśli mu się nie podobam, to jego sprawa, a nie moja.

Rozległ się sygnał interkomu. Philpott włączył mikrofon.

– Tak?

– Jest już pan Kolczynski i Mike Graham – poinformowała Sara.

– Niech wejdą – rzekł Philpott, uruchamiając sygnał do otwarcia drzwi.

Kolczynski przywitał się z Sabriną, usiadł i jak to on zapalił zaraz papierosa.

– Dzień dobry, szefie – rzekł Graham – – Co słychać? – rzucił do Sabriny, siadając obok niej na sofie.

– W porządku. A co u ciebie?

– Normalnie. Co z C.W.?

– Jest w Paryżu. Jacques pojechał do niego.

– Możemy zaczynać? – przerwał Philpott. Oczekał jeszcze chwilę, żeby skupić uwagę obecnych, „i rzekł: – Mielśmy dziś godziną konferencję z sekretarzem generalnym. Rzec dotyczyła oczywiście sprawy, z powodu której ogłoszono alarm i ściągnięto was z urlopów. Kryptonim „Czerwony”, nie muszę dodawać, ponieważ sami wiecie, oznacza sprawę poważną. Tym bardziej że sekretarz generalny zaangażował się w nią osobiście. Szczegóły poda wam Sergiusz. Śledzi sprawę od początku.

Kolczynski poderwał się z miejsca i zgasił papierosa.

Ubiegłej nocy czwórka terrorystów z Czerwonych Brygad i się do zakładów koncernu Neo-Chem w pobliżu Rzymu.

– Chodzi o koncern, który wybudował ten szpetny wieżowiec przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy? – upewnił się Graham.

– W tej, jak to nazywasz, szpetocie mieści się międzynarodowy zarząd koncernu, do którego należy czternaście dużych zakładów za granicą. Neo-Chem to największy producent farmaceutyków na świecie.

– Na lekach to może się znać, ale na architekturze chyba nie – skomentował Graham.

– Do rzeczy – przerwał Philpott, gromiąc wzrokiem Grahama. – Sergiusz...

– Otóż w czasie napadu zginął między innymi profesor David Wiseman, główny doradca naukowy koncernu, a kiedyś nasz konsultant w UNACO. Ponieważ był naszym człowiekiem, więc udostępniono nam akta sprawy i nasi ludzie biorą udział w śledztwie.

Eksperci z biura w Zurychu dokładnie sprawdzili wszystko, nad czym profesor ostatnio pracował, i okazało się, że z jego pracowni zginęła tylko jedna jedyna rzecz: pojemnik z probówką, podobny do tego oto, który właśnie dostałem z naszego Ośrodka Badawczego. – Kolczyński podał Sabinie metalowy cylinder.

– I nic innego nie zginęło? Obrobili tylko pracownię Wisemana? – zapytała.

– Właśnie. Nie tknęli żadnych innych. Widać szukali czegoś konkretnego i wiedzieli, gdzie się to znajduje.

– A cóż to takiego jest? – zapytał Graham. Wziął metalowy pojemnik i obracał go w palcach.

– Zaraz do tego dojdę. – Kolczyński wyjął papierosa, zapalił, zdmuchnął zapalniczkę i wrzucił ją do popielniczki na biurku Philpotta. – Otóż, z papierów, jakie Wiseman ukrywał w swoim safesie, wynika, że prowadził pewne prywatne badania, nie związane z programem prac Neo-Chem, a konkretnie opracowywał formułę dwóch substancji. Pierwsza z nich to szczególnie rodzaj gazu usypiającego, który produkował na zlecenie rzymskiego oddziału Czerwonych Brygad.

– I to właśnie oni włamali się do zakładów? – zapytała Sabrina.

– Tak. Druga substancja – ciągnął Kolczyński – okazała się znacznie bardziej niebezpieczna. Jest to wirus. Jak już wiemy, mniej więcej pół roku temu Wiseman zaczął opracowywać pewną szczególną kombinację DNA, w wyniku czego wyhodował niezwykle groźną mutację wirusów. Dość powiedzieć, że zawartość fiolki, takiej jak ta, wystarczy, żeby uśmiercić co najmniej milion ludzi, jeśli tylko rozpylić to w atmosferze. Prace zakończył ledwie dwa tygodnie temu.

– Domyślam się, że Czerwone Brygady pomyliły fiolki? – zapytała Sabrina.

– Obie fiolki, to znaczy, ta z gazem i ta z wirusem, wyglądały tak samo. Miały tylko inne numery. W biurze Wisemana znaleziono pojemnik z gazem. Fiolka z wirusem zniknęła.

– A czy istnieje jakieś antidotum, to znaczy szczepionka przeciwko temu wirusowi?

– Wiseman nie skończył prac nad szczepionką – odparł Philpott.

– Ale zostawił chyba jakieś notatki, więc jak rozumiem, nasi specjaliści coś z tego wysmażą. – Graham podał Kolczyńskiemu pojemnik z fiolką.

– Nie wiem, czy znacie kwestię rekombinacji DNA i tworzenia mutantów prostych organizmów, takich jak wirus. Rzecz polega na tym, aby wyodrębnić geny dwóch różnych gatunków, a następnie stworzyć z nich jeden wspólny łańcuch genetyczny. Szczepionkę można otrzymać stosunkowo prosto, jeśli tylko zna się skład genetyczny nowego wirusa. W tym jednak wypadku Wiseman sięgnął po nieznaną gatunki, w istocie zsyntetyzował je w swoim laboratorium. Nie zostawił żadnych zapisów. Materiał

wyjściowy oznaczył tylko jako *alfa* i *beta*. Krótko mówiąc, nikt poza nim nie może znać składu, więc nikt nie zdoła stworzyć szczepionki.

– A Wiseman nie żyje – mruknęła Sabrina, pocierając czoło.

– A czy w ogóle mamy tu do czynienia z pomyłką? Może ów gaz to tylko przykrywka, a Czerwonym Brygadam od początku chodziło o wirus? – zapytał Graham.

– Tak też myślałem – rzekł Philpott – ale dziś rano dostaliśmy tę oto informację. – Sięgnął do teczki i wyjął arkusz papieru. – To zapis komunikatu, który rankiem przekazano przez telefon władzom we Włoszech. Zidentyfikowano nadawcę, To niejaki Riccardo Ubrino, jeden z szefów Czerwonych Brygad w Rzymie. Otóż zapowiada on, że jeśli do czwartku, do godzin; dziewiątej rano, władze nie uwolnią z więzienia Lina Zocchiego szefa rzymskiego oddziału Brygad, i nie umożliwią mu bezpieczne podróży samolotem na Kubę, to rozpyli zawartość fiolki w powietrzu. Żąda także, aby moment zwolnienia z więzienia i odlot z Rzymu pokazano „na żywo” w telewizji. Co ważniejsze, twierdzi on, że w fiolce jest koncentrat gazu usypiającego. Myślę, że Ubrino zdaje sobie sprawę, iż władze są już w posiadaniu drugiej fiolki i zapewne znają jej zawartość. Sądzę więc, że jest święcie przekonany, iż rzeczywiście w jego fiolce jest gaz, bo nie można sobie tego inaczej wytłumaczyć.

– Chwileczkę, szefie – wtrąciła Sabrina. – Nie rozumiem, na czym ma polegać nasza rola. Czy rząd włoski odrzucił żądania terrorystów?

– Ani tak, ani nie. Chodzi o to, że Włosi nic nie mogą zrobić, Zocchi bowiem nie żyje. Zamordowano go w niecałą godzinę po tym, jak nadeszło to ultimatum. Sprawców oczywiście nie ustalono, a wiadomość o śmierci natychmiast utajniono. Więzienie, gdzie zginął, odcięto od świata pod pretekstem, że doszło tam do zamieszek między więźniami. Ale nie można tego ciągnąć w nieskończoność. Trzeba odzyskać fiolkę, i to jak najszybciej.

– A czy władze nie mogą podjąć rokowań z przedstawicielami Brigatisti, próbować wyjaśnić sytuację, uprzytomnić niebezpieczeństwo? – zapytała Sabrina.

– Owszem, mogą – rzekł Kolczyński – a w istocie doszło już do wstępnych rozmów. Kłopot z tym, że to właśnie Zocchi zaplanował akcję na Neo-Chem i poza nim nikt z kierownictwa Brygad o niczym nie wiedział. W efekcie nie wiadomo, gdzie się ukrywa Ubrino. Nikt z Brygad nie ma z nim kontaktu, a gdyby nawet go odnaleziono, to kto ma przekonać faceta, że wobec śmierci Zocchiego cała akcja została odwołana?

– Sprawa jeszcze bardziej się komplikuje – wtrącił Philpott – i wobec faktu, że Zocchiego zamordowano z helikoptera policyjnego, a przynajmniej tak to wyglądało. Co w tej sytuacji może pomyśleć Ubrino? W godzinę po tym, jak wystosował swoje ultimatum, policja morduje Zocchiego! Ubrino nigdy nie uwierzy, że to tylko fatalny

zbieg okoliczności.

– No właśnie. Może pomyśleć, że to pułapka na niego – oceniła Sabrina.

– W dalszym ciągu jednak nie rozumiem, co my mamy z tym wspólnego – odezwał się Graham. – W jakim celu odwoływaliście mnie z urlopu, skoro jest jeszcze kilkanaście innych zespołów operacyjnych?

Zamiast odpowiedzi, Philpott wyjął z teczki kolejny dokument.

– To też nadeszło dziś przed południem. Sprawa dotyczy brata profesora Wisemana. Przypuszczam, Mike, że wiesz, o kogo chodzi. Richard Wiseman, jeden z głośnych oficerów w czasie wojny w Wietnamie, pamiętasz?

– Oczywiście. Major Richard Wiseman z piechoty morskiej. Wspaniały żołnierz.

– Już generał Wiseman. Pierwszy batalion Rangersów. Wiadomo tylko, że zamierza pomścić śmierć brata. Szczegóły znajdziecie w tej teczce, do przeczytania w czasie lotu. Wiseman wynajął płatnego mordercę i jeszcze jednego osobnika, żeby załatwili sprawę w jego imieniu. Ów drugi to podobno jakiś Jamajczyk mieszkający w Londynie. Oczywiście nie możemy dopuścić do tego, żeby jacyś amatorzy wmieszali się w tę sprawę. Zbyt duże są zagrożenia. Więc najpierw postanowiliśmy podstawić naszego człowieka w miejsce owego Jamajczyka. Jak wiecie, jest tylko jeden człowiek, który nadaje się do tej roli...

– ...C.W. – dokończyła Sabrina.

– Właśnie – zamknął dyskusję Philpott, wręczając jej i Grahamowi grube zapieczętowane koperty.

W środku były: opis zadania, który oczywiście należało zniszczyć po przeczytaniu, bilety lotnicze, mapy terenu działania, potwierdzone rezerwacje hotelowe, wizytówki miejscowych agentów i kontaktów, a także pewna suma pieniędzy w lirach. Nie limitowano kwot, które oficerowie operacyjni wydawali w czasie akcji, ale wszyscy musieli się później skrupulatnie rozliczyć i uzasadnić każdy wydatek.

– Samolot odlatuje za dwie godziny. Siergiej leci z wami. Będzie nadzorował sprawę na miejscu, w Rzymie. Ja dolecę później. Tymczasem kontaktujcie się z Jacquesem w Zurychu. O przejmuje kierownictwo do czasu mojego przyjazdu. Pytania?

Nie mieli żadnych. Philpott otworzył drzwi.

– Powodzenia i oby się udało.

C.W. Whitlock odłożył słuchawkę i spojrzał na żonę na konie. Carmen stała bez ruchu, tylko długie czarne włosy falowały na wietrze. Wysoka, szczupła, pełna młodzieńczej urody Portorykanka, nie wyglądała na swój wiek, a przekroczyła już czterdziestkę. Wciąż bardzo ją kochał, wiedział jednak, że nic już nie uratuje tego

małżeństwa.

– Piękny widok – szepnął, stając obok niej na balkonie. Nad Polami Marsowymi zapadał zmierzch. Zapalono już światła na wieży Eiffla.

– To był Jacques, prawda? – zapytała cicho.

– Tak. Zaraz tu przyjdzie – odparł, obejmując ją ramieniem.

– Nie trzeba – odtrąciła go i poszła do sypialni.

Wsparł się o poręcz i spojrzał w dół, w głąb Avenue de Bourdonnais, pełnej o tej porze aut, przechodniów i gwaru wielkiego miasta. Urodził się i wychował w Kenii. Miał czterdzieści cztery lata, wyraziste rysy i starannie przystrzyżone wąsy. Nosił wąsy od czasu studiów w Oksfordzie, które skończył z wyróżnieniem. Wrócił wtedy do kraju, wstąpił do wojska, a później przeniósł się do wywiadu, gdzie spędził dziesięć lat i awansował do stopnia pułkownika. Z wywiadu przeszedł do Philpotta. W istocie był jednym z pierwszych oficerów UNACO, gdy powoływano tę agencję w 1980 roku. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Ja otworzę – zaofiarowała się Carmen.

Jacques Rust uśmiechnął się na powitanie. Nacisnął odpowiedni guzik i wjechał swoim wózkiem inwalidzkim. Miał dla Carmen wielki bukiet czerwonych róż.

– Ukradłem w Ogradach Luksemburskich – zażartował. – Nie wierzysz? – zmartwił się. – Pewnie i słusznie. Kupiłem u kwiaciarki.

Pocałowała go w policzek i nagle jakby poweselała.

– Dzięki, Jacques. Są naprawdę piękne. Zaraz znajdę jakiś wazon.

– A gdzie W.C.?

– Na balkonie. Powiem mu, że jesteś.

Rust postawił aktówkę na podłodze. Czterdziestotrzyletni Francuz był niewątpliwie przystojny, miał jasne, błękitne jak niebo oczy i czarne krótkie włosy. Do UNACO przeszedł, tak jak C.W. Whitlock, w 1980 roku. Wcześniej przez czternaście lat służył w *Sernice de Documentation Exterieur et de Contre-spionage* – francuskiej bezpiece. W czasach gdy zespoły operacyjne liczyły po dwie osoby, pracował właśnie z Whitlockiem. Później, gdy sekretarz generalny zmienił system organizacyjny UNACO i powstały „trójki”, dołączyła do nich Sabrina. Nie było jeszcze wtedy Mike’a Grahama.

Wypadek zdarzył się mniej więcej rok później. Prowadzili operację przeciwko przemytnikom narkotyków w Marsylii, gdy doszło do strzelaniny. Dostał w kregosłup i lekarze byli bezradni. Sparaliżowało go od pasa w dół. Był fachowcem, więc nie odesłano go na rentę. Przeciwnie, został w UNACO, później jeszcze awansował, obejmując kierownictwo europejskiej sekcji organizacji, gdy tylko zwolniło się miejsce – jego poprzednik zginął w wypadku samochodowym. Mówiło się, że to jeszcze nie koniec

kariery Rusta, że pewnie pójdzie wyżej, na miejsce Philpotta, gdy ten za cztery lata odejdzie na emeryturę. Wedle tych samych spekulacji na miejsce Rusta w Zurychu przyjdzie Kolczyński, a Whitlock zostanie jego zastępcą, gdy już odejdzie ze służby operacyjnej, co również powinno nastąpić za cztery lata.

– Cześć, C.W.

– Jak się masz, Jacques. – Powitanie poprawne, ale nie serdeczne.

– No to zostawiam was samych – Carmen wniosła właśnie wazon róż.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Whitlock.

– A co cię to obchodzi?

– Mogłabyś odpowiadać trochę uprzejmiej – oburzył się Whitlock. – Nie powinnaś zresztą chodzić sama o tej porze po ulicach.

– C.W. ma rację – wtrącił Rust. – To niebezpieczna okolica. Mnóstwo złodziei.

– Nie będę sama – Carmen spojrzała znacząco na Whitlocka. – I nie zamierzam chodzić po ulicach. Domyślisz się, gdzie idę, jeśli przypomnisz sobie nasz miodowy miesiąc.

– No więc gdzie poszła? – zapytał Rust, gdy Carmen zamknęła za sobą drzwi.

– Jest takie małe bistro niedaleko stąd, przy rue de Grenelle. To było „nasze” miejsce w dawnych czasach. Co za ironia losu! Wszystko między nami zaczęło się tu, w tym mieszkaniu i, jak widzisz, tu dobiega kresu.

– Nie mów tak, nie wszystko jeszcze stracone.

– Co znaczy nie wszystko! – C.W. był wyraźnie rozgoryczony. – Dobrze wiesz, że to małżeństwo już się rozpadło. Carmen żądała, żebym zrezygnował ze służby operacyjnej. Ja zaś nie chcę się wycofać, bo całe moje życie związane jest z UNACO. Umówiliśmy się z Carmen, że przyjedziemy tu, do Paryża, pogadamy, odpoczniemy, spróbujemy dojść do porozumienia. I co? Po trzech latach koniec urlopu. Alarm. Kryptonim „Czerwony”. Nic dziwnego, że się wściekła. Ja ją rozumiem.

– Jest w tym pewna racja i masz prawo czuć się rozżalony – rzekł Rust z całą powagą. – Ale zrozum. Nie mieliśmy innej możliwości. Musieliśmy poderwać „Trójkę”, a zwłaszcza ty jest potrzebny.

Whitlock westchnął ciężko i próbował się uśmiechnąć.

– Przepraszam, Jacques. Wiem, że nie powinienem wylewać tych wszystkich żalów na ciebie. To nie twoja wina. Wiem oczywiście, że dalibyście nam spokój, gdyby to od was zależało. Ale zrozum też Carmen i moją sytuację.

– Rozumiem, słowo daję. Wiesz, jak lubię Carmen i naprawdę mi żal, że to wszystko jakoś tak się dziwnie układa.

– Właśnie – westchnął cicho Whitlock. – Ale przejdźmy do sprawy. O co tym razem

chodzi?

Rust opowiedział o napadzie na Neo-Chem, o skradzionej fiołce, o śmierci Zocchiego i ultimatum Ubrina.

– Te sprawy wezmą na siebie Mikę z Sabriną. Ty będziesz działał z drugiej strony. Mamy informację, że brat Wisemana coś szykuje. Chce się zemścić. Wynajął już płatnego mordercę... – Rust wyjął z aktówki zdjęcie i podał Whitlockowi. – A ten facet ma pracować z zabójcą. Nazywa się Reuben Alexander, Jamajczyk z pochodzenia. Podszyjesz się pod niego.

– Żartujesz. Nie jestem do niego podobny. Jediną wspólną cechą jest kolor skóry.

– Wystarczy. Ważne jest to, że nikt nie ma zdjęć Alexandra. Jak ognia unikał kamery. To, co masz przed sobą, to fotografie z akt policyjnych i są to chyba jego jedyne zdjęcia.

– Rozumiem, że Wiseman nigdy go nie widział?

– Wiseman tylko opracował plan, gdy dowiedział się o śmierci brata. Alexander od dwóch tygodni siedzi w areszcie śledczym. Jutro ma stanąć przed sądem i przy tej okazji zamierzają zorganizować mu ucieczkę.

– Chwileczkę, Jacques. Nie rozumiem. Czyż nie prościej byłoby zwyczajnie zamknąć Wisemana i tego wynajętego mordercę i dać sobie z tym wszystkim spokój?

– Łatwo ci powiedzieć: zamknąć! Ale na jakiej podstawie? Wszystko, co wiemy, pochodzi z nielegalnych źródeł. Richard Wiseman, pamiętaj, jest generałem, a w dodatku jedną z najpopularniejszych osobistości w Ameryce, bohater wojenny. Gdybyśmy go zatrzymali bez solidnych podstaw, zaraz mielibyśmy na głowie cały Pentagon i opinię publiczną. Musimy działać dyskretnie, bez rozgłosu. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wiadomość o fiołce i jej zawartości dostała się do prasy. Wybuchłaby panika nie do opanowania. Postępując tak, jak planujemy, liczymy, że uda się zneutralizować Wisemana. Ważne jest też to, aby Ubrino niczego nie wywęszył.

– A ten płatny morderca, to kto?

– Nazywa się Vic Young. Służył z Wisemanem w Wietnamie. I to wszystko, co o nim wiemy. Staramy się oczywiście o bardziej szczegółowe dane i myślę, że gdy dotrzesz do Londynu, będziemy wiedzieć więcej.

– Z kim mam się skontaktować w Londynie? – Whitlock raz jeszcze spojrzął na zdjęcie i oddał je Rustowi.

– Z majorem Lonsdale'em z wydziału antyterrorystycznego Scotland Yardu.

– A więc ma to być wspólna operacja?

– W pewnym sensie. Sami nie dalibyśmy rady podmienić Alexandra. Nie było więc wyjścia, musieliśmy skontaktować się ze Scotland Yardem. Lonsdale da ci wszystkie

potrzebne namiary

– Kiedy mam samolot?

– O dziesiątej.

– Teraz jest siódma trzydzieści – sprawdził czas Whitlock. – Jeśli nie ma nic więcej do omówienia, to chciałbym wyjść. Chcę jeszcze zamienić dwa słowa z Carmen.

– Rozumiem. Nie ma sprawy. Idź. Nie musisz mnie odprowadzać.

Podali sobie ręce. Whitlock wyszedł, oddając po drodze klucz w portierni. Wieczór był chłodny. Szybkim krokiem ruszył na rue Grenelle. Znajome bistro wyglądało jak kiedyś, gdy byli tu z Carmen po raz pierwszy. Biały fronton, biało-zielona markiza i takie same parasole nad stolikami na chodniku, tłum gości w środku. Carmen siedziała przy barze nad pustą szklanką.

– Czy zechce pani napić się ze mną, *Madam*? – zapytał cicho.

– Jesteś czwartym facetem, który mi to proponuje, od czasu gdy tu jestem.

– Nie dziwię się. Francuzi wielbią piękne kobiety.

– O której wyjeżdżasz?

– O dziesiątej. Tak mi przykro, Carmen... – nie dokończył zdania.

– Zawsze tak mówisz, więc tym razem możesz sobie darować – odparła. Gestem ręki przywołała barmana. – Jeszcze raz to samo – wskazała na pustą szklankę.

– A co dla pana?

– Ten pan już wychodzi – wyręczyła Whitlocka. – No cóż – dodała, gdy barman się oddalił – drugi miesiąc miodowy skończył się, nim zdążył się zacząć. Zamiast trzech tygodni, trzy dni...

– Carmen...

– Daj spokój!

Pocałował ją w policzek. Nie było już o czym mówić. Odwróciła wzrok. Nie patrzyła, jak wychodzi i zanurza się w tłum na ulicy. Nie chciała, aby widział łzy w jej oczach.

Wtorek

Samolot linii British Airways, lot numer 707, wylądował na lotnisku Heathrow z dziesięciominutowym opóźnieniem. Była północ. Whitlock wziął taksówkę i kazał się zawieźć do East Acton, pod adres podany przez Rusta. Znalazł wolno stojący, ceglany bungalow z niewielkim ogródkiem od frontu, otoczonym drewnianym parkanem. Furtka otworzyła się z piskiem. Stary trick. Nie oliwione zawiasy to dodatkowe zabezpieczenie przed I niespodziewanym najściem. Wyjął klucz i otworzył drzwi. W hallu postawił torbę na podłodze i zapalił światło. Zobaczył wzorzysty dywan na podłodze, bladoniebieskie tapety i fotografię królowej na ścianie między dwójgiem drzwi. Jedne prowadziły do salonu, drugie do sypialni. Spojrzał na zegarek: dwunasta czterdzieści pięć. Nie miał pojęcia, kiedy i jak Scotland Yard zamierza się z nim skontaktować. Wziął torbę i poszedł do sypialni, gasząc światło w hallu.

Mężczyzna w fotelu naprzeciwko drzwi nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat. Miał bladą cerę, krótko obcięte jasne włosy i automatyczny pistolet gotowy do strzału: browning, ulubiona broń brytyjskich służb specjalnych.

Whitlock rzucił torbę na łóżko.

– Zawsze pan tak wita gości, majorze Lonsdale?

Lonsdale popatrzył badawczo najpierw na Whitlocka, a później na jego zdjęcie, które leżało na stoliku obok. Odłożył pistolet.

– Nigdy za wiele ostrożności – uśmiechnął i wyciągnął dłoń na powitanie. – George Lonsdale – przedstawił się.

– Whitlock.

– Studiował pan w Eton, czy Harrow? Ma pan znakomity akcent.

– Tylko w Radley, ale też niezła szkoła.

– Ja byłem w Eton. Zna pan szczegóły zadania?

– Z grubsza.

– No to chodźmy pogadać do salonu. – Lonsdale wsunął browninga do kabury pod marynarkę, wziął teczkę z dokumentami i ruszył przodem. Zapalił światło w salonie i podszedł do barku. – Czego się pan napije?

– Whisky z sodą, bez lodu.

– Już się robi. Dokładamy starań, aby w mieszkaniach kontaktowych zawsze było coś do picia. To pomaga.

– Pod warunkiem, że się nie nadużywa.

– Zabrzmiało to jak hasło walczącego antyalkoholika – uśmiechnął się Lonsdale. – No to za udaną akcję – zaproponował toast.

– Aby nie było niespodzianek – dodał Whitlock. Usiedli w fotelach, przy niskim stoliku.

– Co pan wie o Alexandrze?

– Niewiele. Nad jednym tylko się zastanawiam. Jeśli Wiseman z Youngiem nigdy go nie widzieli, to jak sprawdzą, że to właśnie on jest w suce, którą będzie jechać z aresztu do sądu?

– Young załatwia sprawę za pośrednictwem dwóch kumpli Alexandra i to właściwie całe jego zabezpieczenie. Jeden z nich, niejaki Dave Humphries, to nasz konfident. Właśnie od niego dowiedzieliśmy się o sprawie i planie zorganizowania ucieczki Alexandra.

– Jeśli oni znają Alexandra, to ja nie mam szans.

– Spokojnie! Wszystko załatwione. Humphries dostał od nas swoją dolę i zapewni Younga, że Alexander to pan.

– A co z tym drugim kumplem?

– Nic nie powie. Zdjęliśmy go. Będzie siedział do czasu zakończenia akcji. Tak więc na miejscu znajdzie się tylko Young i nasz człowiek. – Lonsdale wyjął srebrną papierośnicę i podsunął Whitlockowi. Whitlock odmówił, Lonsdale zapalił. – Planowaliśmy najpierw, aby podmienić Alexandra w czasie jazdy do sądu, ale doszliśmy do wniosku, że trzeba to zrobić wcześniej, jeszcze w areszcie, bo nie wiemy, kiedy Young przystąpi do akcji.

– Ilu ludzi będzie w suce?

– Kierowca i konwojent w szoferce, a za kratą pan i kilku naszych przebranych za więźniów. Nie chcieliśmy, aby przy tej okazji paru autentycznym rzezimieszkom udało się zbiec.

– O której mamy być w areszcie?

– Przesłuchanie w sądzie wyznaczono na drugą, więc dobrze będzie, jeśli dotrzemy do aresztu na... powiedzmy jedenastą trzydzieści.

– A co z prawdziwym Alexandrem?

– Na razie zatrzymamy go u siebie. A gdy już będzie po wszystkim, oddamy policji. Zrobi się oczywiście trochę szumu, bo policja uzna, że Alexander naprawdę zbiegł, ale jakoś to wszystko wyjaśnimy.

– Macie coś więcej na temat Younga? – Whitlock zerknął na teczkę z dokumentami.

– Owszem. Dostaliśmy trochę informacji tuż przed pańskim przybyciem. To niezły ptaszek ten Young. Za młodu był gangsterem w Nowym Jorku. Potem, gdy miał

osiemnaście lat, wstąpił do wojska i walczył w Wietnamie. Zasłużył się. Jeszcze później, gdy Amerykanie wycofali się z Wietnamu w siedemdziesiątym piątym roku, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Służył Francuzom przez osiem lat i zdezerterował. Pojechał do Ameryki Środkowej i bił się z sandinistami. W dalszym ciągu ma jakieś układy w Salwadorze. Tu są wszystkie szczegóły – podał Whitlockowi depeszę z nowojorskiego Centrum Dowodzenia UNACO. – Jest pan żonaty? – zapytał.

Pytanie zaskoczyło Whitlocka. Na myśl o Carmen zacisnął bezwiednie palce mając nadzieję, że Lonsdale nie zauważy.

– Tak. Od sześciu lat.

– A co robi żona?

– Jest lekarzem pediatrą. A pańska?

– Jesteśmy małżeństwem od jedenastu lat. Cathy była nauczycielką, ale teraz zajmuje się wyłącznie dziećmi. Mamy dwie dziewczynki. Jill ma dziewięć lat, a Holly – pięć. Spodziewaną się teraz chłopca. Cathy jest w ciąży, a rozwiązanie powinno nastąpić w październiku. Nie mogę się doczekać chłopaka, boi z tym babińcem już nie dają rady. A pan ma dzieci?

Whitlock pokręcił głową.

– O której przyjedzie pan jutro? – zmienił temat.

– Około dziesiątej. Zostawię te papiery, gdyby zechciał pan poczytać, i do zobaczenia rano.

Lonsdale wyszedł, a Whitlock zgasił światło i poszedł do sypialni. Myślał o Carmen. Przyszło mu do głowy, żeby do niej zatelefonować, ale zrezygnował. To nic nie da. Położył się do łóżka, rozmyślając o sytuacji, z której nie było wyjścia. Wiedział, że Carmen odejdzie, jeśli on, Whitlock, nie zrezygnuje z UNACO. Tak strasznie się denerwowała za każdym razem, gdy wyjeżdżał na akcję. Ale co miał zrobić? Rzucić to wszystko, nająć się do jakiejś firmy ochroniarskiej? To nie dla niego. Lubił akcje, to było jego życie. Ale jak przekonać Carmen? Zasnął nie odpowiedziawszy sobie na pytanie, na które w istocie nie było żadnej odpowiedzi.

Był wczesny ranek. Ulice Rzymu były jeszcze puste, gdy Kolczyński zatrzymał wynajętego peugeota 405 przed małą kafejką na via Nazionale.

– *Calzone Caffè* – odczytała szyld Sabrina. – Jesteśmy na miejscu.

– Za dwie siódma – sprawdził czas Graham. – Co za punktualność!

Kolczyński wyłączył silnik. Wysiedli. Na drzwiach kafejki widniał napis: *Chiuso* – zamknięte. Kolczyński odczekał chwilę i gdy z pola widzenia zniknęli przypadkowi przechodnie, zapukał. Ktoś ze środka zerknął przez zasłonę i drzwi się otworzyły. Poza

mężczyzną, który wpuścił ich do środka, w kafejce był jeszcze jeden człowiek. Siedział przy stoliku i studiował poranne wydanie „Paese Sera”.

– Major Paluzzi? – zapytał Kolczynski.

Milczenie. Dopiero po chwili mężczyzna oderwał się od gazety.

– Nienawidzę notowań giełdowych – skrzywił się. – Już trzeci dzień moje akcje idą w dół. Ojciec miał rację, nie trzeba było ich kupować. Fabio Paluzzi – przedstawił się, wstając z miejsca. – *Nucleo Operativo Centrale di Sicurezza* – dodał, żeby nie było wątpliwości.

Miał trzydzieści sześć lat. Wyglądał mizernie. Miał wychudzoną twarz, bladą cerę i krótkie kasztanowe włosy. Przypominał raczej aresztanta na głodówce aniżeli agenta NOCS – elitarnej włoskiej służby antyterrorystycznej.

– Siadajcie – zaprosił trójkę gości. – Jesteście po śniadaniu?

– Jedliśmy kolację w samolocie – odparł Kolczynski.

– Kolację?

– Jak to zwał, tak to zwał. W Nowym Jorku jest jeszcze noc, a posiłki w samolocie podawano wedle tamtejszego czasu – ziewnęła Sabrina, żeby zobrazować różnicę czasu.

– To może kawy?

– Z przyjemnością.

– *Tre tazze di caffè* – zamówił Paluzzi.

Mężczyzna, który wpuścił ich do środka, wskazał pytająco na pustą filiżankę Paluzziego.

– *Si, grazie* – potwierdził major. – Mój przyjaciel Giancarlo – wyjaśnił – jest niestety kompletnie głuchy. Służył kiedyś u nas w NOCS. Stracił słuch, gdy w czasie ćwiczeń w morzu nagle wybuchła mina. Poszarpało mu bębenki i w ogóle. Musiał odejść ze służby, kupił tę kawiarnię. Korzystamy z niej czasami, gdy trzeba się z kimś dyskretnie spotkać. Giancarlo znakomicie czyta mowę z ust, ale nie zna angielskiego. Możemy więc mówić całkiem swobodnie.

– A pan, majorze, gdzie pan się nauczył angielskiego? – zapytała Sabrina.

– Moja matka była Angielką – odparł. Sięgnął do kieszeni, wyjął złożony arkusz papieru i podał Kolczynskiemu. – Telex od Philpotta. Właśnie nadszedł.

Sekretarz generalny konferował z ambasadorem Włoch. Uzgodniono, że w świetle zagrożenia, jakie stanowi zawartość fiolki, należy poinformować Czerwone Brygady o grożącym niebezpieczeństwie. Major Paluzzi zorganizuje odpowiedni kontakt.

Philpott

– Nie podoba mi się ta decyzja – powiedział Graham. – Czerwone Brygady będą miały wszystkie atuty w ręku. Gdy tylko dowiedzą się, co w istocie zawiera fiołka, mogą nas szantażować albo jeszcze gorzej.

– A co pan o tym myśli, majorze? – zwrócił się Kolczynski do Paluzzi.

Paluzzi odczekał, aż Giancarlo poda kawę.

– Rozmawiałem już z Nicolą Pisanim, ichnim szefem. Przyrzekł pełną współpracę Brygad.

– Można mu ufać? – Graham miał wątpliwości.

– Co pan wie o Brygadach, *Mr* Graham? – zapytał Paluzzi.

– Może niewiele, ale wiem, że tym sukinsynom nie należy wierzyć.

– Widzi pan, ja rozpracowuję Brygady od ośmiu lat i wydaje mi się, że znam tych ludzi. To zresztą był mój pomysł, żeby skontaktować się z Pisanim. – Graham chciał coś powiedzieć, ale Paluzzi ciągnął dalej: – Niech mi pan pozwoli dokończyć, zaraz wszystko wyjaśnię. Mamy swojego człowieka w kierownictwie Brygad. Ma dostęp do wielu informacji na samej górze. Zasiada w Komitecie Wykonawczym Brygad. Od niego wiemy, że wczoraj odbyło się nadzwyczajne posiedzenie kierownictwa. Okazało się, że napad na Neo-Chem nie był z nikim uzgodniony. W istocie Pisani dowiedział się o wszystkim z gazet. Oznacza to, że jest to sprawka Zocchiego.

– Jakie są dowody? – zapytał Graham.

– Są dwa. Przede wszystkim akcją dowodził Riccardo Ubrino, a to człowiek Zocchiego, jego prawa ręka. Pracują razem od sześciu lat.

– A nie sądzi pan, że Ubrino działał na własną rękę? – zapytał Kolczynski.

Paluzzi pokręcił głową.

– Raczej nie. Akcja była starannie zaplanowana, co wskazuje na Zocchiego. On jest mózgiem. Ubrino by tego nie wymyślił. To zwyczajny bandyta, a nie mózgowiec.

– A drugi dowód? – zapytała Sabrina.

– To złożona sprawa. Otóż na początku tego roku Pisani dowiedział się, że ma raka. Lekarze mówią, iż choroba jest nieuleczalna, że pociągnie co najwyżej kilka miesięcy. Oczywiście od razu zaczęła się walka o sukcesję, o to, kto zostanie nowym szefem. Koniec końców na placu boju zostało dwóch kandydatów: Zocchi i Tonino Calvieri, szef mediolańskiego oddziału Brygad. Uchodzi za umiarkowanego i ma poparcie pozostałych szefów oddziałów, a także samego Pisaniego, który zawsze w nim widział swojego następcę. Ale sprawa nie jest prosta. Zocchi, jak wiecie, rządzi Rzymem, a Rzym to najbogatszy oddział Brygad. Ma dostęp do większych pieniędzy niż wszystkie pozostałe oddziały razem wzięte.

– A skąd ta forsa? – zapytała Sabrina.

– Tajne dotacje najprzeróżniejszych sympatyków. Nie mają oni co prawda głosu na posiedzeniach komitetu wykonawczego, ale mają wpływy. Zamykając lub otwierając skarbonkę dość skutecznie mogą kształtować decyzje kierownictwa, a w ostatecznym rachunku mogą nawet uniemożliwić działanie Brygad.

– Jak to? – spytał Kolczyński.

– Odcinając fundusze. Była nawet o tym mowa i Pisani musi się liczyć z opinią „sympatyków”, gdy decyduje się kwestia nowego szefa Brygad. Ale właśnie aresztowano Zocchiego w związku z zabójstwem pewnego sędziego, co pozostali szefowie oddziałów przyjęli z ulgą. Nikt palcem nie kiwnął, żeby go odbić z kibla. Zocchi został sam.

– A jednak nie rozumiem, dlaczego Pisani poszedł na współpracę z nami? Na czym polega jego interes?

– Chodzi o to, że zdaje on sobie sprawę, iż fiolkę można użyć przeciwko niemu, że można ją wykorzystać w celu podważenia jego pozycji i w ogóle całego komitetu wykonawczego. Jak pan powiedział, *Mr Graham*, fiolkę można wykorzystać na różne sposoby.

– Ale Zocchi nie żyje – wtrąciła Sabrina.

– Ubrino jednak jest na wolności, a w Rzymie uważa się go za pełnoprawnego następcę Zocchiego i tego właśnie obawia się Pisani i jego ludzie. Dlatego też chcą nam pomóc odzyskać fiolkę.

– Przecież mogą po cichu porozumieć się z Ubrinem i załatwić sprawę między sobą. Krótko mówiąc, mogliby odszukać Ubrina, zlikwidować go, odzyskać fiolkę i oddać władzę w ręce tego... jak mu tam... Calvieriego – rzekł Graham.

– Brzmi to logicznie, *Mr Graham*, ale zapomniał pan o paru sprawach. Po pierwsze Pisani nie wie, gdzie szukać Ubrina, o czym wiemy od naszego człowieka. Po wtóre eliminacja Ubrina może grozić tym, że zagraniczne źródła przestaną finansować Brygady. Gdy jednak odpowiedzialność za jego śmierć spadnie na nas albo gdy uda nam się go schwytać i aresztować, sprawa zacznie wyglądać inaczej. Nikt z tak zwanych sympatyków nie będzie mógł mieć pretensji do Pisaniego i obecnego kierownictwa. W tej sytuacji nie zależy im na fiolce. Z ich punktu widzenia fiolka ma mniejsze znaczenie niż sytuacja wewnątrz Brygad. Krótko mówiąc, chcą wykończyć Ubrina naszymi rękami, a że ceną tego będzie utrata fiolki, to trudno.

Graham dopił kawę i spojrzał z szacunkiem na Paluzzięgo.

– Muszę przyznać, że ma pan doskonale rozeznanie.

– Po prostu wiem, jak oni rozumują. Dlatego wyznaczono mnie do pomocy. A przy okazji: w imieniu Pisaniego będzie z nami rozmawiał Calvieri. To najtęższy umysł w Brygadach.

– Mówił pan, że jest umiarkowany?

– To prawda, ale może właśnie dlatego jest szczególnie niebezpieczny, choć inaczej niż Zocchi. Zocchi to brutal, radykał, który wszędzie szedł na siłę i uważał, że przeciwnika nie należy oszczędzać. Calvieri to intelektualista, uprzejmy, o nienaganych manierach, zna języki i od czterech lat kieruje całą propagandą Brygad, ale trudno go rozgryźć. Poczynania Zocchiego były w pewien sposób przewidywalne, natomiast z Calvierim jest inaczej. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli i co zamierza.

– Kiedy mamy się z nim spotkać?

– O ósmej w waszym hotelu, w Quirinale.

Kolczynski dopił kawę.

– Macie jakieś dane na temat śmigłowca, z którego wykończono Zocchiego?

– Niestety nie. Wiemy tylko, że nie była to maszyna policyjna. Znaki na kadłubie to kamuflaż.

– A co z tym rannym z napadu?

– Conte? Ciągłe nieprzytomny i nie wiadomo, czy przeżyje. Dostał osiem kul. To cud, że w ogóle dyszy. – Paluzzi sięgnął do kieszeni i wyciągnął jeszcze jeden dokument.

– Dane laboratoryjne dotyczące pocisków i broni użytej w napadzie. Pociski dobyte z ciała Contego i kula w ciele Nardiego pochodzą z tego samego automatu, który znaleziono przy zwłokach tego ostatniego. Na broni nie ma żadnych śladów i znaków, co może oznaczać, że Ubrino miał rozkaz pozbyć się wszystkich, jak tylko zdobędzie fioletkę.

– A czy może nam pan powiedzieć coś więcej o tym Ubrinie – poprosiła Sabrina. – W naszym archiwum nie było zbyt dużo materiałów.

– Wychował się slumsach, jak Zocchi i podobnie jak on, od początku głęboko wierzył w „sprawę”. To zresztą Zocchi zwerbował go do Brygad. Ubrino był w jego ochronie osobistej, a później stopniowo awansował, aż doszedł do funkcji szefa sekcji. Wiemy, że osobiście dokonał co najmniej czterech morderstw. Brał udział w licznych napadach w Rzymie, ale nie mamy żadnych dowodów, a tym samym żadnych formalnych podstaw do aresztowania. A zresztą Zocchi zawsze wyciągał go z kłopotów. Chyba już czas na nas – Paluzzi spojrzął na zegarek. – Musimy już iść, żeby nie spóźnić się na spotkanie.

Wszyscy wyszli i wsiedli do peugeota.

W recepcji hotelu Quirinale powiedziano im, że Calvieri właśnie się zameldował i wziął pokój na trzecim piętrze. Pojechali windą, przeszli korytarzem. Paluzzi ostro zapukał do drzwi.

Calvieri otworzył natychmiast i zaprosił ich do środka. Przystojny, czterdziestoletni

mężczyzna o regularnych rysach, ze starannie przystrzyżonym wąsem, o świdrujących, niebieskich oczach. Miał długie ciemnobrązowe włosy, zaczesane do tyłu i spięte w kitkę na karku.

Zamknął drzwi i popatrzył badawczo na Paluzziego. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jak dwójka zapaśników przed walką, nie zwracając uwagi na otoczenie. Kolczyński chciał coś powiedzieć, ale Graham gestem nakazał milczenie. Paluzzi dostrzegł gest kątem oka i oderwał się od przeciwnika. Miał sobie za złe, że nie zapanował nad nerwami. Przedstawił swoich towarzyszy Calvieriemu, który przywitał ich uściskiem dłoni. Tylko Graham udał, że nie widzi wyciągniętej ręki.

– A państwo – zapytał Calvieri – jaką reprezentują organizację?

– Nieważne – rzekł Kolczyński zasiadając w fotelu. – Wystarczy, że pracujemy wspólnie z majorem Paluzzim.

– Niech i tak będzie – odparł Calvieri z wyraźną niechęcią. Kolczyński wyjął papierosy. Paluzzi odmówił, Calvieri wziął.

Kolczyński podał ogień i wrzucił zapałkę do popielniczki.

– Rozmawiał pan z Pisanim? – zapytał Paluzzi, siadając obok Grahama na łóżku.

– Owszem, telefonowałem do niego przed chwilą. Pisani chciał osobiście spotkać się z państwem, ale nie czuje się najlepiej, Choroba czyni zastraszające postępy i lekarze obawiają się, że już długo nie pociągnie. A państwo wiedzą, o czym mówimy? – zwrócił się do pozostałych.

– Wiedzą – wyręczył ich Paluzzi.

– To dobrze – ciągnął Calvieri. – W każdym razie szef polecił mi, abym był do państwa dyspozycji. Nam też zależy na odzyskaniu fiołki.

– To ładnie z waszej strony – wtrącił Graham. – Szkodą tylko, że nie pomyśleliście o tym wcześniej, bo teraz to szukaj matm w polu.

– Chcę podkreślić, panie Graham, że komitet nie miał nic wspólnego z tą operacją. Nie sankcjonowaliśmy napadu na Neo-Chem. W istocie dowiedzieliśmy się o wszystkim z gazet.

– Tym gorzej! Okazuje się, że ta wasza organizacja to jest wielkie bagno. Nikt nad niczym nie panuje!

Calvieri nie odpowiedział. Zaciągnął się papierosem i sta przy oknie. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się autobus szkolną wycieczką. Część uczniów wysiadała, inni dokazywali jeszcze w środku. Ilu takich młodych ludzi musiałyby zginąć, gdyby zawartość fiołki rozpylono nad Rzymem? Calvieri odwrócił się od okna. Nie był w stanie patrzeć w twarze niewinnych dzieci.

– Jak pan sądzi – spytał Kolczyński – gdzie ukrywa się Ubrino?

– Sądzę, że jest jeszcze w Rzymie. Ma tu swoich ludzi. Niestety muszę przyznać, że sekcja rzymska naszej organizacji jest wyjątkowo niezdyscyplinowana. Wykluczone, aby coś podobnego zdarzyło się gdzie indziej. W innych miastach panujemy nad sytuacją.

– Ubrino może też ukrywać się w Wenecji – wtrącił Paluzzi.

– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytał zdziwiony Calvieri.

– Działał tam przez kilka miesięcy parę lat temu. Była to jedyna sytuacja, kiedy Zocchi i Ubrino pracowali oddzielnie.

– Nic o tym nie wiedziałem, a to dowodzi starej prawdy, że nigdy nie zgłębi się tajemnic ludzkiego postępowania – rzekł sentencjonalnie Calvieri.

– Oczywiście nie mam żadnej pewności, czy Ubrino zbiegł do Wenecji, a zresztą wątpię – rzekł po namyśle Paluzzi. – Wenecja reprezentuje raczej umiarkowaną orientację, prawda? To też tłumaczy, dlaczego Ubrino działał tam stosunkowo krótko. Tak więc myślę, że ma pan rację, Calvieri. Ubrino jest chyba w Rzymie.

– Pełniłem kiedyś funkcję szefa jednej z komórek w Rzymie. Mam tu pewne kontakty. Już zresztą dałem znać, aby zaczęto się rozglądać za Ubrinem. Jeśli tylko jest w Rzymie, to wcześniej czy później dowiemy się o tym. Oczywiście trudno będzie go nam namierzyć. Zapewne przenosi się z miejsca na miejsce, żeby zatrzeć ślady.

– Jestem zdania – rzekł Kolczyński – że powinniśmy podzielić nasze siły. Sabrina, będziesz pracować z panem Calvierim. Nie odstępuj go na krok.

– Jak chcecie – Calvieri wzruszył ramionami na znak, że przyjmuje każde rozwiązanie.

– Sabrina mówi znakomicie po włosku, panie Calvieri. Dlatego pomyślałem, żeby pracowała z panem. Graham będzie współdziałał z majorem Paluzzim. Zgoda?

– Znasz włoski? – Paluzzi spojrzał pytająco na Grahama.

– Ani w ząb.

– Nie szkodzi. Jakoś sobie poradzimy – uśmiechnął się Paluzzi.

Kolczyński wstał, wziął teczkę i zaczął się żegnać.

– Mam jeszcze parę spraw do załatwienia i kilka ważnych telefonów – wyjaśnił.

– Ja też – rzucił Calvieri. – I przypuszczam, że jedno z moich źródeł znalazło już jakiś ślad.

– A my? – zapytał Graham Paluzziego. – Od czego zaczynamy?

– Neo-Chem. Są tam moi ludzie. Być może coś znaleźli.

Paluzzi zaparkował swoją alfę romeo lusso na miejscu zastrzeżonym dla dyrekcji, przed głównym wejściem.

Weszli do hallu. Stanowisko recepcjonistki osłonięto drewnianym przepierzeniem,

aby ukryć ślady wydarzenia sprzed dwóch dni, ściany pomalowano i tylko odłupany kawałek marmuru na kolumnie pośrodku świadczył o dramacie, jaki tu się rozegrał. Paluzzi pokazał legitymację i zażądał, aby zawiadomiono dowódcę grupy dochodzeniowej, że pragnie się z nim zobaczyć.

– Co głównie interesuje pańskich ludzi? – zapytał Graham, gdy czekali, aż zjawi się wezwany funkcjonariusz.

– Chcemy ustalić, kto płacił Wisemanowi. Dzisiejszej nocy przeczesałiśmy cały budynek.

– A co na to dyrekcja zakładów?

– Nie byli specjalnie zadowoleni.

Otworzyły się drzwi od windy i w hallu zjawił się wysoki brunet. Graham ocenił, że nie może on mieć więcej lat niż Sabrina. Był to porucznik Angelo Marco.

– Mój pomocnik – przedstawił go Paluzzi.

– Miło pana poznać – dopełnił uprzejmości Marco, witając Grahama.

– Mam na imię Mike, darujmy sobie formalności.

– Zależliście coś? – zapytał Paluzzi.

– Trochę. Ale jest inny problem – Angelo znacząco wyciągnął kciuk w górę. – Dyrekcja piekli się i żąda natychmiastowej rozmowy z panem.

– A co znaleźliście?

– Na nazwisko dyrektora finansowego wpłynęły w zeszłym roku cztery czeki po osiemdziesiąt milionów lirów. Za każdym razem facet inkasował sześćdziesiąt cztery miliony w gotówce, resztę zostawiał na koncie.

– Osiemdziesiąt milionów – ile to będzie w dolarach? – zapytał Graham, gdy wsiadali do windy.

– Około dwudziestu pięciu tysięcy – odparł Marco. – Wszystkie czeki wystawił Nikki Karos.

– Karos? – zdumiał się Paluzzi. – To bardzo ciekawe.

– A któż to taki? – zapytał Graham.

– Jeden z najbogatszych handlarzy bronią w tej części świata. Działa głównie na Bliskim Wschodzie.

– Jeśli oprzemy się na założeniu, że dyrektor finansowy pośredniczył między Karosem a Wisemanem, to możemy również przypuszczać, że Karos działał w imieniu jakiegoś klienta na Bliskim Wschodzie, na przykład w imieniu Iraku albo Iranu, a być może jednej z frakcji walczących w Libanie. Tę listę można by mnożyć bez końca.

– Właśnie. To trzeba będzie ustalić. Ale na początek spróbujemy spacyfikować dyrekcję.

Dojechali właśnie na piętro dyrekcji. Marco szedł przodem. Znalazł właściwe drzwi i wszedł bez pukania. Sekretarka spojrzała podejrzliwie. Paluzzi zastukał w wewnętrzne drzwi wiodące do gabinetu i weszli nie czekając na zaproszenie.

Dyrektor zakładu siedział za wielkim dębowym biurkiem. Nie musiał się przedstawiać. Nazwisko – Daniel Chidenko – widniało na grawerowanej plakietce na biurku.

– Major Paluzzi, chciał się pan ze mną widzieć? Zdenerwowana sekretarka stanęła w drzwiach.

– Przepraszam, panie dyrektorze, ale ci panowie...

– W porządku, Margarita – uspokoił ją Chidenko. – Zostaw nas samych.

Sekretarka wyszła, starannie zamykając drzwi.

– Nie musi pan mówić po angielsku, majorze – rzekł Chidenko. – Co prawda jestem Amerykaninem, ale znam włoski.

– Rozmawiajmy po angielsku. Pan Graham nie zna włoskiego.

– Mike Graham? Witam pana – Chidenko sięgnął po papierosa do srebrnej papierośnicy na biurku. – Nowy Jork uprzedzał mnie, że pan się zjawi.

– Gratuluję. Ma pan dobre informacje.

Chidenko przemilczał uwagę Grahama.

– Chciałbym wiedzieć – zwrócił się do Paluzziego – na jakiej podstawie pańscy ludzie wdarli się do siedmiu pomieszczeń zajmowanych przez kierownictwo zakładu, także do mojego gabinetu. Kto wydał polecenie rewizji?

– Ja – odparł Paluzzi obojętnym tonem.

– Zechce pan okazać nakaz przeszukania.

– Nie mam nakazu.

– Doprawdy, mój panie – zdenerwował się Chidenko. – Traci pan tylko czas, węsząc tutaj. Nikt z nas nie miał nic wspólnego z Wisemanem. Niech się pan lepiej zajmie poszukiwaniem skradzionej fiołki. Nielegalne przeszukanie to doprawdy za wiele. Postaram się, żeby przywołano pana do porządku.

– Zanim pan to zrobi, porucznik Marco chce panu coś pokazać.

Marco wyjął papiery, które znalazł w kasie pancерnej w gabinecie dyrektora finansowego i wręczył je Chidence.

– No i cóż to takiego? Kwity bankowe! – obruszył się Chidenko.

– I dowód, że Vittore Dragotti maczał palce w aferze wirusowej.

– Nie rozumiem. – Chidenko uważniej spojrzał na papiery.

– To dowody płatności wnoszonych przez Nikkiego Karosa – wyjaśnił Marco.

– A któż to taki?

- Handlarz bronią obsługujący prawie cały Bliski Wschód – wyjaśnił Paluzzi.
- To jeszcze o niczym nie świadczy. Oznacza tylko, że Vittore miał z nim jakieś interesy...
- Ale pieniądze wpływały na prywatne konto Dragottiego – zwrócił uwagę Marco.
- I co z tego. Darowizna, prezent, prowizja... to się zdarza w interesach.
- Naszym zdaniem to łapówka.
- No to go aresztujcie – powiedział Chidenko z ironią. – Zobaczymy, jak sąd oceni te wasze... dowody.
- Na razie nikogo nie będziemy aresztować. Chcemy tylko z nim porozmawiać.
- Nie mam nic przeciwko temu. Zaraz poproszę któregoś z naszych radców prawnych, żeby był obecny podczas przesłuchania.
- Żadnych adwokatów – powiedział Paluzzi ostrym tonem.

Chidenko sięgnął po telefon.

– Widzę, że ma pan sobie za nic prawo obowiązujące w tym kraju, majorze. Najpierw pańscy ludzie włamują się do naszych pomieszczeń bez nakazu rewizji, a teraz chce pan przesłuchiwać moich ludzi pod nieobecność prawnika. Doprawdy, majorze. Niech pan sobie przypomni paragrafy. Podejrzany ma prawo do obecności adwokata w czasie przesłuchania.

– Jak pan chce, Chidenko – Paluzzi wstał – to niech pan woła swojego najmimordę. Tylko uprzedzam, że w tej sytuacji na czołówkach wszystkich jutrzejszych gazet znajdzie pan wielkie artykuły o konszachtach Neo-Chem Industries z handlarzami bronią, którzy dostarczali trujące gazy Sarin i Tabun jednej ze stron konfliktu w czasie wojny w Zatoce i wiadomo, że nie naszej! Nie sądzę, aby potrzebna panu była taka reklama, zwłaszcza w tej sytuacji.

Chidenko odłożył telefon.

– A Vittore jest już na miejscu? – zapytał zrezygnowanym tonem.

– Czekamy na niego.

Zadzwoił telefon. Chidenko podniósł słuchawkę.

– To do pana – powiedział po chwili, oddając aparat Grahamowi.

– Mike? Sabrina z tej strony. Calvieri się dowiedział, że Ubrina widziano w Wenecji. Zaraz tam jedziemy. Zobaczymy się wieczorem, w hotelu.

– W porządku – Graham zawiesił głos – tylko pamiętaj, bądź ostrożna. Nie ufam tym... drabom.

– Bądź spokojny, dam sobie radę. Do zobaczenia. Ledwie Graham odłożył słuchawkę, telefon znów zadzwonił. Chidenko podniósł aparat. Słuchał przez chwilę w milczeniu, wodząc wzrokiem po obecnych.

– Vittore się zjawił – powiedział cicho, przysłaniając mikrofon dłonią.

– Niech mu pan powie, że zaraz u niego będziemy.

Chidenko wstał, obciągnął marynarkę.

– No to chodźmy, nie będę tracił czasu i naprawdę postaram się, majorze, żeby pańscy szefowie dowiedzieli się o pańskich metodach.

– Pan tu zostaje. Sami porozmawiamy z Dragottim.

– Niech pan się nie posuwa za daleko, Paluzzi!

– Nie chciałem tego robić, ale widzę, że nie ma innego wyjścia. Niech pan rzuci na to okiem, Chidenko. – Major podał dyrektorowi złożoną kartkę papieru.

– A co to ma być?

– Niech pan najpierw przeczyta.

Chidenko zaczął czytać, a na jego twarzy powoli malował się wyraz absolutnego zaskoczenia.

– Obok nazwiska autora tego listu ma pan specjalny numer telefonu, jeśli oczywiście chce mu pan zawracać głowę. Jeśli nie, to żegnam pana. I tak już siedzimy tu za długo.

Chidenko bez słowa oddał dokument Paluzziemu.

– Co to, do cholery, było? – zapytał Graham, gdy wyszli z gabinetu.

– Nic wielkiego – zaśmiał się Paluzzi. – List polecający podpisany przez premiera. Nakazuje wszystkim udzielanie mi pomocy w sprawie odzyskania fiołki. Krótko mówiąc, premier sankcjonuje wszystkie moje kroki, a jeśli ktoś ma wątpliwości, to powinien się zwrócić bezpośrednio do szefa rządu.

– Skoro tak, to dlaczego nie pokazałeś Chidence tego listu na samym początku? Oszczędzilibyśmy sobie wysiłku.

– Wolałem nie kusić losu. Ten list to ostateczny środek, jak już nic innego nie skutkuje.

– Co to znaczy: „nie kusić losu”?

– Och, to proste! Oczywiście premier nie napisał tego listu. Mamy swojego człowieka w jego gabinecie, więc zdobycie papieru ze stosownym nadrukiem nie było problemem. Reszta to już nasze dzieło. Z doświadczenia wiemy, że taki list robi wrażenie, więc na wszelki wypadek piszemy sobie takie dokumenty.

– Na każdą okoliczność?

– Wtedy, gdy spodziewamy się trudności. Już ci mówiłem, że to nasza ostatnia deska ratunku.

– A nikt was jeszcze nie złapał na oszustwie, to znaczy, nikt nie zatelefonował do rzekomego premiera?

– Dzięki Bogu, nie, ale oczywiście kiedyś to musi nastąpić, a wtedy, no cóż?...

Zacznę chyba pisać pamiętniki.

– Niezły trick – mruknął Graham. – Zastanawiam się tylko, jak zdobyć papier firmowy Białego Domu...

Weszli do gabinetu Dragottiego. Dyrektor finansowy szukał czegoś w kasie pancерnej.

– O to panu chodzi? – zapytał Paluzzi pokazując kwity bankowe.

Dragotti był wyraźnie zaskoczony, a to, że Paluzzi zwrócił się do niego po angielsku, jeszcze bardziej spotęgowało zdziwienie. Zamknął kasę i dopiero wtedy zapytał:

– O co panom chodzi?

Paluzzi przedstawił się, wyjaśnił też, że Graham reprezentuje zarząd Neo-Chem w Nowym Jorku i w jego imieniu uczestniczy w śledztwie. Marco szepnął coś Paluzziemu i wyszedł z gabinetu.

– A *Signore* Chidenko? – zapytał Dragotti.

– Jest bardzo zajęty i nie będzie nam towarzyszył – skłamał Paluzzi. – Niech pan siada. Mamy kilka pytań.

– Nie mam zamiaru odpowiadać. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, jakim prawem zrewidowano mój gabinet i włamano się do safesu. To niesłychane, na co sobie panowie pozwalają.

– Niech pan telefonuje do Chidenki, jeśli ma pan wątpliwości.

Dragotti nakręcił numer i przez chwilę rozmawiał, starając się ukryć treść rozmowy przed gośćmi.

– No i co? – zapytał Paluzzi, gdy Dragotti skończył.

– Dyrektor polecił mi okazać wszelką pomoc. Czego panowie sobie życzą?

– Po pierwsze, chcemy wiedzieć, dlaczego Nikki Karos wpłacał na pańskie konto osiemdziesiąt milionów lirów miesięcznie. Były cztery takie przelewy w zeszłym roku – zaczął Paluzzi kładąc na biurku kwity bankowe. – Po drugie, dlaczego za każdym razem wyciągał pan z konta sześćdziesiąt cztery miliony w gotówce?

– To był interes – rzekł Dragotti, nerwowo zerkając na kwity. – Obawiałem się zresztą, że to się źle skończy. Uprzedzałem Karosa, aby unikał transakcji bankowych, ale on się uparł. Powiedział, że nigdy nie bierze gotówki do ręki.

– To prawda – rzucił Paluzzi do Grahama. – Karos nigdy nie robi interesów gotówkowych, zawsze płaci czekiem. Czasami na tym traci, ale takie już ma zasady. A więc – zwrócił się do Dragottiego – zatrzymywał pan dwadzieścia procent z każdej wpłaty jako prowizję, a resztę dawał pan Wisemanowi?

– Wisemanowi? – powtórzył zaskoczony Dragotti. – Nie mam nic wspólnego z Wisemanem.

– To kłamstwo – syknął Paluzzi.

– To prawda. Wie pan, co to jest fosgen?

– Gaz trujący otrzymywany z chloru i fosforu.

– Właśnie. Otóż Karos skontaktował się ze mną, ponieważ poszukiwał dostawcy chloru dla jednego ze swoich klientów, który sam zamierzał produkować fosgen.

– A któż to taki? – zapytał Graham.

– Nie wiem. Karos nie mówił. Wiem tylko, że załatwił już gdzie indziej dostawy fosforu i szukał jedynie chloru. Ja zaś mam pewne źródło tego surowca i pomogłem mu. Te sumy – to moja prowizja.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł Marco. Powiedział coś szeptem do Paluzziego i stanął przy drzwiach.

Paluzzi podszedł do biurka Dragottiego i starannie zebrał kwity bankowe.

– Gra skończona, Dragotti – powiedział. – Karos przyznał się do wszystkiego.

– Do czego? – zapytał Dragotti niepewnym głosem.

– Że płacił ci za pośrednictwo z Wisemanem.

– To nieprawda! – krzyknął Dragotti.

– Aresztowaliśmy go dziś rano. Na początku się wykręcał, ale potem zaczął śpiewać, gdy zrozumiał, że tylko w takich okolicznościach może liczyć na łagodniejszy wyrok. Z tego, co powiedział o waszych sprawach, jasno wynika, że dostanie pan najmarniej dwadzieścia pięć lat.

– To kłamstwo – zapiszczał Dragotti, nie panując nad sobą.

– Możemy ewentualnie rozważyć, czy zaproponować panu podobny układ: lżejszy wyrok za pełne zeznania. Marco, przeczytaj mu, jakie ma prawa.

Dragotti nie słuchał. Nagłym ruchem otworzył szufladę biurka i wyciągnął rewolwer RF83, ale nie zdążył zrobić z niego użytku; Paluzzi i Marco byli szybsi. Dwie beretty mierzyły prosto w pierś Dragottiego. Nie wiedział, że są uzbrojeni.

– Rzuć broń! – rozkazał Paluzzi.

– I co? Trzydzieści lat za kratami? – powiedział Dragotti ponurym głosem.

– Karos niczego nie powiedział. Nawet go nie aresztowaliśmy; Wymyśliliśmy sprawę, żeby sprawdzić, jak zareagujesz – wyjaśnił Paluzzi.

– Nie wierzę, w nic już nie wierzę.

– Odlóż broń, Vittore, porozmawiamy.

Dragotti milczał, uśmiechnął się blado i szybkim jak błyskawica ruchem włożył lufę rewolweru do ust. Pociągnął za spust. Strumień krwi trysnął aż na okno za biurkiem. Dragotti osunął się na podłogę. Paluzzi podbiegł do niego. Sprawdził puls. Spojrzał wymownie na Marca i Grahama, zdjął marynarkę i przykrył zmarłego.

– Co się stało? – krzyknął Chidenko, wpadając jak burza do pokoju. Za nim tłoczyła się cała gromada zaalarmowanych hukami ludzi.

– Zastrzelił się – powiedział Graham.

– Proszę wyjść! Nie ma nic do oglądania – przepędzał gapiów Paluzzi.

Chidenko polecił wszystkim wyjść, sam zaś podszedł do Dragottiego, chcąc uchylć marynarki.

– Niech pan tego nie robi – wstrzymał go Paluzzi. Chidenko odsunął energicznie majora i jednak spojrzął pod marynarkę skrywającą zwłoki. Odsunął się jak rażony piorunem i zasłonił rękami usta, aby opanować mdłości. Gdy po chwili odwrócił się do Paluzziego, powiedział:

– Nigdy nie sądziłem, że strzał z rewolweru może mieć takie skutki.

– Kaliber dziewięć i sześćdziesiąt dwie setne milimetra. Zjawił się Marco.

– Zawiadomiłem pogotowie – zameldował.

– Co teraz robimy? – zapytał Graham.

– Porozumiem się z miejscową policją. Jeśli przejmą sprawę samobójstwa, a mam nadzieję, że nie będą robić trudności, to zaraz wyruszymy na Korfu.

– Na Korfu?

– Tak jest. Spróbujemy porozmawiać z Nikkim Karosem.

Mary Robson miała tylko jedno marzenie: zostać tancerką. Wstąpiła nawet do szkoły baletowej, ale najbardziej pociągał taniec estradowy. W wieku siedemnastu lat zabłysnęła na konkursie młodych talentów w Newcastle, gdzie mieszkała z rodzicami, i pewien impresario zaproponował jej udział w rewii w Londynie. Nic z tego nie wyszło, bo rodzice stanowczo się sprzeciwili. „Najpierw musisz skończyć szkołę” – zawyrokowali. Mary uległa, ale pół roku później uciekła z domu i pojechała do Londynu, licząc na zaangażowanie do teatru. Rozczarowała się. W Londynie były setki tancerek marzących o karierze, a miejsc w balecie niewiele. Nie mogąc się dostać na wielką scenę, wynajęła się do lokalu striptizowego na Soho. Tam właśnie poznała Wendella Johnsona. Pochodził z Karaibów i miał ciągłe kłopoty z policją. Zamieszkali razem i w trzy miesiące później Mary zaszła w ciążę. W wieku dziewiętnastu lat urodziła syna Bernarda i tak skończył się sen o wielkiej karierze.

Obecnie miała dwadzieścia dwa lata, zdecydowaną nadwagę i żadnych perspektyw na zatrudnienie. Wendell odsiadywał wyrok. Dostał siedem lat za rabunek. Postanowiła, że będzie na niego czekać. Rodzice nigdy nie rozumieli tej miłości, ale oni w ogóle niczego nie rozumieli. Ona zaś uważała, że Bernard powinien mieć ojca, choćby kryminalistę. Zerwała kontakty z rodziną i niecierpliwie wyglądała powrotu Wendella z pudła.

Kończyła właśnie zmywanie naczyń po śniadaniu i szykowali się do przepierki. Znudzona zerknęła przez okno na ulicę. Ni specjalnego się nie działo. W Brixton zawsze wszystko wyglądało tak samo. Rząd szeregowców z odłupanym tynkiem i obłazącą farbą. Nienawidziła tej okolicy, ale nie miała szans na zmianę. Wendell uwielbiał Brixton. Dobrze się tu czuł, miał przyjaciół i znajomych, bo tu właśnie skupiali się przybysze z Karaibów. Nawymyślał jej, gdy kiedyś zaproponowała, aby starać się o mieszkanie w innej dzielnicy.

Nie zdziwił jej policyjny radiowóz na ulicy. Policja w Brixton to stały element krajobrazu. Gdy jednak funkcjonariusz wyraźnie zmierzał w jej kierunku, poczuła ścisk w sercu. Zrzuciła fartuch i nim jeszcze zadzwonił do drzwi, otworzyła. Była pewna, że chodzi o Wendella.

– Pani Mary Robson?

– Taak – wyszeptała. – Wendell? Coś się stało z Wendellem? – patrzyła na policjanta szeroko otwartymi oczami.

– Właśnie. Wdał się w bójkę w celi. Dostał nożem. Ale proszę, Niech się pani nie martwi. Rana nie jest groźna.

- Gdzie jest?
- Przewieziono go do szpitala w Greenwich.
- Mogę go zobaczyć?
- Właśnie po to tu jestem – uśmiechnął się pocieszająco.
- Niech mi pan da minutę. Włożę coś na siebie i wezmę synka.

Kiwnął głową, że poczeka, i dał znak do radiowozu, iż za chwilę będą. Policjant, który siedział w radiowozie, miał gęstą kruczą czuprynę i ciemne wąsy, które przydawały mu nieco groźnego wyrazu, co kontrastowało z młodzieńczym wyglądem. Sprawiał wrażenie dwudziestopięciolatka, choć w rzeczywistości miał już trzydzieści siedem lat. Nazywał się Victor Young i uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, gdy Dave Humphries przyprowadził Mary z dzieckiem. Wszystko szło zgodnie z planem.

Whitlock z Lonsdale'em zjawili się w komisariacie w Brixton punktualnie o jedenastej. Komendant już czekał. Inspektor Roger Pugh miał czterdzieści lat, siwe włosy i łagodne usposobienie. Roztaczał wokół siebie atmosferę spokoju i pewności. Powitał ich uściskiem dłoni.

- O której wyruszamy? – zapytał Whitlock, gdy zasiedli w gabinecie.
- Za pół godziny.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł młody człowiek w mundurze służby więziennej. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat.

– Sierżant Don Harrison – przedstawił go Lonsdale. – Będzie prowadził samochód z „aresztantami”.

– Przyniosłem pański mundur – zameldował Harrison, podając Lonsdale'owi taki sam uniform straży więziennej, jaki miał na sobie.

– Szatnia jest na końcu korytarza – pośpieszył inspektor z uprzejmą informacją.

– Jeśli można, to przebiorę się tutaj. Chyba że spodziewa się pan najścia którejś z pańskich funkcjonariuszek – Lonsdale puścił oko do inspektora.

– Nie w godzinach służbowych – odparł inspektor, podchwytyjąc żart majora.

– Z Alexandrem wszystko w porządku? – upewnił się Lonsdale.

– Buntował się, ale daliśmy mu zastrzyk na uspokojenie. Zasnął jak dziecko. Jest pod dobrą strażą w lokalu kontaktowym. A to dla pana – dodał, podając Whitlockowi ciemne okulary. – Należą do Alexandra. Zawsze chodzi w ciemnych okularach.

– Dzięki.

– Chłopcy gotowi? – zapytał Lonsdale.

– Czekają w samochodzie.

– No to zaczynamy. Idź i pozamykaj ich zgodnie z regulaminem, a my zaraz

przyjdziemy. – Lonsdale przebrał się. – Mogę to zostawić u pana? – zapytał komendanta, wskazując na cywilne ubranie.

– Ależ oczywiście. Z panem, jak rozumiem, nieprędko się zobaczę – zwrócił się inspektor do Whitlocka. – No cóż, powodzenia!

– Dziękuję za pomoc. – Whitlock pożegnał się z inspektorem i ruszył za Lonsdale'em. Wyszli na zamknięty dziedziniec, gdzie czekała karetka więzienna. Harrison otworzył drzwi. Środkiem wiódł ciasny korytarzyk, a po obu stronach znajdowały się nie wielkie okratowane cele. Po trzy z każdej strony. Harrison zacisnął kajdanki na dłoniach Whitlocka i wskazał mu miejsce w jedni z cel. Zatrzasnął drzwi i oddał klucze Lonsdale'owi. Obaj zajęli miejsce w szoferce.

– Gotowe?

– Ruszamy – polecił Lonsdale.

Jechali Brixton Road w stronę autostrady A23. Harrison prowadził uważnie. Cały czas zerkał w lusterko wsteczne.

– Niech pan się nie martwi, sierżancie, znajdą nas.

Harrison uśmiechnął się niepewnie i nic nie odpowiedział. Mieli właśnie skręcić w Kennington Park Road, gdy usłyszeli syren policyjną. Harrison przyhamował, żeby przepuścić radiowóz na sygnale, ale samochód policyjny ostro zahamował i zatrzymał się tuż przed nimi.

– Co on wyprawia? – syknął Harrison, mocno naciskając hamulec.

– To pewnie oni – szepnął Lonsdale. Z wozu policyjnego wysiadł jeden z funkcjonariuszy i podszedł do karetki więziennej.

– O co chodzi, kolego? – zapytał Harrison przez uchyloną szybę. – Śpieszy nam się. Mamy zaraz być w sądzie.

– Tylko spokojnie – odparł Young wyraźnym amerykańskim akcentem. – Mamy w wozie kobietę z dzieckiem. Są nieprzytomni po zastrzyku. Wychyl się trochę, to ich zobaczysz,

– Widzę. I co z tego? – zapytał Harrison.

– Nic takiego, tylko że mój kumpel trzyma ich na muszce Pokaż im – rzucił do radiotelefonu.

Humphries natychmiast podniósł broń, aby rozwiać ostatnie wątpliwości załogi karetki i błyskawicznie znikł za siedzeniem, by nie wystawiać się na ewentualny strzał.

– No więc słuchajcie, wy dwaj – warknął Young. – Żadnych numerów, bo wykończymy zakładników. Najpierw dzieciaka.

– O co, do diabła, chodzi...

– Zamknij się! – uciął Young. – I wyłącz ten cholerny silnik.

– Rób, co ci każe – szepnął Lonsdale. – Ja tu dowodzę powiedział do Younga – i żądam wyjaśnień.

– W swoim czasie. A teraz dawaj klucze – syknął do Harrisona. Sierżant raz jeszcze spojrzął na Lonsdale’a. Major kiwnął głową na potwierdzenie, więc wyłączył stacyjkę i wręczył klucze Youngowi.

– A teraz wysiadać. Biegiem.

Lonsdale dał znak Harrisonowi i wyszli z wozu. Major patrzył na radiowóz z dwojgiem zakładników. Ze wszystkich zbrodni, z jakimi miał do czynienia, branie niewinnych zakładników brzydziło go najbardziej. W takich chwilach przeklinał dzień, kiedy ciągnął się do służby. Pomyślał o swoich córkach i poczuł się zupełnie bezbronny.

– Który z was ma klucze do więźniarki?

– Ja – odparł Lonsdale.

– Otwieraj – rozkazał Young. – I pamiętaj, żadnych numerów, bo zginie dziecko.

Okrzyknęli wóz, Lonsdale otworzył drzwi karetki więziennej. Zamknięci w celach zaczęli krzyczeć i szarpać kraty. Chcieli wiedzieć, co się dzieje. Na odprawie Lonsdale polecił im, aby zagrali swoje role w sposób możliwie najbardziej przekonywający, Young tymczasem kazał Lonsdale’owi i Harrisonowi wejść do środka i sam też wcisnął się za nimi.

– Gdzie macie Alexandra?

– To o niego ci chodzi? – mruknął Lonsdale z udawanym zdziwieniem i wskazał na klatkę, w której siedział Whitlock.

– Otwieraj.

Lonsdale z Harrisonem spojrzeli po sobie.

– Powiedziałem: otwieraj – Young groźnie pomachał radiotelefonem – bo koniec z dzieciakiem.

Lonsdale dobył pęk kluczy i otworzył celę.

– Co się, u diabła, dzieje? – krzyknął Whitlock.

– Jedziesz z nami. Wyłaź.

– A kim wy jesteście? – Whitlock patrzył na Younga z udawanym zaskoczeniem.

– Przyjaciele. Wyłaź!

Whitlock wyciągnął rękę do Lonsdale’a.

– Rozkuj mnie, kutasie.

Young odepchnął Lonsdale’a i zabrał mu klucze. Szarpnął Whitlocka za ramię i gdy ten wyskoczył na zewnątrz, wepchnął Lonsdale’a z Harrisonem do celi i zatrzasnął drzwi.

– Odepnij mi bransoletki – poprosił Whitlock.

– Zamknij się – warknął Young i popchnął Whitlocka w stronę radiowozu. – To on?

– zapytał Humphriesa.

– Reuben we własnej osobie!

– Wsiadaj!

Whitlock wcisnął się obok nieprzytomnej kobiety z dzieckiem.

– Ruszamy! I gaz do dechy – rozkazał Young.

– Dave, co się dzieje? – Whitlock spojrzał na Humphriesa. – O co, do jasnej cholery, chodzi?

– Mówiłem ci już, żebyś się zamknął – przerwał Young.

– Chcę wiedzieć, o co wam chodzi? Co to za kobieta?

– Zamknij mordę.

– Mogę chyba...

– Jeszcze jedno słowo i skończysz jak ta baba i bachor – zagroził Young.

Whitlock skurczył się w sobie i nic już nie powiedział.

Humphries skręcił w Braganza Street, zwolnił i w pewnej chwili ostro obrócił kierownicę w lewo, w stronę otwartego garażu na dwa wozy, gdzie stał już seledynowy fiat uno. Wyłączył silnik i za pomocą pilota zamknął zdalnie sterowane drzwi. Ogarnęła ich ciemność.

– Zapal światło! – rozkazał Young.

Humphries wysiadł i zaczął szukać kontaktu. Zapalił światło i nagle w jego oczach pojawił się błysk przerażenia. Young mierzył w niego z pistoletu Heckler & Koch P7 z tłumikiem. Strzelił dwukrotnie. Humphries zachwiał się, otworzył jeszcze usta i osunął się na betonową podłogę garażu. Whitlock, ciągle w kajdankach, z trudem wy dostał się z auta. Gdy podniósł wzrok, zobaczył wymierzoną w siebie broń.

– Spoko – rzekł Young, patrząc prosto w oczy Whitlocka. – Nie po to cię wyjmowałem z pudła, żeby cię zabić. – Wolnym ruchem zaczął sięgać do schowka przy tablicy rozdzielczej, nie spuszcżając Whitlocka z oczu.

– A jego? – Whitlock spojrzał na zwłoki Humphriesa. – Dlaczego go załatwiłeś?

Young nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko zagadkowo. Znalazł już to, czego szukał. W schowku był pneumatyczny pistolet na bolce z silnym środkiem usypiającym. Nie odrywając oczu od Whitlocka, nagłym ruchem dobył broń, wymierzył i strzelił. Whitlock poczuł ostre ukłucie na karku. Garaż zawirował mu przed oczami, nogi się ugięły i stracił równowagę. Young chwycił go w ramiona, nim padł na maskę samochodu.

Ale tego Whitlock już nie widział. Pograżył się w ciemności.

La Serenissima, najpogodniejsze z miast, tak powiadają Włosi o Wenecji. I mają

absolutną rację – pomyślała Sabrina. Miasto nad laguną jest rzeczywiście pogodne i zupełnie wyjątkowe. Pełne *rii* – kanałów i *calli* – wąskich uliczek biegnących wzdłuż nabrzeży wspartych na potężnych klocach ciosanych z pinii, wbitych na osiem metrów w morskie dno. Sabrina zawsze zachwycała się Wenecją. Lubiała patrzeć na koronkową architekturę placu św. Marka, na bazylikę, od której plac wziął nazwę, pełną łuków, wykuszy i łodzi. Godzinami mogła przyglądać się dostojnym murom Palazzo Ducale, gdzie przez dziewięć wieków zasiadali dożowie – władcy Wenecji i sporej części średniowiecznego świata. Wielbiła kunsztowne kształty Santa Maria della Salute – niezwykle kościoła w kształcie ośmioboku, który wzniesiono w roku 1390, gdy wielka zaraza pochłonęła prawie trzecią część mieszkańców Wenecji. Gdyby ktoś ją zapytał, odpowiedziałaby bez najmniejszego wahania, że Wenecja to najpiękniejsze miasto na całym świecie.

Było południe, gdy cessna należąca do UNACO wylądowała na lotnisku Marco Polo. Ze schowka, w przechowalni bagażu, Sabrina zabrała beretkę, którą na zlecenie Philpotta jakaś niewidzialna ręka umieściła tam w stosownym czasie, i razem z Calvierim skierowali się na nabrzeże, gdzie na przybyszów czekały wodne taksówki. Kazali się zawieźć na Rio Baglioni, dla porządku targując się o wysokość opłaty za kurs, jak wszyscy turyści. Rio Baglioni to wąski kanał w pobliżu mostu Rialto – najśłynniejszego w całej Wenecji. Tam właśnie, jak dowiedział się Calvieri z sobie znanych źródeł, widziano rankiem Ubrina.

– Powinniśmy być na miejscu za jakieś pięć minut – rzekł Calvieri po krótkiej rozmowie ze sternikiem motorówki.

Sabrina nic nie odpowiedziała. Patrzyła na Ca'd'Oro, wspaniały pałac w stylu gotyckim, o którym powiadano, że w dawnych czasach był wykładany złotem. Dziś zaś mieściła się w nim słynna kolekcja Franchettich – zbiór dzieł sztuki renesansu.

– A to Ca' do Mosto – Calvieri pokazał trzynastowieczny bizantyjski pałac nieopodal Ca'd'Oro. Sabrina знаła oczywiście charakterystyczną bryłę, podziwiała ją wielokrotnie w czasie po przednich wizyt w Wenecji, ale nazwa budowli jakoś wymknęła się jej z pamięci.

– Należał do Alvise'a de Mosto – Calvieri starał się przekrzyczeć szum *vaporetto*, autobusu wodnego z tłumem turystów na pokładzie – wielkiego podróżnika, który odkrył Wyspy Zielonego Przylądka, bodaj w szesnastym wieku.

– Sporo pan wie o Wenecji, Calvieri – zauważyła Sabrina

– To moje ulubione miasto. Mam tu wielu przyjaciół z umiarkowanej frakcji Brygad.

Sabrina upewniła się, czy sternik nie słyszy, i zapytała Calvieriego:

– To właśnie mnie zastanawia. Dlaczego Ubrino postanów: ukryć się akurat

w Wenecji? Nie należy do umiarkowanych, więc na co liczy?

– Rzeczywiście to zagadka, ale mam zaufanie do człowieka który dał mi znać, że widział Ubrina. Ten człowiek jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

– Już mi pan to mówił. Ja jednak czuję, że to jakaś pułapka. Sprawa wygląda podejrzanie i nie trzyma się logiki.

Sternik uruchomił syrenę, aby uprzedzić inne jednostki, że właśnie zamierza zmienić kurs. Skręcił pod most Rialto i gwałtownie przerzucił ster, aby uniknąć kolizji z gondolą płynącą przeciwnym kursem, a po chwili zacumował do nabrzeża przy Riva del Carbon.

– Mieliśmy płynąć do Rio Baglioni – zaprotestowała Sabrina.

– To już blisko. Drugi kanał po prawej – odparł sternik pokazując kierunek. – Tylko niech pani powie, *Signora*, jak mam tam dopłynąć? – machnął ręką w stronę sporej, białoniebieskiej motorówki, która blokowała dalszą drogę. – Jakiś baran nie wie, jak cumować – mruknął ze złością.

Sabrina zapłaciła za kurs i wyskoczyła z ręcznikiem na brzeg, udając, że nie widzi wyciągniętej ręki Calvieriego, który z włoską galanterią chciał jej pomóc.

– W dalszym ciągu pan uważa, że to nie zasadzka?

– Pewności nie ma. Z drugiej jednak strony dlaczego mój człowiek miałby mnie wprowadzać w błąd? Jak już mówiłem...

– Wiem, wiem, nigdy pana nie zawiódł – przerwała Sabrina. – Ale zawsze jest ten pierwszy raz... – nie dokończyła myśli i zmieniła temat. – Sekundę, chciałabym tylko rzucić okiem na tę łódź.

Przykucnęła przy motorówce blokującej wejście do Rio Baglioni. Była to spora jednostka, miała prawie dwa i pół metra szerokości. Wystarczyłyby dwie takie, aby zamknąć większość weneckich kanałów, które miały pięć metrów szerokości. Wspaniała rzecz do odcięcia komuś drogi! Sabrina wyjęła pistolet z kabury przy pasku i włożyła do kieszeni kurtki. Odchyliła pokrowiec skrywający rufę motorówki. W środku leżało spore kartonowe z napisem *Valpolicella*. Calvieri też zaczął oglądać łódź

– Czego, do cholery, tu szukacie? Co to ma znaczyć?

Podnieśli wzrok. Zdziwiony i najwidoczniej zdenerwowany młody człowiek w spodniach w jaskrawą pepitę i w kurtce ortalionowej nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– To pańska łódź? – zapytał ostro Calvieri.

– A co, wasza? – odparł wyraźnym amerykańskim akcentem.

– No jasne! – mruknął Calvieri. – Tylko jakiś zagraniczny osioł mógłby tak zacumować. Panie! – krzyknął. – Niech pan ją przesunie! Mieszkamy w głębi i jak mamy się tam dostać, gdy blokuje pan cały kanał?

– Chcecie przepłynąć? A gdzie wasza łódź? – zapytał Amerykanin podejrzliwie.

– Za rogiem, przy Riva del Carbon. No, niechże pan się ruszy.

– No dobrze. Tylko skoczę po klucze – odparł Amerykanin przepraszająco i znikł w drzwiach hotelu obok.

– Falszywy alarm – skomentował Calvieri, gdy zostali sami.

– Jak brzmi adres, który dał panu pański człowiek?

– Calle Baglioni siedemnaście.

Poszli dalej brzegiem i w parę minut byli na miejscu. Pod podanym numerem znaleźli stylową kamienicę z czerwonej cegły z czarnymi dębowymi okiennicami, zwieńczoną tarasem na szczycie. Wyglądała na nie zamieszkaną. Calvieri nacisnął klamkę. Zamknięte. Obejrzał się, czy nikt ich nie śledzi, i wyjął pęk wytrychów z kieszeni. Po chwili zamek zgrzytnął i Calvieri miał już wejść do środka, gdy wyprzedziła go Sabrina.

– Pójdę przodem. Mam pistolet. – Omiotła wzrokiem hał trzymając berettę w wyciągniętych dłoniach. Pusto, ani śladu ludzi. Posadzkę skrywała gruba warstwa kurzu, znak, że od dawna nikogo tu nie było.

– Tylko jedno się zgadza w meldunku pańskiego człowieka, dom rzeczywiście jest opustoszały – rzuciła z ironią.

– Niestety pomyłka.

– Albo zasadzka.

Dziwny szmer na górze usłyszeli oboje jednocześnie. Sabrina pierwsza zaczęła się wspinać na schody, ostrożnie stawiając sto na zmurszałych, skrzypiących deskach. Calvieri szedł za o Przystanęli na piętrze. Ze ściany spoglądał na nich ukrzyżowany Chrystus z brązu. Cisza. Znowu szelest. Calvieri dał znak – drzwi na końcu korytarza. To tam. Podeszła cicho, przygotowała berettę do strzału i błyskawicznym kopnięciem wyważyła drzwi, mierząc w skuloną ze strachu postać w rogu pokoju. Chłopiec mógł mieć najwyżej dziesięć lat. Drżał. Patrzył szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc, co się dzieje. Sabrina schowała broń do kabury i podeszła do chłopca.

– Jak się nazywasz? – zapytała cichym głosem po włosku.

– Marcello – odparł, spoglądając przez ramię na Calvieriego. – Policja?

– Coś ty! Widziałeś kiedyś policjanta z taką głową? – Calvieri odwrócił się, żeby pokazać chłopcu spięte w kitkę włosy.

Dzieciak potrząsnął głową.

– To znaczy, że zabierzecie mnie do sierocińca – powiedział zrezygowany.

– Jakiego sierocińca? – wtrąciła Sabrina. – Dawno tu mieszkasz?

– Tydzień, może dziesięć dni, nie pamiętam – wzruszył ramionami Marcello.

– Masz co jeść?

– Nauczyłem się w sierocińcu, jak to załatwiać. Jest tylu turystów. Umiem wyciągać portfele – pochwalił się.

– Jak się tu dostałeś?

Marcello nie odpowiedział. Wstał z kąta i dał znak, aby podeszli z nim do okna. Pokazał kratę na ścianie, która pierwotnie służyła zapewne do podtrzymywania pnączy.

– Zawsze tędy wchodzę, żeby nie zostawiać śladów przy wejściu. Więc nikt nie wie, że tu jestem.

– Toś sobie, bracie, dobrze wymyślił.

– Nie chcę wracać do sierocińca – załkał. – Nie powiecie i nikomu, że tu jestem?

– Nikomu – powiedział Calvieri, nim Sabrina zdążyła otworzyć usta. – A nikt się tu nie kręcił poza tobą, na przykład wczoraj?

– Nikogo nie widziałem. I mnie nikt nie widział. Tylko nikomu nic nie mówcie.

– Słowo! Pary nie puścimy – Calvieri pogłaskał chłopca po głowie i dał znak Sabrinie, że czas wyjść.

– Nie wolno go tak zostawić. Wcześniej czy później zainteresuje się nim policja i trafi do domu poprawczego – Sabrina chciała zawrócić. Calvieri powstrzymał ją.

– Nie bój się. Chłopak da sobie radę.

– Ale jak? Zdeprawuje się do końca.

– Zastanów się przez chwilę nad tym, dlaczego za nic nie chce wracać do sierocińca. Znam takich, którzy wyrastali w domu dziecka. Wielu z nich trafiło do nas, do Brygad. Dlaczego? Bo nienawidzą systemu. Nie masz pojęcia, jak traktuje się dzieci w sierocińcach.

– Nie wierzę. Oczywiście tu i ówdzie mogą się zdarzać takie czy inne incydenty, ale nie wolno uogólniać. W sierocińcu chłopak miałby przynajmniej jakąś opiekę.

– Tak sądzisz. No to go odprowadź do sierocińca, a zobaczysz – zakończył z ironią.

Sabrina zmarszczyła czoło i postanowiła dokładnie sprawdzić cały dom mimo zapewnień chłopca, że nikogo nie widział. Wspięła się na następne piętro i przez dłuższą chwilę mocowała się z zamkiem u drzwi prowadzących na taras na dachu. Zamek wreszcie puścił. Wyszła na zewnątrz. Żadnych śladów. Wróciła do hallu.

– Znalazła pani coś?

Zaprzeczyła. Wyszli na ulicę, zamykając za sobą drzwi.

– No i co z tym pańskim informatorem? – zapytała kpiąco, gdy ruszyli nabrzeżem w stronę głównego kanału.

– Pogadam z nim przy pierwszej okazji.

Amerikanin, właściciel biało-niebieskiej motorówki, zdążył już przesunąć łódź

i cumował ją w dogodnym miejscu.

– Mogą państwo przepłynąć! – krzyknął.

Calvieri otwierał właśnie usta, aby skwitować uprzejmość, zza rzędu cumujących obok *vaporetto* wyskoczyła nagle jakaś motorówka. Szczęście albo doświadczenie sprawiło, że pierwszą rzeczą, jaką Calvieri dostrzegł, było uzi w rękę sternika. Wystarczyło. Błyskawicznie przewrócił Sabrinę na ziemię i sam padł obok. Ułamek sekundy później seria z automatu rozorała ścianę domu, przed którym właśnie stali. Sabrina poderwała się pierwsza i nie bacząc na protesty właściciela, wskoczyła do biało-niebieskiej motorówki.

– Co, co pani wyprawia? – wyjąkał zaskoczony. Tajemnicza biała motorówka przemknęła obok z niebywałą szybkością.

– Potrzebna mi pańska łódź! – krzyknęła, ujmując ster.

– Odpieprz się – usiłował ją wyrzucić z łodzi.

Nie było czasu do stracenia. Biała motorówka za chwilę zniknie z pola widzenia. Skręci w któryś z bocznych kanałów i ślad po niej zaginie. Sięgnęła po beretkę.

– Wyskakuj, ale już!

– Jezus, Maria, wariatka jakaś czy co – zaczął się trząść Amerykanin.

– Wyskakuj.

Przełknął nerwowo i nie odwracając wzroku od lufy pistoletu wycofał się rakiem na nabrzeże. Włączyła silnik, dodała gazu i ruszyła w pościg.

Wczesnym popołudniem Canale Grandę wypełniony był go gondolami, motorówkami, taksówkami wodnymi i *vaporetto*. Biała motorówka zrećnie przemykała w tłoku. Jej sternik miał duże świadczenie w tych sprawach i dobrze znał Wenecję.

Straciła go z oczu, gdy na jej drodze znalazł się przysadzisty autobus wodny. Zaryzykowała. Przemknęła przed dziobem *vaporetto* przy wtórze przekleństw sternika. Zwolniła. Ani śladu po motorówce. Wydawało jej się, że widzi zmaconą wodę między dwoma barkami nie opodał. Sprawdziła. Pusto. Popłynęła jeszcze kawałek. Bez rezultatu. Nieco dalej odchodził mniejszy kanał w prawo. Może tam? Podpłynęła do skrzyżowania. Znowu nic. Zatrzymała łódź i gestem dłoni przywołała jakiegoś młodej człowieka, który wyładowywał z barki worki z owocami. Zapytała, czy widział szybką białą motorówkę, która musiała przed chwilą tędy przepływać. Odłożył worek, przykucnął na brzegu i patrzył łakomie na Sabrinę.

– *Bella* – powiedział – *bellissima*.

– Łódź? Widziałeś motorówkę? – nie miała czasu na przypadkowy flirt.

– Może tak, może nie – poprawił czuprynę. – A co dostanę, jak ci powiem?

– Całuj psa w nos – zezłościła się i postanowiła szukać dalej na własną rękę, ale

droga była odcięta. Całą szerokość kanału zajmowała barka, którą właśnie odcumowano. Co gorsza, ni stąd ni zowąd zjawił się jeszcze jeden młody człowiek z bosakiem w ręku i zaczął przyciągać jej motorówkę do brzegu. Ten zaś, z którym przed chwilą rozmawiała, wskoczył nagle do środka.

– Wyłącz silnik – rozkazał grożąc jej nożem – i żadnych numerów, jasne?

Uśluhała.

– Pewnie masz broń – mruknął młodzieniec i podszedł, aby ją zrewidować.

Zmyliła go, podnosząc ręce, jakby chciała mu ułatwić zadanie, gdy jednak chłopak się zbliżył, wymierzyła mu cios łokciem w podbródek. Zachwiał się, w tym momencie Sabrina silnie wykręciła mu rękę do tyłu i wytrąciła nóż z dłoni. Następnie chwyciła za ostrze i przyłożyła mu do szyi. Zawył z bólu. Drugi, ten z bosakiem w ręku, patrzył zaskoczony.

– Wyrzuć bosak do kanału – rozkazała – bo rozwalę mu kark!

Chłopak zawahał się, więc przeciągnęła ostrzem. Na szyi jeńca wykwitła plama krwi.

– Rób, co ci każe, Antonio – wykrztusił przerażony młody człowiek.

Antonio rzucił bosak do wody.

– A teraz odciągnij barkę.

Kiwnął nerwowo głową i pobiegł wykonać zadanie. Sabrina mocniej wykręciła rękę pojmanemu drabowi i raz jeszcze przeciągnęła ostrzem po skórze. Trysnęła krew.

– A teraz odpowiesz mi na parę pytań. Jeśli nie dowiem się, czego chcę, do czasu gdy twój kumpel odciągnie barkę, to ci utnę łeb.

– Co chcesz wiedzieć? – wykrztusił.

– Kto cię najął?

– Nie wiem, jak się nazywa.

Nacisnęła mocniej nóż.

– Naprawdę nie wiem – zapiszczał. – Nie kłamię. Pierwszy raz widziałem tego faceta wczoraj w barze. Przyszedł do na i powiedział, że da nam pół miliona, jeśli pomożemy mu uciec. Mieliśmy cię tylko nastraszyć.

– Konkretnie mnie?

– Nie powiedział, że ciebie, tylko tego kogoś, kto będzie ścigał.

– Jak on wyglądał?

– Wysoki, opalony. Miał długie włosy i taką myszkę na prawym policzku.

– A dokąd ten kanał prowadzi?

– Zakręca i wpada z powrotem do Canale Grande.

Antonio zamocował już barkę do nabrzeża. Sabrina zwolniła uchwyt i jeniec wyskoczył na brzeg jak z procy. Uruchomiła silnik i wyrzuciła nóż do wody i ruszyła.

Nagle poczuła woń ropy. Przed dziobem motorówki wykwitła wielka plama rozlanej na wodzie ropy naftowej. Zza węgła wychylił się wysoki, opalony mężczyzna z kruczą czupryną – ten sam, o którym mówił młody człowiek. Zaśmiał się i pokiwał do niej głową. W ręce trzymał dwie zwinięte w rulony płonące gazety. Jak błyskawica przemknęła jej przez głowę myśl, aby wyjąć berettę i zastrzelić go. Zrezygnowała jednak, bo takie rozwiązanie nie dawało gwarancji, że w ostatniej chwili jej przeciwnik nie podpali ropy, a wtedy nie miałyby już ucieczki.

Wrzuciła wsteczny bieg. Mężczyzna rzucił jeden płonący rulon na płamę ropy na wodzie, a drugi na nabrzeże i znikł za rogiem. Przed dziobem motorówki buchnęła ściana ognia. Sabrina dodała gazu i płynąc tyłem wycofała się na Canale Grande. Z brzegu dobiegł do niej rozpaczliwy krzyk. Wzruszyła ramionami, nie miała żadnej możliwości udzielenia pomocy dwóm młodym ludziom, którzy znaleźli się w samym środku ognia.

Gdy zawracała, kątem oka dostrzegła, że z bocznego kanału, jakieś dwieście metrów dalej, wypływa biała łódź, którą ścigała bezskutecznie. Dodała gazu, wyjęła berettę i znów ruszyła w pościg. Biała motorówka zaczęła lawirować między barkami i łodziami na Canale Grande, ale Sabrina nie ustępowała. Z daleka dobiegł dźwięk syreny policyjnej. Obejrzała się. Kiedy znów spojrzała przed siebie, biała motorówka zniknęła. Zakłęła w myślach, karcąc się za gapiostwo. Już drugi raz pozwoliła mu uciec!

Mijała właśnie jakiś autobus wodny z tłumem turystów na pokładzie, gdy nagle biała motorówka pojawiła się znowu. Bandyta trzymał w ręce uzi i wystrzelił całą serię w jej kierunku. Padła na podłogę. Pociski przeleciały jej nad głową. Na pokładzie *vaporetto* rozległy się piski i wrzaski przerażonych ludzi. Sternik autobusu błyskawicznie dobił do brzegu. Sabrina uniosła berettę do strzału. Chybiła, jej łódź bowiem zakołysała się na fali wywołanej przez pędzącą białą motorówkę. Nim zdołała opanować rozkołysaną łódkę, bandyta znowu znikł. Ze złości uderzyła dłonią w pokład. Łódź policyjna była coraz bliżej. Na brzegu zobaczyła Calvieriego. Machał rękami, dając znak, żeby się zbliżyła.

– Daj mi ster – krzyknął, wskazując do środka. – Znam miasto lepiej od ciebie, a pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić, to pozbyć się tej motorówki.

Ustąpiła mu miejsca.

– Nic ci nie jest? – zapytał po chwili.

– Wściekła jestem. Poza tym wszystko w porządku – odparła ponuro. – Nie mogę sobie darować, że go nie dopadłam.

– Daj spokój, Sabrina. Nie wymagaj od siebie za wiele.

– Nie rozumiem też, dlaczego mnie nie zabił, gdy miał taką możliwość.

– Ejże! Przecież próbował – rzekł Calvieri, kładąc motorówkę w zakręt. Wpłynęli na Rio San Polo – jeden z największych kanałów odchodzących od Canale Grande.

– Niezupełnie – powiedziała Sabrina. – Mógł mnie sprzątnąć, gdy wyskoczył z za *vaporetto*, ale specjalnie mierzył wyżej! Coś tu jest nie tak.

– Dziękuj Bogu, że żyjesz. – Calvieri skręcił w wąziutki kanał odchodzący od Rio San Polo i dobił do brzegu. – Tu mieszka mój znajomy – wskazał dom z malowanymi na biało ścianami. Wejźmy. Poczekamy, aż motorówka policyjna odpłynie.

Wyszli na brzeg.

– Tonino?

Spojrzał na nią zdziwiony, że nazwała go po imieniu.

– Wolałbym, żebyś mówiła Tony. „Tonino” nazywano mnie w szkole.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho.

– Dziwne, prawda? Tym razem pomogłem ci, a kiedyś, kto wie, może będę na ciebie polował, jak ten facet z łódki.

– I będziesz do mnie strzelał? – spojrzała mu prosto w oczy.

– Jak trzeba będzie – odparł poważnie i zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem.

Weszli do domu.

La Serenissima – pomyślała Sabrina. To miasto już nigdy nie będzie dla niej wcieleniem pogody i spokoju.

Whitlock obudził się z dotkliwym bólem głowy. Z trudem otworzył oczy i ze zdziwieniem stwierdził, że leży na brązowej skórzanej sofie, że jakaś litościwa ręka wsunęła mu poduszkę pod głowę i że znajduje się w... samolocie, bez wątpienia prywatnym, sądząc z bogatego wystroju wnętrza. Chciał wstać, ale ból głowy był nie do zniesienia. Pomasażował skronie, licząc, że to sprawi mu ulgę.

– Zażyj to. Stosujemy to w wojsku.

Kątem oka dostrzegł ręce w czarnych, skórkowych rękawiczkach. Jedna dłoń podsuwała mu dwie tabletki, a druga szklankę wody. Pamiętał, że Young miał rękawiczki, ale głos, który usłyszał, nie należał do Younga, już choćby dlatego, że akcent nie był zdecydowanie amerykański, a dobór słów wskazywał na kogoś, kto odebrał staranne wykształcenie i zapewne był starszy niż Young. Pewnie Wiseman – domyślił się. Wziął tabletki. Poczul w ustach piekącą gorycz. Popił wodą, odstawił szklankę na podłogę i znów opadł na poduszkę.

Ocknął się pięć minut później. Czuł się nieco lepiej. Podniósł głowę, usiadł, przetarł oczy.

– Jak głowa?

Człowiek, który zadał pytanie, siedział w fotelu, tuż przy drzwiach do kabiny pilotów. Richard Wiseman, sądząc z fotografii, którą pokazał mu Rust razem z resztą dokumentów operacyjnych. Na zdjęciu jednak Wiseman był w mundurze z dystynkcjami generała broni, a teraz miał na sobie elegancki garnitur z szarej flaneli, białą koszulkę i jasnobłękitny krawat. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, miał wyrazistą, poorly zmarszczkami twarz, starannie przystrzyżone, ciemne wąsy i siwiejące skronie. Przerwał układanie pasjansa i powtórzył pytanie.

Whitlock sprawdził czas na zegarku. Spał cztery godziny. Wstał, przeszedł parę kroków i usiadł naprzeciwko Wisemana.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zaatakował.

Wiseman nie odpowiedział od razu. Studiował karty i dopiero po chwili podniósł wzrok, oparł się wygodnie w fotelu, wsparł łokcie na stoliku.

– A co chciałby pan wiedzieć?

– Przede wszystkim kim pan jest?

Wiseman przedstawił się.

– A gdzie ja, u diabła, jestem?

– W moim samolocie. Lecimy właśnie nad Francją, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Za mniej więcej dwadzieścia pięć minut wylądujemy w Rzymie.

– W Rzymie? – powtórzył Whitlock z udawanym zdziwieniem. – Po jasną cholere wieziecie mnie do Rzymu?

Wiseman miał już odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi ubikacji w drugim końcu kabiny pasażerskiej. Oderwał więc wzrok od Whitlocka i uśmiechnął się zapraszająco.

– Miał pan okazję już poznać pana Vica Younga, prawda?

Whitlock spojrział na przybysza, nie kryjąc zaskoczenia. Young wyglądał zupełnie inaczej, niż kilka godzin temu, kiedy to miał ciemną czuprynę i wąsy. Teraz zaś był blondynem z wygoloną twarzą, bez zarostu.

– Miałem perukę – wyjaśnił z uśmiechem, wygładzając fryzurę. Podszedł do baru i nalał dwie szklaneczki bourbona dla siebie i dla Wisemana.

– A ty czego się napijesz, Alexandrze? – zapytał.

– Nie będę pił – odparł chłodno Whitlock. – Co zrobiłeś z kobietą i dzieckiem?

– Nic – wzruszył ramionami, Young. – Zostawiłem ich na miejscu, w radiowozie. Nic im nie będzie. Dałem im tylko środki usypiające.

– Ale Dave’a zabiłeś...

– Za dużo wiedział.

– W coś ty mnie wplątał? – ciągnął Whitlock. – Groziło mi co najwyżej pięć lat. Za dobre zachowanie wypuściliby mnie po trzech, a teraz, za współudział w morderstwie, dostanę najmarniej piętnaście.

Young schylił się, aby podnieść kartę, która spadła ze stolika. Spojrział na rozłożonego pasjansa i umieścił ją w stosownym miejscu.

– Chyba jednak więcej – powiedział po namyśle – może nawet czapę. Jeśli policja znajdzie pistolet, to staniesz przed sądem nie za współudział, ale za morderstwo.

– Co ty opowiadasz? – oburzył się Whitlock. – Przecież ja go nie zabiłem.

– Czyżby? Policja będzie innego zdania, gdy znajdzie twoje odciski palców na pistolecie. Tylko twoje, Alexandrze, żadnych innych.

– Wolnego! To nie ja, to ty strzelałeś.

– Ale na broni nie ma moich śladów. Rękawiczki, stary, pamiętaj, że miałem rękawiczki. Później, gdy straciłeś przytomność, wcisnąłem ci pistolet do ręki i tym sposobem na kolbie są tylko twoje paluchy.

– Gdzie jest pistolet?

– Bez obaw, schowany.

– To taka nasza polisa ubezpieczeniowa – wtrącił Wiseman, a Young zaśmiał się, uznając, że to udany żart.

– Polisa? Na co? – zapytał Whitlock, nie rozumiejąc o czym mówią.

– Na wypadek gdybyś, przypuśćmy, chciał nas wystawić do wiatru, uciec, nawiać,

zniknąć albo jeszcze coś gorszego, zanim nie załatwimy spraw w Rzymie – odparł Wiseman.

– A jak już będzie po wszystkim, podrzucicie trefny pistolet policji, tak?

– Nie. Ty go dostaniesz, jak również sto tysięcy funtów w gotówce.

– I mam w to uwierzyć?

– A dlaczego nie? – wzruszył ramionami Wiseman. – Gdybyś nawet chciał złożyć donos na Vica, to nic ci to nie da. Jak trzeba będzie, to pół tuzina ludzi zapewni mu alibi. Przysięgną przed sądem, że w dniu zabójstwa Dave’a, czy jak on się nazywał, byli z Vikiem za granicą i w ogóle. Co do mnie, to owszem, byłem w tym czasie w Londynie, ale, mój drogi chłopcze, w krytycznych godzinach składaliśmy z jego ekscelencją ambasadorem Stanów Zjednoczonych oficjalne wizyty przedstawicielom rządu Jej Królewskiej Mości.

– Dobrze to sobie wymyśliliście. Krótko mówiąc, macie mnie w garści.

– Nareszcie pojąłeś. Ale wszystko będzie w porządku, jeśli tylko okażesz się posłuszny i zrobisz, co do ciebie należy.

– Ale o co, do diabła, chodzi? Co jest grane w Rzymie?

– Chcę znaleźć mordercę mojego brata.

– Znaleźć, czy zabić?

– Na to samo wychodzi – odparł Wiseman.

– Dobrze sobie. Mogę się domyślać, że w razie czego wszystkie ślady znów będą prowadzić do mnie.

– Niekoniecznie. Przede wszystkim nikt nie będzie wiedział, że byliście z Youngiem we Włoszech. Obaj macie fałszywe papiery. Vic, podaj paszport.

Young wyjął żądane papiery z aktówki i rozłożył je na stoliku.

– Raymond Anderson? – przeczytał Whitlock nazwisko w paszporcie bez zdjęcia właściciela.

– Mamy na pokładzie polaroid, więc za chwilę zrobimy ci odpowiednie zdjęcie – wyjaśnił Wiseman. – Vic nazywa się Vincent Yardley. Radzę ci zapamiętać to nazwisko.

– A pan?

– Ja przybywam do Rzymu oficjalnie, aby zabrać zwłoki brata.

– Jak zginął?

Wiseman nie odpowiedział. Wziął papierową teczkę ze stolika i wręczył Whitlockowi.

– Wycinki prasowe. Rzuć na to okiem.

Whitlock otworzył teczkę. W większości znał już te materiały, bo znajdowały się również w papierach dostarczonych przez Rusta, ale oczywiście nie dał znać po sobie, że

już to widział.

– A dlaczego faceci z Czerwonych Brygad zdecydowali o załatwieniu go? – zapytał.

– Nie wiem, ale zrobię wszystko, aby się dowiedzieć – odparł Wiseman. – Brat nigdy nikogo nie skrzywdził. Nauka i badania – to było całe jego życie. Mógłbym jeszcze zrozumieć, gdyby wszczęli akcję przeciwko mnie. Jestem przecież wysokim oficerem, mam kontakty w NATO i w ogóle. Ale jego? Nie pojmuję. A już najbardziej wściekło mnie, że te sukinsyny publicznie przyznały się do morderstwa. I to był błąd z ich strony, wielki błąd.

Whitlock zamknął teczkę i oddał Wisemanowi.

– Bardzo panu współczuję z powodu brata, ale nie rozumiem, na czym ma polegać moja rola.

– Polecono mi ciebie jako najlepszego kierowcę w Europie – odparł Wiseman. – Właśnie Vic potrzebuje kogoś takiego, gdy trzeba będzie szybko zniknąć, ulotnić się, odjechać. Wszystko będzie zależało od tego, kiedy i jak dobierze się do tych drani.

– Drani? A więc uważa pan, że w zabójstwie brata brało udział kilku facetów?

– Co najmniej dwóch: ktoś, kto strzelał, i ktoś, kto wydawał rozkazy. Gdyby zaś okazało się, że jeszcze ktoś maczał w tym palce, to również i on musi ponieść karę. Nie spoczne, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

– Dlaczego traktuje pan to tak osobiście? Czy nie lepiej zostawić sprawę policji?

– Jestem żołnierzem. Nauczono mnie zabijać wrogów. Czerwone Brygady to mój wróg.

– Skoro tak, to czemu sam pan tego nie załatwi, tylko wynajmuje pan Younga i mnie?

Wiseman zdjął rękawiczki i podsunął obie dłonie pod nos Whitlocka. Nie miał wskazujących palców.

– Widzisz? W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku obcięli mi je dranie z Vietcongu, gdy dowiedzieli się, że jestem strzelcem wyborowym. I tak miałem szczęście. Mogli mnie wykończyć na miejscu, ale stało się inaczej. Owszem, mogę strzelać. Mam broń robioną na zamówienie z odpowiednio przerobionym spustem. Nawet poluję, jeśli o to chodzi. Ale nie jestem już ani tak szybki, ani skuteczny jak kiedyś. Nie, nie boję się śmierci, ale zależy mi na tym, aby robota została wykonana jak należy. Dlatego musiałem zwrócić się do was. Vica znam jeszcze z Wietnamu. Był w moim plutonie. Potrafi strzelać jak rzadko kto. O tobie zaś wiem, że jesteś doświadczonym kierowcą. We dwójkę więc zrobicie to, co trzeba zrobić.

– Czas się zdecydować, Alexandrze. Wchodzisz w to, czy nie? – wtrącił Young.

– A mam wybór? – zapytał Whitlock sarkastycznie.

– Owszem. Jeśli się zgodzisz, dostaniesz czterdzieści patoli zaliczki, jeśli nie, to będziesz musiał wysiąść. Zaraz. Drzwi są tuż za tobą.

– Wielki wybór! W tej sytuacji oczywiście się zgadzam.

– Znakomicie – Wiseman był wyraźnie zadowolony. Wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Whitlockowi. – Dwadzieścia tysięcy funtów brytyjskich. Reszta po wykonaniu roboty. I jeszcze jedno: zawsze dotrzymuję słowa w interesach – dodał, widząc nieco zdziwioną minę Whitlocka. – Tak więc reszta po wykonaniu zadania.

Whitlock zajął do koperty. Zawierała zużyte banknoty pięćdziesięciofuntowe.

Young wyjął z kieszeni niewielkie pudełko i położył na stoliku przed Whitlockiem.

– Otwórz to.

Whitlock odchylił wieko. W środku znajdował się elegancki zegarek. Spojrzał pytająco na Younga.

– Załóż.

– A po co? Mam zegarek.

– Załóż, mówię – powtórzył Young.

– O co ci chodzi?

– To jeszcze jedna polisa ubezpieczeniowa, w razie gdybyś chciał nam uciec. Otóż w zegarku jest miniaturowy nadajnik radiowy, ja zaś mam odbiornik, co oznacza, że zawsze będę mógł cię znaleźć.

– Krótko mówiąc, kolczykujesz mnie jak knura.

– To tylko dodatkowe zabezpieczenie – wtrącił Wiseman. – Czterdzieści tysięcy to spora suma, *Mr Alexander*, więc rozumie pan, że potrzebne są dodatkowe gwarancje.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To trefną broń podrzucimy gdzie trzeba, cię zaś oddam w Rzymie policji, jako pasażera na gapę.

Whitlock zdjął swój zegarek i już bez słowa założył ten drugi.

Young wyjął z kieszeni miniaturowe urządzenie elektroniczne i podsunął Whitlockowi, aby dobrze się przyjrzał.

– To, synku, jest nadajnik. W kopertę zegarka włożono niewielką, ale wyjątkowo silną porcję materiału wybuchowego. Zapalnik reaguje na trzy różne sygnały. Zegarek eksploduje, jeśli będziesz próbował go zdjąć lub gdy naciśniesz przycisk na nadajniku albo wtedy, gdy nadajnik i odbiornik, a więc zegarek, znajdą się od siebie dalej niż pięć kilometrów. Wybuch będzie wystarczająco silny, byś stracił rękę.

– Nie wierzę... – Whitlock był przerażony.

– Rozumiem pańskie obawy, *Mr Alexander*, ale...

– Co tu jest do rozumienia? – wybuchnął Whitlock. – najpierw mnie porywacie,

trujecie jakimiś świństwami, później szantażujecie, a na koniec jeszcze każecie mi zakładać tę... minę. Zgodziłem się przecież, powiedziałem, że biorę tę robotę, więc po co jeszcze taki numer? Zdejmij mi to, Young, bo inaczej nie idę na robotę.

– Nic z tego – pokręcił głową Young. – Będziesz z tym chodził do końca roboty i pamiętaj, że tylko ja wiem, jak to zdjąć, aby nie spowodować wybuchu. Nie masz innego wyjścia i musisz się z tym pogodzić.

– A co pan na to? – Whitlock spojrział błagalnie na Wisemana.

– Vic zaplanował całą operację i ja się nie wtrącam. Jestem tylko obserwatorem, można by powiedzieć.

– Chodzi o to, Alexandrze, że nie mam do ciebie zaufania – rzekł ponuro Young. – To urządzenie gwarantuje, że zawsze będziesz tam, gdzie ci każę i kiedy ci każę, chyba że chciałbyś się rozstać ze swoją ręką...

Dalszą wymianę zdań przerwał pilot, ogłaszając przez głośnik, że za chwilę będą podchodzić do lądowania i że prosi pasażerów, aby zapięli pasy.

Whitlock w milczeniu patrzył na fatalny zegarek na ręce. Rzeczywiście mieli go w garści. A przynajmniej tak to wyglądało.

Zadzwoił telefon. Philpott podniósł słuchawkę.

– Szefie, zgłasza się major Lonsdale ze Scotland Yardu – zameldowała Sara.

– Łącz.

Rozległ się trzask przełączanej rozmowy.

– Pułkownik Philpott?

– Słucham, majorze. Spóźnia się pan. Czekam na wiadomość od pana już od dwóch godzin. Czy coś się stało? Wszystko w porządku z C.W.?

– Wszystko według planu. O ile wiem, zaraz będzie lądował w Rzymie.

– A skąd to całe opóźnienie?

Lonsdale pokrótce opowiedział o przebiegu wydarzeń i o tym, że odkryto zwłoki Humphriesa.

– A ta kobieta z dzieckiem? – zapytał Philpott z troską.

– Nic im nie będzie.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego Young wybrał akurat tę kobietę.

– Harris znał jej męża, Wendella Johnsona...

– Harris? – Philpott nie skojarzył nazwiska.

– Wspólnik Younga, który miał mu pomóc w porwaniu Alexandra.

– Rozumiem, ten, którego zwinęliście wczoraj.

– Właśnie. Sprawa polega na tym, że Young wymyślił sobie, iż jeśli będzie miał

zakładnika lub zakładników, to tym łatwiej wymusi na konwojentach uwolnienie Alexandra. Jednocześnie jednak nie chciał w tym celu korzystać z usług kogoś przypadkowego, kogoś, kogo musiałby najpierw porwać, bo oznaczałoby to dodatkowe ryzyko. Skorzystał więc z pomysłu Harrisa i zwabił w pułapkę Mary Robson z dzieciakiem.

– Wie pan to od Harrisa?

– Tak.

– A skąd Young wziął mundury policyjne i radiowóz?

– Mundury z wypożyczalni kostiumów teatralnych, a jeśli chodzi o radiowóz, to powiadomił komisariat o wypadku samochodowym, czy o czymś podobnym, i gdy ekipa przyjechała, to z Humphriesem obezwładnili załogę i tyle.

– A jak im się udało przesmuglować Whitlocka do samolotu?

– Jak pan wie, prywatny samolot Wisemana znajdował się na terenie bazy amerykańskiej. Wartownik przy bramie twierdzi, że w samochodzie Wisemana, gdy ten zjawił się w bazie, były tylko dwie osoby, to znaczy Wiseman i kierowca...

– Kierowca to Young?

– Oczywiście. Rysopis zgadza się z osobnikiem, którego zapamiętałem z akcji na karetkę więzienną. Domyślamy się, że Whitlocka ukryli w bagażniku. Zapewne był nieprzytomny. Nie sprawdzaliśmy tych spraw, żeby nie budzić podejrzeń, bo jeszcze ktoś „życzliwy” mógłby dać znać Wisemanowi.

– To bardzo rozsądne z pańskiej strony, majorze. Jesteśmy panu wdzięczni za pomoc.

– Zawsze do usług, pułkowniku.

– Dam panu znać, kiedy będzie można oddać prawdziwego Alexandra w ręce policji.

– Dobrze. Do tego czasu będzie naszym „gościem”.

Philpott odłożył słuchawkę, a po chwili poprosił Sarę, aby połączyła go z Kolczyńskim w Rzymie.

Paluzzi zatelefonował do rezydencji Nikkiego Karosa na Kor z prośbą o pilną rozmowę. Odmówił podania szczegółów sprawy przez telefon, więc po chwili wahania Karos zgodził się przyjąć Paluzziego i Grahama osobiście. Uzgodnili, że zaraz po południu zjawią się na wyspie.

Z Rzymu lecieli cessną, dyspozycyjną maszyną NOCS. Na lotnisku w Korfu – stolicy wyspy – przesiadli się do helikoptera Alouette. Pilotował Marco. W ciągu kilku minut pokonali dwadzieścia kilometrów dzielących lotnisko od rezydencji Karosa na zboczach góry Aji Deki i około trzeciej znaleźli się na miejscu.

Marco posadził maszynę tuż obok czekającego na nich białego mercedesa. Kierowca, z wielkim bernadelli w kaburze przy pasie, zażądał, aby oddali mu broń, zapewniając, że odzyskają swoje beretty przy wyjeździe z wyspy. Wsiedli do auta i po chwili znaleźli się u wrót pięknej willi w hiszpańskim stylu, wzniesionej na zboczu góry. Tu kierowca oddał ich w ręce lokaja we fraku, który poprowadził gości do przeszklonej windy zawieszanej na szczytowej ścianie budynku. Wjechali na górę, na taras widokowy urządony na dachu willi, z basenem o rozmiarach olimpijskich pośrodku. Roztaczał się stąd wspaniały widok na całą okolicę. Podczas gdy lokaj zajął się drinkami, podziwiali wspaniałą panoramę laguny Khalikiopoulos, szczytu Pandokrator – najwyższego wzniesienia na wyspie – i brzegów Albanii, daleko na horyzoncie.

Graham zainteresował się basenem. Sprawdził temperaturę wody. Była ciepła. Na ścianie, przy windzie, zobaczył cały rząd szklanych terrariów. W sumie było ich sześć, a w każdym znajdowała się para węży. Podeszedł bliżej. Wedle plakietek umieszczonych na szkle były to najbardziej jadowite gatunki na świecie: zielona mamba, królewska kobra, grzechotnik i tym podobne.

– Piękne, prawda? – zapytał ktoś za plecami Grahama. Mike obrócił się. Mężczyzna, który nie zauważony wysiadł właśnie z windy, miał około pięćdziesięciu pięciu lat, niesymetryczną twarz i charakterystyczny, wielki nos. Ubrany był w elegancki biały garnitur i miękki kapelusz typu panama.

– Karos, Nikki Karos – przedstawił się wyciągając rękę na powitanie. – Pan Paluzzi, prawda?

– Graham z Departamentu Stanu.

– Amerykanin?! – zdziwił się Karos i przywitał się z Paluzzim, który do nich dołączył.

– Gady, moi panowie, to gatunek wart największego podziwu – Karos nie odrywał wzroku od węży – trwa na naszej planecie od trzech milionów lat. Dał początek dinozaurom, ichtiozaurom, plezjozaurom i całej reszcie owych wspaniałych, prehistorycznych stworzeń, które ongiś zamieszkiwały naszą planetę. Od gadów także wywodzą się ptaki i ssaki. Tak, moi panowie, gdy rodzaj ludzki doprowadzi wreszcie do samozniszczenia, a jest to nieuniknione, gady przetrwają i proces ewolucji zacznie się na nowo.

– A dlaczego wyróżnia pan właśnie węże, a nie, powiedzmy, krokodyle czy jaszczurki, też należące do gadów?

– To kwestia estetyki, *Mr* Graham. Czyż nazwie pan pięknym krokodyla, który jawi się jak kłoda drewna w bagnie? Czy strachliwa jaszczurka jest w stanie pobudzić wyobraźnię konesera? Węże, proszę pana, to co innego. Niech pan tylko spojrzy na ich

wysmukłe kształty. Niech pan pomyśli, jak błyskawicznie potrafią zaatakować zdobycz. Niech mi pan wierzy, całymi godzinami potrafię przyglądać się tym wspaniałym istotom, prawdziwym wybrańcom natury – dokończył z uśmiechem. – Wybaczcie mi, panowie, rozgadałem się. Usiądźmy – zaprosił – i przejdźmy do rzeczy. Co panów sprowadza do mojej samotni?

Zajęli miejsca przy stoliku, tuż przy basenie połyskującym w promieniach marcowego słońca. Podano drinki i tacę *loukanike* – miniaturowych, ostro przyprawionych kielbasek stanowiących miejscową specjalność. Graham odprowadził wzrokiem lokaja i dopiero wtedy zobaczył, że na tarasie jest jeszcze ktoś. Potężny, muskularny mężczyzna stał nieruchomo przy windzie, z rękami założonymi na piersiach. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, żelazne mięśnie – ocenił Mike. Ochroniarz – a był on bez wątpienia osobistym gorylem Karosa, o gładko wygolonej głowie i ze złotym kolczykiem w uchu – przywiódł mu na myśl piratów z popularnych filmów z Errolem Flynnem, które oglądał w młodych latach.

– Ach, to Boudien – wyjaśnił uprzejmie Karos, zerkając na olbrzyma. – Służy u mnie od pięciu lat. Pochodzi z Algierii. Jest wyjątkowo małomówny, ale proszę mi wierzyć, panowie, że gdy już coś powie, to nie ma nikogo, kto by go nie posłuchał.

– Nie wątpię, nie wątpię – skomentował Graham, sięgając po kieliszek.

– A więc, panowie, czym mogę służyć? Muszę przyznać, zaskakuje mnie obecność przedstawiciela Departamentu Stanu. Nie prowadzę interesów w Ameryce, *Mr Graham* – podkreślił z uprzejmym uśmiechem.

– Nic chodzi o Amerykę – rzekł Graham ostrym tonem. – Co pan wie o Vittorem Dragottim? – zapytał, licząc na zaskoczenie.

Karos zachował kamienną twarz, i nic dziwnego. Mieli do czynienia z prawdziwym zawodowcem. Milczał, smakując trunku.

– Przykro mi – powiedział po chwili – nic mi to nazwisko nie mówi.

Paluzzi uznał, że nie ma co czekać i trzeba z miejsca przystąpić do realizacji planu, który uzgodnili z Grahamem w samolocie. Wyjął więc z kieszeni plik kwitów bankowych i podsunął Karosowi.

– Znaleźliśmy to w jego kasie pancernej – wyjaśnił. – Na czterech z nich figuruje pańskie nazwisko – nazwisko płatnika. Czy zechciałby pan to wyjaśnić?

Karos zmarszczył brwi, założył okulary i przez dłuższą chwilę studiował dokumenty.

– To rzeczywiście zagadka – powiedział, zdejmując okulary. – Nie przypominam sobie, abym miał jakieś interesy z panem Dragottim. Czy wolno zapytać, kim on jest i jaką firmę reprezentuje?

– Zawiaduje działem sprzedaży w rzymskim oddziale koncernu Neo-Chem

Industries.

– Neo-Chem? Farmaceutyki? To nie moja branża – zaśmiał się Karos – ale nie można wykluczyć, że któryś z moich współpracowników prowadził jakieś transakcje...

– Dość tej zabawy, Karos – warknął zniecierpliwiony Paluzzi. – Wszyscy wiedzą, że osobiście podpisuje pan wszystkie czeki swojej firmy, więc gdyby nawet negocjacje z Dragottim prowadził, jak pan twierdzi, któryś z pańskich współpracowników, to i tak musiałby pan o wszystkim wiedzieć.

– Daj spokój, Fabio – wtrącił Graham, zgodnie z ustalonym wcześniej planem. – Szkoda czasu. Powiedz temu draniowi, że Dragotti wszystko wyśpiewał i skończmy tę komedię.

– Nie wtrącaj się. Ja to załatwię.

– Dość tych żartów – Graham spojrział głęboko w oczy Karosa. – Dragotti wszystko powiedział. Przesłuchiwaliśmy go dziś rano. Poszedł z nami na układ, bo zrozumiał, że tylko ujawniając wasze brudne interesy, może liczyć na łagodniejszy wyrok. Tak więc przyznał, że kontaktował ciebie z Wisemanem i dał nam dowód w postaci tych dokumentów. Wystarczy?

Karos nie był już tak pewny siebie, jak jeszcze przed chwilą. Zaczął się pocić. Przetarł nerwowo czoło i zerknął na Boudiena, który już dostrzegł, że przy stoliku dzieje się coś podejrzanego i chciał interweniować. Karos dał mu znak i Boudien zniknął w windzie.

– To, co zeznał Dragotti – naciskał Graham – wystarczy, żebyś zarobił co najmniej dwadzieścia lat w pudle.

– Chwileczkę – odparł Karos chrapliwym głosem – mam pewną propozycję.

– Nie interesują nas twoje propozycje.

– Ale ja nie mogę pójść do więzienia.

– To twoja sprawa.

– Nie mogę, bo mnie wykończą.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Karos wstał z miejsca i przeszedł nerwowo kilka kroków. Oparł się o barierkę otaczającą taras i spojrział tęsknie na lagunę.

– Dam wam Ubrina – rzekł po namyśle. – Zaprowadzę was do niego. Odzyskacie fiolkę. W zmian dacie mi dwanaście godzin na zniknięcie. To chyba niewiele za taką przysługę.

Graham udał, że się zastanawia.

– Co o tym sądzisz? – spojrział na Paluzziego.

Paluzzi milczał przez chwilę, wreszcie skinął głową na znak, że akceptuje

propozycję.

– Zgoda – rzekł. – Kiedy?

– Dziś wieczorem. Mamy się spotkać o ósmej przy Sant'Ivo w Rzymie.

– Będzie miał fiołkę ze sobą? – upewnił się Paluzzi, notując coś w notesie.

– Myślę, że tak. Kazano mu strzec fiołki, jak źrenicy w oku,

– Sant'Ivo? – powtórzył Graham. – Gdzie to jest?

– To kościół w pobliżu Panteonu – pośpieszył z wyjaśnieniem Paluzzi.

– Dlaczego właśnie tam?

– Nie mam pojęcia – Karos wzruszył ramionami. – Ubrino wyznaczył miejsce i godzinę. Powiedział, że sprawa jest niezwykle ważna i że musimy się pilnie spotkać.

– Ostrzegam cię, Karos – pogroził Graham – jeśli wpuszczasz nas w maliny, to wylądujesz w pudle wcześniej, niż myślisz.

– Dlaczego miałbym kłamać? Nie mam już nic do zyskania. Zapadło milczenie. Trzej mężczyźni spoglądali na siebie nieufnie.

– Dla kogo pracujesz, Karos? – przerwał ciszę Paluzzi.

– Dla nikogo – odparł z dumą zapytany. – Pomagam tylko samemu Linowi Zocchiemu. To szef Czerwonych Brygad w Rzymie!

– A jak to się stało, że skontaktował się on właśnie z tobą?

– Mam kapitał, a on potrzebował funduszy na akcję, której krajowe kierownictwo Brygad nie chciało uznać.

– Ile dostał Wiseman? – zapytał Graham.

– Sto tysięcy dolarów. Tyle co nic, biorąc pod uwagę produkt. Ten wirus jest bezcenny.

– A kto wpadł na pomysł drugiej fiołki, tej z gazem?

– Zocchi. To wielki umysł. Gaz to oczywiście kamuflaż.

– To znaczy, że Ubrino wie, iż w jego fiołce jest wirus? – upewnił się Paluzzi.

– Oczywiście. Już mówiłem, że gaz to tylko zasłona.

– A ile ty miałaś dostać?

– Dwadzieścia milionów funtów!

– Kupa szmalu. Jak Zocchi zamierzał to zdobyć?

Karos nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową na znak, że nie wie, i wtedy zobaczył, że od strony laguny zbliża się helikopter spora, ponaddziesięciometrowa maszyna typu Gazelle.

– Długo będziesz się tak gapił? – przywołał go Graham.

Karos oderwał wzrok od helikoptera i spojrzał na Grahama.

– Zocchi nic mi na ten temat nie mówił. Mogę się tylko domyślać, że chciał wymusić

okup i oczywiście wyjść z więzienia.

Graham nie patrzył już na Karosa. Szum silników helikoptera stawał się coraz głośniejszy. Maszyna zbliżała się w szybkim tempie, podejrzenie szybkim. Kątem oka zobaczył jeszcze, że jest uzbrojona. Po obu stronach kadłuba widać było lufy działek trzydziestomilimetrowych. Nie było czasu do stracenia. Wymierzył cios i Paluzzi razem z krzesłem, na którym siedział, wylądował w basenie. Graham wskoczył do wody w ślad za nim i w tym momencie usłyszał pierwszą serię. Karos uniósł się w górę, jakby pchnięty niewidzialną ręką, a na nieskazitelnej bieli jego garnituru wykwitły szkarłatne plamy. Martwe już ciało opadło na barierkę i stoczyło się na drugą stronę, ku przepaści. Druga seria omiotła taras. Pilot położył maszynę w zakręt i wziął kurs na miasto w oddali.

Graham z Paluzzim odczekali jeszcze dziesięć sekund pod wodą i ostrożnie unieśli głowy nad powierzchnię, łapiąc powietrze. Helikoptera nie było już w zasięgu wzroku. Podpłynęli do schodków. Graham wyszedł pierwszy, tuż za nim Paluzzi. Szczątki Karosa spoczywały na skałach, trzydzieści metrów poniżej tarasu. Paluzzi zaklął głośno po włosku i otarł dłonią twarz. Skrzywił się, widząc krew na palcach.

– Przepraszam cię, ale nie miałem wyboru – usprawiedliwił się Graham na widok zmiażdżonej górnej wargi przyjaciela.

– Uratowałeś mi życie – na znak wdzięczności Paluzzi poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Nie ma o czym mówić – skwitował sprawę Graham, ściągając przemoczoną koszulę.

Z windy wynurzył się Boudien w towarzystwie dwóch goryli, równie potężnych jak on, z automatami Spectre w rękę. Przebiegli przez taras i chwilę spoglądali na ciało Karosa, rozciągnięte na skałach. Odwrócili się i żywo gestykulując, zaczęli rozmawiać, zerkając raz po raz na Grahama i Paluzziego.

– Mówią, że to my zastawiliśmy pułapkę na Karosa – szepnął Paluzzi do Grahama.

– Widzieliście maszynę? – zapytał Boudien.

– Nie – skłamał Paluzzi. – To znaczy, nie wiem, co to był za typ helikoptera. Zauważyłem tylko, że w kabinie był jeden człowiek.

– Jak wyglądał?

– Żartujesz chyba. Nie miałem czasu, żeby się przyglądać, Skoczyłem do wody.

Boudien nie miał więcej pytań. Obrócił się w stronę barierki otaczającej taras i wpatrywał się w lagunę.

– A ty wiesz, kto to mógł zrobić? – zapytał go Paluzzi.

– *Signore* Karos miał wielu wrogów.

– A może to Lino Zocchi? – podpowiedział Paluzzi pilnie bacząc, jak Boudien zareaguje.

– Nie znam go – na twarzy Boudiena nie drgnął ani je mięsień. – *Signore* Karos nigdy ze mną nie rozmawiał o interesach. A kto to taki, ten Zocchi? – Boudien stał się nagle podejrzliwy. – To z jego powodu przyjechał pan tu razem z tym Amerykaninem?

– Nie, ale to nazwisko padło w rozmowie z twoim szefem.

– Zaraz zjawi się policja – oświadczył Boudien. – Powie im pan o tym Zocchim. I niech pan nie zapomni wspomnieć, jak to się stało, że *Signore* Karos nie żyje, a wy obaj wyszliście bez szwanku.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zaaranżowaliśmy zabójstw Karosa?

– To sprawa policji, nie moja. Na razie zostanieie pod strażą moich ludzi. Jeden podejrzany ruch i koniec z wami.

Boudien zakończył rozmowę i poszedł do windy. Paluzzi pokrótce wyjaśnił sytuację Grahamowi.

– Wesoło nie jest – skomentował Graham. – Zwłaszcza że nie można się stąd wydostać inaczej niż tylko windą.

– Miejmy nadzieję, że Angelo usłyszał strzały – rzucił Paluzzi.

– Jeśli nawet, to co z tego?

– Ma na pokładzie drabinkę sznurową. Gdyby wyrzucił ją na zewnątrz i nadleciał nad taras, to kto wie, może udałoby nam się wydostać... Byłaby szansa.

– Jest czwarta siedemnaście – Graham zerknął na zegarek. – Dajmy mu trzy minuty. Jeśli się nie zjawi, będziemy musieli liczyć tylko na siebie. Musimy się stąd wydostać, zanim zjawią się gliny. Karos pewnie szmalcował miejscową policję.

– A strażnicy? Jeden krok w stronę windy i leżymy martwym bykiem.

– Tak samo będzie, jak nadleci Angelo. Nie mamy wyjścia, trzeba ich załatwić. I to już, bo widzę, że Angelo to jednak mądry człowiek – Graham wymownie spojrział w stronę nadlatującej maszyny.

– No więc, co robimy?

– Zobaczmy najpierw, co oni robią. W razie konieczności, ty bierz tego niższego, z lewej.

Słyszac szum nadlatującej maszyny, obaj strażnicy opuścili posterunek obok windy i ruszyli w stronę Paluzziego i Grahama, którzy stali przy barierce po drugiej stronie tarasu. Gestami dali znak, aby więźniowie przeszli w głąb werandy. Paluzzi i Graham podnieśli ramiona tak, jakby się poddawali. Jeden ze strażników trzymał ich na muszce, drugi wsparł automat o barierkę i mierzył w śmigłowiec. Czekał tylko, aby maszyna znalazła się w zasięgu ognia. Graham z Paluzzim spojrzeli po sobie. Nie było chwili do

stracenia. Paluzzi jednym skokiem dopadł niższego z drabów. Podbił rękę, w której ten trzymał automat, a jednocześnie wymierzył silny cios kolaniem w podbrzusze. Strażnik zawył z bólu i wypuścił broń. Graham błyskawicznie podniósł automat i z paru kroków strzelił prosto w głowę drugiego strażnika, gdy ten szykował się do wypuszczenia serii w stronę helikoptera. Strażnik padł. Paluzzi podbiegł, wyrwał mu automat z ręki i odwrócił się stroną windy, licząc się z tym, że lada moment może zjawić się Boudien z posiłkami.

Angelo położył helikopter w ciasny wiraż i maszyna zawisła nad tarasem. Z otwartych drzwi zwisała drabinka sznurowa.

- Ty pierwszy – Graham dał znak Paluzziemu, starając się przekrzyczeć huk silnika.
- Nie. Już raz mnie uratowałeś. Muszę ci się zrewanżować.
- Nie ma o czym mówić. Włącz i już.

Paluzzi ustąpił. Rzucił okiem na wejście do windy i na helikopter wiszący kilka metrów nad tarasem. Drabinka odbiła się od barierki i miał już ją w zasięgu dłoni. Chwytał lewą ręką za szczeble. Z prawej nie wypuszczał automatu. Podmuchał powietrzem podniósł maszynę w górę. Graham wystrzelił w stronę windy, która właśnie nadjechała, i podskoczył w górę, łapiąc ostatni szczebel drabinki sznurowej. Automat wypadł mu z ręki, a gdy helikopter obierał kurs na lagunę, drabinka zakołysała się i Graham uderzył boleśnie głową w barierkę.

Z windy wyskoczyło dwóch uzbrojonych strażników. Wystrzelili serię za serią w stronę śmigłowca. Chybili, a po sekundzie helikopter był już poza zasięgiem ognia.

Krew spływała po twarzy Grahama. Po uderzeniu o barierkę nieomal stracił przytomność. Czuł, że siły go opuszczają. Lewa ręka nie wytrzymała ciężaru ciała. Trzymał się tylko prawą dłonią i całą siłą woli starał się zachować świadomość. Drabinka kołysała się niebezpiecznie. Ostatnim wysiłkiem podrzucił lewą rękę góry i chwycił następny szczebel. Próbował podciągnąć się rękami, ale nie miał już siły. Palce zaczęły się ześlizgiwać. Jeszcze chwila, a osunie się w otchłań. Lecieli już nad laguną. Graham czuł, że lewa ręka odmawia mu posłuszeństwa, palce rozwierają się i dłoń nie trzyma już drabinki. W tej właśnie chwili poczuł jak Paluzzi chwycił go mocno za przegub. Podniósł głowę, szum powietrza i dudnienie silnika zagłuszały krzyk przyjaciela. Ból w głowie był nie do zniesienia. Graham tracił przytomność i nie zauważył nawet, że Angelo zniżył lot. Poczul tylko, że stopami dotyka powierzchni wody. Otworzył jeszcze na chwilę oczy i zdołał dostrzec, że sunie zanurzony w morzu.

- Skacz! – krzyknął Paluzzi.

Graham nie usłyszał, ale omdlała dłoń puściła i osunął się wody. Paluzzi skoczył za nim. Dopłynął do omdlałego przyjaciela i otoczył go ramieniem, podtrzymując nad

falami.

Siedziba NOCS w Rzymie mieści się w sporym, szarym budynku przy via Po, tuż obok konsulatu niemieckiego. Wedle oficjalnych spisów agend rządowych, pod tym adresem znajduje się archiwum Ministerstwa Obrony i także tabliczka widnieje przed wejściem.

Paluzzi i Marco szli przepastnym korytarzem, na którego końcu znajdowały się dębowe drzwi bez żadnej wizytówki ani nawet numeru. Weszli do środka, zamykając za sobą wejście. Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu pełnym półek i regałów z setkami kartonów zawierających archiwalne dokumenty. Doszli do przeciwległej ściany, też zabudowanej regałami pod sam sufit. Marco nacisnął stosowną kombinację cyfr na niewielkim urządzeniu elektronicznym, które dobył z kieszeni, i część regałów odsunęła się ukazując przejście zamknięte solidnymi stalowymi drzwiami. Marco ponownie uruchomił przekaźnik, wybierając jeszcze inną kombinację cyfr. Drzwi odchyliły się i ich oczom ukazał się korytarz wyłożony grubym, błękitnym chodnikiem. Weszli do środka. Marco znowu włączył przekaźnik. Regał i drzwi zasunęły się i nikt obcy by się nie zorientował, gdzie zniknęła dwójka „archiwistów”.

Paluzzi polecił Marcowi, aby pilnie sprawdził, czy w materiałach SNOCS jest coś na temat Boudiena, sam zaś skierował się do swojego gabinetu, aby zapoznać się z informacjami na automatycznej sekretarce. Było kilka wiadomości, a wśród nich pilna prośba generała brygady Michele’a Pesca – szefa NOCS – aby natychmiast zameldował się u niego. Paluzzi nie słuchał już dalszych nagrań, lecz natychmiast udał się do gabinetu Pesca.

Szef NOCS miał czterdzieści kilka lat, krótko – po wojskowemu – ostrzyżone włosy i chłodne, błękitne oczy. Niedawno jeszcze służył w *Brigate Cadore* – jednej z pięciu elitarnych brygad strzelców alpejskich. Powierzono mu dowództwo NOCS trzy miesiące temu, gdy jego poprzednik na tym stanowisku zginął tragicznie w czasie ćwiczeń na Sycylii. Weterani NOCS raczej źle przyjęli nominację generała. Powszechnie uważano, że stanowisko to powinien objąć Paluzzi, zwłaszcza że Pesco nie miał doświadczenia operacyjnego. Nowego szefa ciągle jeszcze traktowano jak intruza, a Paluzzi nie był z nim w dobrych stosunkach. Generał zazdrościł mu sympatii, jaką Paluzzi cieszył się wśród wszystkich funkcjonariuszy NOCS, a z kolei Paluzzi miał za złe swemu szefowi, że zajął fotel, który – jak uważał – należał się jemu. Obaj starali się siebie unikać, rzadko ze sobą rozmawiali, a nawet nie próbowali ukrywać wzajemnej niechęci. Konflikt w kierownictwie NOCS nie był zresztą dla nikogo tajemnicą. Trwał jednak, gdyż w Sztabie Generalnym nikt nie potrafił zdecydować, którego z adwersarzy zostawić,

a którego przenieść gdzie indziej.

Paluzzi zapukał. PESCO otworzył drzwi. Jak zwykle palił cygaro i gabinet spowijała gęsta chmura dymu. Przywitali się chłodno, bez słów. Paluzzi uśmiechnął się dopiero na widok Kolczyńskiego i Sabriny, którzy siedzieli na sofie pod ścianą.

– A gdzie jest Mike? – zaniepokoiła się Sabrina.

– W szpitalu San Giovanni, ale nic mu nie będzie – pośpieszył z wyjaśnieniem Paluzzi, widząc niepokój na twarzach gości.

– Co się stało? – poderwał się Kolczyński.

Paluzzi krótko opowiedział o przebiegu wydarzeń na Korfu i o tym, jak nieprzytomnego Grahama i jego samego wyłowił patrol Straży Przybrzeżnej, który zjawiał się na miejscu, gdy Marco nadał SOS przez radio.

– Czy rana jest poważna? – dopytywała się Sabrina.

– Czternaście szwów, ale w sumie nic groźnego. Lekarze bardziej obawiali się, że uderzenie mogło uszkodzić nerw wzrokowy, ale to też się wyjaśniło. Testy nie potwierdziły obaw. Zatrzymali go jednak do jutra, na wszelki wypadek. Nie muszę dodawać, że Mike buntował się i chciał zaraz opuścić szpital.

– Lepiej niech sobie trochę odpocznie – powiedział Kolczyński. – Jest wpół do siódmej – dodał, spoglądając na zegarek. – Ile czasu potrzeba na dojazd do Sant'Ivo?

– Niewiele. Dziesięć minut. To całkiem blisko.

– Ja pojedę z majorem – zaoferowała się Sabrina.

– Wykluczone. Twoje miejsce jest przy Calvierim, więc wrócisz do hotelu i żebyś mi go z oka nie spuszczała! Ja pojedę z majorem.

Sabrina nie była zadowolona z tej decyzji, ale już nic nie powiedziała, spojrzała tylko złym wzrokiem na przełożonego.

PESCO wypalił cygaro.

– Jak rozumiem, wszystko uzgodniono – powiedział wstając z miejsca. – Zostawiam więc pana, *Mr* Kolczyński, w doświadczonych rękach majora Paluzziego. Na mnie już czas. Mam wieczorem konferencję z szefem Sztabu Generalnego. Gdybym był panu potrzebny, to major wie, gdzie mnie szukać.

– Dziękuję panu za pomoc, generale – Kolczyński wstał z szacunkiem, aby pożegnać gospodarza.

– Działamy we wspólnej sprawie – zauważył uprzejmie PESCO. – Miło było panią poznać, *Miss* Carver. – Skinieniem głowy pożegnał Paluzziego i wyszedł.

– Coś mi się wydaje, że nie zalicza go pan do swoich przyjaciół, majorze – zauważyła Sabrina, gdy zamknęły się drzwi za generałem.

– Sabrina! – skarcił ją Kolczyński.

– On też za mną nie przepada i nie robi z tego tajemnicy. Szczerze powiem, nikt go tu nie lubi. Wrzód na tyłku, ot co – powiedział Paluzzi z brutalną otwartością. – Jego poprzednik, Giuseppe Camerallo, to był ktoś! Sam dawał przykład. Owszem, wymagał, ale przede wszystkim od siebie. Pesco natomiast nie dość, że nie ma żadnego doświadczenia operacyjnego, to nawet nie pofatygował się na żadne ćwiczenia. To gryzpiórek. Wszyscy wiedzą, że nie nadaje się na to stanowisko. Tu potrzebny jest ktoś z talentem operacyjnym, jak Camerallo.

– Skoro tak, to dlaczego go tu przysłano? – zapytała Sabrina.

– Właśnie dlatego, że jest gryzpiórkiem. Camerallo nie znał się na papierach i nie ukrywał tego. Mierziły go sprawozdania i raporty i rzeczywiście, jak doszło do kontroli, to okazało się, że w księgach są kolosalne luki. Właśnie wtedy „góra” zadecydowała, żeby przysłać tu biurokratę, mnie zaś powierzono sprawy operacyjne. Pesco nie ma autorytetu u ludzi, ma natomiast ciągle pretensje. Nie może zrozumieć, że w naszej branży niczego zza biurka nie zwojuje. A mnie szczególnie nie lubi – zakończył, siadając na skraju biurka. – A jak poszło w Wenecji? – Zmienił temat.

Sabrina opowiedziała o pustym domu i daremnym pościgu za tajemniczą motorówką.

– A spróbowaliście ustalić tożsamość właściciela?

– Odtworzyłam dość dokładny rysopis. Pesco polecił sprawdzić w komputerze, ale nie ma jeszcze odpowiedzi.

Paluzzi sięgał już po telefon, aby zainterweniować gdzie trzeba, gdy zjawił się Marco z plikiem papierów w ręku.

– Mam coś na temat Boudiena... – zawołał od progu i przerwał, widząc Kolczyńskiego i Sabrinę. – Przepraszam, nie wiedziałem, że ma pan gości.

– Wchodź, wchodź – dał mu znak Paluzzi. – Poznaj, to pan Siergiej Kolczyński, zastępca dyrektora UNACO i panna Sabrina Carver. Sabrina pracuje stale z Mike'em. A to porucznik Angelo Marco, mój asystent.

Dopełniono formalności. Marco wręczył papiery Paluzziemu,

– Jeszcze jedna prośba, Angelo. Dowiedz się, co się dzieje z rysopisem, który powinni sprawdzać na identografie. Sabrina mówi, że materiał wprowadzono do komputerów już jakieś dziesięć minut temu.

Angelo wyszedł.

– A więc – ciągnął Paluzzi – mamy tu informacje dotyczące Philippe'a Boudiena. To osobisty goryl Karosa – wyjaśnił, widząc, że ani Sabrina, ani Kolczyński nie skojarzyli nazwiska. – Zaraz każę zrobić kopie na wasz użytek.

– Mam nadzieję, że ten... jak mu tam, Boudien, ma już anioła stróża? – wtrącił Kolczyński.

– Owszem. Dwudziestoczwierogodzinna obserwacja, podsłuch telefoniczny. Na razie brak rewelacji – Paluzzi usiadł za biurkiem na miejscu Pesca. – Są jakieś wiadomości od Whitlocka? Nie mylę nazwiska, prawda?

– Telefonował po południu – odparł Kolczynski, zapalając papierosa. – Wzięli z Youngiem pokoje w pensjonacie. Wiseman zatrzymał się w hotelu Hassler-Villa Medici.

– Musi być niezłe dziany – Paluzzi aż gwizdnął z podziwu. To chyba najdroższy hotel w mieście.

– Bogato się ożenił i niezłe wyszedł na rozwodzie. Eks-małżonka odziedziczyła w spadku stocznię Whiting pod Nowym Jorkiem. Pięć lat temu sprzedała ją za blisko sto milionów dolarów. Wedle umowy rozwodowej Wiseman dostał rancho w Kolorado, samolot i coś około dziesięciu milionów dolarów. Rozstali się w zeszłym roku.

– Dziesięć milionów plus pensja generalska? No, no! Gdyby ja miał taki szmal, już dawno podałbym się do dymisji.

– Wiseman nie przywiązuje wagi do pieniędzy. Wojsko to całe jego życie i trzeba przyznać, że jest żołnierzem z krwi i kości.

Zadzwoił telefon. Paluzzi chwilę słuchał i zaczął naciskać odpowiednie przełączniki na komputerze generała Pesca.

– Jest coś ciekawego? – zapytała Sabrina, gdy odłożył słuchawkę.

Paluzzi kiwnął tylko głową na potwierdzenie i uruchomił drukarkę. W niespełną minutę mieli już odbitki dwóch fotografii.

– Tak, to ten człowiek – krzyknęła Sabrina, podając zdjęcia Kolczynskiemu. – A dlaczego przysłali dwa zdjęcia?

– Bo mamy do czynienia z bliźniakami – wyjaśni! Paluzzi. – Są podobni do siebie jak dwie krople wody. Jedyna różnica to pieprzyk na policzku. Tylko dzięki temu można ich w ogóle odróżnić.

Sabrina jeszcze raz uważnie obejrzała zdjęcia.

– Rzeczywiście! Kubek w kubek.

– A którego z nich widziała pani w Wenecji? – zapytał Paluzzi.

– Chyba tego z pieprzykiem na policzku. Tak, jestem pewna, że to on. A co to za faceci?

– Carlo i Tommaso Francia.

– Który jest który?

– Carlo był w Wenecji, co oznacza, że na Korfu musiał być Tommaso.

– Nie rozumiem – wtrącił Kolczynski. – Nie wspominał pan o nim, opowiadając o wydarzeniach na Korfu, stwierdził pan też, że nie widział pilota śmigłowca, który

ostrzelał willę Karosa.

– To prawda, ale wiadomo, że bracia zawsze pracują razem, to znaczy, wspólnie podejmują się wykonania zadania.

– Wiemy coś więcej o nich?

Paluzzi wprowadził kolejne polecenie do komputera i na ekranie kazało się kilkanaście linijek tekstu w języku włoskim. Paluzzi przeczytał, w myślach układając angielską wersję.

– Urodzili się w Salerno, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Ich rodzice wkrótce umarli. Chłopcy mieli talent sportowy i wieku kilkunastu lat zajęli się profesjonalnie narciarstwem. Carlo uprawiał zjazd, Tommaso odnosił sukcesy w slalomie. W roku siedemdziesiątym szóstym zakwalifikowali się do reprezentacji Włoch na zimowe Igrzyska Olimpijskie. Niestety w przeddzień zawodów u obu wykryto środki dopingujące i zostali dożywotnio zdyskwalifikowani. Przez pewien czas zatrudniali się jako kaskaderzy w wytwórniach filmowych, aż w końcu, gdy dobiegali trzydziestki, trafili do podziemia. Nie są związani z żadną organizacją. Działają na własny rachunek, wynajmując się do różnych nielegalnych operacji, głównie we Włoszech i w Grecji.

– Miał już pan z nimi do czynienia?

– Osobiście nie, ale wiele o nich słyszałem.

– Należą do sympatyków Czerwonych Brygad?

– Niezupełnie. Nie kierują się żadnymi sympatiami osobistymi. Idą tam, gdzie są pieniądze, panno Carver. Żądają najwyższych stawek. Są dobrzy i skuteczni w swojej specjalności, więc mogą stawiać warunki. Stanowią chyba najlepszą parę zawodowych przestępców w całym basenie Morza Śródziemnego.

– To rzeczywiście ironia losu – rzuciła Sabrina. – Karos sam sfinansował swoją śmierć.

– Na to wygląda – rzekł ponuro Paluzzi.

– A co się z nimi teraz dzieje? – zapytał Kolczynski.

– Bóg jeden raczy wiedzieć. Krążą z miejsca na miejsce. Mają letnią rezydencję we Frezene. To taka miejscowość letniskowa jakieś piętnaście kilometrów od Rzymu. Od roku jednak nikt ich tam nie widział. Oczywiście dom jest po obserwacji, ale niczego nie udało się nam ustalić. Nic dziwnego, mamy do czynienia z prawdziwymi profesjonalistami.

– A może pójść tropem helikoptera? Białe gazelle z dwoma działkami trzydziestomilimetroowymi to rzadka maszyna.

– Moi ludzie już się tym zajmują, ale nie obiecuję sobie zbyt wiele. Maszynę łatwo

ukryć.

– Ejże? – zaprotestował Kolczyński. – Helikopter to nie drobiazg.

– Owszem, to nie drobiazg – potwierdził Paluzzi – tylko gdzie mamy szukać? We Włoszech? W Grecji? Na Sardynii czy może na Sycylii? Są tysiące miejsc, a czasu mało.

– Chyba że uda nam się dziś odzyskać fiolkę – Kolczyński był niepoprawnym optymistą.

– Oby, choć raczej wątpię – rzekł Paluzzi. – Nasz przeciwnik niezwykle starannie zaplanował całą operację. Można z gór założyc, że Ubrino nie pokaże się nigdzie, gdzie mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo.

– Sądzi pan więc, że to dzisiejsze spotkanie to pułapka?

– Nie wykluczam tego. Zwłaszcza że Karos nie żyje. W czasie rozmowy z nim zakładałem jeszcze, że wszystko jest w porządku. Wydawało mi się, że Ubrino nie zaryzykowałby strzelaniny w Rzymie, w obawie że Karos mógłby zginąć. Później jednak przyszło mi do głowy, że spotkanie mogło być pułapką zastawioną właśnie na Karosa. Karos sporo wiedział i z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyc, że Ubrino chciał go zwabić w odpowiednie miejsce i wykończyć. Gdy jednak się okazało, że wpadliśmy na trop Karosa, i Ubrino zrozumiał, że wiemy o jego związkach z Karosem, zmienił plany, starając się go wyeliminować, zanim zacznie sypać.

– To chyba racja – wtrącił Kolczyński. – Dodać trzeba, że Tommaso się spóźnił. Zabójstwo Karosa już niewiele dawało, więc postanowił wykończyć także was, Mike’a i pana, majorze.

– Nie sądzę – rzekł Paluzzi. – Tommaso mógł nas z łatwością załatwić, gdy siedzieliśmy w basenie, a tego nie zrobił. Oznacza to, że celem był wyłącznie Karos.

– Podobnie było w Wenecji – podpowiedziała Sabrina. – Też mogli nas wykończyć, a przecież tego nie zrobili. Wygląda na to, że chcą nas przestraszyć i zmusić do wycofania się z akcji.

– Nie jestem tego pewien – mruknął Kolczyński. Zgasił papierosa i wstał z miejsca. – Jest siódma – powiedział. – Chciałbym jeszcze pogadać z Michaelem, zanim pojedziemy do Sant’Ivo.

– Każę tymczasem przetłumaczyć na angielski *dossier* Boudiena i materiały o braciach Francia – rzekł Paluzzi.

– Ja to mogę zrobić – zaoferowała się Sabrina. – W hotelu nie będę miała nic lepszego do roboty – dodała, patrząc wymownie na Kolczyńskiego.

Paluzzi pokiwał głową ze zrozumieniem, a następnie zatelefonował do Marca, aby mu powiedzieć, że udają się z Kolczyńskim do Sant’Ivo i że Marco może tymczasem pójść do domu i złapać trochę snu.

– Ma pan broń? – zapytał Kolczyńskiego, gdy odłożył słuchawkę.

Kolczyński zaprzeczył.

– Weź moją berettę – zaproponowała Sabrina, wyjmując pistolet z kabury.

– Niech pani to zatrzyma, *Miss Carver*. Znajdziemy coś innego dla pana Kolczyńskiego – wtrącił Paluzzi.

– Może darujemy sobie te tytuły pan-pani. Gdy ktoś do mnie mówi *Miss Carver*, zaczynam się czuć jak stara panna. Mam na imię Sabrina.

– A ja Siergiej – dołączył Kolczyński.

– Fabio – powiedział Paluzzi. – Masz jakieś preferencje, jeśli chodzi o broń, Siergiej?

– Tokariew TT33, a jeśli tego nie macie, to wszystko jedno co mi dasz.

– Mamy, zaraz każę przysłać. – Zadzwoił do zbrojowni. – Przyniosą za parę minut.

– Jest pan pewien, że mogę pójść do domu? – zjawił się Marco.

– Nie będziesz nam potrzebny. Idź i odpocznij trochę. Zatelefonuję, gdyby coś nowego wynikło.

– Może mnie pan odprowadzić do wyjścia? – poprosiła Sabrina, zwracając się do Marca. – Pójdę do hotelu i zobaczę, czy Calvieri nie ma czegoś nowego.

– I uprzedź w recepcji, że gdyby telefonował C.W., to niech łączą do twojego pokoju podczas mojej nieobecności.

– Oczywiście. – Sabrina i Marco wyszli z gabinetu. Przyniesiono pistolet dla Kolczyńskiego. Paluzzi podpisał kwit i wyszli z budynku. Po chwili jechali już w stronę szpitala San Giovanni przy via d'Amba Aradam naprzeciwko bazyliki św, Jana na Lateranie, która pełni funkcję rzymskiego kościoła katedralnego. Mike zajmował separatkę na trzecim piętrze z widokiem na Villa Celimontana – park graniczący z Koloseum.

Kolczyński zapukał i wszedł do środka.

Graham siedział na łóżku, wygodnie wsparty o poduszki. Odłożył „International Daily News”, który czytał z zapalem przed ostatnią godzinę. Na policzku miał grubego opatrunka.

– Cześć Mike! Jak się czujesz?

– W porządku, słowo daję – rzekł, odrzucając kołdrę. Był ubrany w dzinsy i podkoszulek. – Tylko założę buty i możemy iść.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Czy Fabio nie mówił ci o spotkaniu przy Sant'Ivo?

– Mówił, mówił. Ale ty nigdzie nie idziesz. Zostajesz w szpitalu do rana.

– Ależ nic mi nie jest – zezłościł się Graham.

– Czy ty zawsze musisz dyskutować z przełożonymi? – westchnął Kolczyński. –

Zdaniem lekarza powinieneś jeszcze poleżeć, a ja w tych sprawach mam zaufanie do medycyny.

– Ach tak! Zdaniem lekarza... Ordynator wie, co mi trzeba! Daj spokój, Siergiej. Już to kiedyś słyszałem. Mogę ci nawet powiedzieć kiedy. Otóż wtedy, gdy porwano Carrie i Mikeya. I jeszcze jedno ci powiem! Mogą sobie te rady wsadzić gdzieś. Znam lekarzy. Nie widzą ludzi, lecz przypadki. Tak właśnie, Siergiej, przypadki. I konowały studiują sobie przypadki od do rana do popołudnia, później idą do domu, a nazajutrz znów studiują. Widzą przypadek, a nie widzą człowieka. Nikomu źle nie życzę, ale chciałbym kiedyś spotkać psychiatrę, który straciłby rodzinę w podobnych okolicznościach, jak ja. Ciekawe, co by wtedy powiedział?! A tu jest tak samo. Wymądrzają się. Gdyby jednak coś podobnego przytrafiło się któremuś z nich, to miałyby zupełnie inne zalecenia. Ja sam wiem, co jest dla mnie dobre, a co nie. I powtarzam, nic mi nie jest, czuję się dobrze i mogę iść.

– No to idź i powiedz, że wychodzisz na własne żądanie – Kolczyński wzruszył ramionami. – Ale nie myśl sobie, że pójdziesz z nami. Pójdziesz do hotelu i poczekaasz z Sabriną.

– Co za wspaniała perspektywa! – mruknął ze złością Graham. – Jak znam Sabrinę, to zaraz zacznie mi matkować.

– Taka już jest – rzekł Kolczyński, wstając z krzesła. – Do zobaczenia w hotelu – i wyszedł z Paluzzim na korytarz.

– Nie chciałbym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale co właściwie stało się z jego rodziną? – zapytał major, gdy zostali sami.

Kolczyński opowiedział o porwaniu i o tym, że ofiar nigdy nie znaleziono.

– Podziwiam Mike'a – rzekł Paluzzi. – Każdy inny na jego miejscu załamałby się.

– Ale nie Mike. To twardy facet. Zawodowiec. Umie panować nad sobą.

– Nie wiem, co bym zrobił, gdyby taka tragedia wydarzyła się w mojej rodzinie.

– Trudno przewidzieć własne reakcje. Obyś nie musiał tego sprawdzać.

– Racja – zakończył Paluzzi, gdy ruszali spod szpitala.

– Masz dzieci? – zapytał Kolczyński po chwili.

– Synka. Dario skończył właśnie osiem miesięcy. Wspaniały chłopak.

– Żona pracuje?

– Nie. Opiekuje się dzieckiem. Kiedyś była stewardesą w Air France. – Przejeżdżali właśnie obok Koloseum. – Byłeś kiedyś środkiem?

– Owszem, kilka razy. Mieszkałem w Rzymie przez półtora roku.

– Nigdy o tym nie wspominałeś.

– A jednak. To było jeszcze w czasach, gdy pracowałem dla KGB. Oficjalnie zaś

byłem attache wojskowym, ale to dawne dzieje. Dziesięć lat temu.

– Tęsknisz za domem?

– Jak ci to powiedzieć... Nie odczuwam braku naszych, rosyjskich mrozów – zaśmiał się Kolczyński. – Staram się zresztą jeździć do kraju przynajmniej raz do roku. Odwiedzam rodzinę, znajomych i przyjaciół. Wtedy to uświadamiam sobie, jak bardzo mi brak domu. Za trzy lata, gdy skończę służbę w UNACO, wracam do Rosji.

– A wtedy będzie ci brak Zachodu – dodał Paluzzi z uśmiechem pełnym zrozumienia.

– To prawda. Byłeś w Rosji?

– Nie, ale Claudine, moja żona, bywała u was dosyć często i opowiadała mi, że to bardzo piękny kraj. Wybiorę się tam kiedyś, jak znajdę trochę czasu.

Przejechali obok San Marco, jednego z najstarszych kościołów w Rzymie, i skręcili w Corso Vittorio Emanuele pełne wspaniałych renesansowych i barokowych pomników. Zatrzymali się naprzeciwko kościoła Sant'Andrea della Valle, pochodzącego jeszcze z szesnastego wieku. Kolczyński zarepetował TT-etkę, schował pistolet do kieszeni marynarki i wysiedli.

Przeszli przez jezdnię. Sant'Ivo znajdował się nieco dalej, za kościołem, po tej samej stronie ulicy. Rozejrzeli się uważnie. Ruch był spory. Na chodnikach – tłumy. Jeśli to miała być zasadzka, miejsce wybrano znakomicie. Przeciwnik był bezwzględny, oni natomiast nie mogliby rozpocząć ognia, strzelanina bowiem pociągnęłaby za sobą zbyt wiele przypadkowych ofiar wśród Bogu ducha winnych przechodniów. Kolczyński przystanął przed cukiernią. W szybie wystawowej, jak w lustrze, odbijała się cała ulica, mógł więc obserwować wszystko, nie zwracając niczyjej uwagi. Nie zauważył niczego podejrzanego. Paluzzi dał znak, żeby nie przystawać. Wiadomo, nieruchomy cel jest łatwiejszy. Lepiej wmieszać się w tłum przechodniów, choć to też nie gwarantowało żadnego bezpieczeństwa. Terrorysty z Czerwonych Brygad działali brutalnie, nie liczyli się z ofiarami. Nieraz już w zamachach na funkcjonariuszy policji i przedstawicieli władz ginęli także niewinni ludzie, których czysty przypadek przywiódł na to miejsce.

Seria z automatu trafiła prosto w szybę wystawową cukierni. Odłamki szkła posypały się na wszystkie strony. Wiedziony instynktem, Kolczyński padł na ziemię. Gdy po chwili podniósł głowę, aby się zorientować w sytuacji, zobaczył najpierw jakąś kobietę. Leżała na chodniku przed wystawą. Na białej bluzce wykwitła szkarłatna plama. Kobieta zginęła na miejscu. W jednej sekundzie cała ulica opustoszała. Ogarnięci paniką przechodnie, krzycząc kryli się po bramach. Kolczyński zorientował się, że strzały padły z czarnego mercedesa na środku jezdni. Podczołgał się w stronę srebrnego BMW, który stał zaparkowany przy chodniku i za którym przykucnął Paluzzi z berettą gotową do

strzału.

– Niemal cię dostali – szepnął major. – Chybili nieznacznie. Widziałeś ich?

Kolczyński przytaknął.

Tommaso Francia z całym spokojem podjechał mercedesem na wysokość BMW. Spojrzał w lusterko wsteczne na brata. Carlo, na tylnym siedzeniu, zarepetował uzi. Uśmiechnął się z satysfakcją. Dwójka, która przykucnęła za BMW, nie miała szans. Z tej odległości nie mógł chybić. Jeśli zaś nie wychyla się zza samochodu, strzeli prosto w bak, a eksplozja benzyny załatwi wszystko. Carlo się nie śpieszył. Miał czas. Panował nad sytuacją.

Graham ruszył w ślad za Paluzzim i Kolczyńskim na parking przed szpitalem. Zatrzymał taksówkę i kazał jechać za alfą romeo Paluzziego. Obiecał suty napiwek pod warunkiem, że nie zgubią i celu że ścigani nie zorientują się, iż ktoś za nimi jedzie. Taksówkarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uniósł kciuk w górę na znak, że cieszy go perspektywa dodatkowego zarobku i okazja do wykazania sportowych umiejętności.

Na Sant'Andrea della Valle kierowca ostro zahamował. Musiał. Tak bowiem uczynił jadący przed nimi fiat tipo i poprzedzający go czarny mercedes, który zablokował ulicę. W mgnieniu oka za taksówką powstał gigantyczny korek. Utknęli w miejscu. Taksówkarz był przerażony.

Graham wyskoczył z auta. Szarpnął drzwi od strony kierowcy i wyrzucił oniemiałego ze strachu taksówkarza na ulicę. Usiadł za kierownicą, włączył bieg i zjechał na chodnik, okrążając fiata tipo i z rozpędu uderzył maską w tył mercedesa. Uderzenie rzuciło Tommaso na kierownicę. Silnik mercedesa zgasł. Graham ponowił manewr. Jeszcze raz najechał na tył mercedesa. Tommaso zaklął i spróbował włączyć stacyjkę. Silnik zaskoczył. Tommaso nacisnął gaz i mercedes z piskiem opon skoczył do przodu, kierując się w stronę mostu Vittorio Emanuele. Graham ruszył w pościg. Carlo wystrzelił serię w stronę taksówki. Graham zrobił unik. Kule ugodziły w przednią szybę. Roztrzaskała się w drobne kawałki, ale w dalszym ciągu tkwiła na miejscu. Graham wściekle uderzył w szybę gołą ręką, aby odzyskać widoczność. Bez skutku, Klejone szkło nie ustępowało.

Carlo wystrzelił jeszcze jedną serię. Trafił w obie przednie gumy taksówki. Graham stracił kontrolę nad wozem. Taksówka wpadła w poślizg, całym impetem trafiając w zaparkowane przy krawężniku auto. Grahama rzuciło do przodu. Uderzył głową w kierownicę. Spod opatrunku trysnęła krew. Ktoś otworzył drzwi, ktoś zaczął krzyczeć, jeszcze ktoś próbował wyciągnąć go z wozu. Odtrącił rękę. Półprzytomny nie rozumiał, co do niego mówią. Czuł tylko przejmujący ból w głowie. Otworzył oczy, otarł ręką krew

i wytoczył się z auta. Nogi miał miękkie, jak z gumy. Musiał przytrzymać się drzwi, aby nie upaść.

Paluzzi z Kolczynskim przedarli się przez tłum.

– Nic ci nie jest? – zapytał Paluzzi.

Graham tylko kiwnął głową.

– Skąd się tu, do cholery, wzięłeś? – krzychał Kolczynski.

– Nie wrzeszcz! Gdyby nie ja, to już trzeba by szykować twój nekrolog... – odpowiedział ze złością. Ból w głowie był nie do zniesienia.

– Nie bądź taki mądry. Byliśmy schowani za BMW. Carlo by nas nie dostał.

– Czyżby? A gdyby strzelił w zbiornik benzyny? Nie mieliście żadnej szansy. A zresztą później pogadamy. Na razie mamy tego typa na głowie – kiwnął głową w stronę właściciela taksówki, który krzycząc wniebogłosy, przedzierał się przez tłum.

Taksówkarz stanął nad zrujnowanym autem i podniósł ręce w górę błagalnym, a zarazem wściekłym gestem. Zajechał radiowóz policyjny na sygnale. Policja rozproszyła gapiów. Kierowca radiowozu zaczął kierować ruchem, aby rozładować korek, jego kolega, sierżant, podszedł do rozbitej taksówki. Gestem ręki uspokoił kierowcę, obejrzał zniszczenia i dopiero wtedy zapytał, kto jest właścicielem. Wysłuchał nerwowych wyjaśnień taksówkarza i podszedł do Grahama, który czekał cierpliwie, tamując krew chusteczką. Paluzzi pośpieszył z interwencją, okazując swoją odznakę. Na sierżancie legitymacja NOCS nie zrobiła większego wrażenia. Zapytał tylko, czy Graham też jest ze służby bezpieczeństwa.

– Nie – odparł Paluzzi. – To Amerykanin, który z nami współpracuje, i niech to panu wystarczy, sierżancie.

Sierżant spojrział na Paluzziego z wyraźną niechęcią.

– Znam swoje obowiązki. Wy z bezpieczeństwa ciągle sądzą, że prawo was nie dotyczy.

– Niech pan sobie daruje ten wykład – warknął Paluzzi. – Jeśli zna pan swoje obowiązki, sierżancie, to nic więcej nie musi pan wiedzieć. To sprawa NOCS.

– Być może. Na razie jednak ja się tym zajmuję. A tego pańskiego Amerykanina zabieram na komisariat. Trzeba będzie wyjaśnić parę spraw.

– Ile ma pan lat, sierżancie?

– Dwadzieścia osiem, a co to pana obchodzi?

– Ma pan całe życie przed sobą. Niech pan się zastanowi, co robi. Jeśli zależy panu na robocie w policji, to niech pan się uspokoi.

– Tylko bez gróźb, dobrze? – syknął sierżant.

Paluzzi zastanawiał się przez chwilę.

– Skoro pan nie rozumie, to powiem panu wprost. Jeśli przymknie pan tego Amerykanina, to zaraz jutro wyleci pan z policji.

– Niby za co? Za to, że robię, co do mnie należy?

Paluzzi nie miał innego wyjścia. Wyjął z kieszeni fałszywy list polecający, podpisany przez rzekomego premiera, i podsunął pod nos sierżanta.

– Przeczytajcie to, sierżancie, i przestańcie wreszcie pieprzyć.

Sierżant przeczytał, następnie złożył starannie pismo, oddał Paluzziemu i zasalutował.

– Jestem do pańskiej dyspozycji, majorze!

– Zabieram Amerykanina do szpitala. Trzeba go opatrzyć, Za parę dni przyślę panu protokół z przesłuchania w sprawie

– To wbrew przepisom.

– Niech pan przestanie się wygłupiać i niech mi pan nie utrudnia.

– A co z taksówkarzem?

– Otrzyma odszkodowanie. Na razie niech pan się nim zajmie, czego niech pan do mnie dzwoni – Paluzzi podał sierżantowi kartkę z adresem i telefonem.

Sierżant schował kartkę do kieszeni, raz jeszcze spojrzął niepewnie na Paluzziego, ale już nic nie powiedział. Podszedł do właściciela taksówki i obaj zajęli się odholowaniem wraka.

– Jakież trudności? – zapytał Kolczyński.

– Już po wszystkim.

– Trzeba coś zrobić z tą kobietą przed cukiernią.

– Przykra sprawa. Zaraz tam pójde, pogadam z policją. Weź wóz – dodał, podając kluczyki do alfy romeo Kolczyńskiemu. – Odwieź Mike’a do szpitala.

– Czy mam tu wrócić po siebie?

– Nie. Połączę się z oficerem dyżurnym i poproszę, by mi kogoś przysłał. Spotkamy się w hotelu.

– W porządku. Gdyby mnie jeszcze nie było, to poczekaj u Sabriny. – Kolczyński wsiadł do samochodu. Graham zajął miejsce obok.

– No i jak „towarzyszu” Kolczyński? Ciagle jeszcze macie mi za złe?

Kolczyński nie odpowiedział, westchnął tylko głęboko, wrzucił bieg i ruszył.

Whitlock z wyraźną odrazą patrzył na tacę z jedzeniem. Za mówił *bistecca alla pizzaiola* – stek w sosie pomidorowym z przyprawami ziołowymi. Tymczasem to, co mu przyniesiono do pokoju, przypominało bardziej *bistecca afollio*. Ochłap mięsa pływał w tłuszczu jak w sadzawce. Pogrzebał widelcem w talerzu i odsunął z niesmakiem, ale żołądek domagał się jedzenia. Brzuch burczał. Może rzeczywiście lepiej będzie zejść do restauracji? Ale na myśl, że miałby posilać się w towarzystwie Younga, innym okiem spojrzał na tłuste danie na talerzu. Sięgnął po marchewkę z groszkiem, przykrył nieapetyczny kawałek mięsa jarzynami i zaczął jeść, analizując w pamięci wydarzenia ostatnich godzin.

Na powitanie Wisemana, choć przybywał on do Rzymu prywatnie, zjawili się przedstawiciele jego dawnej I Dywizji Piechoty Morskiej, która stacjonowała w pobliżu Werony, wchodząc w skład południowej grupy wojsk NATO. Na czas pobytu w Rzymie zaoferowano mu nawet dyspozycyjną limuzynę z szoferem. Wiseman uprzejmie odmówił, zwracając uwagę, że jego wizyta nie ma charakteru oficjalnego. Zgodził się tylko, aby odwiedzić do hotelu Hassler-Villa Medici, gdzie podziękował za starania i ostentacyjnie wynajął prywatne auto, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnej świty. W tej sytuacji oficer dyżurny zasalutował i pożegnał się, zostawiając generała w jego apartamencie.

Ani Young, ani Whitlock nie byli świadkami tych wydarzeń, ale Wiseman pokrótce im o tym opowiedział, gdy zatelefonowali do niego z pensjonatu. W odróżnieniu od luksusów hotelu Medici, pensjonat jawił się ponuro. Whitlock z niesmakiem stwierdził, pokój jest brudny, zapuszczony i śmierdzący. Zza ściany dobiegała hałaśliwa muzyka z radia nastawionego na pełny regulator i Whitlock domyślał się, co się tam dzieje, bo widział „dame”, która zmierzała do drzwi. Nie, nie był purytaninem, ale w sprawach męsko-damskich miał określony gust. Interesowała go tylko Carmen. Po południu połączył się telefonicznie z hotelem w Paryżu, ale w recepcji powiedziano mu, że pani Whitlock wyjechała wczoraj wieczorem. Zatelefonował więc do domu, do Nowego Jorku, ale nikt nie podniósł słuchawki. Spróbował później skontaktować z Carmen w pracy, ale też nie było odpowiedzi. Jej siostra, do której też zatelefonował, powiedziała, że nie widziała Carmen od czasu, gdy wyjechała z nim do Paryża. Więcej już nie próbował. Nie sądził, aby któryś z ich wspólnych przyjaciół mógł coś wiedzieć. Znał Carmen i wiedział, że nie jest skora do zwierzeń i że raczej sama będzie się starała uporać z kryzysem, którego on, Whitlock, nie potrafił rozwiązać. Ale wiedział też, że jeśli nie da jej znać o sobie, to sytuacja jeszcze się pogorszy. Carmen zawsze ogromnie

przeżywała, gdy wyjeżdżał na akcje. Ale gdzie ma jej szukać?

– Alexander?

Whitlock drgnął. W zamyśleniu nie zauważył, że w drzwiach stanął Young.

– Następnym razem najpierw zapukaj – syknął, odrywając się od jedzenia.

– Pukałem, ale nie raczyłeś odpowiedzieć. – Young wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Usiadł na łóżku. – Trzeba było zejść na dół – zauważył. – W restauracji jest znacznie lepsze jedzenie.

– Ale towarzystwo dużo gorsze – odciął się Whitlock.

– Nie bądź taki bezczelny. Na twoim miejscu uważałbym na to, co mówię.

Whitlock spokojnie skończył posiłek i dopiero wtedy odwrócił się do Younga.

– Czego chcesz?

– Jedziemy – odrzekł Young, wręczając mu kluczyki do wynajętego seata ibiza.

– Dokąd?

– Podziemny parking przy via Marmorata.

– Mamy się z kimś spotkać?

– To już nie twoja sprawa – warknął Young.

– Słuchaj, co ci powiem. Wciągnąłeś mnie w to szambo, więc przynajmniej powinieneś powiedzieć, co jest grane.

Young złapał Whitlocka za kołnierz, podniósł z krzesła i przycisnął do ściany. W pierwszym odruchu Whitlock chciał odpowiedzieć równie gwałtownie i usadzić napastnika na miejscu. Opanował się jednak, nie dając nic po sobie poznać. Niech Young będzie przekonany o własnej przewadze.

– Powiem ci coś, Alexandrze, i zapamiętaj sobie to raz na zawsze. To nie ja, ale generał uparł się, żeby cię wziąć. To on wpadł na pomysł, że będzie mi potrzebny kierowca. A mnie jest wszystko jedno, z tobą, czy bez ciebie... Więc nie wyobrażaj sobie, że jesteś ważny i że bez ciebie nic nie wyjdzie.

– Miło to usłyszeć – mruknął Whitlock.

– I pamiętaj, że to ja mam przekaźnik. Jeden twój błąd, a uruchomię zapalnik w zegarku! Czy to jasne? – Young zwolnił chwyt i ruszył do wyjścia.

Whitlock z trudem stłumił w sobie wściekłość, ale posłusznie ruszył śladem Younga. Zeszli do hallu. Otyła recepcjonistka posłała im uśmiech, nie przerywając robótki na drutach. Czerwony seat ibiza stał przed wejściem. Whitlock zasiadł za kierownicą i otworzył drzwi Youngowi. Ten wyciągnął z kieszeni plan Rzymu z zaznaczoną trasą przejazdu.

Dziesięć minut później byli już na miejscu, przy via Marmorata, gdzie wielki neon obwieszczał: *Parcheggio* – parking. Zatrzymali się obok automatu przy wjeździe, wzięli

kwit i wjechali do środka. Krążyli krętą rampą, aż dotarli do sekcji C, jak kazał Young.

– I co tu ma być? – zapytał Whitlock.

Young nie odpowiedział, machnął tylko ręką w stronę białego fiata uno, który stał za jedną z kolumn podtrzymujących konstrukcję budynku. Whitlock podjechał bliżej.

– Tak, to ten – mruknął Young na widok „Daily American” na tylnym siedzeniu fiata. Był to umówiony znak. – Potrwa to parę minut. Dam ci znak, kiedy będziesz potrzebny. Tymczasem zmywaj się – powiedział do Whitlocka wysiadając z wozu.

Ostrożny facet – pomyślał Whitlock. Trzyma karty przy sobie, Domyślał się oczywiście, że na parking czeka ktoś, kto ma informacje na temat zabójstwa Wisemana. Polecenie Younga, aby odjechał, nie było mu na rękę. Musiał przecież poznać szczegóły, zorientować się w jego zamiarach. Postanowił założyć podsłuch w pokoju Younga. Miał stosowne urządzenia, czekał tylko na sposobność.

– Mówiłem ci, żebyś się zmył. Zrób parę kółek po parking. Dam ci znać, kiedy skończę.

Whitlock włączył bieg, zwolnił sprzęgło i ruszył, jak mu kazano, Young odprowadził go wzrokiem, mechanicznym ruchem zakładając czarne rękawiczki, które wyjął z kieszeni. Nie lubił współnika. Próbował przekonywać Wisemana, że nie potrzebuje pomocnika, że sam da sobie ze wszystkim radę. Nie bez znaczenia było także to, że dostałby wtedy sto tysięcy funtów więcej. Wiseman był jednak innego zdania. Traktował całą sprawę jak operację wojskową. Uważał przeto, że potrzebna jest rezerwa sił, czyli właśnie Alexander, i Young musiał się z tym pogodzić, przynajmniej do czasu. A później? Później może być różnie. Young uśmiechnął się na myśl o zegarku na rękę Alexandra. Tak urządzenie zawsze może niespodzianie eksplodować...

– Ma pan papierosa? – zapytał cicho młody mężczyzna, który wyłonił się zza fiata uno. Miał dwadzieścia kilka lat, przetłuszczone, potargane długie włosy i pryszczatą twarz. Nazywał się Johny Ramona. Young wyjął paczkę papierosów i poczęstował przybysza.

– Chętnie bym panu zapłacił – rzekł Ramona, biorąc papierosa – ale mam tylko to – pokazał połowę przedartego na pół banknotu pięćsetlirowego.

Young porównał banknot z drugą połówką, którą wyjął z kieszeni. Zgadzały się.

– Ma pan informacje, o które prosiłem?

Ramona kiwnął głową na potwierdzenie.

– Wsiądźmy – powiedział, zapraszając gestem do fiata. – W środku będzie bezpieczniej.

Young wsiadł i natychmiast przekręcił lusterko wsteczne tak, aby widać było, co dzieje się z tyłu.

– Jest pan bardzo ostrożnym człowiekiem – skomplementował go Ramona.

– Dzięki temu jeszcze żyję. A więc, co mi pan powie?

– Najpierw forsa.

Young wyjął z kieszeni kopertę i pokazał jej zawartość.

– Najpierw informacja, potem szmal – uprzedził, gdy Ramona wyciągnął rękę po pieniądze.

Johnny skrzywił się z wyraźnym niezadowoleniem, ale nie zaprotestował. Zaciągnął się papierosem i zaczął mówić:

– To sprawa Czerwonych Brygad.

– Wolalbym usłyszeć coś, czego jeszcze nie wiem – rzekł Young lekceważącym tonem. W lusterku mignął seat. Whitlock krążył po parkingu, jak mu kazano.

– Akcję na Neo-Chem przeprowadzili ludzie z rzymskiej sekcji Brygad. Dowodził Riccardo Ubrino, jeden z dwóch najbardziej wpływowych *Brigatisti* w Rzymie.

– Gdzie go szukać?

– Nie wiadomo – Ramona wzruszył ramionami. – Znikł. Jedyne człowiek, który mógłby wiedzieć, gdzie jest Ubrino, to Lino Zocchi, chociaż też nie ma pewności.

– A kto to taki... ten Zocchi?

– Szef Brygad w Rzymie. Siedzi w więzieniu i na razie nie ma z nim żadnego kontaktu. Wybuchła epidemia i odwołano wszystkie odwiedziny więźniów.

– Powiedział pan, że Ubrino to jeden z dwóch najważniejszych facetów w Rzymie. Kto jest drugim?

– Luigi Rocca.

– I ten mógłby wiedzieć, co się dzieje z Ubrinem?

Ramona potrząsnął głową.

– Raczej nie. Węszy jak wszyscy i jak wszyscy niczego nie wie. Tymczasem pełni obowiązki szefa w Rzymie, to znaczy do czasu, kiedy nawiążą kontakt z Zocchim.

– Rozumiem, że Ubrino podlega Zocchiemu. A komu podlega Zocchi?

– Nicoli Pisaniem – przywódcy Brygad. Ma pan tu schemat organizacyjny. – Ramona podał Youngowi kartkę papieru. – Numer jeden to Pisani, podlegają mu Zocchi i Calvieri...

– Kto to jest Calvieri? – przerwał Young. – Słyszałem już gdzieś to nazwisko.

– To rzecznik Brygad. Pokazują go czasem we włoskiej telewizji.

– A czy on wie, gdzie jest Ubrino?

– Wątpię. Ubrino jest z Rzymu, Calvieri rządzi Brygadami w Mediolanie. To dwie różne frakcje, które raczej się nienawidzą. Zocchi jest twardogłowy, Calvieri umiarkowany.

– Czy jednak Calvieri mógłby wiedzieć, co się dzieje z Ubrinem?

– To możliwe, ale nieprawdopodobne. – Ramona wyrzucił niedopałek przez okno. –

A więc wie już pan wszystko. Teraz forsa!

– Coś pan jednak pominął.

– Co takiego? – obruszył się Ramona.

– A to, że pan też jest z Czerwonych Brygad.

– Ktoś pana wpuszcza w maliny – zaprzeczył nerwowo Ramona. – Nie mam z nimi nic wspólnego.

Young spojrział w lusterko. Whitlock zatoczył kolejne kółko na parkingu.

– Tak się właśnie zastanawiałem, że był pan wyjątkowo chętny i rozumiem, na czym polega cały interes. Owszem, dostałem, informację, o którą mi chodziło, a jednocześnie Czerwone Brygad się dowiadują, że się nimi interesuję, więc zaczną mnie śledzić.

Ramona zaprzeczył gwałtownie:

– Ależ nie. Słowo daję, nie mam z nimi nic wspólnego.

Young już nie słuchał. Dobył z kieszeni nóż sprężynowy i uderzył Ramonę między zębra, dokładnie na wysokości serca. Ramona się zachwiał. Young wcisnął bezwładne już ciało w siedzenie, wytarł nóż i wysiadł z fiata. Rozejrzał się uważnie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Wyszarpnął kopertę z pieniędzmi z zaciśniętej dłoni Ramony i zatrzasnął drzwi. Zdjął rękawiczki, starannie je złożył i schował do kieszeni. Dał znak Whitlockowi, żeby podjechał.

Przy wyjeździe zapłacili za parking i znaną drogą wrócili hotelu. Whitlock o nic nie pytał. Zaparkował dokładnie w samym miejscu, co przedtem.

– Napijesz się? – zaproponował Young.

– Nie piję.

– Rzeczywiście, ktoś mówił mi w Londynie, że nigdy nie pijesz. A dlaczego właściwie?

Whitlock przystanął na schodach i spojrział na Younga.

– Moi starzy byli alkoholikami i to ich wykończyło. Jasne?

– No dobra, dobra, nie ma się o co denerwować – odparł Young obojętnie. – Tu na rogu jest bar. Wstąpię tam na chwilę. Wrócę za jakieś dwadzieścia minut.

– Nie musisz mi się opowiadać.

– Nie muszę, tylko że jak wrócę, to znowu jedziemy, więc żebyś był gotowy.

Whitlock odprowadził Younga wzrokiem i spojrział na zegarek. Miał piętnaście minut na założenie podsłuchu. Pobiegł do siebie. Wyciągnął walizkę z szafy i rozłożył ją na łóżku. Walizkę i dwie zmiany bielizny kupił kilka godzin wcześniej, za zaliczkę od Wisemana. Z walizki wyjął płócienną saszetkę na przybory toaletowe, a z niej dwa

miniaturowe mikrofony, odbiornik, niewielki magnetofon kasetowy i parę słuchawek. Wszystko to dostarczono mu potajemnie w czasie zakupów. Sprawdził mikrofony. Jeden z nich był sprzężony z nadajnikiem radiowym, drugi zaś zamaskowano w formie sporego gwoźdźcia. Wystarczy taki „gwoździec” wbić w ścianę albo umieścić we framudze okna i bez trudu można rejestrować wszystko, co dzieje się w środku, w pokoju. Wyprawa do pokoju Younga w celu ewentualnego zainstalowania tego pierwszego mikrofonu byłaby zbyt ryzykowna, więc zdecydował, że raczej użyje „gwoźdźcia”. Wyrzucił przez okno i sprawdził odległość do pokoju Younga. Trzy, może trzy i pół metra. Ściana gładka, bez żadnych gzymsów, na których można by się oprzeć. Od zewnątrz nie da rady – pomyślał i dopiero wtedy zwrócił uwagę na drabinkę przeciwpożarową po drugiej stronie okna Younga. Ze swojego punktu obserwacyjnego nie ogarniał całości, ale zakładał, że drabinka, jak w wielu podobnych starych domach, musi sięgać dachu.

Schował mikrofon do kieszeni, zamknął za sobą drzwi i odszukał klatkę schodową na końcu korytarza. Wejście na dach łąkała ciężka, drewniana kłapa. Otworzył ją i wyszedł na zewnątrz. Drabinka rzeczywiście dochodziła do szczytu. Spojrzał w dół, na ulicę. Pusto. Zaczął schodzić po drabinie w dół. Dotarł na właściwe piętro i dopiero wtedy przekonał się, że drabina znajduje się znacznie dalej od okna, niż mu się wydawało, ale jeśli się wychyli, sięgnie framugi. Tak też zrobił. Trzymając się jedną ręką drabiny, drugą próbował wcisnąć „gwoździec” między framugę a mur. Nie udało się. Spróbował jeszcze raz. Tym razem zaczął wkręcać mikrofon w twarde drewno framugi okiennej. Ręce omdlewały od wysiłku, ale udało się. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze osiem minut. Wystarczy, ale w tym momencie okno w pokoju Younga otworzyło się. Whitlock zamarł. Przycisnął się do szczebli wiedząc, że najmniejszy szmer zaalarmuje Younga. Kątem oka widział dłonie „wspólnika” wsparte na parapecie. A więc Young wrócił wcześniej. Dlaczego? Wyjaśniło się, gdy na dole, na ulicy, zamajaczyła jakaś postać – prostytutka, którą widział wcześniej na schodach. Young wychylił się z okna i gwizdnął. Whitlock wstrzymał oddech. Jeśli kobieta spojrzy w górę, to zobaczy nie tylko otwarte okno, ale także jego, Whitlocka. prostytutka jednak nie zareagowała na zaczepkę. Zniknęła za rogiem. Young zrezygnowany zamknął okno. Whitlock odetchnął z ulgą. Miał dużo szczęścia. Wspiął się z powrotem na dach, wrócił do siebie i starannie zamknął drzwi na klucz. Założył słuchawki i dostroił odbiornik, żeby sprawdzić, jak działa całe urządzenie! Cisza. Sprawdzał jeszcze raz połączenie. Powinno działać. Otarł pot z twarzy. Nagle usłyszał dziwny metaliczny dźwięk. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to odgłos otwieranej puszkę z piwem. Zrozumiał, dlaczego Young wrócił wcześniej, niż zapowiadał. Nie zasiadł w barze. Wziął trunek ze sobą. Whitlock uśmiechnął się do siebie, gdy w słuchawkach usłyszał charakterystyczny terkot tarczy telefonicznej.

– Dobry wieczór. Chciałbym rozmawiać z panem Wisemanem.

Urządzenie podsłuchowe działało bez zarzutu. Słyszał wyraźnie każde słowo.

– Dobry wieczór, szefie – rzekł Young i zapadła cisza, Zapewne Wiseman coś mówił.

– Tak – rzekł Young po chwili. – Spotkałem się z tym facetem i mam potrzebne informacje, łącznie z nazwiskiem tego, który miał do czynienia z pańskim bratem.

Cisza. A po chwili:

– Nazywa się Ubrino i jest jednym z szefów Czerwonych Brygad w Rzymie.

Cisza.

– Nie, szefie. Nikt nie wie, gdzie go szukać, ale ustalimy to bez większych kłopotów. Podano mi jeszcze trzy nazwiska: Pisani to główny szef Brygad, Zocchi i Calvieri są jego zastępcami, dowódcami sekcji, jeden w Rzymie, drugi w Mediolanie. Zocchi akurat siedzi, więc trzeba go wykluczyć, przynajmniej na razie.

Cisza.

– Nie, szefie. Alexander nie zna nazwisk. Staram się, aby nie wiedział za dużo, tylko tyle, ile musi. Ciągle myślę, że mogą z nim być kłopoty.

Cisza.

– Uważam, że lepiej byłoby się go pozbyć.

Cisza.

– Dziękuję, szefie. Zatelefonuję rano. Dobranoc. – Young odłożył słuchawkę.

Whitlock zdjął słuchawki, schował aparaturę do walizki, którą umieścił w szafie. Analizował sytuację. Cztery nazwiska. Czy to oznacza, że Young zamierza wyeliminować całą czwórkę, łącznie z Calvierim? Trzeba natychmiast zawiadomić Kolczynskiego, ale teraz nie zdąży, Young zaraz po niego przyjdzie. Ale gdzie właściwie mają jechać? Czy Young z miejsca zamierza wykończyć któregoś z nich? Jeśli tak, to którego? Whitlock nie potrafił sobie odpowiedzieć. Young oczywiście nie puścił pary z ust. A co znaczyło to dziwne „dziękuję szefie”? Czyżby Wiseman zgodził się, aby wyeliminować Alexandra, i Young dziękował mu, że szef wreszcie się zdecydował? Whitlock zaklął w myślach. Ile by dał za to, aby wiedzieć, co naprawdę powiedział Wiseman. Zamarzył o swoim browningu. Bez broni czuł się jak nagi. Ale nie mogło być mowy o pistolecie. Alexander nigdy nie używał broni, więc pistolet w ręku Whitlocka zaraz wzbudziłby podejrzenia. Za całą broń miał więc tylko swój spryt. Nie dawało to zbyt dużej przewagi nad Youngiem, ale co zrobić...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Whitlock otworzył.

– Idziemy – rzekł Young. Stał na korytarzu z puszką piwa ręki.

– Dokąd?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Whitlock zatrzasnął wściekle drzwi i ruszył do windy. Young pociągnął jeszcze łyk piwa, odstawił puszkę przed drzwiami pokoju Whitlocka i ruszył za nim.

Sabrina odłożyła „La Republikę” i podeszła do okna. Widok światła „Wiecznego Miasta” przywiódł jej na myśl lata, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. Nie było to miłe wspomnienie, żenujące raczej i z pewnym wstydem przypominała sobie własną dojrzałość i pustkę w istocie życia, jakie wtedy wiodła. Bilet do Rzymu był prezentem z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Przyjechała razem z trzema koleżankami z Sorbony. Przez dwa tygodnie nie obejrzały żadnego zabytku, nie otarły się nawet o nic, co stanowiło o wielkiej historii tego miasta. Znakomicie natomiast poznały wszystkie kluby i dyskoteki. Tam spędzały noce w przygodnym towarzystwie rzymskich *ragazzi*.

Odwróciła wzrok od okna. Ówczesny Rzym był epizodem w jej życiu, ale nie jedynym tego rodzaju. Gdy skończyła Sorbonę, rzuciła się w wir życia towarzyskiego. Czas wypełniały jej przyjęcia, rauty i spotkania. Bywała w najmodniejszych miejscach, poznawała bogatych ludzi. Niejeden z lwów salonowych ostrzył sobie na nią kły, bacząc na różnicę wieku. Wielu z tych, którzy smalili cholewki, mogłoby być jej dziadkiem. Gdy zaś znudziły jej się przyjęcia i mniej lub bardziej przypadkowe flirty, znalazła nową pasję – wyścigi samochodowe. Trwało to czas jakiś, aż do wypadku w LeMans, z którego ledwo uszła z życiem. Ze skomplikowanym złamaniem kości i przebitym płucem spędziła cztery miesiące w amerykańskim szpitalu w Paryżu. Wtedy to z całą ostrością zdała sobie sprawę z pustki, jaka ją otaczała i z bezsensu takiego życia, jakie do tej prowadziła. Postanowiła zerwać z tym wszystkim. Po rehabilitacji wstąpiła do FBI, a gdy nabrała doświadczenia, przeniosła się do UNACO. Znalazła cel w życiu i poczucie własnej wartości. Nie było to łatwe, ale udało się – uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zerknęła przez wizjer. Paluzzi. Otworzyła i zaprosiła go do środka.

– A co z Mike’em i Siergiejem, nie ma ich u ciebie? – zapytał.

– To raczej ja ciebie powinnam zapytać, przecież byli z tobą.

Opowiedział jej pokrótce o wydarzeniach ostatnich godzin.

– Po drodze pukałem do pokoju Kolczyńskiego, ale nikt odpowiadał – zakończył.

– Ja też nie wiem, co się z nimi dzieje. Może są jeszcze w szpitalu.

– Być może – zgodził się Paluzzi, siadając w fotelu.

– Napijesz się czegoś? – zapytała.

– Wody sodowej.

Wyjęła butelkę z lodówki. Paluzzi potrząsnął głową na znak, że da sobie radę bez szklanki. Wypił spory łyk, otarł usta.

– Już mi lepiej – powiedział. – To był męczący dzień.

– I niewiele z niego wynikało – dodała Sabrina. – Drepczemy w miejscu. Zastanawiam się, czy w ogóle istnieje szansa natrafienia na ślad Ubrina przed czwartkowym ultimatum.

– Niewielka, niestety. Chyba że pomoże nam jakiś szczęśliwy traf. – Paluzzi pociągnął łyk wody z butelki. – Szczerze mówiąc, cała nasza nadzieja to Conte. Lekarze twierdzą, że odzyska przytomność. Pytanie tylko kiedy.

– Myślisz, że Conte wie, gdzie ukrywa się Ubrino?

– Wiemy już, że Ubrino miał rozkaz zlikwidowania wszystkich, którzy brali udział w operacji. Świadczy o tym zabójstwo Nardiego i próba zabicia Contego. Jeśli kazano mu ich zabić, to tylko dlatego, że obawiano się, iż wiedzą zbyt dużo. Tak więc Conte może wiedzieć, gdzie ukrywa się Ubrino.

– Brzmi to logicznie, ale jest to jedna szansa na sto, a może na tysiąc.

– Zgoda, ale to nasza jedyna realna szansa.

Zapadło milczenie, które w chwilę potem przerwał dzwonek telefonu. Sabrina podniosła słuchawkę. Paluzzi podszedł do okna.

– Telefonował Calvieri – powiedziała po zakończonej rozmowie. – Mówił, że ma nową wiadomość. Ubrino jest podobno w Rzymie.

– A kto go o tym powiadomił? Ktoś godny zaufania?

– Calvieri powiedział, że to anonimowa informacja. Niewykluczone, że to znowu pułapka, ale tak czy owak trzeba to sprawdzić.

Znów zadzwonił telefon.

– To pewnie do mnie – rzekł Paluzzi, ale Sabrina już podniosła słuchawkę. Słuchała przez chwilę i bez słów oddała aparat Paluzziemu, sama zaś poszła do szafy, aby przygotować broń.

– Mamy potwierdzenie, że do Calvieriego telefonował jakiś anonimowy rozmówca.

– Potwierdzenie? Skąd? – zapytała, zakładając kaburę pod pachę.

– Dzwonili moi z furgonetki.

– Jakiej furgonetki?

Paluzzi machnął ręką w stronę okna.

– Wystawiliśmy obserwatorów przed hotelem, dwójka naszych monitoruje telefony Calvieriego. Mówiłem o tym na spotkaniu u generała Pesco.

– Nic takiego nie mówiłeś – zaprotestowała Sabrina.

– No to może mi się wydawało. Gdy byliście w Wenecji, założyliśmy podsłuch w jego pokoju. Calvieri pewnie sobie z tego zdaje sprawę, ale nie szkodzi. I oczywiście jest pod stałą obserwacją, na razie jednak nic z tego nie wynikło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Calvieri.

– Dobry wieczór, Paluzzi – przywitał się. – Czy Sabrina powiedziała już o telefonie?

– Anonimowym? Nie wysiliłeś się, Calvieri.

– Powiedziano mi tylko, że Ubrina widziano w jednej z melin w mieście.

– Nie sądzisz, że to pułapka?

– Możliwe. Jak wiesz, nie należę do ulubieńców Rzymu. Niejeden tutejszy *Brigatiste* chętnie by mnie załatwił.

– Potrzebna ci ochrona?

– W żadnym wypadku. Nie chciałbym żadnej strzelaniny na ulicy.

– Masz broń? – zapytała Sabrina.

Calvieri przytaknął.

– Heckler & Koch P7 – dodał Paluzzi, patrząc na Sabrinę. – Ale gdyby coś, to nie licz na niego. Calvieri nie używa broni.

– Prawda jest taka, że nikt nie wie, czy używam broni, czy nie – wtrącił Calvieri – a to różnica.

Zapadła cisza. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Fabio, możesz tu zostać i poczekać na Mike'a i Kolczynskiego – przerwała milczenie Sabrina, wkraczając między dwoi adwersarzy. – Powinni się zjawić lada chwila.

– Tak zrobię – odparł Paluzzi. – A ty uważaj na siebie.

Sabrina pożegnała go uśmiechem i wyszła za Calvierim.

Niewielki dom z czerwonej cegły, otoczony żywopłotem, wyglądał jak setki innych na przedmieściach Rzymu. W takich właśnie, niczym nie wyróżniających się miejscach Czerwone Brygady urządzały swoje kryjówki.

Calvieri zaparkował po drugiej stronie ulicy. Obserwował otoczenie. Od zewnętrznej furtki do wejścia prowadziła brukowana ścieżka, po jej obu stronach widniały starannie utrzymane klomby i rabaty. Nad drzwiami wejściowymi paliło się światło. Oświetlone było również okno po lewej stronie, licząc od drzwi. Wnętrze przysłaniała jednak gęsta zasłona. Po prawej stronie znajdował się garaż. Drzwi do garażu były zamknięte, natomiast na podjeździe stał samochód – alfa romeo alfetta.

– Trzeba było jeszcze wysłać posłańca, że już jesteśmy – mruknęła Sabrina z wyraźną kpina.

– O co ci chodzi?

– Zaparkowałeś tak, że nawet ślepy by nas zobaczył. Trzeba było skręcić za róg i tam się zatrzymać. Przynajmniej mielibyśmy wybór, zejść od frontu albo od tyłu, a tak straciliśmy element zaskoczenia.

– Ten dom nie ma drugiego wejścia.

– Skąd wiesz? – zapytała podejrzliwie.

– Zdarzało mi się tu nocować, gdy byłem w rzymskiej sekcji Brygad. Tył domu dotyka do sąsiedniego budynku. Jedyne wejście prowadzi więc od frontu przez drzwi albo przez garaż. W sumie nie mamy wyboru. Musimy podejść od frontu.

– I dać się zastrzelić, gdy tylko znajdziemy się w ogródku?

– Przesada. – Calvieri wysiadł z auta, gestem ręki wskazał i okolicę. – To spokojne, mieszczańskie osiedle. Miejscowa policja reaguje na najmniejszy podejrzany incydent. Na zewnątrz domu nic nam nie grozi, bo jego lokatorzy wolą nie mieć do czynienia z policją. Co innego w środku. Tam wszystko może się zdarzyć.

– Co proponujesz?

– Wejdziemy zwyczajnie, od frontu. Mam kilka wytrychów, więc dam sobie radę z drzwiami. Ty będziesz pilnować wejścia do garażu. Jeśli Ubrino jest w środku i będzie próbował ucieczki, to I tylko przez garaż.

– A może ja wejdę do środka, a ty pilnuj garażu.

– To bez sensu. Nie znasz przecież tego domu, a ja byłem tu kilka razy i wiem, gdzie szukać kryjówek.

– W takim razie idziemy razem – Sabrina postanowiła postawić na swoim. – Albo razem, albo telefonuję do Paluzziego, żeby przysłał swoich ludzi, a więc...

– Jak chcesz. – Calvieri otworzył furtkę i weszli do ogród. – A zresztą i tak Ubrino nie ucieknie przez garaż.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo nie dałby rady otworzyć bramy. Auto blokuje dostęp. Ma więc tylko jedną drogę: przez drzwi frontowe.

Zdziwili się widząc, że drzwi są otwarte. Calvieri dotykem sprawdził próg i framugę, czy nie ukryto tam jakiejś pułapki. Zajrzeli do hallu. Pusto. Sabrina zarepetowała berettę i pierwsza weszła do środka. Dała znak Calvieriemu, żeby pilnował drzwi po lewej stronie, sama zaś skierowała się w prawo. Calvieri wyjął broń.

– Ja idę pierwsza – szepnęła.

Nacisnęła klamkę i jednym ruchem otworzyła drzwi, i w tej samej sekundzie przykucnęła, mierząc z beretty w głąb pokoju, gdzie na fotelu, naprzeciwko drzwi, siedział samotny mężczyzna. Nie był to jednak Ubrino.

– Ręce do góry! – rozkazała, trzymając go na muszce. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Miał pooraną zmarszczkami twarz i uśmiechnął się kpiąco na widok Calvieriego, który właśnie stanął w drzwiach.

– Moje gratulacje, Tony. Widzę, że zafundowałeś sobie damską ochronę.

– Mogłem się domyślać, że to o ciebie chodzi. Co jest grane, Luigi? – Calvieri opuścił broń.

– Znasz go? – zapytała Sabrina.

– A któż go nie zna? To Luigi Rocca, jeden z najgorszych zauszników Zocchiego.

– Na twoim miejscu, Tony, byłbym jednak bardziej uprzejmy. Moi ludzie nie lubią, jak się o mnie źle mówi. Obróć się.

Calvieri zerknął do tyłu i zamarł z przerażenia. Za jego plecami stało dwóch osiłków z karabinami Kałasznikowa AK-74, gotowymi do strzału.

– Rzuć broń, Tony – rozkazał Rocca. – Ty też, *bella*.

Calvieri wypuścił P7 z ręki. Sabrina spojrziała zrezygnowana na kałasznikowy i również rzuciła swoją berettę na podłóg. Ludzie Rokki podnieśli oba pistolety.

– Ciągłe jeszcze czekam na odpowiedź, Luigi – syknął Catok

– Spokojnie, spokojnie, stary. Może byś najpierw przedstawił swoją towarzyszkę.

– Sabrina Trestelli. Właśnie zrobiła dyplom na uniwersytecie w Trento.

– Patrzcie, patrzcie. Nie tylko przystojna, ale i kształcona. Szkoda tylko, że wybrała pani fatalny oddział Brygad. Chłopcy – krzyknął do ochroniarzy – zajmijcie się panią, bo muszę pogadać z *Signore* Calvierim.

– Możesz mówić przy niej. Nie mamy tajemnic – rzekł Calvieri, ale obaj ochroniarze już ruszyli w stronę Sabriny.

Gdy pierwszy z nich złapał ją za ramię, obróciła się na pięcie, wymierzając mu silny cios kolanem prosto w krocze. Zawył z bólu. Zwolnił chwyt i padł na podłogę.

– Spróbuj mnie dotknąć, a połamię ci łapy – ostrzegła drugiego, przybierając groźną postawę.

Ochroniarz spojrział niepewnie na Rokkę.

– *Bene*, daj jej spokój. Zabierz go – machnął ręką w stronę kontuzjowanego ochroniarza, który zwijał się z bólu na podłodze. – Poczekajcie na zewnątrz. Zawołam, gdy będziecie potrzebni.

Ochroniarze wyszli. Rocca wstał i uprzejmie zaoferował coś do picia. Sabrina i Calvieri odmówili, więc nalał tylko jedną szklanekę whisky. Wrócił na fotel, a gościom wskazał miejsce na kanapie. Usiedli.

– Tego już za wiele, Luigi. Czego chcesz?

– Paru informacji – odparł Rocca podnosząc szklanekę do ust.

– Jakich informacji?

Rocca wygładził dłonią przetłuszczone włosy.

– Wobec, że tak powiem, niedyspozycji, *Signore Zocchiego* i Ubrina, ja objąłem dowództwo w Rzymie. Powiadam, niedyspozycji, bo różnie mówią o tym wszystkim, co działo się po napadzie na Neo-Chem. W każdym razie ja ponoszę teraz odpowiedzialność i muszę coś ludziom powiedzieć. Właśnie dlatego pozwoliłem sobie wystosować to zaproszenie, Tony, i cieszę się, że zechciałeś je przyjąć. Liczę, że czegoś się od ciebie dowiem.

– Jeśli masz sprawy, które cię gnębią, to lepiej umów się z Pisanim i z nim pogadaj.

– Nie pieprz głodnych kawałków, Tony. Wszyscy wiedzą, że Pisani się kończy i że to ty pociągasz teraz za sznurki.

– Kto ci to powiedział? Zocchi? – Calvieri spojrzał głęboko w oczy Rokki i wiedział, że trafił w dziesiątkę. – I ty mu wierzysz? Owszem, Pisani rzeczywiście jest chory, ale to nie znaczy, że przestał kierować Brygadami. Jak myślisz, kto mnie przysłał do Rzymu w sprawie Ubrina? Sądziś, że sam to sobie wymyśliłem? Przyjechałem tu, bo tak mi kazał Pisani. Na razie, to on pociąga za sznurki i nikt go nie zdejmie. Jak będzie chciał, to sam zrezygnuje, ale nikt go do tego nie zmusi.

– A co to za sprawa z rzekomą śmiercią Zocchiego? – Rocca dopił whisky. – Mówią, że właśnie dlatego nałożono na więzienie ścisłą kwarantannę.

– Odwołano widzenia w więzieniu, bo wybuchła epidemia. Wiem o tym z całą pewnością, bo Pisani rozmawiał z jednym z lekarzy, który tam pracuje. Nie dalej jak wczoraj widział on Zocchiego. Jeśli Zocchi nie żyje, to musiałby zginąć w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, ale ja nic o tym nie wiem. Zastanów się chwilę, Luigi. Gdyby Zocchi zginął, to z całą pewnością nasi ludzie by o tym wiedzieli.

– Jak się nazywa ten lekarz?

– Podajesz w wątpliwość słowo Pisaniego?

– Nie, ale chciałbym sam pogadać z tym doktorem.

– A więc twierdzisz, że Pisani łże.

– Nie, ale moi ludzie bardzo się niepokoją. Muszę więc wiedzieć, co jest grane.

– No to umów się z Pisanim. Od niego wszystkiego się dowiesz – Calvieri podniósł się z miejsca. – Jeśli to wszystko, o co chciałeś zapytać, to żegnam cię. Mam jeszcze parę innych spraw na głowie.

– A właściwie dlaczego szukasz Ubrina? Cóż takiego wziął on z tej fabryki?

– To nie twoja sprawa.

– Mam prawo wiedzieć – warknął Rocca i ze złością uderzył pięścią w stół. W drzwiach stanęli ochroniarze zaalarmowani awanturą. Rocca dał znak, żeby wyszli. –

Rzym to moje miasto, Tony. Nie zapominaj o tym.

– Pisani zapowiada spotkanie kierownictwa w przyszłym tygodniu właśnie w sprawie Neo-Chem. Wtedy wszystko się wyjaśni. Tymczasem nie wolno mi niczego powiedzieć.

– Przyszły tydzień, powiadasz? Możesz nie doczekać przyszłego tygodnia, Tony. Są ludzie, którym nie podoba się to twoje polowanie na Ubrina. Ścigasz go jak wściekłego psa, więc ten i ów marzy tylko, żeby dać ci nauczkę. Nie mogę gwarantować ci bezpieczeństwa w Rzymie.

– A więc o to chodzi. Nie jesteś w stanie utrzymać swoich ludzi w ryzach, boisz się, że jeżeli to się wyda, a wyda się, jeśli tylko coś mi się stanie, to zdejmą cię z funkcji i przestaniesz się liczyć w naszej organizacji.

– Nie o to chodzi – syknął Rocca. – Ale ostrzegam cię, wynoś się z miasta. Nie jesteś tu nikomu potrzebny.

– Wyjadę, ale tylko wtedy, gdy przekonam się, że Ubrina tu nie ma, i ani minuty wcześniej. – Calvieri ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze w połowie drogi i dodał: – Mam rację, co? Boisz się, iż wyjdzie na jaw, że jesteś dupa, a nie szef sekcji!

Rocca spojrział wściekle, ale nic już nie powiedział. Gdy Calvieri z Sabriną wyszli, sięgnął po telefon.

Uzbrojony strażnik podszedł do bramy, zapalił reflektor i uważnie przyjrzał się kierowcy alfy romeo alfetta. Rocca otworzył szybę i krzyknął, że jest umówiony z *Signore* Pisanim. Strażnik rzucił kilka słów do słuchawki radiotelefonu i otworzył bramę. Rocca wjechał. Strażnik zamknął ciężką, stalową kratę.

Whitlock z Youngiem obserwowali alfettę z daleka. Zaparkowali seata w pewnej odległości od bramy, tak aby nie zwracać uwagi strażników.

– I co teraz? – zapytał Whitlock, gdy alfetta wjechała na dziedziniec, a strażnik zamknął bramę. Normalnie – odparł Young, gasząc niedopałek w popielniczce. Był to co najmniej szósty papieros, jaki wypalił od czasu, gdy rozpoczęli obserwację. – Zaczynamy.

Whitlock nie pytał o nic więcej. Zastanawiał się, do kogo może ta posiadłość. Young nie puścił pary z ust. „Im mniej będziesz wiedział, Alexander, tym lepiej dla ciebie” – wyjaśnił, więc Whitlock mógł się tylko domyślać, że dom należy do jakiegoś prominentnego członka Czerwonych Brygad, kto wie, może do go Pisaniego. Ale pewności nie miał, co ogromnie go złościło. A jeszcze bardziej był wściekły, że nie udało mu się skontaktować z Kolczynskim. Nie było żadnej możliwości. Young cały czas trzymał go przy sobie. Whitlock przemyślał, co powinien zrobić, gdyby się okazało, że

ta posiadłość to kryjówka Ubrina.

– Idziemy – rzekł krótko Young.

Whitlock wyciągnął kluczyki ze stacyjki i ruszył za Youngiem. Young ubrany był na czarno, na twarz nasunął kominiarkę, na ramię zarzucił pistolet maszynowy MP5 z tłumikiem. Podeszli do wysokiego na trzy i pół metra muru otaczającego posiadłość. Rozejrzeli się, czy ktoś ich nie śledzi. Ulica była pusta. Whitlock splótł dłonie, aby pomóc Youngowi wspiąć się na górę. Young przerzucił automat przez mur i cicho zeskoczył na murawę, padając na bok, jak doświadczony skoczek spadochronowy. Podniósł broń i przemknął za drzewo. Rozejrzał się ostrożnie, zauważył niczego podejrzanego. Wyciągnął noktowizor z torb przy pasie i dokładnie zbadał dom i otoczenie, szukając posterunków ochrony. Strażnik z psem – wyrośniętym owczarkiem alzackim – stał tuż przy wejściu do domu. Z tej odległości ni mogli go widzieć. Young podszedł bliżej, kryjąc się za drzewami. Był może jakieś dwadzieścia metrów od domu, gdy pies wyczuł intruza. Warknął i wyszczerzył kły. Strażnik spojrział w tym samym kierunku, ale niczego nie dostrzegł. Na wszelki wypadek zwolnił jednak psa ze smyczy.

Young zarepetował automat. Otarł pot z czoła i szykował się do strzału. Obliczał odległość. Chciał zatrzymać zwierzę w ostatniej chwili, aby zostawić jak najmniej czasu strażnikowi. Mierzył nisko, w przednie łapy zwierzęcia. Strzelił. Pies zawył i ciężko zwałił się na ziemię. Kolejne dwie kule trafiły strażnika prosto w pierś, nim ten zdążył zarepetować swojego kałasznikowa. Zraniony pies skomlał boleśnie, usiłując stanąć na nogi. Young z litości strzelił mu w łeb. Cielsko drgnęło konwulsyjnie i zapadła cisza. Young schował się za drzewo i czekał. Strzały powinny zaalarmować pozostałych strażników, choćby tego, który pilnował bramy. Minęła dłuższa chwila, ale nikt się nie pokazał. Young podszedł bliżej domu. Podniósł kałasznikowa, wyjął magazynek i odrzucił daleko w krzaki. Zwłoki strażnika ukrył pod schodami werandy, sam zaś wszedł na górę, przykucnął pod oświetlonym oknem i ukradkiem zerknął do środka. Zobaczył włączony telewizor, ale w pokoju nie było nikogo.

– *Si alzi* – usłyszał nagle za sobą.

Nie rozumiał, co to znaczy, wiedział jednak, że nadszedł decydujący moment i że zjawił się ktoś z ochrony budynku. Zwlekał. Nie odwracał się. W szybie okiennej widział odbicie swego prześladowcy. Strażnik podszedł bliżej i lufą kałasznikowa szturchnął Younga w plecy. Young zareagował inaczej, niż strażnik przewidział – rzucił się do tyłu, powodując utratę równowagi przeciwnika, sam zaś upadł na plecy i nie podnosząc się, strzelił prosto w głowę strażnika.

Kula szarpnęła ciałem. Wartownik runął na drewnianą poręcz okalającą werandę. Deski puściły pod ciężarem i ciało zwałilo się na klomby przed wejściem na ganek.

Young zaklął z cicha. Nie było czasu, aby ukryć zwłoki, i zdeorientować innych wartowników, którzy zapewne zjawia się zaalarmowani hałasem. Podbiegł do drzwi. Nacisnął klamkę. Nie były zamknięte. Wszedł do środka. Zamknął drzwi za sobą. Rozejrzał się, trzymając automat gotowy do strzału. Zastanawiał się, od którego pomieszczenia zacząć przeszukiwanie domu, gdy usłyszał jakiś szelest na górze. Podniósł wzrok. Na szczycie schodów mignęła sylwetka kierowcy alfetty. Rocca zdążył strzelić tylko raz, gdy Young puścił całą serię z kałasznikowa. Obaj chybili. Kula Rokki o milimetry minęła głowę Younga. Seria z jego automatu przeszła obok Rokki, który jak błyskawica padł na podłogę. Young wyczuł przewagę. Wbiegł na schody, gdy jednak obrócił się, aby omieść kolejną serią hall, Rocca znikł.

Nie było czasu do stracenia. Musiał znaleźć Pisaniego, nim nadbiegnie odsiecz. Problem polegał tylko na tym, że nie wiedział, gdzie go szukać. Dom był obszerny, a Pisani mógł się kryć w każdym z kilkunastu pokoi. Nie było nad czym się zastanawiać. Otworzył pierwsze z brzegu drzwi i omiół pokój automatem. Pusto. Drugie drzwi. Sypialnia. Też nie ma nikogo. Trzecie... Usłyszał łomotanie do drzwi wejściowych. Były solidne, dębowe, ale to żadna przeszkoda dla uzbrojonych ludzi. Rozległ się dźwięk rozbijanej szyby. Przeciwnicy szykowali się do natarcia z dwóch stron jednocześnie. Nacisnął klamkę i z rozmachem otworzył drzwi do kolejnego pomieszczenia.

Dwa pociski trafiły w ścianę tuż obok niego. Skoczył do przodu padając na dywan. Odpowiedział serią. Jedna z kul trafiła Rokkę prosto w ramię. Rocca wypuścił broń z ręki. Dopiero wtedy Young zobaczył schorowanego mężczyznę o szarej cerze. Siedział w kącie, otulony do pasa grubym kocem. Pisani – legendarny szef *Brigate Rosse*. Wyglądał znacznie mizerniej niż na zdjęciu, które Young znalazł w kopercie dostarczonej przez informatora, Kopnięciem odrzucił pistolet Rokki pod łóżko i nie odrywając wzroku od obu mężczyzn, przekręcił klucz w zamku. Pisani siedział bez ruchu, wpatrywał się tylko w Younga zamyślonymi oczami. Rocca stał pośrodku pokoju, lewą ręką podtrzymywał zranione ramię. Krew ściekała między palcami. Young strzelił mu prosto w głowę. Rokkę odrzuciło pod ścianę i w sekundę później martwe już ciało osunęło się na podłogę. Na jasnej tapecie pozostała czerwona smuga krwi. Young wymierzył automat w Pisaniego.

– Cieszę się, że mam do czynienia z prawdziwym zawodowcem... – rzekł Pisani cichym głosem i przerwał. Zaczął okropnie kaszleć. Twarz mu zsiniała i widać było, że ogromnie cierpi. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie kaszel ustał. Wierzchem dłoni chory człowiek wytarł plwocinę z ust. – Lekarze dają mi dwa, góra trzy miesiące życia.

– Skąd pan wiedział, że mówię po angielsku?

– No cóż, jak ktoś obcy zaczyna rozpytywać o Czerwoni Brygady, to sprawa staje się głośna. Jesteśmy jak jedna wielka rodzina, zwłaszcza tu, w Rzymie. Muszę niestety z przykrości przyznać, że Johnny Ramona nie zastosował się do moich zaleceń i przekazał panu zbyt dużo informacji. Zawsze zresztą był łasy na pieniądze. Jedyna korzyść, że ze względu na sankcje, jakie pan wobec niego zastosował, nie ma już potrzeby przywoływać go do porządku.

Ktoś nacisnął klamkę i zawołał coś po włosku. Pisani zaśmiał się i ostentacyjnie sięgnął pod koc. Po broń – pomyślał Young i zareagował jak automat. Strzelił prosto w głowę. Ciało Pisaniego opadło na krzesło. Strumień krwi zaczął spływać od czoła w dół, po nosie i policzkach. Koc zsunął się z nóg martwego już ciała. Pisani nie miał ukrytej broni. Dopiero teraz Young pojął, że ten schorowany człowiek specjalnie go sprowokował – chciał oszczędzić sobie bólu i męki długiej agonii. Wiedział, że ma do czynienia z zawodowcem i że sprawa zostanie załatwiona szybko i skutecznie.

Young otworzył okno. Wychodziło na spadzisty dach, który wznosił się na jakieś cztery metry nad ziemią. Z korytarza zaczęto strzelać w drzwi, aby sforsować zamek. Kula rykoszetem odbiła się od framugi okna, o milimetry od głowy Younga. Zsunął się z dachu, lekko przytrzymał rynnę i zeskoczył na ziemię. Przewrócił się na plecy i zobaczył tuż nad sobą strażnika z kałasznikowem w ręku. Był to młody chłopak, pewnie nie miał jeszcze dwudziestu lat i nie bardzo wiedział, co ma robić. Young rozejrzał się za swoim automatem. Za daleko. Ale miał jeszcze sprężynowiec.

Spróbował usiąść udając, że przychodzi mu to z ogromnym trudem i wykrzywił twarz w ogromnym bólu. Gdy zaś strażnik szturchnął go lufą kałasznikowa, niepostrzeżenie otworzył ukryty w dłoni nóż. W oknie na górze mignęła jakaś postać. Pewnie wreszcie sforsowano drzwi. Strażnik bezwiednie podniósł wzrok i to był jego błąd. Young poderwał się z ziemi i uderzył nożem czwarte a piąte żebro. Wyrwał kałasznikowa z rąk ofiary i wystrzelił serię w okno. Ochroniarz w pokoju przykucnął, chowając się za parapetem. Young rzucił kałasznikowa, podniósł z ziemi swój automat i skoczył za drzewo. Sięgnął po walkie-talkie, które miał przytroczone do pasa i dał sygnał Whitlockowi, że się zjawi. Sprawdził dom. Żadnego podejrzanego ruchu. Ruszył do bramy, klucząc między drzewami. Zobaczył budkę strażnika przy wjeździe. Nie wiedział jednak, czy wartownik jest na miejscu, czy nie. Podeszedł bliżej, ciągle kryjąc się za drzewami. Strażnik pilnujący wjazdu był, ale po drugiej stronie bramy, krata zaś była zamknięta, a elektroniczny przekaźnik uruchamiający mechanizm otwierania i zamykania bramy wisiał przy pasku strażnika. Young zaklął z cicha. Znalazł się w pułapce. Miał tylko jedną szansę. Znów włączył radiotelefon i powiedział kilka słów do Whitlocka.

Whitlock odłożył słuchawkę, wysiadł z auta i z rękami w kieszeni ruszył w stronę bramy. Strażnik zobaczył go z daleka. Nie próbował ukryć kałasznikowa.

Whitlock uśmiechnął się przyjaźnie, wyjął z kieszeni paczkę papierosów, które Young zostawił w samochodzie i demonstracyjnie zaczął szukać zapalek. Po chwili – jakby zrezygnowany – machnął ręką i podszedł do strażnika.

– *Ha da accendere?* – poprosił o ogień. Na szczęście znał kilka zwrotów po włosku.

Strażnik przecząco pokiwał głową i gestem próbował odpędzić intruza. Whitlock zrobił półobrót, pozorując wykonanie polecenia, i wyprowadził lewy sierpowy prosto w szczękę ochroniarza, kompletnie go ogłuszając. Nieprzytomny strażnik zwałił się na ziemię. Whitlock skrzywił się, masując obolały od uderzenia nadgarstek, odpiął przekaźnik z paska strażnika i uruchomił mechanizm otwierający bramę. Young wyszedł na ulicę. Whitlock ponownie nacisnął przekaźnik i zamknął kratę. Young wyjął mu aparat z ręki, wytarł uważnie chusteczką, aby usunąć odciski palców, i rzucił na ziemię obok nieprzytomnego strażnika. Pobiegli do auta. Whitlock zasiadł za kierownicą. Ruszyli. Young zdjął rękawiczki, kominiarkę i czarny sweter, z torby na tylnym siedzeniu wyjął biały podkoszulek. Przebrał się. Automat i ubranie schował do torby, wygładził włosy i zapalił papierosa.

– Wygląda na to, że beze mnie nie dałbyś rady – zauważył Whitlock ze złośliwą satysfakcją.

Young zaciągnął się papierosem i nic nie powiedział.

– A może przynajmniej powiesz, kogoś załatwił. I tak jutro napiszą o tym w gazetach – naciskał Whitlock.

– No to zamów prasę w recepcji, żeby ci przynieśli z samego rana. – Young otarł pot z czoła. – Trzeba się pozbyć auta. Oddamy je w agencji wynajmu i weźmiemy następne.

– To niezbyt rozsądne. Świadkowie widzieli auto, a policja pewnie zacznie sprawdzać firmy wynajmujące wozy. Uważam, że lepiej porzucić je gdziekolwiek i wynająć inne jutro rano, oczywiście w innej agencji.

Young kiwnął głową na znak, że się zgadza, wyrzucił niedopałek papierosa przez okno, przymknął oczy i nic więcej nie powiedział.

Sabrina i Calvieri wrócili do hotelu. Kolczynski już czekał.

– Co z Mike'em? – zapytała Sabrina na wstępie.

– Sama go zapytaj – odparł, otwierając szerzej drzwi. Graham siedział na łóżku. Na policzku miał opatrunek.

– Jak się czujesz?

– W porządku – uciał. – Jak wam poszło? Opowiedziała pokrótce o wyprawie na

przedmieście.

– Jak myślisz, czy Rocca dowie się prawdy? – zwrócił Kolczyński do Calvieriego.

– Raczej nie. Tylko Pisani i ja wiemy o fiolce i żaden z nie puści pary z ust.

– Z Rokką nie będzie kłopotów – odezwał się Paluzzi. To przygłup. W Rzymie liczył się tylko Zocchi. Wszystko zależało od niego. Ubrino i Rocca wykonywali jedynie rozkazy. Żaden z nich nie działał samodzielnie i w ogóle nie nadają się do kierowania sekcją, a zwłaszcza tak trudną jak rzymska. Dlatego też tyle niewiadomych i w mieście aż huczy od różnych pogłosek. Rocca nie da sobie z tym rady.

– To racja – wtrącił Calvieri. – Rzym to miasto Zocchiego. Trzymał sprawy w garści. Jak tylko go zabrakło, wszystko zaczęło się sypać. Niech Sabrina powie, bo przecież widziała, co się dzieje. Trochę to potrwa, nim sprawy się uspokoją i rzymska Brygada znów się zmobilizuje.

– Przynajmniej tyle dobrego – dorzucił Graham, zerkając na Calvieriego niechętnym wzrokiem.

– Sabrina mówiła mi, że podobno znał pan Nikkiego Karosa – zmienił temat Kolczyński.

– Owszem – odparł Calvieri. – Spotykaliśmy się. Mieliśmy pewne interesy i tylko tyle, nie znoszę bowiem takich typów, pazernych i chciwych. To oni demoralizują całe społeczeństwo.

– Daruj sobie ten wykład, Calvieri – przerwał Graham. – Lepiej opowiedz nam o braciach Francia. Znasz ich? Tylko nie mów, że to też „handlowa” znajomość.

Calvieri nie zareagował na złośliwość.

– Słyszałem o nich, ale nie mieliśmy bezpośrednich kontaktów. Zadzwoił telefon. Odebrała Sabrina. Słuchała przez chwilę w milczeniu, po czym podała słuchawkę Calvieriemu.

– Do ciebie.

– Słucham? – W sekundę później Calvieri zbladł jak ściana i odłożył słuchawkę.

– Co się stało? – zapytał Kolczyński.

– Pisani nie żyje. Zastrzelono go – odpowiedział Calvieri wyraźnie zszokowany.

– Jak to się stało?

– Nie podano mi szczegółów. Powiedziano tylko, że jakiś zamaskowany zabójca wdarł się do domu Pisaniego i że zastrzelił Rokkę oraz czterech chłopców z ochrony. Jedynym istotnym szczegółem jest to, że współnik zabójcy był podobno Murzynem. Tak mi przynajmniej powiedziano. – Calvieri pokiwał głową, jakby nie wierzył, że Pisani nie żyje. – Jeszcze parę godzin temu z nim rozmawiałem – powiedział w zamyśleniu. – Proszę mi wybaczyć, ale muszę państwa opuścić. W tej sytuacji konieczne jest spotkanie

z naszymi ludźmi, by zobaczyć co i jak, zarządzić nasze własne śledztwo. Proszę się nie martwić – dodał widząc pytający wzrok Kolczynskiego. – Nadal będę z wami współpracował, tak jak życzył sobie tego Pisani. Umówię się tylko, żeby ktoś mnie zastąpił i wróć. Tymczasem jednak muszę was opuścić.

– A kiedy pan wróci?

– Rano, mam nadzieję. W razie czego będę pod tym telefonem – Calvieri wręczył Kolczynskiemu kartkę z numerem Pisaniego.

Kolczynski odczekał, aż Calvieri wyjdzie.

– Murzyn! – powtórzył, siadając na krześle. – Pytanie za pięć punktów: kto jest owym czarnoskórym pomocnikiem?

– Ale dlaczego załatwili Pisaniego? – zastanawiał się głośno Paluzzi. – Przecież nie miał on nic wspólnego z napadem ni Neo-Chem. Dowiedział się o wszystkim po fakcie.

– Young nie mógł tego wiedzieć – odparła Sabrina. – Z jego punktu widzenia Pisani też odpowiadał za śmierć Wisemana.

– Rozumując w ten sposób, gotów będzie załatwić całe kierownictwo Brygad. A to byłoby najgorsze – skomentował Palm

– Nie rozumiem – wtrącił Graham. – Young przecież zdejmie wam kłopot z głowy. Eliminując kierownictwo, zdeorganizuje Brygady.

– Właśnie. Rzecz w tym, że obecne kierownictwo mamy dokładnie rozpracowane, a gdy zjawią się nowi ludzie, to trzeba będzie wszystko zaczynać od początku. Co więcej, stracimy także naszego informatora w kierownictwie, a wprowadzenie kogoś nowego na to miejsce jest prawie niemożliwe.

Graham poderwał się i podszedł do Paluzziego. Wzrok mu płonął.

– Już to kiedyś słyszałem – powiedział przez zęby. – Lepszy jest taki wróg, którego znamy, prawda? Zamiast zlikwidować tę całą bandę, martwicie się o ich bezpieczeństwo, bo tak jest wam łatwiej. Ale w ten sposób, Paluzzi, sami stajecie się współnikami. Powiem ci, Fabio, jesteś taki sam, jak oni.

– Rozumiem twoje uczucia, Mike...

– Czyżby? – Graham nie panował już nad sobą. – Nie przeżyłeś tego, co ja. Nie wymordowano ci rodziny w imię jak tam idei, której zabójcy i tak nie rozumieli, więc...

– Mike... – próbowała mitygować go Sabrina.

– Nie wtrącaj się – warknął Graham, nie odrywając wzroku od Paluzziego.

– Problem polega na tym, że nie potrafisz sobie wybaczyć decyzji, którą podjąłeś wtedy w Libii – ciągnęła Sabrina. – I tylko dlatego bez przerwy masz wszystkim wszystko za złe.

– Jeszcze raz ci mówię: nie wtrącaj się – warknął Graham ze złością.

– Nie, Mike. Ktoś ci to musi wreszcie powiedzieć – spojrzała mu głęboko w oczy. – Wiedziałeś, co ryzykujesz, gdy zaciągnąłeś się do Delty. Wiedziała też Carrie i dlatego błagała, żebyś wziął przeniesienie. Nie zgodziłeś się, bo wiedziałeś, że gdyby cię posadzono za biurkiem, to nie wytrzymałbyś nawet pięciu minut. Lubisz działać i umiesz działać. Jesteś najlepszy ze wszystkich oficerów operacyjnych. Carrie też o tym wiedziała. Dlatego nie naciskała. Kochała cię, Mike, i rozumiała. Rozumiała także, że musi akceptować ryzyko. I ty też o tym wiedziałeś, dlatego w Libii podjąłeś taką, a nie inną decyzję. To nie był błąd, Graham. Tak trzeba było zrobić i przestań wreszcie czynić sobie wyrzuty.

Mike zacisnął pięści i wydawało się, że zaraz wybuchnie. Dyszał ciężko, aż nagle obrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Nie wiem, czy masz rację, Sabrina – rzekł po chwili Kolczynski, masując w zamyśleniu czoło. – Pewnie już dawno trzeba było mu coś takiego powiedzieć, ale sama wiesz, co się z nim dzieje, gdy wpadnie w ten ponury nastrój, więc nie jestem pewien, wybrałaś dobrą porę na taki wygawor.

– No cóż, nie mogłam już z tym wytrzymać – westchnęła Sabrina.

– Rozumiem, może lepiej było jednak przemilczeć. Zostało nam tylko trzydzieści sześć godzin, a taka awantura może wszystko popsuć. W przyszłości zastanów się chwilę, nim zaczniesz babrać się w cudzym życiu. Wiesz, jaki on jest wrażliwy na punkcie Carrie i Mickeya.

– Wiem, wiem także, że kiedy tylko ktoś wspomni o jego żonie albo o dziecku, to zaraz wszyscy milkną lub zmieniają temat. A rezultat jest taki, że Mike ma coraz większe poczucie winy. Raz na zawsze trzeba z tym skończyć. Dlatego postawiłam sprawę otwarcie. Brutalnie? Owszem, ale może wreszcie przestanie się gryźć.

Kolczynski westchnął ciężko i pokiwał głową.

– Nie mówmy już o tym. Lepiej zadzwoń do baru i każ przynieść kawy.

– Dla ciebie też, Fabio? – zapytała, podnosząc słuchawkę.

– I coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Zamówiła trzy kawy i kanapki.

– Ale musisz przyznać, że mam rację – rzuciła jeszcze w stronę Kolczynskiego.

– Zmieńmy lepiej temat.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sabrina otworzyła. Nieznajomy przybysz poprosił Paluzziego i nie wchodząc do środka zamienił z nim kilka zdań, podając teczkę z dokumentami.

– Kto to był? – zapytał Kolczynski, gdy Paluzzi wrócił: miejsce.

– Jeden z moich ludzi. Przyniósł bieżące meldunki. Sprawdzamy jeszcze kilka

innych wątków.

– I co, jest coś ciekawego? – spytała Sabrina, gdy Paluzzi zaczął przeglądać papiery.

– Strażnikowi w więzieniu pokazano fotografię śmigłowca typu Gazelle. Taki sam, jak widzieliśmy na Korfu. Powiedział, że z takiej właśnie maszyny załatwiono Zocchiego.

– To raczej komplikuje sprawę – westchnął Kolczynski. – Oto okazuje się, że Zocchi i Karos wchodzi w porozumienie z braćmi Francia, a ci ni stąd, ni zowąd mordują jednego i drugiego. Jaka w tym logika?

– A może jest jeszcze ktoś trzeci? – rzuciła Sabrina.

– Nie sądzę – rzekł Paluzzi. – Gdyby w tej sprawie ktoś jeszcze maczał palce, to Karos powiedziałby nam.

– Być może, ale zginął, nim zaczęliście go naprawdę przesłuchiwać.

– To prawda. Z drugiej jednak strony o Zocchim powiedział od razu. Można więc założyć, że gdyby w sprawie brał udział jeszcze ktoś, to też pewnie by o tym wspomniał.

– O Zocchim rzeczywiście zaczął śpiewać natychmiast – zauważył Kolczynski.

– Myślisz, że coś się za tym kryje? – spytała Sabrina. – Przypuszczasz, że wspomniał o Zocchim, żeby skierować nas na fałszywy trop, a jednocześnie ukryć kogoś, kto naprawdę pociąga za wszystkie sznurki?

– Co o tym myślisz, Fabio?

Paluzzi pokiwał przecząco głową.

– Nie sądzę, aby tak było.

– Dlaczego?

– Dlatego, że wszystkie nici prowadzą do Ubrina, Ubrino był całkowicie w ręku Zocchiego. Nie zrobiłby niczego bez jego zgody, co oznacza, że Zocchi miał w tym wszystkim udział.

– O czym jeszcze meldują twoi ludzie? – zapytał Kolczynski o chwili.

– Wygląda na to, że Vittore Dragotti, ten z Neo-Chem, miał poważne kłopoty finansowe. Pewnie dlatego wpłatał się w sprawę Wisemana i Karosa.

– A co z pieniędzmi, które dostał Wiseman?

– Nie wiadomo. Nie ma ich na koncie we Włoszech ani w Ameryce. Zapewne są w Szwajcarii u jakiegoś dyskretnego bankiera.

Znów zapukano do drzwi. Kelner wniósł tacę z kawą i kanapki. Sabrina napełniła filiżanki. Mężczyźni sięgnęli po kanapki.

– A ty nie jesz? – zapytał Paluzzi Sabrinę.

– Nie, dziękuję. Już jadłam, a poza tym nie jadam białego pieczywa, i bez tego mam kłopoty z figurą.

– Ja tego nie zauważyłem – wtrącił Paluzzi z galanterią.

– Zdążyłaś przetłumaczyć materiały o Boudienie i braciach Francia? – przerwał towarzyską wymianę zdań Kolczynski.

Sabrina sięgnęła do nocnej szafki i wyciągnęła papiery. Oryginał Paluzziemu, a jedną kopię tłumaczenia podała Kolczynskiemu.

– Mam też egzemplarz dla Mike’a – dodała.

– Trzeba mu to zaraz dać, nie czekać, aż się raczy pokazać. A zresztą to twoja wina, że wypadł stąd jak poparzony.

Sabrina aż zaczerwieniła się ze wstydu i złości.

– A poza tym, moja droga, na przyszłość nie życzę sobie żadnych awantur i albo będziecie o tym pamiętać, albo rozwiążemy waszą trójkę. Możesz mu o tym powiedzieć.

– Tak jest.

Kolczynski dopił kawę.

– Mamy jeszcze jakieś sprawy? – zwrócił się do Paluzziego.

– Nie, chyba już nie – odparł Fabio, przerzucając papiery. – Stan Contego bez zmian i to już wszystkie wiadomości.

– Dasz mi znać, gdy tylko odzyska przytomność?

– Naturalnie. – Paluzzi wstał. – Czas już chyba na mnie. Pojadę zobaczyć, czy moja żona jeszcze się ze mną nie rozwiodła. Rano przyniosę raport o sprawie Pisaniego – dodał, pożegnał się i wyszedł.

– Ja też już pójdę – rzekł Kolczynski. – Mam jeszcze trochę papierkowej roboty. I jeszcze jedno, wcale nie żartowałem mówiąc o sprawie z Mike’em.

– Już dobrze, Siergiej, powiedziałam, że z nim pogadam.

– Mam nadzieję – rzekł Kolczynski i poszedł do siebie.

Sabrina odczekała dłuższą chwilę, wzięła kopię tłumaczenia, zamknęła drzwi do swojego pokoju i zapukała do Mike’a. Cisza; Nikt nie odpowiedział. Zastukała mocniej.

– Gdzież on się podziewa? – mruknęła.

– Masz interes do mnie? – usłyszała za sobą. Mike stał za jej plecami.

– Skąd się tu wzięłeś?

Nie odpowiedział, machnął tylko ręką w stronę klatki schodowej za windą.

– Kolczynski kazał ci przyjść?

– Też, ale w ogóle to czas, żebyśmy poważnie porozmawiali.

Otworzył drzwi, zapalił światło i przepuścił ją przed sobą. Bez słowa podszedł do szafy i wyjął walizkę, w której odszukał pudełko na cygara. Sprawdził zawartość. W środku miał B405 Surveillance System – elektroniczny sygnalizator, z jakich korzystali wszyscy oficerowie operacyjni UNACO. Włączył, żeby sprawdzić, czy w czasie jego

nieobecności nie założono w pokoju podsłuchu. Pokój był czysty. Schował sygnalizator. Walizkę umieścił w szafie. Z lodówki wyjął butelkę wody mineralnej.

– Napijesz się?

– Dziękuję nie, właśnie piłam kawę – odparła Sabrina, siadając w fotelu przy oknie.

– Co tam masz? – zainteresował się papierami, które trzymała w ręku.

Podczas gdy Graham przeglądał notatki, opowiedziała mu pokrótce, o czym rozmawiała z Paluzzim i Kolczynskim po jego wyjściu.

– Nie chciałam cię zdenerwować – dodała przepaszająco – ale uważam, że wcześniej czy później ktoś musiał ci to powiedzieć.

Mike znów się spał w sobie. Zawsze tak reagował, gdy próbowała z nim rozmawiać o Carrie i Mickeyu. Ta tragedia zostawiła w nim głęboki ślad. Pogrążony w żalu otoczył się jakby murem i nikomu, nawet jej, nie pozwalał go przekroczyć.

– Pewnie masz rację – mruknął w końcu niechętnie. Ręce znów zacisnął w pięści, aż kostki zrobiły się białe.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Spojrzała mu głęboko w oczy i nagle zobaczyła przed sobą zupełnie innego Mike'a. Nie był już twardym i bezwzględny stróżem prawa, ale głęboko nieszczęśliwym, zmęczonym człowiekiem. Nic jednak nie powiedziała. Czekala, aż Mike zacznie.

– Nie kryję, że to, co powiedziałaś, dotknęło mnie. Dlatego wyszedłem. Chciałem się uspokoić, opanować. Najpierw byłem po prostu wściekły. Na ciebie. Ale później, jak się zacząłem nad tym wszystkim zastanawiać, zdałem sobie sprawę, że jeśli mogę mieć do kogoś pretensje, to tylko do siebie. Zrozumiałem, że chcesz mi po prostu pomóc, czego nikt inny jeszcze nie zrobił. Chcesz, abym wreszcie uporał się z własnym zgorzknieniem, że tak to nazwę. Poza tobą nikt tak otwarcie do mnie nie mówił. Wszyscy zawsze chodzili na palcach. Ty jedna nie. Przyznam, że i miałem ci to za złe. Pewnie dlatego zawsze chciałem ci dokuczyć. Można powiedzieć, że chciałem się zemścić. Efekt był taki, że z jednej strony bez przerwy miałem ci wszystko za złe, z drugiej natomiast szukałem okazji, żeby ci zająć za skórę. No cóż, nie byłem łatwym partnerem w naszej robocie.

Sabrina nic nie odpowiedziała. Słuchała pilnie, patrząc nań serdecznym wzrokiem.

– Powiem ci coś, Sabrina, może wtedy lepiej zrozumiesz, co kłębi się w tej mojej głowie. Nigdy tego nikomu nie mówiłem, nawet rodzonej matce, choć to najbliższa mi osoba. – Odstawił butelkę Ina podłogę, wygładził dłonią włosy, zastanawiał się nad doborem słów. – Otóż – powiedział wreszcie – nosiłem się z zamiarem zrezygnowania ze służby. Libia miała być moją ostatnią operacją.

– Carrie wiedziała o tym? – zapytała cicho Sabrina.

Zaprzeczył.

– Dwa dni przed moim wyjazdem była u lekarza. Powiedział jej, że jest w ciąży. Wtedy właśnie podjąłem decyzję, ale nie mogłem już wycofać się ze sprawy libijskiej, bo było za późno. Więc pojechałem, a zaraz po powrocie mieliśmy urządzić wielkie przyjęcie i ogłosić wszystkim, że spodziewamy się następnego potomka. Wtedy też zamierzałem jej powiedzieć, że składam rezygnację ze służby. Wyobrażałem sobie, jaka będzie szczęśliwa.

– A ty? – zapytała Sabrina. – Ty też byłbyś szczęśliwy?

– Wszystko przemyślałem i byłem absolutnie zdecydowany. – wziął butelkę i zaczął obracać ją w ręku. – Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że nie miałbym żadnych kłopotów ze znalezieniem nowej roboty, i to niekoniecznie papierkowej. Mógłbym być trenerem, konsultantem i Bóg wie czym jeszcze. Obracać się między ludźmi, a jednocześnie żyć spokojnie, bez narażania się. Carrie byłaby szczęśliwa – powtórzył patrząc przed siebie. – Możesz sobie wyobrazić, co czułem, gdy zawiadomiono o porwaniu. W pierwszym odruchu chciałem odwołać całą akcję! Gdybym tak zrobił, to przynajmniej teoretycznie byłaby możliwość, że Carrie i Mickey wyszliby z tego cało. Jednocześnie jednak wiedziałem, że nie wolno mi tego zrobić, że byłby to akt tchórzostwa z mojej strony, że nie mógłbym już nikomu spojrzeć prosto w oczy. Tak więc miałem tylko jedno wyjście i do dziś tak się tym wszystkim gryzę...

– Rozumiem cię, Mike – powiedziała cicho.

Graham wstał z miejsca.

– Mamy jutro ciężki dzień. Wezmę prysznic i idę do łóżka. Trzeba złapać trochę snu.

– Dziękuję ci, Mike. Dziękuję za rozmowę.

– A ja tobie.

Objęła go ramieniem na pożegnanie i poszła do siebie.

Zadzwoił telefon.

Kolczyński przekręcił się na łóżku i, nie otwierając oczu, sięgnął zaspany po słuchawkę na nocnym stoliku. Nie trafił, zrzucił tylko papierosy i zegarek. Telefon ciągle dzwonił. Kolczyński otworzył jedno oko. Przekonał się, że na leżąc nie sięgnie aparatu, usiadł więc na łóżku i wreszcie chwycił słuchawkę.

– Siergiej?

– Słucham – Kolczyński podniósł papierosy i zegarek z podłogi. Sprawdził przy okazji czas. Siódma cztery. Ziewnął.

– Fabio z tej strony. Paolo Conte odzyskał przytomność.

– Czy ktoś już z nim rozmawiał? – Kolczyński zapalił papierosa.

– Jeszcze nie. Właśnie jadę do szpitala.

– Spotkamy się na miejscu za pół godziny, dobrze? – zakrztusił się od pierwszego dymu i zaczął kaszleć.

– Siergiej, nic ci nie jest?

– Nic. W porządku. – Kolczyński spojrzał z odrazą na paczkę papierosów. – Zaraz obudzę Sabrinę i Grahama.

– A co z Calvierim?

– Jego też trzeba zawiadomić.

– No to zatelefonuj do niego. Do zobaczenia w szpitalu za trzydzieści minut.

Kolczyński odłożył słuchawkę i zaciągnął się papierosem. Dlaczego właściwie tyle pali? Ani to zdrowe, ani przyjemne. Nałóg, ot co. Skruszył niedopałek w popielniczce, zatelefonował do Sabrinę i Grahama, a następnie spróbował połączyć się z numerem pokoju Calvieriego. Cisza. Wyciągnął kartkę z telefonem Pisaniego.

– *Posso parlare con Tony Calvieri?* – poprosił.

– *Resti in linea*, jedną chwilę, proszę nie odkładać słuchawki – brzmiała odpowiedź.

– *Pronto, sono Tony Cahieri* – usłyszał po chwili.

– Kolczyński. Conte odzyskał przytomność. Paluzzi w szpitalu. Spotkanie za pół godziny.

– Nie zdążę, przyjadę trochę później.

– Są jakieś nowe wiadomości?

– Raczej nie – westchnął Calvieri zrezygnowany. – A zresztą, opowiem, gdy się zobaczymy w szpitalu. Tymczasem dzięki za wiadomość o Contem.

Dziesięć minut później Kolczyński z Sabriną i Grahamem jechali do szpitala św.

Ducha w centrum Rzymu. Paluzzi już czekał w hallu.

– Rozmawiałeś z nim?

– Jeszcze nie, dopiero co przyjechałem – odparł Paluzzi. – Co z Calvierim? – zapytał po chwili rozglądając się, czy nikt ich nie słyszy.

– Zastałem go u Pisaniego. Powiedział, że przyjedzie trochę później.

– Tym lepiej – Paluzzi skierował się do windy, a za nim pozostała trójka. – Lepiej będzie, jeśli najpierw sami porozmawiamy z Contem.

– Dlaczego? – spytała Sabrina.

– Psychologia, moja droga – odparł, uruchamiając przycisk na trzecie piętro. – Musimy zdobyć jego zaufanie. Conte ma świadomość, że Ubrino chciał go wykończyć, jeśli więc zobaczy, że współdziałamy z Brygadami, to nic nam nie powie.

Separatki na trzecim piętrze pilnowało dwóch *carabinieri*. Paluzzi pokazał legitymację.

– A ci państwo? – zapytał jeden z policjantów.

– Są ze mną. Conte przytomny?

– Jak najbardziej.

Paluzzi wziął Grahama na bok.

– Wyślę ich na śniadanie – szepnął wskazując wzrok policjantów. – Zostań przy drzwiach i czekaj na Calvieriego, tylko nie pozwól mu wejść do środka.

– Rozumiem.

Paluzzi odprawił *carabinieri*, którzy z chęcią poszli coś zjeść, a gdy spróbował wejść do separatki, okazało się, że w środku jest jeszcze jeden policjant. Poderwał się z miejsca i naparł na Paluzziego. Major wylegitymował się i odesłał go za pozostałą dwójką. Policjant wyszedł. Kolczyński z Sabriną weszli do środka, zamykając za sobą drzwi.

Conte leżał bez ruchu. Twarz miał opuchniętą, przekrwionymi oczami wodził za trójką nie znanych sobie przybyszów. Chciał coś powiedzieć, ale z wyschniętego gardła nie był w stanie dobyć słów. Sabrina nalała trochę wody do szklanki i przytknęła mu do ust. Krztusząc się wypił trochę.

– *Grazie* – szepnął po chwili.

– *Prego*. – Zaskoczyły ją chłopięce rysy rannego. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia dwa lata, raczej na ucznia, nastolatka. Zrobiło jej się go żal. Jak to się stało, że znalazł się w Czerwonych Brygadach? Czyżby nie pojmował, że ta droga nie prowadzi donikąd, że zmarnuje sobie życie?

– Fabio, pozwól na chwilę. – Graham otworzył drzwi i znaki dawał Paluzziemu.

– Calvieri?

– Gorzej. Z Calvierim dałbym sobie radę – szepnął Mike. – Przyszedł jakiś lekarz

i robi prawdziwe piekło. Mówi, że miałeś się z nim porozumieć. Wiesz, o co chodzi?

Paluzzi westchnął ciężko i wyszedł z Grahamem na korytarz. Mężczyzna w białym fartuchu, ze słuchawkami lekarskimi na szyi, był wyraźnie wzburzony.

– Doktor Marchetta?

– *Si* – uciął lekarz. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Miał kruczoczarne włosy i elegancko przystrzyżoną bródkę.

Paluzzi przeszedł na angielski, przedstawił się, pokazał legitymację.

– A ten, to kto? – zainteresował się Marchetta, patrząc podejrzliwie na Grahama.

– Przedstawiciel Neo-Chem. Właśnie przyjechał ze Stanów. Bierze udział w śledztwie.

– Przecież uzgodniliśmy przez telefon, majorze – powiedział ostrym tonem po włosku, lekceważąc Grahama – że po przyjeździe do szpitala najpierw skontaktuje się pan ze mną!

– Próbowałem, ale jeszcze pana nie było.

– Więc powinien pan poczekać – uciął Marchetta ze złością.

– Prowadzimy poważną sprawę, doktorze, i nie mamy chwili do stracenia. A swoją drogą, mógł pan przecież uprzedzić któregoś ze swoich asystentów, żeby na nas czekał.

– Pan ma poważną sprawę, a ja poważny przypadek. Właśnie dlatego żądałem, aby najpierw skontaktował się pan ze mną. Pacjent był nieprzytomny przez czterdzieści osiem godzin. Jest bardzo osłabiony. Nie mogę zgodzić się na dłuższą rozmowę niż pięć minut. Być może po południu, jeśli jego stan ulegnie poprawie, będzie można go przesłuchać.

– Nie mam czasu na rozkładanie sprawy na raty – Paluzzi aż poczerwieniał ze złości.
– Muszę go przesłuchać natychmiast.

– Mowy nie ma. Stan pacjenta na to nie pozwala. Pięć minut to wszystko, na co mogę się zgodzić.

– To nie jest prośba z mojej strony, doktorze, to polecenie. Nie wyjdę stąd, dopóki go nie przesłucham.

– Polecenie? Wolnego, majorze. Tam może pan sobie rozkazywać – Marchetta wymownym gestem wskazał ulicę za oknem. – Pańska władza kończy się wraz z wejściem do szpitala. Tu ja wydaję polecenia i będzie tak, jak ja mówię.

– Ten człowiek brał udział w napadzie, w którym zginęło czterech ludzi. On też ponosi za to winę.

– Ja to wszystko rozumiem, panie majorze. Jestem przeciw Czerwonym Brygadam, jak wszyscy, ale jako lekarz mam też obowiązek dbać o zdrowie pacjenta. Właśnie, pacjenta! Dla mnie bowiem i dla nas wszystkich tu, w szpitalu, jest on wyłącznie

pacjentem. Terrorystą będzie, gdy stanie przed sądem, gdy wyzdrowieje.

– Dziesięć minut, doktorze – przekonywał Paluzzi. – Niech pan pomyśli o zamordowanych, niewinnych ludziach, o ich rodzinach.

– Nie mogę ryzykować. Pięć minut to wszystko. Przyślę siostrę przełożoną i proszę się więcej nie targować – Marchetta obrócił się na pięcie uznając, że sprawa jest ostatecznie zakończona.

– Co to za awantura? – zapytał Graham.

– Nic takiego, chciałem tylko zyskać na czasie, aby Sabrina i Kolczyński zdążyli jak najwięcej wycisnąć z Contego.

Mike wzruszył ramionami i wrócił na swój posterunek.

Paluzzi otworzył drzwi do separatki. Sabrina siedziała na łóżku Contego z minimagnetofonem w ręku. Kolczyński przyłożył palec do ust, dając znak, aby nie przeszkadzał.

– Lepiej wyjdźmy – szepnął.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Graham, widząc ich na korytarzu.

– Wszystko w porządku. Sabrinie udało się go przekonać, by powiedział wszystko, co wie. Lepiej im nie przeszkadzać.

– Zwłaszcza że ma co najwyżej cztery minuty – zauważył Paluzzi, przedstawiając krótko warunki, jakie postawił ordynator.

– A jeśli Sabrina nie zdąży? – zapytał Graham.

– No to wrócimy po południu.

– Po południu? – oburzył się Graham. – Wszystko zależy tego, czego dowiemy się od Contego, a ty mówisz, że mamy czekać do popołudnia. Przypominam ci, bo może zapomniałeś, że termin ultimatum upływa jutro rano!

– Przykro mi, Mike, ale nic na to nie poradzę. Szpital to szpital. Jeśli zaczniemy się awanturować, to w ogóle wyrzucą nas stąd i będziemy czekać, aż Conte łaskawie wyzdrowieje. Marchetta ma prawo nas stąd usunąć.

Graham chciał powiedzieć, co o tym myśli, ale zrezygnował i machnął tylko ręką.

– Jest nasz przyjaciel – Paluzzi pierwszy dostrzegł charakterystyczną sylwetkę Calvieriego.

– Cześć – przywitał się Calvieri. – Conte coś powiedział?

– Nie wiemy. Sabrina jeszcze tam jest.

– No to ja z nim pogadam – Calvieri ruszył do drzwi.

– Nie zgadzam się – zaprotestował Paluzzi. – Dopiero gdy Sabrina skończy. Boję się, że Conte w ogóle nic nie powie, jak ciebie zobaczy.

Calvieri nic nie odpowiedział. Podszedł do okna i przez dłuższą chwilę patrzył

w zamyśleniu na ulicę i rzekę. Załadowana owocami tropikalnymi barka przepływała właśnie pod mostem Vittorio Emanuele.

– Jest coś nowego w sprawie Pisaniego? – zagadnął Kolczynski.

– Pięciu zabitych – Calvieri oderwał się od okna. – Pisani, Rocca... to ten, u którego byliśmy z Sabriną... i trzech członków ochrony...

– Macie jakieś nowe ślady albo poszlaki poza tym, co mówiłeś dzisiaj, że jeden z napastników to Murzyn?

– Nie. Jak na razie drepczemy w miejscu, ale wszystko wskazuje na to, że była to profesjonalna robota. Nawet tablice rejestracyjne auta zakryli przyklepcem.

– Kogo podejrzewacie?

– Mamy wielu wrogów – Calvieri wzruszył ramionami – a to była profesjonalna robota – powtórzył – co wyklucza udział nieprzyjaznych nam frakcji. Nawet nie wpadliby na pomysł, żeby wynająć zawodowca, nie mówiąc już o tym, że nie mieliby funduszy, aby go opłacić.

– A więc jakiś płatny morderca? – spytał Kolczynski.

– Tak mi się wydaje. – Calvieri przygryzł nerwowo wargę. – Pewnie było tak, że przyleciał do Rzymu wczoraj, załatwił sprawę i dziś rano odleciał. Jedyne ślad to ten czarnoskóry pomocnik. Jeśli jego uda nam się namierzyć, to dotrzemy do mordercy.

Graham z Kolczynskim spojrzeli po sobie.

– Uważa pan, że ten pomocnik to ktoś miejscowy, to znaczy stale mieszkający w Rzymie?

– Takie przynajmniej mamy założenie. Jedno wiem na pewno – znajdziemy go, zanim policja trafi na jego ślad.

– I co potem? Wrywanie paznokci, rażenie prądem?

– Mamy swoje sposoby, *Mr Graham*, podobnie jak i wy...

Dalszą rozmowę przerwała Sabrina, która właśnie wyszła na korytarz.

– Dobrze usłyszałam, że to ty, Tony. Wejdz, Conte chce cię widzieć.

– Tak też sądziłem – rzekł Calvieri. Spojrzał triumfująco na Paluzziego i ruszył do drzwi.

– Powiedziałaś mu, że jestem Sabrina Trestelli, twoja współpracowniczka – szepnęła w przejściu. – Tylko w ten sposób sprowokowałam go do mówienia.

– Jasne.

– Miałaś okazję porozmawiać w Whitlockiem? – zapytał Paluzzi Kolczynskiego, gdy Sabrina z Calvierim zniknęli w separacie.

– Nie, jeszcze się nie zgłosił.

– A wy nie możecie telefonować?

– To byłoby zbyt ryzykowne. Sam się z nami skontaktuje, gdy tylko będzie mógł.

– Musimy go ostrzec – wtrącił Graham – żeby te dranie od Calvieriego go nie zaskoczyły.

– Ale jak, Mike? Nie możemy ryzykować zdemaskowania Whitlocka.

– A może dać mu ochronę? Mogę przydzielić paru naszych ludzi – zaproponował Paluzzi. – Wtedy faceci z Brygad go nie dostaną.

– Ale Young może się zorientować, że coś jest nie tak. To zawodowiec, Fabio, a nie tuzinkowy morderca z Chicago. Mimoto – Graham spojrzął na Kolczyńskiego – trzeba go ostrzec.

– Coś się wymyśli – odparł Kolczyński. – Graham oczywiście ma rację, trzeba będzie rozważyć całą sprawę, ale nie teraz, później.

– Koniec widzenia – szepnął Paluzzi na widok energicznej siostry przełożonej, która szybkim krokiem zdążyła korytarzem.

– Mam nadzieję, że Sabrina coś jednak z niego wycisnęła. Nie ma czasu na ponowne przesłuchanie.

Siostra przełożona obrzuciła ich niechętnym spojrzeniem i bez słowa wtargnęła do separatki. W chwilę później Sabrina i Calvieri byli już na korytarzu.

– Masz coś? – spytał niecierpliwie Kolczyński.

– Opowiem wam po drodze, a poza tym wszystko jest na nagrane, słowo w słowo – Sabrina z dumą pokazała minimagetofon.

– I to wszystko – powiedziała Sabrina, wyłączając magnetofon. Siedzieli w pokoju Kolczyńskiego. Kelner przyniósł tacę ze śniadaniem i Sabrina zdecydowała się na jedną bułeczkę.

– Mój Boże – westchnął Kolczyński, analizując w myślach wszelkie konsekwencje tego, co przed chwilą usłyszał. Sabrina przełożyła treść nagranej rozmowy na angielski.

– Tak więc – rzekł Graham, patrząc na Sabrinę – popraw mnie, jeśli się mylę: Ubrino zamierza otworzyć fiolkę i skazić powietrze wirusami jutro o dziesiątej rano, w Centrum imienia Offenbacha w Bernie, w Szwajcarii, jeśli do tego czasu telewizja nie nada transmisji „na żywo” ukazującej zwolnienie Zociego z więzienia i jego odlot specjalnym samolotem na Kubę. Wiemy jednocześnie, że w tym samym czasie w Centrum zbiera się szczyt państw europejskich z udziałem wszystkich prezydentów i premierów.

– Dokładnie tak – powiedziała ponuro Sabrina.

– Conte zaś nie wie, gdzie może ukrywać się Ubrino – uzupełnił Kolczyński. – Calvieri, ty znasz Ubrina, więc jak sądzisz, gdzie on mógł się zaszyć?

– Trudno wyczuć. Sądzę jednak, że raczej jest jeszcze w Rzymie. Ja przynajmniej zrobiłbym tak na jego miejscu. Pierwsza zasada bezpieczeństwa to ukryć się w znajomym otoczeniu, wśród ludzi, na których można liczyć.

– To racja. Z drugiej jednak strony nic nie potwierdza hipotezy, że Ubrino jest w Rzymie – wtrącił Graham. – Równie dobrze może już być w Szwajcarii.

– Tego nie można wykluczyć – rzekł Calvieri. – Ja jednak myślę, że jest raczej w Rzymie, na znanym sobie terenie, gdzie może liczyć na ewentualną pomoc. Owszem, Brygady mają swoich sympatyków w Szwajcarii, ale są to raczej ludzie o umiarkowanych poglądach, innych niż głoszą członkowie naszej sekcji w Rzymie. Myślę, że z Paluzzim moglibyśmy stworzyć listę adresów w Szwajcarii, gdzie Ubrino mógłby znaleźć schronienie. Ale powtarzam, moim zdaniem Ubrino jest jeszcze w Rzymie.

– Fabio, usiądź z Calvierim i zróbcie taką listę – powiedział Kolczyński. – Może się przydać.

– Oczywiście.

– Ja teraz muszę wyjść. Będę z powrotem za godzinę – rzekł Calvieri wstając z miejsca. – Muszę spotkać się z naszym człowiekiem z Genui. Bettinga zajmie się poszukiwaniem mordercy Pisaniego. Muszę przekazać mu wszystkie sprawy. Będę do waszej dyspozycji, gdy tylko z nim porozmawiam.

– Im szybciej, tym lepiej – rzekł Kolczyński. – Każda minuta jest ważna.

– Może pan na mnie liczyć.

– Sądziś, że Calvieri ma rację? Myślisz, że Ubrino jest jeszcze w Rzymie? – spytał Graham, gdy Calvieri wyszedł.

– Jego rozumowanie jest dość logiczne, co wcale niestety nie znaczy, że Ubrina znajdziemy w Rzymie. Także dlatego, że Calvieri nie ma tu, jak już wiemy, większych wpływów, a tym samym nikt mu niczego nie powie. Rzym to takie państwo w państwo w strukturze Czerwonych Brygad – odparł Paluzzi.

– Co więc w tej sytuacji powinniśmy zrobić? Łapać Ubrina w Bernie? – zapytał Kolczyński.

– Kto wie, kto wie – odparł Paluzzi. – Przypominam wam, że Ubrino jest mistrzem charakteryzacji. Przez wiele lat pracował w Teatro dell'Opera i wszyscy mówią, że zna się na tej robocie. Sam wiem, że w przeszłości przebierał się i charakteryzował na wiele różnych sposobów, i to z powodzeniem. Sądzę więc, że pod przebraniem bez trudu wejdzie do Centrum imienia Offenbacha.

– Coraz trudniej, nie ma co mówić – Kolczyński podrapał się w głowę. Dalszą wymianę zdań przerwał dzwonek telefonu.

– Mam nadzieję, że to C.W. – powiedziała Sabrina podnosząc słuchawkę.

– Halo?

– Sabrina?

– Dzień dobry, szefie – poznała głos Philpotta i zdziwiła się, że telefonuje o tak wczesnej porze. W Nowym Jorku była dopiero czwarta rano.

– Jest Siergiej?

– Już go daję – przekazała słuchawkę Kolczyńskiemu.

– Witaj, Malcolm – przywitał się Kolczyński, dając znak Sabrinie, aby podała mu papierosy i zapalniczkę. – Myślałem, że zatelefonujesz po południu.

– Niestety mam niedobre wiadomości. Właśnie rozmawiałem z majorem Lonsdale'em ze Scotland Yardu. Alexander zbiegł.

Kolczyński aż usiadł z wrażenia. Wypuścił papierosa z ręki.

– Tylko tego nam brakowało.

– Lonsdale uważa, że Alexandrowi nie uda się wyjechać z Anglii. Służby graniczne są uprzedzone i przy próbie wyjazdu aresztują go, niemniej uważa, że na wszelki wypadek trzeba uprzedzić C.W.

– Zaraz się tym zajmę.

– A co u was nowego?

Kolczyński przedstawił pokrótce informacje uzyskane od Contego.

– Rozumiem – odparł Philpott. – Zaraz skontaktuję się z szefem policji szwajcarskiej, Reinhardtem Kuhlmannem. To mój stary znajomy. Uprzedzę go, że się do niego zgłosisz. Zatelefonuj i przekaz mu wszystkie dane. Sądzę, że można liczyć na niego. Połącz się też koniecznie z Jacquesem w Zurychu i niech on również porozumie się z Reinhardtem.

Kolczyński potwierdził polecenia, odłożył słuchawkę i w krótkich słowach opowiedział o ucieczce Alexandra.

– Tylko jak go uprzedzić, żeby Young się nie zorientował? – zmartwił się Paluzzi.

– Właśnie. Macie jakiś pomysł? – Kolczyński spojrzał na Sabrinę i Grahama.

– Jest sposób – odparł Graham. – Jeśli Sabrina się zgodzi...

– Tak też pomyślałam, że to zaproponujesz – przerwała mu Sabrina, rzucając wymowne spojrzenie.

– To jest ten pensjonat – rzekł Graham, gdy z Sabrina mijali budynek. Zatrzymał auto dopiero za rogiem.

– Oby tylko się udało – mruknęła, sięgając po torebkę.

Graham popatrzył na nią i uśmiechnął się wyrozumiale. Miała na sobie obcisłą białą bluzkę, minispódniczkę z czarnej błyszczącej skóry, czarne pończochy i czarne szpilki.

Włosy rozpuściła, zrobiła sobie jaskrawy makijaż i przylepiła długie, sceniczne niemal rzęsy. Wyglądała jak dama z półświatka i nienawidziła się w roli prostytutki.

– Widzę, że bardzo cię to śmieszy – powiedziała z przekąsem, sięgając po czarny zakiet na tylnym siedzeniu auta.

– Wyglądasz wspaniale – pocieszył ją, ale jego słowa jeszcze bardziej ją zezłościły.

– A ty jak głodny chłop – odcięła się. – Do zobaczenia w hotelu – rzuciła na pożegnanie.

– Sabrina?! – krzyknął jeszcze, gdy wysiadała z auta.

-?

– Dobrych łowów – zaśmiał się.

– Wiesz, co możesz sobie zrobić z tymi życzeniami. – Jeśli chodzi o swoją osobę, nie miała poczucia humoru.

– Powodzenia i nie lekceważ tego. Przyda ci się trochę szczęścia – mruknął i odjechał.

Sabrina westchnęła ciężko i ruszyła w stronę pensjonatu, mając bolesną świadomość, że większość mężczyzn na ulicy waży w myślach koszt ewentualnego sam na sam z jej nowym wcieleniem. Udawała, że nie słyszy zaczepek, choć zdawała sobie sprawę, że postępuje „nieprofesjonalnie”. Ale nie potrafiła pokonać w sobie niechęci. Owszem, lubiła ładne stroje i lubiła się podobać, ale nie w tej roli. Czuła na sobie lepkie spojrzenia i cała ta sytuacja wielce ją brzydziła.

Dotarła do pensjonatu i wkroczyła do hallu. Recepcjonistka spojrzała obojętnym wzrokiem – widziała już wiele takich „odwiedzina” – i bez słowa wróciła do robótki na drutach. Sabrina weszła na piętro, przystanęła na chwilę, żeby się zorientować w rozkładzie pokoi. Jakaś starsza para schodziła właśnie schodami udając, że jej nie widzi. Odczekała chwilę, aż znikną na dole, i zapukała ostro do drzwi Whitlocka.

Otworzył... Young, co ja zaskoczyło. Numer pokoju Whitlocka dostała od Paluzziego, czyżby pomyłka?

– Szukam *Signora* Andersona – zaczęła mówić z wyraźnym włoskim akcentem. – Pan jest Anderson, *Mister*”?

– Nie – odparł i gwizdnął z podziwu, obrzucając ją badawczym spojrzeniem od stóp do głów. – A szkoda – dodał z krzywym uśmiechem. – Anderson, masz gościa – rzucił w głąb pokoju.

Whitlock zdziwił się niepomnie na widok Sabriny, i to w takim właśnie przebraniu, ale starał się zachować obojętność. Podszedł do drzwi licząc, że Sabrina da mu jakiś znak, który pozwoli jak najlepiej rozegrać całą tę niespodziewaną sytuację.

– To pan dzwonił do agencji w sprawie dziewczynki z językiem angielskim? –

zapytała, wydymając wargi i wydmuchując balon z gumy do żucia. Odczekała sekundę, a gdy kiwnął głową na potwierdzenie, dodała: – Nie mówił pan nic o towarzystwie. Dwóch klientów to podwójna cena.

– Niech mnie kule biją – wtrącił Young, patrząc z podziwem a Whitlocka – gdzie ja dorwał?

– Wczoraj, gdy wróciliśmy, zatelefonowałem do agencji towarzyskiej, ale okazało się, że nie ma wolnych dziewczyn z angielskim. Powiedziano mi, że mogą przyjąć zamówienie na dziś no.

– Agencja towarzyska, powiadasz? – Young wygładził czuprynę. Podobasz mi się, słonko – wyciągnął rękę do Sabriny.

– Kto dotyka, ten płaci – ucięła niewczesne umizgi.

– Wiem, wiem, jeszcze się spotkamy – zaśmiał się Young. – Zobaczymy się później – poklepał Whitlocka po ramieniu i wyszedł.

Whitlock odczekał, aż Young zejdzie po schodach, i dopiero wtedy zamknął drzwi. Następnie podszedł do radia i nastawił muzykę. Dał znak Sabrinie, aby usiadła blisko.

– Podśluch? – szepnęła.

– Nie, sprawdzałem, nie ma podsłuchu, ale ściany są cienkie i papier, a nie wątpię, że gdy Young wróci, to zacznie nadśluchiwać. Radio zagłuszy wszystko, więc nie trzeba będzie skrzypieć łóżkiem i w ogóle.

– To i lepiej – odpowiedziała z przekąsem.

– A kto wpadł na pomysł, żeby cię tak wystroić?

– Mike, oczywiście. Pół godziny temu wybraliśmy te ciuchy w butik. Zaraz po południu im to oddam i zażądam zwrotu pieniędzy, możesz mi wierzyć. – Położyła torebkę na toalecie. – Cokolwiek powiesz, to udało się, tak jak Mike przewidział. Uważał, że to będzie najbezpieczniejszy sposób skontaktowania się z tobą.

– A od kiedy jestem pod obserwacją?

– Skąd wiesz?

– Bo skąd wiedziałybyś, że jestem na miejscu?

– Ludzie Fabia mają oko na pensjonat od wczoraj, to znaczy od waszej wieczornej akcji. Słyszałam, że już zmieniliście auto,

– Zaraz z samego rana. Baliśmy się, że ktoś mógł nas wczoraj widzieć.

– Policja nie znalazła żadnych świadków. Tak twierdzi Fabio. Przeglądał nocne meldunki, co wcale nie znaczy, że Czerwone Brygady czegoś nie węszą. Calvieri jest wyjątkowo małomówny na ten temat.

– Ja mu się nie dziwię.

– Ja też nie i dlatego musieliśmy się z tobą skontaktować – opowiedziała mu

pokrótce o ucieczce Alexandra w Londynie oraz o tym, że ludzie z Czerwonych Brygad poszukują Murzyna – współnika zabójcy Pisaniego.

– Mają mój rysopis – uzupełnił Whitlock. – Strażnik przy bramie zdażył dokładnie mi się przyjrzeć, zanim go znokautowałem.

– Szukają jednak kogoś miejscowego – dodała Sabrina.

– Rozumiem, że tak twierdzi Calvieri. No cóż, nie będzie łatwo. Z jednej strony muszę uważać na Alexandra, bo nie można wykluczyć, że się tu zjawi, z drugiej natomiast na tych drani z Czerwonych Brygad, a jeszcze jest Young...

– Właśnie. Może ci się to przydać – wyjęła z torebki pistolet Browning MK2.

– Schowaj go – nie przyjął oferty. – Jak miałbym to wytłumaczyć Youngowi? On wie, że Alexander nie używa broni. Lepiej nie ryzykować.

– Nie wykluczam, że będzie ci to potrzebne właśnie przeciwko niemu, zwłaszcza gdyby chciał załatwić Calvieriego. – Wyjaśnij mu, co zeznał Conte. – Na tym etapie nie możemy sobie pozwolić na żadną przypadkową komplikację. Calvieri będzie niezbędny, gdyby doszło do rozmów z Ubrinem, więc lepiej weź broń, C.W., proszę.

Whitlock wziął pistolet i schował do szuflady w szafce nocnej. Spojrzał na zegarek z ukrytym w nim ładunkiem wybuchowym, ale postanowił nic na ten temat nie mówić. Nie chciał jej martwić i jeszcze bardziej komplikować sytuacji, a poza wszystkim ta sprawa dotyczyła wyłącznie jego osoby.

– Nie wiem – ciągnęła Sabrina – kiedy wyjedziemy do Berna, ale myślę, że niedługo, w ciągu kilku najbliższych godzin. W Rzymie nie mamy już nic do roboty. Od tej chwili będziesz się kontaktował z Jacquesem.

Whitlock kiwnął głową.

– Na mnie już czas – Sabrina wstała i obciągnęła spódniczkę. – Marzę o tym, żeby wreszcie pozbyć się tego stroju i makijażu. Nie rozumiem, jak te dziewczyny mogą się pokazywać w czymś takim. Mnie aż mdli z obrzydzenia.

– Dziewczyny? Nie mają wyboru, moja droga. – Odprowadził ją do drzwi. – Dzięki za wizytę.

– Uważaj na siebie – pocałowała go w policzek.

– Ty też.

Sabrina zatrzymała pierwszą taksówkę, jaka pojawiła się przed pensjonatem. Kierowca uśmiechnął się szeroko na jej widok, wietrząc dobry interes. Nie zwróciła na niego żadnej uwagi. Marzyła tylko, aby jak najszybciej znaleźć się w hotelu.

Calvieri miał szczęście, znalazł wolne miejsce na zatłoczonej zazwyczaj ulicy – Corso Vittorio Emanuele – dwie przecznice ledwie od La Sfera di Cristallo, niewielkiej,

taniej restauracji, która od niepamiętnych czasów oferowała swoje usługi pod tym właśnie adresem. Zaparkował i spiesznie udał się na spotkanie. Znał tę restaurację jeszcze z czasów, gdy szefował Brygadam w Rzymie. Właścicielem był pewien wyjątkowo gruby, łysiejący sympatyk „sprawy”, zakochany w muzyce Berlioza. I rzeczywiście z głośnika dobiegały dźwięki „Marsza węgierskiego” z „Potępienia Fausta”, jak wtedy, gdy Calvieri był tu ostatni raz. Wszystko zresztą wyglądało tak samo.

– Stolik dla pana? – usłyszał pytanie za plecami.

Obrócił się. Kelnerka, młoda dziewczyna, nie miała chyba jeszcze dwudziestu lat.

– Dziękuję, nie. Chciałbym się zobaczyć z panem Castellano, Moje nazwisko Calvieri.

– Wiem – uśmiechnęła się – widziałam pana w telewizji. Podobało mi się to, co pan mówił i w ogóle.

– Miło to usłyszeć.

– Zaraz zawiadomię pana Castellano... – przerwała widząc zwalistą sylwetkę właściciela, który właśnie nadchodził, kołysząc swoimi stu czterdziestoma kilogramami żywej wagi.

– Tony – zawołał z daleka – cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz wspaniale!

– A ty, jak widzę, wcale nie zmizerniałeś – zażartował Calvieri, odwzajemniając powitalny uścisk.

Castellano zaśmiał się krótko i natychmiast spoważniał.

– Ciężko mi na sercu – powiedział, teatralnym gestem kładąc rękę na piersi. – Signore Pisani to był naprawdę wielki człowiek, Jedyna pociecha, że to ty go zastąpisz, Tony.

– Jestem tylko pełniącym obowiązki. W przyszłym tygodniu zbiera się kierownictwo i dopiero wtedy zapadną ostateczne decyzje.

– Skromność przez ciebie przemawia. Wybór masz w kieszeni, Nie masz konkurentów.

– Tak ci się wydaje. A Zocchi?!

– Ten wieprz?! Jest tam, gdzie powinien być, w więzieniu, – Castellano objął Tony’ego ramieniem i poprowadził między stoi likami na zaplecze, do drzwi z napisem *Direttore*. – *Signore Bettinga* już czeka. Zjesz coś? Mamy pyszną pizzę neapolitańską. Wiem, że lubisz pizzę.

– Dziękuję, nie jestem głodny, ale chętnie napiłbym się *capuccino*.

– Już podaję – krzyknął Castellano, znikając w kuchni. Calvieri wszedł do gabinetu *direttore*. Luigi Bettinga siedział za biurkiem. Przeglądał jakieś pismo gastronomiczne, ale widać było, że myśłami jest gdzie indziej. Miał mocno posiwiałe włosy, choć

dobiegał zaledwie czterdziestki, i małe oczy, jak paciorki. Calvieriemu zawsze kojarzył się z buchalterem albo referentem w archiwum. Przyjaźnili się od lat. Calvieri liczył na jego pomoc w nowym kierownictwie.

– Ciao, Tony – Bettinga wstał zza biurka i powitał Calvieriego mocnym uściskiem dłoni. – Przykro mi, że nie zdążyłem rano. Samolot się spóźnił. Dotarłem do domu Pisaniego tuż po twoim wyjściu.

– Ważne, że jesteś – uciał Calvieri, biorąc papierosa z paczki na biurku. – Nie rozumiem tylko, dlaczego kazałeś mi przyjechać tu, a nie do domu.

– Bo tam ciągle jeszcze pełno policji, a są sprawy, o których policja nie powinna wiedzieć.

– Masz już coś, ślad?

Bettinga kiwnął głową na potwierdzenie.

– To nie moja zasługa – dodał uprzejmie. – Włączyłem się ledwie parę godzin temu. To efekt twoich decyzji.

– Mów, o co chodzi.

Zapukano do drzwi. Wszedł Castellano z kawą. Postawił tacę na biurku i dyskretnie wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– A więc? – ponaglił Calvieri.

– Wiemy już, kim jest współnik zabójcy.

– To dobra wiadomość – Calvieri wziął filiżankę z kawą.

– Cudzoziemiec. Ma paszport na nazwisko Raymond Anderson, przypuszczam, że fałszywe.

– Gdzie przebywa?

– Pensjonat przy via Marche, niedaleko Villa Borghese.

– A zabójca? Masz jakieś dane? – zapytał Calvieri, ocierając usta z kawy.

– Jeszcze nie, ale mamy rysopis: blondyn, przystojny, amerykański akcent. Tak powiedziała dziewczyna z agencji wynajmu samochodów, która doniosła nam o Andersonie.

– Amerykanin? – powtórzył Calvieri w zamyśleniu.

– Zleciłem obserwację pensjonatu. Co mamy robić dalej?

– Amerykanina trzeba wziąć żywcem. Musimy się dowiedzieć, dla kogo pracuje i jakie są ich plany. Kto wie, może chcą sprzątnąć także ciebie albo mnie.

– A co z Andersonem?

– On się nie liczy. Chcę dostać Amerykanina. Trzeba to załatwić delikatnie, Luigi, tak żeby policja niczego nie podejrzewała. Gdy tylko dowiedzą się, że go mamy, to zaraz zaczną się naloty i wszystkie nasze kryjówki. Do takiej roboty nadaje się tylko jeden

jedyny człowiek...

– Escoletti?

– Właśnie. Giancarlo Escoletti. Daj mu znać, żeby natychmiast przyleciał do Rzymu. Nie ma czasu do stracenia.

– Już to zrobiłem. Escoletti czeka w hotelu Condotti. Posłałem po niego zaraz po twoim telefonie wczoraj wieczorem.

– No, no! Moje gratulacje. Coś czuję, że rychło będziesz chciał zająć moje miejsce.

– No wiesz! – pośpiesznie zaprzeczył Bettinga z całą powagą. Nigdy się nie śmiał, rzadko gestykulował, nie żartował. Miał nieprzeniknioną, pokerową twarz.

– Porozum się więc z Escolettim i powiedz mu, niech sprowadzi nam tego Amerykanina. – Calvieri dopił kawę. – Na mnie już czas. Muszę wracać do hotelu.

– Słuchaj, co właściwie Ubrino zwędził z fabryki? Pisani nie zwróciłby się do władz, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

– Przepraszam, Luigi, na razie nie mogę ci tego powiedzieć, ale masz moje słowo, że przedstawię pełny raport na posiedzeniu kierownictwa w przyszłym tygodniu.

– Myślisz, że jest jakiś związek między napadem na fabrykę a zabójstwem Pisaniego?

– Tego nie wiem, ale właśnie dlatego chciałbym dostać tego Amerykanina.

Calvieri wyszedł. Bettinga wykręcił numer hotelu Condotti. Poprosił o połączenie z pokojem Escolettiego.

– Słucham? – Escoletti odpowiedział już po pierwszym dzwonku.

– Bettinga z tej strony. Właśnie rozmawiałem z *Signore* Calvierim. Chce dostać Amerykanina żywcem.

– A Andersona?

– Ten się nie liczy. Możesz go zabić, jeśli nie będzie innego wyjścia. Co do Amerykanina, to wiesz, gdzie trzeba go sprowadzić? Powiadom mnie, gdy wszystko będzie gotowe. I jeszcze jedno, bądź ostrożny. Calvieri parę razy podkreślał, że trzeba to zrobić tak, aby policja niczego nie spostrzegła.

– Nie ma sprawy.

Bettinga odłożył słuchawkę, wziął miętówkę ze spodeczka na biurku i pogрузzył się w myślach.

– Gdzie pan był? – zaatakował Kolczynski, gdy Calvieri zjawił się w hotelu.

– Po co pan pyta, skoro i tak pan wie – odparł Calvieri spokojnie – przecież ludzie Paluzziego chodzą za mną krok w krok, ale jeśli chce pan usłyszeć ode mnie, to miałem do załatwienia parę pilnych spraw organizacyjnych.

– Pan chyba zapomina, Calvieri, o naszej umowie! Dopóki nie odzyskamy fiolki, pracuje pan z nami i dla nas, co oznacza, że przez cały czas ma pan być do dyspozycji, jak my wszyscy. Następnym razem niech pan zleci te wasze „sprawy organizacyjne” któremuś ze swoich pomocników. Skuteczne kierownictwo polega na delegowaniu władzy, panie Calvieri!

– Następnym razem zastosuję się do pańskiej rady, panie Kolczyński – odparł kpiąco Calvieri.

– I dobrze pan na tym wyjdzie! A tymczasem niech się pan spakuje – Kolczyński podał mu bilet na samolot. – Rejs trzysta czterdzieści do Berna. Odlot: dwunasta dwadzieścia. Ma pan niecałe dwie godziny. I jeszcze jedno, Calvieri, żadnych numerów i niespodzianek. Leci pan z nami i nie ma o czym mówić.

Escoletti zaparkował wynajętego fiata regattę kilkaset metrów od pensjonatu. Wysiadł, zabierając ze sobą czarną walizeczkę lekarską.

Dobiegał pięćdziesiątki. Był wysoki, elegancki, o kruczej czuprynie lekko przyprószonej siwizną. Skończył medycynę, ale wyrokiem sądu stracił prawo uprawiania zawodu za próbę gwałtu na jednej z pacjentek. Odsiedział kilka lat w więzieniu, a po wyjściu trafił najpierw do kryminalnego podziemia, a później – w 1984 roku – do Czerwonych Brygad. Zwerbował go Calvieri w Mediolanie. Doświadczenie lekarskie oraz znajomość różnych rodzajów broni – za młodu bowiem odnosił sukcesy w strzelaniu – okazały się cennym nabytkiem dla organizacji. Wykonywał najtrudniejsze zadania, awansował i w 1987 roku został jednym z konsultantów ścisłego kierownictwa, co oznaczało, że po pierwsze, działał na obszarze całych Włoch, a po wtóre, opracowywał lub opiniował wszelkie kampanie terrorystyczne podejmowane przez najprzeróżniejsze komórki i sekcje Brygad. W dalszym ciągu brał osobiście udział w operacjach, które wymagały szczególnych dyspozycji i które zlecało najwyższe kierownictwo. Nazywano go „Specjalistą”.

Minął pensjonat i skręcił w niewielki zaułek na tyłach budynku. Z obrzydzeniem przeszedł między kubłami na śmieci na zapleczu, aż dotarł do drabinki przeciwpożarowej. Anderson i Yardley zajmowali pokoje 15 i 16 na pierwszym piętrze. Tak przynajmniej powiedziała recepcjonistka, gdy telefonował z hotelu, Wspiął się na pierwsze piętro i wyszedł na korytarz. Plan miał stosunkowo prosty. Zamierzał najpierw obezwładnić jednego i drugiego, stosując pociski ze środkami nasennymi – odpowiednio przygotowany pistolet miał w kieszeni – a następnie zamierzał wycofać się na zewnątrz tą samą drogą, którą przybył, czyli po drabince przeciwpożarowej. Dalej zaś postanowił udać się do recepcji i przedstawić się jako lekarz, którego lokatorzy obu pokoiów

wezwali telefonicznie w związku z jakąś nagłą przypadłością. Udawszy się oficjalnie na górę, zamierzał wezwać „karetkę pogotowia”, czyli odpowiednio przemalowane auto z dwoma wtajemniczonymi członkami Brygad. Recepcjonistom wyjaśni, że obaj pacjenci doznali ostrego zatrucia i że musi ich zabrać do szpitala. „Szpital” to oczywiście jedna z kryjówek Brygad na przedmieściu Rzymu. Zakładał, że recepcjonistka i właściciel, w trosce o dobrą reputację pensjonatu, nikogo nie zawiadomią o nagłej chorobie gości i nim policja zorientuje się w całej sprawie, z obu uprowadzonych wyciśnie się już potrzebne informacje, a następnie zlikwiduje się ich, zacierając wszelki ślady. Plan nie był oryginalny w tym sensie, że już wiele razy w podobny sposób „załatwiał” sprawy zlecone przez najwyższe kierownictwo. Zawsze skutecznie.

Zatrzymał się przy drzwiach pokoju Andersona – mniej niebezpiecznego z obu „obiektów”, jak mu powiedziano. Chwilę nadśluchiwał, a następnie energicznie zapukał, trzymając pistolet z pociskami usypiającymi w pogotowiu. Cisza. Zapukał do pokoju Yardleya. Też cisza. Widać obaj wyszli. Posterunek obserwacyjny przed pensjonatem ludzie Bettingi założyli ledwie czterdzieści minut temu. Możliwe, że Yardley z Andersonem wyszli wcześniej, ale chyba muszą być niedaleko, bo widział przecież, że volkswagen jetta, wynajęty przez Andersona, stoi na ulicy przed pensjonatem. Na wszelki wypadek postanowił przeszukać pokoje – może znajdzie się coś, na podstawie czego będzie można ustalić ich prawdziwą tożsamość. Zbyt nie na to zresztą nie liczył, wiedział, że ma do czynienia z zawodowcami, a z całą pewnością ten Yardley był profesjonalistą. Zawodowiec czy nie, zacznie śpiewać. Wszyscy zaczęli śpiewać, gdy Escoletti zabierał się do dzieła. Nie na darmo studiował medycynę i był „Specjalistą”.

Zdecydował, że najpierw sprawdzi pokój Andersona, potem Yardleya, po czym spokojnie poczeka na ich nadejście.

Whitlock wyszedł z pensjonatu tuż po Sabrinie. Chciał się przejść, żeby zebrać myśli. Pamiętał, że nie wolno mu zbyt oddalać. Young uprzedzał przecież, że jeśli odejdzie za daleko, to ładunek wybuchowy w zegarku eksploduje samoczynnie. Krążył więc wokół baru na rogu, gdzie Young popijał piwo.

Zastanawiał się, co ma zrobić, gdyby okazało się, że następnym na liście Younga jest Calvieri. Oczywiście będzie musiał go obronić. Ale co wtedy zrobi Young? Naciśnie przekaźnik uruchamiający zapalnik w zegarku? Z wdzięcznością pomyślał o browningu, który przyniosła Sabrina. Gdy trzeba będzie, zabije Younga bez najmniejszych oporów i nie będzie się przejmował poleceniem Philpotta, aby Younga wziąć żywcem. Nie mógł sobie na to pozwolić, mając zdradziecki zegarek na rękę.

Pomyślał o Alexandrze. Nie sądził jednak, aby z jego strony groziło mu jakieś

niebezpieczeństwo. Nie ma mowy o tym, aby Alexander trafił na jego ślad. Nie mógł przecież wiedzieć, że z Youngiem wyjechali z Londynu, bo odlatywali w tajemnicy z lotniska wojskowego, i to nie brytyjskiego, ale amerykańskiego. Nie ma więc żadnych zapisów w żadnych dokumentach, a poza tym skąd Alexander miałby znać jego prawdziwą tożsamość? A zresztą gdyby nawet Alexander wpadł na jakiś trop, to i tak uda mu się wyjechać z Anglii. Ludzie Lonsdale'a o to zadbają. Alexandrem nie ma się co przejmować.

Trudniejsza sprawa to Czerwone Brygady i zemsta za Pisaniego. Błędem było podejście do strażnika przy bramie, który oczywiście zapamiętał jego rysopis. Z drugiej jednak strony nie było przecież innego wyjścia. Musiał pomóc Youngowi już choćby ze względu na przekaźnik. Gdyby zaś podjechał do bramy autem, strażnik otworzyłby ogień. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, nie mówiąc Sabine o zegarku i ładunku wybuchowym. Ale stało się. Miał tylko nadzieję, że Calvieri wyjedzie z Rzymu do Berna razem z nią i Grahamem. To rozwiąże przynajmniej jeden problem...

Dopił kawę w małej kafejce, do której wstąpił po drodze, i wrócił do pensjonatu. Wziął klucz – recepcjonistka, zwykle, była zajęta robótką – ruszył na górę i... zamarł widząc, że ktoś obcy majstruje przy zamku do pokoju Younga.

Ukrył się za załomem, odczekał chwilę, aż intruz wejdzie do pokoju, i błyskawicznie zaczął analizować sytuację. Po pierwsze, kto to może być? Ktoś z policji czy raczej z Czerwonych Brygad? Jest sam, czy ma obstawę? Czy pensjonat jest pod obserwacją? Zerknął do hallu – nikogo podejrzanego! Zszedł na dół i wyszedł na ulicę. Tu również nie dostrzegł niczego szczególnego, nie bardzo zresztą wiedział, czego powinien się spodziewać. Najważniejsze to ostrzec Younga. Skręcił w stronę baru na rogu. Był to niewielki lokal z tuzinem stolików i kontuarem pod ścianą. W środku było pięciu, może sześciu gości. Wentylator pod sufitem leniwie miał powietrze. Young siedział przy barze. Sączył piwo.

– Jak było? – zawołał z daleka. – Tak dobra jak ładna? – zaśmiał się obleśnie, wspominając Sabrinę.

– Jest pilna sprawa – przerwał Whitlock, zbywając natrętne pytania wzruszeniem ramion.

– O co chodzi? – Young nawet nie odstawił piwa.

– Nie tutaj – warknął Whitlock. – Chodźmy do stolika.

Young skrzywił się niechętnie, ale poszedł za Whitlockiem. Usiedli. Whitlock naprzeciwko drzwi, by sprawdzać, czy nikt go nie śledził.

– A więc? – zniecierpliwił się Young.

Whitlock opowiedział o tajemniczym intruzie w pensjonacie.

– Nigdy przedtem go nie widziałeś? – upewnił się Young.

– Wyglądał na tajniaka.

– Zmywamy się, i to zaraz – rzekł Young zdecydowanym tonem. – Jeśli cię śledzili, to mogą się tu zjawić. Nie ma czasu. Zaraz wrócę.

– Gdzie idziesz?

Young nie odpowiedział. Podeszedł do baru i szeptem rozmawiać z barmanem. Po chwili wręczył mu plik banknotów. Barman bez słowa schował pieniądze i skinął w stronę drzwi na zapleczu. Young dał znak Whitlockowi.

– Co jest grane? – spytał Whitlock.

– Nic takiego. Zafundowałem nam ucieczkę. Wyjdziemy przez kuchnię i miejmy nadzieję, że tylne wejście nie jest obstawione,

Barman otworzył, wpuścił ich za kontuar, a następnie poprowadził wąskim korytarzem do kuchni na zapleczu, gdzie kilka kobiet przygotowywało jarzyny na obiad. Spojrzały zalotnie na szefa i zajęły się swoją robotą. Barman otworzył kolejne drzwi. Young upewnił się, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku i dał znak Whitlockowi, że wychodzą. Znaleźli się w ciasnej alejce między podwórkami.

– Gdzie dalej? – spytał Whitlock.

Young machnął ręką w lewą stronę.

– Barman mówił, że tędy można przejść na drugą ulicę, w pobliże postoju taksówek.

– Masz szmal?

– Niewiele. Jakieś czterdzieści tysięcy lirów – odparł Young, wzruszając ramionami.

– A ja jeszcze mniej. Za mało, żeby gdziekolwiek pojechać. Będziesz musiał zadzwonić do Wisemana i powiedzieć mu o wszystkim. Musimy zdobyć jakąś forszę.

– Później z nim się skontaktuję. Najważniejsze, żeby dostać się na dworzec, *Stazione Termini*. Łap taksówkę.

– A po co mamy jechać na stację? Najpierw musimy załatwić szmal.

– Właśnie dlatego wybieramy się na dworzec. Generał zostawił torbę ze szmałem i kompletem broni w skrytce. Są tam także nowe paszporty. Jedziemy.

Reinhardt Kuhlmann był szefem szwajcarskiej policji od szesnastu lat, od siedmiu zaś ciągle zarzekał się, że najdalej za rok pójdzie wreszcie na emeryturę. Trzykrotnie już dawał słowo, że koniec ze służbą, ale jakoś zawsze tak się składało, że coś ważnego stawało na przeszkodzie i nieodmiennie wracał za biurko. Tym razem jednak nie będzie odwołania. Rodzina, a zwłaszcza syn i synowa, coraz natarczywiej domagali się, aby wreszcie poświęcił więcej czasu żonie i wnukom. Jak to młodzi – niczego nie rozumieli, a zresztą jak mieli zrozumieć duszę policjanta, skoro nigdy nie służyli w policji. Dla niego zaś, sześćdziesięciodziesięcioletniego Reinhardta Kuhlmann, policja była całym życiem, można by powiedzieć narkotykiem, spędził bowiem w tym zawodzie czterdzieści dwa lata. Szczerze mówiąc, bał się emerytury. Nie bardzo wiedział, jak sobie da radę bez ciągłego napięcia.

Postanowił na razie, że nie będzie się nad tym zastanawiał. Jeszcze ma czas. Otworzył teczkę i wyjął akta z napisem UNACO. Owszem, przyjaźnił się z Malcolmem Philpottem, ale nie darzył sympatią tej jego organizacji. Uznawał konieczność istnienia międzynarodowej agencji zajmującej się walką z przestępczością, a miał swoje zdanie na temat stosowanych przez nią metod i środków. Uważał, że żaden cel nie może usprawiedliwiać szantażu, przemocy, wymuszania, a już szczególnie stanowczo przeciwstawiał się wszelkim operacjom na granicy prawa. Ci, którzy stosują takie metody – głosił – są równie groźni jak przestępcy zwalczani takimi pozaprawnymi środkami. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że jest w tych swoich poglądach odosobniony. Przychodziło mu do głowy, że na tle współczesnych instytucji i metod wdrażania prawa wygląda jak dinozaur. Brzydził się przemocą, nienawidził broni palnej, a już najbardziej nie znosił, gdy po jego ukochanej ojczyźnie uganiali się cudzoziemcy z bronią gotową do strzału. Czasami jednak musiał się na to godzić, jak na przykład teraz.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzył. Kolczyński przybył z wizytą. Poznał go natychmiast i ze zdjęcia w aktach UNACO. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Wydaje mi się, że znam pana od lat. Malcolm tyle o panu opowiadał... – rzekł Kolczyński.

– Mam nadzieję, że nie mówił nic złego. Proszę, niech pan siada. Zaraz przyniosą kawę, zamówiłem, gdy dano mi znać, że jest pan w drodze. Jak przebiegła podróż z Rzymu?

– Trochę męcząca, ale w sumie bez kłopotów – odparł Kolczyński. – Słyszałem, że był pan w Zurychu...

– A i owszem, dopiero co wróciłem.

– Rozumiem, że zna pan szczegóły sprawy.

– Rozmawiałem z waszym rezydentem, Jacquesem; dał mi również trochę materiałów – Kuhlmann gestem wskazał biurko i akta z napisem UNACO. Dalszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Wniesiono tacę z kawą.

– Z mlekiem? – zapytał uprzejmie Kuhlmann, gdy zasiedli przy małym stoliku obok okna.

– Proszę. I dwie łyżeczki cukru.

– Niech mi pan powie, panie Kolczyński, jakim cudem udało Rustowi się załatwić wam pokoje? O ile wiem, wszystkie hotele i promieniu trzydziestu kilometrów od miasta mają komplet gości w związku z konferencją na szczycie. Gdyby załatwił jeden pokój, jeszcze bym zrozumiał, ale sześć, i to w Metropolu? No, no, wielka sprawa.

Kolczyński nie dał się chwycić na przynętę. Philpott uprzedził go, że stary Szwajcar ma swoje zdanie na temat UNACO. Pytając o Rusta, chciał pewnie wykazać, że nawet w sprawie hoteli UNACO stosuje niedozwolone metody. W pewnym sensie miał rację, bo jakże inaczej wytłumaczyć, że mimo kompletu gości znalazło się sześć apartamentów. Ale właśnie dlatego, że Rust potrafił od ręki załatwiać najtrudniejsze sprawy, tak bardzo ceniono go w organizacji. Pod tym względem był podobny do Philpotta. Obaj wiedzieli, jak i gdzie nacisnąć odpowiednie sprężyny. Z punktu widzenia Kuhlmann'a stosowali szantaż, Kolczyński natomiast nazywał to skutecznymi metodami załatwiania interesów.

– Nie rozmawiałem jeszcze z Jacquesem, więc trudno mi powiedzieć, jak to załatwił – wykręcił się od odpowiedzi. Wziął filiżankę z rąk Kuhlmann'a. – Czy Jacques dał panu fotografię Ubrina, aby pańscy ludzie wiedzieli, kogo szukać?

– Tak, tak. Przekazaliśmy odbitki do wszystkich posterunków w kraju. Moi ludzie sprawdzają hotele, pensjonaty, a nawet górskie schroniska w okolicy Berna. Jeśli jest w Szwajcarii, znajdziemy go.

– To nie będzie takie łatwe. Ubrino to mistrz charakteryzacji.

– Wiem. Na wszelki wypadek sporządziliśmy kilka komputerowych wersji jego twarzy, z brodą, bez, z wąsami i tak dalej. Wszystkie wysłaliśmy w teren. Szwajcaria, panie Kolczyński, to niewielki kraj, ale proszę mi wierzyć, w kwestiach ścigania przestępców mamy swoje doświadczenie, którego nie musimy się wstydić.

– Wiem, wiem i gratuluję, panie Kuhlmann.

– Skoro tak, to zapewne wie pan również, panie Kolczyński, że nie jestem zachwycony waszą obecnością i że nie popieramy waszych metod. Nie podoba mi się, że wchodzicie w kontakty z takimi łajdakami jak ten Calvieri. Nam tacy pomocnicy nie są potrzebni, sami zdołamy aresztować Ubrina. Moi ludzie są prawdziwymi fachowcami

w swoim zawodzie. Stosujemy czyste metody, nie musimy paktować z kryminalistami. Nie jesteście nam tu potrzebni.

– Niechże więc pan nas deportuje – postawił się Kolczyński.

– Gdyby to ode mnie zależało, to w ogóle bym was tu nie wpuścił, ale nasz rząd miał inne zdanie, a szkoda.

– Malcolm mówił mi, że nie przepada pan za UNACO. Nie przypuszczałem jednak, że aż do tego stopnia.

– Nie robię z tego tajemnicy. Uważam, że uzurpujecie sobie zbyt wiele praw i przywilejów, co nie może wam wyjść na dobre. Jesteście bezkarni i dlatego dopuszczacie się najdrastyczniejszych rozwiązań, nie wyłączając zabójstw. A jesteście bezkarni, bo nie można przecież postawić w stan oskarżenia organizacji, która formalnie nie istnieje. Stawiacie się ponad prawem i tego nie mogę zaakceptować. Ale, panie Kolczyński, to mój osobisty pogląd, a ja jestem urzędnikiem państwowym i nie mieszam swoich prywatnych poglądów ze służbą. Tak więc może pan liczyć na moją współpracę.

Służba i prywatne poglądy. Kolczyński na własnej skórze przekonał się kiedyś, jak trudno jest pogodzić jedno z drugim. Gdy raz napomknął coś o drakońskich metodach KGB, to przez szesnaście lat był w odstawce. Gdyby był milczał, jak inni, to kto wie, czy nie dochrapałby się wysokiego stanowiska. Byłby może członkiem Politbiura albo szefem KGB, głosiłby chwałę *glasnosti* oraz zalety *pieriestrojki* i świat kłaniałby mu się w pas. Ponieważ miał niewyparzony język i własne poglądy, wylądował tam, gdzie wylądował. Nie żałował jednak. Sumienie miał czyste i mógł chodzić z podniesionym czołem, chociaż...

Zapukano do drzwi. Wszedł Paluzzi, przepraszając za spóźnienie.

– Właśnie miałem wyjść z hotelu – mówił – gdy zatelefonował Angelo. Angelo Marco, mój adiutant – wyjaśnił Kuhlmannowi.

– I co powiedział? – spytał Kolczyński.

– Whitlock i Young zniknęli!

– Jak to zniknęli? – zdenerwował się Kolczyński.

– To znaczy, że zbiegli z pensjonatu i nie wiemy, gdzie są. Zapewne spostrzegli, iż Czerwone Brygady depczą im po piętach, i zostawili wszystkie swoje rzeczy i zniknęli.

– Co może oznaczać, że mimo wszystko wpadli w ręce Brygad. – zauważył ponuro Kolczyński.

– Raczej nie – rzekł Paluzzi. – Otóż śledził ich najwprawniejszy zabójca z Czerwonych Brygad, niejaki Giancarlo Escoletti. Założyliśmy podsłuch w jego hotelu i znamy treść rozmowy z Luigim Bettingą, zastępcą Calvieriego. Escoletti telefonował do niego zaraz po tym, jak Whitlock z Youngiem zniknęli z pensjonatu. Meldował, że stracił

ślad. Escolettiego cały czas mamy na oku. Chodzimy za nim krok w krok i oczywiście będziemy interweniować, gdyby tylko znalazł Younga i Whitlocka i gdyby chciał ich wykończyć. Bardziej zresztą niż Escoletti niepokoi mnie Young. Nie mam pojęcia, co on właściwie zamierza, a jeśli szykuje się do załatwienia Calvieriego, może to zrobić stosunkowo łatwo właśnie tu, w Szwajcarii, gdzie będzie miał aż nadto okazji. Jest doskonałym strzelcem i może się zacząć w dziesiątkach różnych miejsc, mogę wykluczyć, że Young jest już w Szwajcarii.

– Czy mają panowie zdjęcia Whitlocka i Younga? – zapytał rzeczowo Kuhlmann.

– Mam fotografię Younga w aktach sprawy, w moim pokoju w hotelu – odparł Kolczyński. – Nie jest to co prawda idealna odbitka, ale innej nie ma. Jeśli chodzi o C.W., to jego zdjęcie możemy sprowadzić faxem z Nowego Jorku.

– To proszę porozumieć się z Rustem. Niech zaraz przekaże nam jego fotografię do Zurychu. Roześlemy oba zdjęcia na wszystkie przejścia graniczne, lotniska, dworce i ustalimy, czy ich tam nie widziano w ciągu ostatnich kilku godzin – rzekł Kuhlmann.

– Zaraz połączę się z Jacquesem. Mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

– Oczywiście.

Kolczyński połączył się z Rustem, wyjaśnił mu sytuację. Uzgodnili, że Jacques natychmiast ściągnie fotografię Whitlocka z Nowego Jorku. Ledwie Kolczyński skończył rozmowę z Zurychem gdy telefon znów zadzwonił.

Kuhlmann podniósł aparat. Przez chwilę słuchał w milczeniu.

– Znalaziono Ubrina – poinformował obecnych. Wysłuchał meldunku do końca i odłożył słuchawkę. – Poznał go jeden z pośredników mieszkaniowych, na podstawie naszych zdjęć. Okazuje się, że Ubrino był w Bernie mniej więcej miesiąc temu i wynajął wtedy dom w górach niedaleko miasta, w poniedziałek zaś zjawił się ponownie, aby wziąć klucze.

– Sukinsyn – mruknął Paluzzi – siedzi sobie w Szwajcarii, podczas gdy my przez trzy długie dni uganiał się za nim po całych Włoszech.

– Czy dom jest pod obserwacją? – upewnił się Kolczyński.

– Oczywiście – odparł Kuhlmann. – Jest tam dwóch moich ludzi po cywilnemu. Ubrina co prawda jeszcze nie widzieli, ale meldują, że z komina dobywa się dym, co oznacza, że ktoś jest w środku, najpewniej Ubrino.

– Fabio! Wezwij Mike'a i Sabine, niech zaraz tu przyjdą.

– A Calvieri?

– Trudno, on też – westchnął Kolczyński.

W kilka minut rozdzielono zadania. Ustalono, że Paluzzi przewiezie Grahama

i Sabrinę helikopterem w pobliże domu wynajętego przez Ubrina, gdzie spotkają się z ludźmi Kuhlmana z grupy obserwacyjnej. Zorientują się w sytuacji i na miejscu zadecydują, jak najlepiej dostać się do środka, obezwładnić terrorystę i oczywiście odzyskać fiolkę.

– Widzicie ich? – pytał Paluzzi, prowadząc śmigłowiec nisko nad zboczem, gdzie powinni czekać Szwajcarzy.

– Ani śladu – mruknął Graham. – Weź lornetkę, Sabrina, i sprawdź jeszcze raz.

– Też nic nie widzę. – Sabrina uważnie obserwowała okolicę.

Głęboki śnieg skrywał góry. W zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty, ani ludzi, ani zwierząt. Te ostatnie, gdyby były, to zapewne pierzchałyby wystraszone hukiem silników śmigłowca Westland Scout. Jedno było pewne. Ubrino wybrał sobie znakomitą kryjówkę: samotny dom, daleko od innych.

Nagle coś mignęło w szkłach lornetki. Spojrzała jeszcze raz: coś poruszyło się między drzewami na zboczu. Dała znak Paluzziemu. Ktoś odziany w biały maskujący kombinezon narciarski wybiegł z gęstwiny i machał ku nim ręką.

– Nie dam rady wylądować na stoku – ostrzegł Paluzzi – zejść tylko tak nisko, jak się da, i wyskoczycie.

– W porządku.

Sabrina z Grahamem przygotowali narty. Białe ocieplacze i sprzęt dostali od Kuhlmana. Oboje nieźle jeździli na nartach i wspinali się po górach. Standardowy program szkolenia oficerów operacyjnych UNACO obejmował między innymi kilkutygodniowy obóz w tajnym ośrodku górskim w jednym ze stanów na granicy z Kanadą.

Graham otworzył drzwi do kabiny, powiało mroźnym alpejskim powietrzem. Przypięli narty i czekali na znak Paluzziego. Wprawnie obniżył maszynę i gdy podwozie musnęło śnieżną zaspę na stoku, dał sygnał, że już. Wyskoczyli. Śmigłowiec natychmiast wzniósł się w górę i w sekundę później zniknął za drzewami.

Oczekujący na nich funkcjonariusz szwajcarskiej służby bezpieczeństwa liczył nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Miał niebieskie oczy i krótko ostrzyżone blond włosy.

– Mike? Sabrina? – zawołał, unosząc gogle. – Porucznik Stressner – przedstawił się.

– A gdzie pański kolega? – zapytał Graham ściskając dłoń Szwajcara.

– Obserwuje kryjówkę Ubrina. Szef uprzedził nas, że ostateczne decyzje należą do was. Macie już jakiś plan?

– Jeszcze nie. Chcemy najpierw obejrzeć dom.

– Jasne. Jedźcie za mną – rzekł Stressner, nasuwając gogle na oczy.

Zjechali po stoku w stronę sosnowego lasu, później zaś wąską nartostradą między

drzewami. Zatrzymali się na skraju gęstwiny, gdzie za skalnym załomem czekał już drugi z funkcjonariuszy Kuhlmana.

– To sierżant Marcel Lacombe – przedstawił porucznik kolegę. – Świetnie zna ten teren.

Przywitali się. Lacombe był starszy od Stressnera. Siwiejący, z gęstym wąsem, sprawiał wrażenie zawodowego wojskowego.

– Ubrino pokazał się? – spytał Stressner.

– Nie. – Lacombe podał lornetkę Grahamowi.

Od samotnej chaty na polanie dzieliło ich jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Nie ma jak podejść – mruknął Graham. – Żadnych krzaków. Będzie nas miał jak na dłoni.

– Jeśli wolno...? – Stressner miał własny plan ataku.

– Proszę, niech pan mówi – zachęcił go Graham, podając lornetkę Sabine.

– Dom ma dwa wejścia: frontowe i z drugiej strony, od kuchni. Można założyć, że Ubrino, gdy tylko zobaczy, że ktoś zbliży się od tej strony, czyli od frontu, będzie próbował zbiec drugim wyjściem...

– I pewnie otworzy fioletkę – mruknął Graham, analizując w myślach plan Stressnera.

– Fioletkę? – zdziwił się porucznik. – Nie rozumiem.

– Nic wam o tym nie mówiono? – spytała Sabrina.

– Wiemy tylko, jak się nazywa poszukiwany osobnik i jak wygląda.

– Chyba trzeba im powiedzieć o fioletce – rzekła Sabrina spoglądając pytająco na Mike'a. – Sprawa jest zbyt niebezpieczna, powinni więc wiedzieć, o co naprawdę chodzi.

Graham uznał argumentację Sabriny i w krótkich słowach wyjaśnił obu Szwajcarom istotę problemu.

– I uważa pan, że rzeczywiście, czując się zagrożony, Ubrino otworzy fioletkę? – zaniepokoił się Stressner.

– Nie mogę tego wykluczyć – odparł Graham z całą powagą. – Zakładam jednak, że najpierw będzie próbował ucieczki.

– W tej sytuacji – wtrąciła Sabrina – podzielimy się. Jedna dwójka podejdzie do domu od frontu, druga zaczai się z przeciwnej strony i spróbuje przechwycić go, gdy będzie chciał się wymknąć z domu. Trzeba zadziałać błyskawicznie, tak aby nie zdążył stworzyć fioletki.

– Innego wyjścia nie ma – zgodził się Stressner.

– Tak też zrobimy – zakończył dyskusję Graham. – Macie broń?

Pytanie zaskoczyło Stressnera.

– Jesteśmy w Szwajcarii – powiedział, jakby wyjaśniał elementarne sprawy – a nie

na amerykańskim Dzikim Zachodzie. W tym kraju używamy broni tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– Ta sprawa nie należy do tuzinkowych – rzekł Graham. – Ubrino jest uzbrojony. Niech pan lepiej weźmie moją berettę – zaoferował Stressnerowi swój pistolet.

– Nie – odmówił porucznik. – Nie potrzebuję broni. Rozumiem, że to my z sierżantem podchodzimy od frontu. Ubrino nie wie, że nie jesteśmy uzbrojeni i nie będzie ryzykował strzelaniny, będzie próbował wymknąć się tylnymi drzwiami, gdzie wy już będziecie czekać. Tak więc niech pan zatrzyma broń. Będzie wam bardziej potrzebna niż nam.

Graham jeszcze raz obejrzał dom przez lornetkę. Zastłony w oknach były szczelnie zaciągnięte, na świeżym śniegu przed wejściem nie dostrzegł żadnych śladów. Chata sprawiałaby wrażenie całkowicie opuszczonej, gdyby nie gęsty dym buchający z komina. Jeśli Ubrino jest tu od poniedziałku, to sądząc po braku śladów stóp lub nart na śniegu w ogóle stąd nie wyszedł.

– W porządku – powiedział – którądy mamy obejść dom, tak, żeby nasz ptaszek niczego nie zobaczył? – poprosił Szwajcarów o radę.

– Lacombe wyjaśni – rzekł porucznik. – Jak już mówiłem, doskonale zna tę okolicę.

– Mogę po francusku? – spytał Lacombe. – Nie znam angielskiego zbyt dobrze.

– Proszę bardzo – wtrąciła Sabrina czystą francuszczyzną.

Lacombe mówił minutę, może dwie.

– Macie ze sobą radiotelefony? – upewnił się Stressner.

– Tak – odparł Graham, klepiąc się znacząco po kieszeni kombinezonu. – Dostaliśmy od pana Kuhlmana. Pracują na samej fali co wasze.

– Obejście domu zajmie wam jakieś dziesięć minut – Stressner spojrzął na zegarek. – Dajcie nam sygnał, gdy będziecie na miejscu.

Graham z Sabriną wrócili najpierw na zbocze, gdzie kilka minut wcześniej lądowali, stamtąd przeszli trawersem ku grani, skąd zjechali w dół do niewielkiej kotliny. Zatrzymali się. Naciągnęli białe kaptury kombinezonów, aby jeszcze lepiej wtopić się w ośnieżone tło, i wspięli się jakieś dziesięć metrów w górę. Zaczaili się za skałami. Dalej rozciągała się polana, pośrodku której wznosiła się chata. Znaleźli się dokładnie na tyłach kryjówki Ubrina.

– Popatrz, to ciekawe! – Sabrina zwróciła uwagę na stosunkowo świeże ślady nart przy kuchennych drzwiach. – Daj znak Stressnerowi, że jesteśmy gotowi – dodała, nie odwracając wzroku od domu. Z tej strony budynku widniało tylko jedno okno poddaszu. Podobnie jak frontowe, również i to zasłonięte by gęstą firanką.

Graham wycofał się parę kroków za skały, włączył radio i wywołał Stressnera.

– Ruszyli – szepnął, gdy Stressner potwierdził odbiór. – Ty zostań tutaj, ja zejść nieco w dół, tak że w razie czego weźmiemy drania z dwóch stron... – nie dokończył myśli, bo raptem usłyszeli huk silników helikoptera. – Co ten Paluzzi robi? – zezłościł się. – Mówiłem mu przecież, żeby czekał, aż damy znać.

– Pewnie był na nasłuchu i wydawało mu się, że to właśnie jemu dajesz sygnał. Wywołaj go jeszcze raz i powiedz, żeby zawrócił do bazy.

– Jankes do Włocha – rzucił Graham do mikrofonu. – Jankes do Włocha. Zgłoś się.

– Tu Włoch, tu Włoch. Słyszę was. Odbiór.

– Co ty wyrabiasz? Wracaj do bazy, powtarzam, wracaj do bazy. Odbiór...

– Nie rozumiem. Jestem w bazie, powtarzam, jestem w bazie. Bez odbioru.

Graham zaklął siarczyście, widząc nadlatującą maszynę. Nie był to westland scout Paluzziego, ale gazelle Tommasa Francii. Ta sama maszyna, którą widział na Korfu. Zaczął nerwowo włączać radio. Trzeba ostrzec Szwajcarów, którzy wyszli już z lasu i szli teraz przez polanę. Widział także, jak helikopter zniża lot i łukiem skręca w stronę funkcjonariuszy. Zaterkotała seria z obu działek. Tommaso Francia mierzył celnie. Śmiertelne pociski sięgnęły porucznika i sierżanta. Śmigłowiec tymczasem wszedł w ciasny wiraż, przeleciał tuż nad domem i zawrócił nad skałami, za którymi kryli się Graham z Sabriną.

– Włoch do Jankesa, Włoch do Jankesa. Słyszę strzały. Nic wam nie jest? Potrzebujecie pomocy? Odbiór.

Sabrina chwyciła za mikrofon.

– Siostra do Włocha. Francia ostrzeliwuje nas z pokładu śmigłowca. Stressner i Lacombe nie żyją. Potrzebujemy pomocy, powtarzam, pomoc niezbędna. Bez odbioru.

– Zrozumiałem. Ruszam. Bez odbioru.

– Musimy się ukryć – krzyknął Graham, podrywając się na równe nogi. – Biegniemy do domu, innej szansy nie ma.

Dobiegli do tylnych drzwi. Z bronią w pogotowiu stanęli pod ścianą. Graham dał znak Sabrinie, że trzeba obejść budynek. Ruszyła ostrożnie w prawo, wzdłuż ściany. Na skraju domu zatrzymała się, otarła krople potu z czoła, zerknęła przez ramię za siebie. Graham już znikł za drugim rogiem budynku. Z miejsca gdzie stała, wyraźnie widziała ciało Stressnera na ośnieżonej polanie. Na białym kombinezonie Szwajcara widniała szkarłatna plama krwi. Znów usłyszała huk silników helikoptera. Gazelle nadlatywał od strony skał. Sabrina błyskawicznie padła na śnieg. Ułamek sekundy później seria z karabinu maszynowego ugodziła w ścianę domu, dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała. Śmigłowiec zawisł w powietrzu, pilot lekko skorygował kąt, lufy trzydziestomilimetrowych działek mierzyły prosto w skuloną postać dziewczyny.

Próbowała stanąć na nogi. Wiedziała jednak, że nie ma już szans...

Westland scout zjawił się nagle. Jak błyskawica przeleciał tuż przed dziobem gazelle. Przerażony Tommaso Francia pociągnął instynktownie za stery i stracił kontrolę nad maszyną. Z hukiem leciał w stronę domu. W ostatniej chwili Tommaso podciągnął w górę, o centymetry mijając krawędź dachu. Podwoziem jednak zaczepił o komin. Utrzymał maszynę, ale z dachu posypał się grad cegieł. Francia zdołał wyrównać lot i skierował się nad las, którym skryła się maszyna Paluzziego.

– Nic ci nie jest? – usłyszała Sabrina głos Grahama za plecami.

– W porządku. – Wierchem dłoni przetarła spocone czoło. – Bierzmy się za Ubrina – dodała rzeczowo. – Mamy parę minut, zanim Francia znów nadleci.

– Dobrze. Ty wejdź tylnymi drzwiami, ja zajdę od frontu – zdecydował Graham. Ostrożnie przeszedł wzdłuż ściany, skręcił za róg, dotarł do drzwi i z bronią gotową do strzału chwycił klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Oczekał chwilę i skoczył do środka. Znalazł się w mrocznym, wąskim korytarzu, z którego wiodły schody na piętro. Gdzie zaczął się Ubrino? Na górze? I czeka tylko, aż Graham znajdzie się na linii strzału. A może w którymś z pokoiów na dole?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na zewnątrz. Obrócił się błyskawicznie, mierząc berettą prosto w otwarte drzwi. Pusto. Trwał tak przez chwilę. Grudka śniegu stoczyła się z dachu na ziemię. Było mroźno, a więc to nie odwilż powodowała osuwanie się śniegu. Musiała być inna przyczyna. Ubrino? Graham wyskoczył na zewnątrz i spojrzał w górę. Ubrino! Stał w otwartym świetliku w dachu. Narty miał przypięte i szykował się do skoku w dół. Graham wymierzył berettę, zanim jednak zdołał pociągnąć za spust, Ubrino skoczył na ziemię, wytrącając mu nartą broń z ręki. Graham stracił równowagę. Wstał w ułamku sekundy i chciał rzucić się na bandytę, ale ten zasłonił się kijkiem narciarskim. Ukłuł boleśnie Grahama w ramię i błyskawicznie powtórzył cios. Trafił prosto w policzek w opatrunek po kontuzji. Kijek zerwał bandażę i Graham zalał się krwią. Jęknął z bólu, instynktownie cofnął się, aby uniknąć trzeciego ciosu. Próbował zatamować krew ręką. Ubrino nie czekał dłużej. Ruszył jak błyskawica połąną w dół stoku.

Sabrina wypadła z domu i zdążyła jeszcze oddać trzy strzały za zbiegiem, ale Ubrino był już poza zasięgiem ognia. W sekundę później znikł z pola widzenia. Przypięła narty i nie oglądając się na nic, ruszyła jego śladem.

Graham wszedł do domu. Znalazł jakiś ręcznik i próbował zatamować krew. Nalał trochę wody do miednicy, aby przemyć otwartą ranę, gdy usłyszał nadlatujący śmigłowiec. Silnik pracował nierówno. Graham wybiegł na dwór. Westland scout Paluzziego leciał nisko nad lasem, ciągnąc za sobą warkocz dymu. Tracił wysokość. Otarł się o konary i spadł ciężko na ośnieżoną polanę jakieś trzydzieści metrów od domu.

Od uderzenia pękł zbiornik z paliwem i w mgnieniu oka cały ogon maszyny stanął w płomieniach. Paluzzi wypchnął właz do kabiny i wyskoczył na zewnątrz. Zaczął biec w kierunku domu. Zdołał zrobić może dziewięć, a może dziesięć kroków, gdy wrak maszyny eksplodował. Ogon wzniosł się na kilka metrów w górę. Podmuch powietrza rzucił Paluziego na ziemię. To go uratowało. Płonące odłamki przeszły górą. Graham pomógł mu wstać. Potykając się, wbiegli do domu.

– Nic ci nie jest?

– W porządku – odparł Paluzzi blady jak kreda z wrażenia. – A kto ciebie tak urządził?

Graham opowiedział o starciu z Ubrinem.

– Jadę za Sabriną – zawołał Paluzzi. – Daj mi swoje narty.

– Spokojnie. Sabrina ma radio i da znać, jeśli będzie potrzebowała pomocy. Tymczasem opowiadaj o Tommasie. Cud, że wyszedłeś z tego cało – dodał Graham, patrząc na dopalające się szczątki śmigłowca.

– No więc, gdy natarłem na niego tu, przy domu, to Francia zaczął mnie ścigać. Trwało to dobrą chwilę, w końcu jednak trafił mnie prosto w silnik. Z trudem zawróciłem, a dalej... sam widziałeś.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie poleciał za tobą i nie wykończył cię po drodze.

– Też nie wiem. Przypuszczam, że usłyszał, iż wzywałem pomocy. Kuhlmann powiedział, że zaraz wysyła dwa policyjne śmigłowce, więc Francia machnął na mnie ręką i postanowił się zmyć.

– Kiedy przyleci policja?

– Myślę, że za jakieś dziesięć minut.

Graham postanowił tymczasem pójść do łazienki, aby przemyć i założyć opatrunek. Paluzzi wyszedł na polanę. Spojrzał na ciała Stressnera i Lacombe'a, a następnie w dół stoku, wzrokiem ślady nart. Myślami był przy Sabrinie.

Sabrina była szybsza niż Ubrino i rychło zaczęła go dochodzić, ale wtedy znów pojawił się gazelle. Nadleciał z tyłu. Tommaso Francia nie zaryzykował jednak otwarcia ognia. Sabrina trzymała się za Ubrinem, więc obawiał się, że może zranić sojusznika. Zerknęła przez ramię, nie zaprzestając pościgu. Carlo Francia stał w otwartych drzwiach maszyny. W narciarskim rynsztunku gotował się do skoku. W chwilę później, gdy śmigłowiec zszedł nisko nad ziemię, Carlo skoczył, lądując zręcznie jakieś dwadzieścia metrów za Sabriną. Tommaso poderwał maszynę w górę. Śmigłowiec przeleciał nad Sabriną. Z otwartych drzwi kabiny pilota zwisała drabinka sznurowa. Tommaso zamierzał zabrać Ubrina ze stoku. Carlo Francia wystrzelił serię z uzi. Pociski wbiły się

w śnieg tuż za Sabriną. Skręciła slalomem w lewo i prawo. Sekunda wystarczyła, aby Ubrino chwycił drabinę. Odrzucił kijki i mocno podciągnął się na szczeblach. Tommaso uruchomił dźwig i drabinka zaczęła unosić się w górę. Przesunął stery tu wznoszenie, a jednocześnie położył maszynę w wiraż, uniemożliwiając Sabrinie strzelanie z beretty. W sekundę później śmigłowiec z obu bandytami znikł z pola widzenia.

Sabrina spojrzała za siebie, na Carla Francie. Uśmiechnął się z daleka i nieznacznie skłonił głowę, dokładnie tak, jak zrobił to w Wenecji. Uniósł automat i nacisnął spust. Sabrina bronila się unikiem i skręciła w leśną przecinkę. Francia, mistrzowskim manewrem doświadczonego slalomisty, skręcił za nią. Wystrzelił kolejną serię z uzi. Pociski z łoskotem uderzyły w drzewa. Jazda przecinką trwała tylko parę sekund. Las zrzędł i Sabrina znalazła się w stromym, krętym żlebie. Zerknęła za siebie. Carlo jeszcze się nie wynurzył z lasu. Wzięła zakręt i ostro zahamowała, kryjąc się za skałą. To była jej jedyna szansa: przepuścić prześladowcę i zająć go od tyłu. Przygotowała berettę do strzału.

Francia przemknął pędem, dostrzegł ją, gdy już było za późno. Myśliwy i zwierzyna zamienili się rolami. Pocisk z beretty zaświszczał groźnie tuż nad jego uchem. Francia zadrżał i bez namysłu wystrzelił z uzi za siebie. Zaklął z cicha karcąc się, że reaguje jak w panice. Spojrzał przed siebie. Zobaczył sporą muldę na stoku. Tak, to była okazja! Przykucnął, aby nabrać szybkości, wjechał pędem na wzniesienie, odbił się jak na skoczni i obrócił w powietrzu o sto osiemdziesiąt stopni – popisowy numer z czasów, gdy był jeszcze w kadrze narciarskiej. Znowu strzelił w stronę Sabriny. Tym razem nie chybił. Pocisk szarpnął rękawem skafandra i otarł się o skórę ramienia. Sabrina z trudem utrzymała równowagę.

Francia wylądował jak na pokazie, na ugiętych nieco kolanach, Zerknął przez ramię. Nie zobaczył Sabriny. Jeszcze nie dotarła do muldy. Postanowił zacząć się na nią nieco niżej na stoku. Tymczasem lekko przyhamował w miejscu, gdzie żleb układał się w ostry zakręt. Wyszedł z wirażu i zamarł widząc, że piętnaście metrów dalej żleb kończy się granią, za którą otwiera się głęboka przepaść. Stracił panowanie i zwałił się w śnieg. Ściągnęło go na sam skraj urwiska. Uzi wypadł mu z ręki. Przez chwilę leżał bez ruchu, następnie uniósł ostrożnie głowę, aby dokładniej zbadać otoczenie. Za jego plecami opadała pionowa ściana, która mogła mieć jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt metrów. Sięgnął ręką, aby wypiąć narty. Kilka bryłek zmarzniętego śniegu oderwało się od podłoża i poszybowało w dół. Zrozumiał, że trafił na lodowy nawis nad urwiskiem i że w każdej chwili zmarzlina może się załamać. Poczul zimny pot na ciele. Znalazł się w pułapce. Może jedynie leżeć bez ruchu i czekać na ratunek.

Sabrina jechała ostrożnie. Ramię jej dokuczało. Czowała, że krwawi pod skafandrem.

Strumień krwi sączył się z rany i krople spływały po ramieniu, tworząc lepkie kałuże w rękawiczkach. Przed zakrętem przystanąła. Domyślała się, że Francja mógł się ukryć za załomem i szykuje jej taką pułapkę, w jaką ona zwabiła go przed chwilą na stoku. Postanowiła najpierw zbadać sytuację. Ruszyła ostrożnie zewnętrzną krawędzią żlebu. Wyjechała zza zakrętu i w tej samej chwili zobaczyła urwisko i Carla leżącego na śniegu tuż nad przepaścią. Stała jak wryta. Minęła dobra chwila, nim zrozumiała, że to nie pułapka, że przeciwnik przegrał, nie tyle z nią, ile z Alpami.

– *Help me, please*, niech mi pani pomoże – wykrztusił po angielsku. Patrzył na nią przerażonym, a zarazem błagalnym wzrokiem.

Zjechała niżej. Berettę trzymała w pogotowiu.

– Niech mi pani pomoże, wszystko pani powiem, co tylko pani chce – jęczał. – Niech mnie pani nie zostawia.

Popatrzyła na niego zimnym wzrokiem. Zastanawiała się chwilę, może dwie.

– Podam panu kijek. Niech pan spróbuje uchwycić za talerzyk. Rozumie pan?

Kiwnął tylko głową i ostrożnie wyciągnął rękę w jej stronę.

Położyła się na śniegu, zaparła nartami i wyciągnęła kijek. Za daleko. Przesunęła się nieco w dół. Ryzykowała. Nie mogła przecież wiedzieć, w którym miejscu kończy się twarde skalne podłoże i zaczyna lodowy nawis. Jeden nieostrożny ruch i oboje stoczą się w urwisko. Za plecami Francii znów oderwał się kawał lodu i runął w przepaść. Wyciągnęła rękę tak daleko, jak tylko mogła. Francja palcami sięgnął kijka. Wolno i ostrożnie podciągnął się na śniegu i chwycił koniec kijka pełną dłonią. Sabrina pomagała sobie obiema rękami. Wokół Francii zmarznięty śnieg zaczął pękać z trzaskiem. Potężny płat oderwał się od reszty. Nogi Francii straciły oparcie. Sabrina jeszcze mocniej zaparła się nartami w śniegu, ale czuła, że pod ciężarem ciała mężczyzny też zaczyna się osuwać nad urwisko. Francja ostatnim wysiłkiem chwycił oburącz koniec kijka, co tylko pogorszyło sytuację, bo pod wpływem gwałtownego ruchu znów oderwał się spory kawał zmarzniętego śniegu. Oboje zaczęli się osuwać. Dla niego nie było już ratunku, ona miała jeszcze szansę, jeśli tylko puści kijek. Wolno, bardzo wolno zaczęła rozsuwać palce.

– Błagam nie! – krzyknął Francja, rozpaczliwie ciągnąc kijek ku sobie. Nie znajdował już w nim oparcia. Puścił go i usiłował jeszcze wbić palce w zmarznięty śnieg. Bez skutku. Zwałił się w przepaść, a górskie echo poniosło w świat rozpaczliwy krzyk.

Sabrina jeszcze przez chwilę leżała bez ruchu, po czym ostrożnie i powoli zaczęła wycofywać się znad urwiska. Gdy poczuła się bezpieczniej, wstała i ciężko dysząc otarła pot z czoła. W myślach kłębiły jej się obrazy ostatnich kilku minut. Gdyby nie zatrzymała się za załomem, gdy ścigana przez Francie wyjechała z leśnej przecinki,

gdyby próbowała oderwać się od prześladowcy, to pewnie spotkałby ją taki właśnie los. Przecież nie wyhamowałyby przed urwiskiem! Zadrżała. Siły ją opuściły i usiadła pod skałą. Po chwili wyjęła radio i dała znać Grahamowi, aby przysłano helikopter. Nie miała już ani siły, ani chęci, aby ruszyć dalej na nartach.

Jesteś ranna? – spytał zatroskany Kolczyński, gdy Sabrina zjawiała się w hotelu.

– To tylko zadrapanie.

– A gdzie Mike?

– Już idzie.

– Nic mu nie jest?

– Nic, nic – zawołał Graham od progu.

Kolczyński z trudem podzielił tę opinię, zobaczywszy świeży opatrunek na twarzy Mike'a, podbite, zapuchnięte oko i potężne zadrapanie na drugim policzku, ale nic nie powiedział.

– Wygląda nie najlepiej, ale to naprawdę drobiazg – zapewnił Graham, zamykając za sobą drzwi.

– Niech ci będzie – Kolczyński wołał uniknąć kolejnej scysji z krnąbrnym oficerem.

– Czy widziałeś się z Fabiem? Opowiedział ci, jak było? – Sabrina przygotowała dwie filiżanki kawy.

– Owszem, o wszystkim – potwierdził Kolczyński. – Planowaliśmy wspólną naradę, gdy tylko wrócicie ze szpitala, ale trzeba to było przełożyć.

– Dlaczego? – spytała Sabrina, podając kawę Grahamowi.

– Ponieważ Kuhlmann i Paluzzi musieli pilnie wyjść. Pół godziny temu otrzymaliśmy wiadomość, że znaleziono śmigłowiec Francii. Jest na lotnisku niedaleko Worb, to takie małe miasteczko mniej więcej piętnaście kilometrów stąd. Pojechali zobaczyć co i jak.

– A co z Ubrinem i Tommasem Francią?

– Żadnych śladów. Wiadomo tylko, że porzucili śmigłowiec na lotnisku.

– Znaleziono już ciało Carla Francii?

– Ciało? Za dużo powiedziane, biorąc pod uwagę głębokość urwiska...

– A czy w chacie, to znaczy w kryjówce Ubrina, znaleziono coś ciekawego? – zainteresował się Graham.

– Nie mamy jeszcze dokładnego raportu policyjnego, ale nie wiązałbym z tym żadnych nadziei. Nie sądzę, aby Ubrino zostawił tam jakiś ślad, nie mówiąc już o fiolce – odparł ponuro Kolczyński.

– Co oznacza, że znów trzeba zacząć wszystko od początku – rzekł Graham. – Co gorsza, zostało nam już piekielnie mało czasu, jakieś piętnaście godzin, i nie mamy żadnego tropu, żadnego śladu, żadnego punktu zaczepienia, nic.

– Wszystko rozegra się w Centrum imienia Offenbacha – wtrąciła Sabrina. – Czy

zarządzono już jakieś stosowne środki bezpieczeństwa?

– Kuhlmann zmobilizował dodatkowo siedemdziesięciu policjantów i trzydzieści policjantek. Będą patrolować teren po cywilnemu.

– A dlaczego nie w mundurach? – Graham jak zwykle miał inne zdanie. – Widok mundurowych zawsze działa odstrasza.

– Właśnie, a nie zależy nam na tym, aby go do końca przestraszyć. Gdyby Ubrino uznał, że Centrum jest niebezpieczne, to mógłby zaszyć się nie wiadomo gdzie i szantażować wszystkich z ukrycia, co byłoby jeszcze groźniejsze. Zwróć uwagę, Mike, że Ubrino nie wie, iż my wiemy, że zamierza zjawić się w Centrum, więc lepiej nie budzić jego podejrzeń. W sumie działanie z pomocą tajnych służb daje nam większe szanse powodzenia.

Graham nie dyskutował już więcej. Dopił kawę i zapytał:

– A co z tą naradą? Spotykamy się wieczorem?

– Zależy kiedy powrócą Kuhlmann z Paluzzim. A dlaczego pytasz?

– Bo mam parę pytań do Calvieriego, więc albo pójdę do niego zaraz, albo poczekam na wspólne spotkanie ze wszystkimi.

– Fabio mówił mi, że podejrzewasz Calvieriego o współdziałanie z Ubrinem. Daj sobie powiedzieć, Mike, że to przypuszczenie ma żadnego uzasadnienia.

– A jednak ktoś uprzedził Ubrina i braci Francia o naszych dzisiejszych działaniach. O planie podejścia do górskiej kryjówki wiedzieliśmy tylko my, to znaczy: ty, ja, Sabrina, Fabio, Kuhlmann i właśnie Calvieri. Ktoś z tego towarzystwa dał mu znać. Kto?

– Calvieri cały czas siedział u siebie w pokoju, więc powiedz mi jak i kiedy miałby dać im sygnał. Na ogół zawsze przyznaję ci rację, Mike. Tym razem jednak przesadzasz.

– A przecież ktoś ich uprzedził, Siergiej. Jest na to dowód w postaci tych dwóch nieszczęśników, którzy polegli na polanie. Niewiele brakowało, a mielibyśmy jeszcze jedną ofiarę – Graham spojrzał wymownie na Sabrinę.

– Nie ma żadnych dowodów na to, że ktoś ich uprzedził o naszych zamiarach, Mike. To czysta spekulacja.

– Chciałbym jednak pogadać z Calvierim – nalegał Graham.

– Mamy wystarczająco dużo kłopotów bez tego. Nie zgadzam się i nie mówmy o tym więcej.

Graham machnął ręką z rezygnacją i zamilkł. Zadzwoił telefon. Kolczyński podniósł słuchawkę.

– Siergiej? – usłyszał głos Whitlocka.

– C.W., dobrze, że telefonujesz. Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

– Jacques mi powiedział. Słuchaj, muszę się streszczać. Jesteśmy z Youngiem tu,

w Bernie.

– Wiem.

– Wiesz? – zdziwił się Whitlock.

– A tak. Rozesłaliśmy twoją fotografię na wszystkie przejścia graniczne. Rozpoznano cię na lotnisku. Gdzie się zatrzymaliście?

– Nieważne. Young chce załatwić Calvieriego.

– Kiedy?

– Zaraz. Nie miałem żadnej możliwości, żeby was wcześniej ostrzec. Young ma snajperski karabin. Broń czekała na niego skrytce na lotnisku.

– Skąd dzwonicz?

– Z automatu. Young przed chwilą wszedł do budynku naprzeciwko waszego hotelu. Wydaje mi się, że będzie chciał wywabić Calvieriego na zewnątrz, tak żeby go mieć na muszce. Co robić?

– Musisz mu przeszkodzić za wszelką cenę. Sprawy zaszły stanowczo za daleko. Masz broń?

– Niestety nie. Browning został w pensjonacie, w Rzymie.

– Chcesz kogoś do pomocy?

– Nie, dziękuję. Nie mogę dopuścić do tego, aby Young zaczął mnie podejrzewać, bo natychmiast uruchomi zapalnik i spowoduje wybuch. Muszę to sam załatwić.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. Pilnujcie Calvieriego, nich nie wychodzi z hotelu. Skontaktuję się z wami później.

– Uważaj na siebie.

– Postaram się – zapewnił Whitlock i odłożył słuchawkę.

Kolczyński pokrótce zrelacjonował rozmowę Sabine i Grahamowi, zastanowił się chwilę i rzekł:

– Sabrina, zejdź do hallu i gdyby tylko Calvieri pokazał na dole, zajmij go czymś. Pilnuj go, aż dam znać, że wszystko w porządku.

– Czym mam go zająć?

– Wymyśl coś. Idź już – popędził ją Kolczyński.

– A ja uważam, że trzeba pomóc C.W. – rzekł Graham, gdy Sabrina wyszła.

– Nie zgadzam się.

– Whitlock nie ma broni...

– Mike, martwię się o niego tak samo jak ty, ale C.W. wyraźnie powiedział, że nie życzy sobie żadnej pomocy. Widać tak ma być, więc lepiej niczego nie kombinuj. Poczekajmy, aż zatelefonuje.

– Miejmy nadzieję, że mu się uda – dodał Graham i wstał, aby nalać sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Whitlock odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki telefonicznej. Raz jeszcze spojrzął na budynek, w którym przed paroma minutami zniknął Young. Trzy piętra i tylko na trzecim paliły się światła, reszta pogrążona była w mroku. Skoro na trzecim piętrze ktoś jest, to Young zapewne tam nie pójdzie. Pierwsze piętro – raczej za nisko, jak na pewny strzał. W sumie oznacza to, że Younga trzeba szukać w którymś z pomieszczeń na drugim piętrze. Whitlock zerknął na zegarek. Od chwili gdy Young wszedł do budynku, minęło pięć minut. Czas ruszyć za nim. Zrobił dwa kroki w stronę wejścia do kamienicy i zamarł, widząc znajomą postać z lekarską walizeczką w ręku. Był to ten sam intruz, który przed południem włamywał się do pokoju Younga w pensjonacie.

Escoletti spojrzął na Whitlocka obojętnym wzrokiem i znikł za rogiem budynku.

Skądże mógł on wiedzieć, że znajdziemy się w Bernie? – zastanawiał się Whitlock. Co się stanie, jeśli on i jego pomocnicy schwytają Younga i uprowadzą gdzieś, gdzie będą go więzić i przesłuchiwać? Co wtedy ze zdalnym zapalnikiem materiału wybuchowego w zegarku?

Na wszelki wypadek postanowił iść jego śladem.

Young rzeczywiście zamierzał urządzić sobie stanowisko strzeleckie na drugim piętrze. Wejście do budynku nie nastęczyło najmniejszych kłopotów. Zaszedł od tyłu. Drzwi na podwórze nie były zamknięte. Wszedł i dopiero wtedy zorientował się, że znajduje się w czymś, co przypominało klub młodzieżowy albo miejski dom kultury. Wedle tablicy informacyjnej na pierwszym piętrze znajdowały się pracownie plastyczne, na drugim klub miłośników broni i wschodniej sztuki walki, na trzecim zaś mieściła się dyskoteka, która oczywiście była jeszcze czynna. Pracownie i klub były już zamknięte. Słyszac hałaśliwe dźwięki dobiegające z trzeciego piętra ucieszył się, że zagłuszą huk wystrzału.

Idąc po schodach, minął kilka par zdążających na tańce. Młodzi ludzie byli tak zajęci sobą, że nie zwrócili najmniejszej uwagi na obcego. Drzwi na drugim piętrze zamknięte były na kłódkę. Uwiął się z tym w ciągu paru sekund. Nie zapalał światła, wystarczył blask ulicznych latarni, żeby dość dokładnie zbadać całe wnętrze. Na podłodze leżały maty gimnastyczne, pod ścianą stały dwie oszklone gabloty, których zawartość obejrzał z niekłamanym podziwem. W jednej znajdowały się dwa samurajskie *tachi*, w bogato zdobionych pochwach, w drugiej zaś cały arsenał broni *ninja*, a więc: *karna*, rodzaj sierpa, jaki dawniej stosowano do żęcia ryżowisk, a który był jednocześnie szalenie

niebezpiecznym narzędziem w ręku wprawnego wojownika; *kusari-rama*, ołowiana kulka z ostrzem na łańcuchu; *nunchaku*, pierwotnie cep do młócenia ryżu, później zaś instrument walki składający się z dwóch krótkich pałek połączonych łańcuszkiem; było tam także *sai*, sztylet z gardą służący do odparowywania ciosów miecza; kilka *shuriken*, żelaznych rzutków o ostrych krawędziach; wreszcie *tonfa*, ponadpółmetrowa dębowa pałka.

Young patrzył w niemym zachwycie na wspaniały zbiór i dopiero głośny dźwięk klaksonu jakiejś przejeżdżającej ulicą taksówki wyrwał go z zadumy. Podszedł do okna. Otworzył walizkę przypominającą wielkością i kształtem futerał na skrzypce, wyjął i zmontował mausera SP66. Był to znakomity karabin snajper zamówiony specjalnie dla niego przez Wisemana. Założył lunetę Zeissa, uniósł żaluzje i uchylił okno. Wejście do hotelu Metropole miał jak na dłoni... Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, nakręcił numer i poprosił o połączenie z pokojem *Signore Calvieriego*.

– Tony Calvieri, słucham?

– Poszukuje pan zabójcy Pisaniego, prawda?

– Kto mówi?

– Jeśli chce pan się dowiedzieć, kto go zabił, to możemy się spotkać przed hotelem za dwie minuty.

– A jak pana poznam?

– Niech się pan nie martwi, ja pana poznam. Dwie minuty. Dłużej nie będę czekał. – Young wyłączył telefon i schował aparat do futerału. Przygotował karabin. Oparł kolbę o parapet. Poprawił okular w lunecie i na próbę wycelowwał w hotelowego portiera. Nacisnął spust. Iglica przeskoczyła w zamku. Zarepetował, umieszczając w komorze nabój kaliber siedem i sześćdziesiąt dwie i milimetra z pociskiem bez płaszcza. Był doświadczonym snajperem i wiedział, że albo trafi jednym pociskiem, albo operacja zakończy się porażką. Oparł kolbę o parapet i spokojnie czekał.

Nie trwało to długo. Minutę później w otwartych drzwiach hotelu stanął Calvieri. Young mierzył starannie, dokładnie w czoło. Przycisnął kolbę do ramienia i miał już nacisnąć spust, gdy Calvieri energicznie się odwrócił, ruszając w stronę drzwi, z których właśnie przed chwilą wyszedł. Young zmienił ognisko w lunecie, aby w nieco szerszej perspektywie zobaczyć, kto taki zwrócił nagłą uwagę Calvieriego. Zdziwił się widząc w obiektywie znajomą sylwetkę; była to ta sama prostytutka, która przyszła do Alexandra w pensjonacie. Jak to się stało, że raptem się w Bernie? Czyżby rzekoma prostytutka należała do Brygad? Jeśli tak, to jak wytłumaczyć jej obecność w pokoju Alexandra? A zresztą nie będzie tego dociekał. Od początku nie ufał Alexandrowi, a wątpliwa znajomość potwierdziła tylko podejrzenia. Alexander wydał na siebie wyrok śmierci! Ale

tym Young zajmie się później. Tymczasem trzeba załatwić Calvieriego. Jeszcze raz starannie naprowadził lunetę na cel...

W pokoju nagle rozbłysło światło.

– Rzuć broń! – zawołał Escoletti od progu.

Young wolno podniósł wzrok. Nie odwrócił się. Widział odbicie napastnika w szybie okiennej. Rozwahał, co zrobić dalej. Miał dwa wyjścia: mógł strzelić z obrotu albo odłożyć broń i czekać na korzystniejszą dla siebie sytuację. Nie miał wątpliwości, że przeciwnik, który nagle się pojawił, chce go wziąć żywcem, gdyby bowiem było inaczej, to strzeliłby bez najmniejszego ostrzeżenia. Wybrał to drugie wyjście: odłożył karabin i wolno obrócił się w stronę prześladowcy. Pistolet marki Bernadelli – ocenił, patrząc na skierowaną w siebie broń, zwrócił też uwagę na lekarską walizkę u stóp napastnika. Zorientował się, że ma do czynienia z tym samym tajemniczym osobnikiem, którego Alexander widział, a przynajmniej mówił, że widział, w pensjonacie. Najpierw prostytutka, a teraz ten człowiek? Za dużo zbiegów okoliczności. Czyżby Alexander rzeczywiście pracował dla Czerwonych Brygad?

– Kim jesteś? – syknął w stronę napastnika. – Czerwone Brygady?

– Zgadłeś – odparł Escoletti. – I widzę – ciągnął dalej – że jak wielu innych też nas nie doceniasz. Wydawało ci się, że możesz na nas bezkarnie napadać, co? Uznałeś, że jesteśmy rozbici, niezdolni do działań. Uwierzyłeś w kłamliwą propagandę władz, że Czerwone Brygady to papierowa groźba. Popełniłeś błąd! Znaleźliśmy cię w Rzymie i znaleźliśmy cię tu, w Bernie.

– Co zamierzacie ze mną zrobić?

– Zostaniesz przewieziony do Włoch i staniesz przed naszym rewolucyjnym trybunałem.

– Który wymierzy mi karę zgodnie z proletariackimi zasadami sprawiedliwości – dokończył ironicznie Young. – Znam tę waszą sprawiedliwość i te wasze zasady. Poznałem takich jak wy w Wietnamie, gdzie przez osiemnaście lat tropiłem Vietcong. Jesteście zwyczajną hołotą, śmierdzącą, głupią hołotą.

– A ta hołota z Vietcongu rzuciła twój kraj na kolana – rzekł Escoletti z przekąsem. – Vietcong to lud, który zadał klęskę amerykańskim faszystom, to było największe zwycięstwo w historii socjalizmu.

W ferworze ideologicznej dyskusji Escoletti nie usłyszał Whitlocka, który tymczasem stanął niepostrzeżenie za jego plecami. W ręce trzymał sporą żelazną rurkę. Przycisnął ją Escolettiemu pod żebra i kazał rzucić broń. Escoletti zeszywniał, ale nie wypuszczał pistoletu z ręki. Whitlock poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Jeśli Escoletti zorientuje się, że Whitlock jest w rzeczywistości bezbronny, to koniec. Po

chwili, która trwała wieczność, Escoletti rzucił pistolet na podłogę. Young błyskawicznie podniósł broń. Escoletti odwrócił się do Whitlocka, zobaczył rurkę, ale nie dał nic po sobie poznać. Zachował pokerową twarz.

– A ja oszczędzę ci sądu – krzyknął Young i strzelił prosto w skroń Escolettiego.

– Nie musiałeś tego robić – zawołał Whitlock patrząc, jak bezwolne, martwe ciało osuwa się na podłogę.

– Nie musiałem – odrzekł Young obojętnie. – Zamknij drzwi – polecił.

Whitlock zamknął drzwi, a gdy się odwrócił do Younga, zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

– Od początku miałem podejrzenia – rzekł Young, podchodząc do Whitlocka – ale generał Wiseman życzył sobie, aby w operacji brał udział jeszcze ktoś, choć dałbym sobie radę sam.

– Sam? Tak jak wtedy, gdy musiałem cię wyciągać od Pisaniego i jak przed chwilą. Załatwiliby cię jak nic, gdyby nie ja.

– Będę ci wdzięczny do grobowej deski – odparł Young kpiąco. – A teraz powiedz mi, co to za kobieta towarzyszy Calvieriemu? – zapytał groźnym tonem.

– Kobieta? Jaka kobieta? O kim ty mówisz?

– O rzekomej prostytutce, która przyszła do pensjonatu w Rzymie. Właśnie przed chwilą widziałem ją w towarzystwie Calvieriego. Kto to jest? Gadaj.

– Czyś ty oszalał?! – zawołał Whitlock oburzony. – prostytutka to prostytutka, a ty pewnie widziałeś jakąś babę, która, być może, jest do niej podobna i od razu masz podejrzenia.

– Ja nigdy nie zapominam twarzy i wiem, że jest to jedna i ta sama osoba.

– Skoro tak uważasz, to powiedz mi, po jasną cholerę miałyby rzymska prostytutka przyjeżdżać do Berna? To się kupy nie trzyma

– Nie próbuj we mnie wmawiać, że coś mi się wydawało. Daję ci pięć sekund do namysłu, a potem wpakuję ci kulę prosto w kolano, a powiadają, że postrzał kolana jest bardzo bolesny. Jeśli i wtedy nie zaczniesz mówić, załatwię ci drugie kolano, a jeszcze później użyję zdalnego zapalnika. Bardzo jestem ciekaw, jak on działa. To unikatowe urządzenie i jeśli się okaże, że jest skuteczne, to dam je do opatentowania. Jestem pewien, że znajdę wielu chętnych na ten aparacik, na przykład CIA.

– Ty rzeczywiście oszalałeś – zawołał Whitlock, patrząc prosto w oczy Younga.

– Pięć sekund. Zaczynamy.

– Ja naprawdę jej nie znam – próbował jeszcze przekonywać Whitlock. Kątem oka zerkał na gabloty z japońską bronią. Za daleko. A gdyby nawet były w zasięgu ręki, to i tak najpierw trzeba by stłuc szybę. Beznadziejna sytuacja.

– Dwie sekundy – rzekł Young. Nie wypuszczając pistoletu z ręki, sięgnął do kieszeni po zdalny zapalnik.

Whitlock nie zmarnował szansy. Rzucił się na Younga, wymierzając mocny cios żelazną rurką. Young zawył z bólu i wypuścił broń. Whitlock chwycił go za rękę i pchnął w stronę gabloty z mieczami. Szyba pękła z hukiem. Szkło posypało się na podłogę. W ramie zostało kilka ostrych odłamków, do których Whitlock przycisnął dłoń Younga. Trysnęła krew. Young wypuścił zapalnik i w tej chwili Whitlock popełnił błąd. Oderwał wzrok od Younga, aby kopnąć zapalnik tak, by Young nie zdołał go chwycić, i ten moment nieuwagi drogo go kosztował. Young wyprowadził cios w szczękę Whitlocka i dwa następne prosto w korpus. Whitlock padł na kolana. Young błyskawicznie chwycił *tachi*, dobył miecz z pochwy, zamachnął się oburącz, mierząc prosto w głowę Whitlocka. Ten skurczył się w sobie i w ostatniej chwili uniknął cięcia. Ostrze miecza rozorało matę dokładnie w tym miejscu, w którym jeszcze przed chwilą klęczał Whitlock. Ułamek sekundy później Whitlock kopnął Younga w krocze i gdy ten zwinął się z bólu, skoczył na równe nogi i chwycił drugi *tachi* z gabloty.

Stanęli naprzeciwko siebie, jak samuraje, gotując się do starcia. Young pierwszy wyprowadził cios. Whitlock odparował. Young ponownie zaatakował. Tym razem Whitlock zrobił unik i ostrze trafiło w drugą gablotę. Na podłogę posypała się broń: *nunchaku* i inne narzędzia walki. Teraz Whitlock zaatakował. Mierzył w korpus Younga. Young zasłonił się mieczem. Zwarli się w śmiertelnej walce. Whitlock przycisnął Younga do i z mocą napierał mieczem na *tachi* Younga. Ostrze nieuchronnie zbliżało się do twarzy wroga. W tym momencie Young celnie kopnął w kolano Whitlocka. Ten zachwiał się z bólu, stracił równowagę i padł na podłogę. Young rozejrzał się, dostrzegł zapalnik na podłodze przy drzwiach, odrzucił miecz i chwycił aparat.

Whitlock nie miał już szans. Przeciwnik był za daleko, aby dosięgnąć go rękami. Rzucił wzrokiem w lewo i prawo, szukając pistoletu. Bernadelli też leżał za daleko, a Young już uruchamiał zapalnik. Nagle pod palcami wyczuł chłodny metalowy przedmiot – ośmiokątny *shuriken*. Zacisnął palce na rzutku. Young otwierał ochronną przykrywkę na miniklawiaturze zapalnika i triumfująco spoglądał na pokonanego, jak mniemał, przeciwnika. Whitlock z całej siły cisnął *shuriken* trafiając Younga prosto w czoło. Krew trysnęła strumieniem, znacząc szkarłatną plamą całą ścianę. Young wypuścił z ręki zapalnik i runął martwy twarzą na podłogę.

Whitlock wstał. Nogi miał miękkie z wysiłku i wrażenia. Chwycił zapalnik, zamknął pokrywkę zabezpieczającą. Wyciągnął telefon komórkowy z futerału i połączył się z Kolczyńskim, aby mu opowiedzieć, co się stało. Siergiej polecił mu udać się do pensjonatu, gdzie Whitlock i Young wynajmowali pokój, i przyrzekł że natychmiast

zawiadomi Zurich, aby przysłano specjalistę, który spróbuje rozbroić zegarek. Whitlock skończył rozmowę, odłożył telefon do futerału, wziął pistolet – niewykluczone, że może się przydać – jeszcze raz ogarnął wzrokiem scenę śmiertelnej walki wyszedł, zatrzasnąjąc kłódkę w drzwiach.

Kolczyński odłożył słuchawkę i powtórzył treść rozmowy Grahamowi.

– Dzięki Bogu, wyszedł z tego bez szwanku – skwitował Graham opowieść.

– Właśnie. Powiedziałem mu, żeby wracał do siebie.

– A czy nie byłoby lepiej, żeby był tu z nami? Przydałby się.

– Przydać to by się przydał, tylko gdyby był z nami, to Calvieri zobaczyłby go...

– I co z tego? Takie ukrywanie Whitlocka to zbytek ostrożności.

– Nie sądzę. Po prostu nie chcę ryzykować. Dopóki nie jest niezbędny, dopóty niech lepiej nie rzuca się w oczy.

– Pewnie masz rację.

– A teraz, Mike, zejdź do hallu i powiedz co trzeba Sabine. Zawiadomię was, gdy tylko Fabio i Kuhlmann wrócą z Worb.

– A do tego czasu, co mamy robić?

– Nic. Czekać.

– Co ze zwłokami z klubie naprzeciwko?

– Zajmą się tym ludzie Kuhlmana.

– Co zrobimy z Wisemanem?

– Pułkownik musi zdecydować. Zaraz zadzwonię do Nowego Jorku. – Kolczyński odprowadził Grahama do drzwi. – Jeszcze jedno, Graham! Pamiętaj, że masz zostawić Calvieriego w spokoju.

– Jak każesz – Graham zrobił niewinną minę, tak jakby nigdy nie podważał poleceń przełożonych.

Zjechał do hallu, lekceważąc niedyskretne spojrzenia gapiów, którzy, wietrząc sensację, przyglądali się jego poranionej twarzy. Podeszedł do recepcji i poprosił, aby przez głośniki przywołali Sabrinę, której nie znalazł w hallu.

Zgłosiła się po minucie.

– Gdzie byłaś?

– Siedzę w barze z Calvinem.

– Rozkoszne sam na sam? – zakpił Mike.

Wzruszyła tylko ramionami, nie uznając za stosowne zareagować na niewybredny żart Grahama.

– Co z C.W.? – zapytała z troską.

Powtórzył pokrótce to, co usłyszał przed chwilą od Kolczynskiego.

– Dobrze, że to się tak skończyło. Niewiele brakowało, a Young załatwiłby Calvieriego.

– Co ty opowiadasz?

– A owszem. Pilnowałam windy, a Calvieri tymczasem zszedł po chodach. W ostatniej chwili spostrzegłam, jak wychodzi na zewnątrz.

– A jak go przekonałaś, żeby zaraz wrócił do środka?

– Na szczęście nie musiałam. Sam do mnie podszedł, gdy mnie zobaczył, ale, jak rozumiem, niewiele brakowało, aby Young zdążył wycelować i nacisnąć spust. A teraz siedzę z nim w barze. Dołączysz do nas?

– Nie, dziękuję, nie pijam z byle kim.

– No wiesz.

– Nie mam ochoty na towarzystwo terrorysty.

– Mike! To nie jest towarzyska okazja i nie jesteśmy tu dli przyjemności.

– Co ty powiesz?!

– Przestałbyś już, Mike! – Sabrina podniosła głos, co zwróciło uwagę siedzących w hallu. – Nie mam zamiaru stać tutaj i wyklócać się z tobą. Chcesz to chodź, nie chcesz to nie. Chciałam tylko...

– Chciałaś? Co takiego chciałaś? – przerwał Mike, łapiąc ją za ramię.

– Nie ma o czym mówić. – Ucięła wzruszając ramionami. Obróciła się na pięcie i poszła do baru.

Graham westchnął ciężko i ruszył za Sabriną. Calvieri siedział przy narożnym stoliku. Wstał uprzejmie powitanie i przysunął trzecie krzesło.

– Mike, proszę siadaj. Czego się napijesz?

– Proszę butelkę wody Perrier – rzucił Graham do kelnera. – Ale musi być mocno schłodzona.

– Widzę, że jednak zmieniłeś zdanie – powiedziała Sabrina z przekąsem.

– Zmieniłem – potwierdził Mike z ponurą miną.

Przyniesiono zamówioną wodę i szklankę z lodem.

– Proszę dopisać to do mojego rachunku – powiedział Calvieri do kelnera.

– W żadnym wypadku – zaprotestował Graham. – Sam płacę za siebie. Nie życzę sobie żadnych gestów z pańskiej strony i w ogóle...

– Od samego początku zauważyłem, że rażą pana moje poglądy i moja osoba. Dlaczego nie może się pan zdobyć na odrobinę tolerancji i szacunku dla moich przekonań?

– Niech pan zapyta o to rodziny tych, których Czerwone Brygady zamordowały,

panie Calvieri – odparł Graham, obrzucając swego rozmówcę nienawistnym spojrzeniem.

– Prowadzimy walkę, panie Graham, ale zapewniam pana, że naszym celem są tylko eksponenci reżimu, jak na przykład Aldo Moro czy Tarantelli albo generał Giorgieri czy pański rodak Leamon Hunt, szef tak zwanych sił pokojowych na Synaju. Krótko mówiąc, panie Graham, jeśli atakujemy, to wyłącznie faszystów.

– Wyłącznie, powiada pan? – Graham oparł się łokciami o stolik i pochylił się w stronę Cahderiego. – A co pan powie o dziesiątkach niewinnych ludzi, którzy zginęli i ciągle giną, gdy ta wasza banda urządza sobie strzelaninę na ulicach? To też faszyści? Eksponenci reżimu, jak pan to ładnie powiedział.

– Przykro mi, ale każda wojna pociąga za sobą przypadkowe ofiary.

– Byłem pewien, że to właśnie usłyszę. Wszyscy terroryści zawsze tak mówią. Ponieważ nie znajduje pan żadnego sensownego argumentu, to unika rzeczowej odpowiedzi na pytanie.

– Czerwone Brygady prowadzą walkę, panie Graham. Każda operacja jest głęboko przemyślana i ma swoje logiczne łądnienie. – Calvieri sięgnął po kieliszek z koniakiem. – To tylko panu, panie Graham, może się wydawać, że jesteśmy bandą nieodpowiedzialnych anarchistów. Mamy swoje cele i swoje aspiracje, mamy także program, jesteśmy bowiem przede wszystkim organizacją polityczną. Mamy swoich zwolenników, zwłaszcza wśród klasy robotniczej.

– Zwolenników? Kiedyś istotnie ich mieliście – wtrąciła Sabrina – ale po zabójstwie Alda Mora w 1978 roku straciliście poparcie.

– Rzeczywiście. Jeśli chodzi o Mora, to popełniliśmy błąd. Przede wszystkim dlatego, że zmarnowaliśmy szansę. Mogliśmy przecież zażądać sporego okupu. Istotnie, nastąpił wtedy pewien spadek poparcia dla naszej sprawy, ale to przeszłość. Odzyskaliśmy sympatię społeczną i to jest prawda, choć oczywiście reżimowa propaganda usiłuje temu zaprzeczyć. I jeszcze jedno, niechże pan zrozumie, jak naprawdę wygląda sytuacja we Włoszech: ciągła rywalizacja na szczycie, niekompetentne rządy, korupcja. Także obecny, komunistyczny rząd Enza Belliniego nie jest lepszy. Sytuacja gospodarcza fatalna, bezrobocie przekracza piętnaście procent, dziesiątki tysięcy moich rodaków żyją w ubóstwie.

– Wymarzone warunki do rewolucji – wtrącił kpiąco Graham.

– A ja powiedziałbym inaczej – rzekł z całą powagą Calvieri. – Sytuacja dojrzała do zmian. Społeczeństwo nie ufa politykom, ani tym z prawej, chrześcijańskim demokratom, ani tym z lewej, komunistom. Trzeba więc usunąć wszelkie przeszkody i postawić na nowych ludzi, ludzi zdolnych, utalentowanych, ludzi; którzy doprowadzą do odrodzenia kraju.

– Inaczej mówiąc, na Czerwone Brygady – wtrąciła Sabrina.

– Niekoniecznie – odparł Calvieri ku zdziwieniu swoich mówców. – Są bowiem – ciągnął dalej – i tacy działają w Brygadach, którzy chcieliby doprowadzić kraj do anarchii...

– Jak na przykład Zocchi? – spytała Sabrina.

– Właśnie. Ale nie tylko on. Jest wielu jemu podobnych, także w ścisłym kierownictwie, i właśnie im reżimowa propaganda poświęca najwięcej uwagi, przez co tworzy specyficzny obraz Brygad, obraz łaknącej krwi bandy anarchistów, którzy palą, mordują i rabują.

– Ale przecież to pan jest ich rzecznikiem, a więc może pan wpływać na kształtowanie innego wizerunku swojej organizacji.

– To nie jest takie proste. Oficjalne środki przekazu zajmują się Brygadami tylko wtedy, gdy dochodzi do aktów naruszania obowiązującego prawa. Wtedy to zwracają się do mnie. W swoich wypowiedziach staram się oczywiście przedstawiać rozsądny punkt widzenia, demaskować kłamstwa, ale co z tego, kiedy później dziennikarze manipulują moimi wypowiedziami, tną, montują od nowa, krótko mówiąc, zmieniają sens tego, co w istocie powiedziałem. Jestem bezsilny wobec tych manipulacji.

– Jeśli powiada pan, że jest pan przeciwnikiem przemocy i wyklucza pan zamach stanu, to co właściwie jest pańskim celem? – spytał Graham.

– Nie zrozumiał pan. Nie wykluczam zamachu, nie byłbym przeciw obaleniu rządu, zwłaszcza tego, który obecnie sprawuje władzę. Powiem panu więcej, gotów jestem osobiście przyłożyć pistolet do skroni Belliniego, gdyby tylko od tego zależało odrodzenie Włoch. Problem jednak polega na tym, że w obecnej sytuacji byłoby to błędem politycznym i strategicznym. Uważam bowiem, że mielibyśmy przeciwko sobie i wojsko, i policję. Rozwiązanie siłowe to mrzonka, z czym niestety nie chce się zgodzić spora część Brygad. Co do mnie to jestem zdania, że trzeba poszukiwać bardziej realistycznych rozwiązań.

– Jakich, na przykład? – spytał Graham.

– Najpierw powinniśmy stworzyć polityczne sojusze, zawiązać koalicję, na przykład z komunistami, tak aby wreszcie klasa robotnicza, zgodnie z naszym programem, uzyskała wpływ na losy kraju. Uważam, że powinniśmy wejść do rządu.

– A później przejąć całą władzę – rzekł Graham.

– Ewentualnie, ale w dalszej perspektywie. Najpierw musimy zdobyć doświadczenie. Lecz to jest tylko mój pogląd, którego mów nie podzielają inni działacze Brygad, którzy chcieliby od razu wziąć wszystko. Moim zdaniem rozwiązanie koalicyjne jest lepsze. Komuniści mają doświadczenie, jeśli chodzi o sprawowanie władzy, my zaś moglibyśmy

wnieść do rządu koalicyjnego nowe e, a więc coś, czego ten kraj naprawdę potrzebuje.

– W pańskim rozumowaniu zawiera się jednak pewien błąd. Zapomina pan mianowicie, że komuniści odcinają się od was, i to zdecydowanie – powiedziała Sabrina.

– Kilka lat temu potępili was jako „zwykłych terrorystów”, więc w tej sytuacji nie zgodzą się na koalicję.

– Sprawa jest bardziej złożona. Zwróćcie uwagę, że wedle wszelkich ankiet komuniści stracili na popularności, głównie zresztą na tle fatalnej polityki gospodarczej. W tej chwili sympatie wyborców kierują się raczej w stronę chadecji, co oznacza, że komuniści nie mogą marzyć o wygraniu kolejnych wyborów. Gdyby jednak porozumieli się z nami, ich sytuacja wyglądałaby inaczej. My bowiem mamy poparcie klasy robotniczej. Wspólnie wygralibyśmy wybory i te najbliższe, i następne też, co oznacza, że koalicja wyborcza ma rację bytu. Mamy pewne kontakty wśród komunistów. Ostateczna jednak decyzja zależeć będzie od stanowiska Belliniego i jego ekipy.

– A jeśli nie przyjmą waszej oferty, to wtedy potraktujecie ich równi z Aldem Morem i Tarantellim, tak?

– No cóż – uśmiechnął się Calvieri – jeśli nie wejdą z nami w porozumienie, tym gorzej dla nich.

– To nie polityka, to szantaż! – zawołał Graham.

Nazwijmy to propozycją nie do odrzucenia – rzekł Calvieri.

Dalszą dyskusję przerwało pilne wezwanie, ogłoszone przez owe głośniki, aby Michael Graham zgłosił się do recepcji. Telefonował Kolczynski.

– Jest już Kuhlmann i major Paluzzi – powiedział. – Zaczynamy odprawę.

– U ciebie?

– Tak. Zawiadam Sabrinę.

– Calvieriego też?

– Mówiłem ci, żebyś go zostawił w spokoju.

– Ale nic takiego się nie stało. Siedzieliśmy tylko razem w ba ze. A więc czy mam go przyprowadzić, czy nie?

– Nie. Naradzimy się bez niego, a ewentualnie później Sabrini przekaze mu ustalenia.

– W porządku, zaraz przyjdziemy.

Graham wrócił do baru.

– Kolczynski? – spytała Sabrina.

– Tak. Mamy się natychmiast zgłosić u niego w pokoju.

– Ja też? – spytał Calvieri.

– Nie. Wszystko, co będzie pana dotyczyć, przekaze panu Sabrina po odprawie.

– Cieszy mnie ta atmosfera wzajemnego zaufania i współpracy – rzekł Calvieri

z gorzką ironią.

– To tylko rozsądna ostrożność, drogi panie – odciął Graham.

Kilka chwil później Sabrina z Grahamem byli już u Kolczynskiego.

– Słyszałem, że piłeś drinka we wrogim towarzystwie – zażartował Paluzzi.

– Nie miałem innego wyjścia – odparł Graham i opowiedział pokrótce o planach zawiązania koalicji Czerwonych Brygad z komunistami.

– To coś nowego – skomentował Kuhlmann.

– Niezupełnie – wtrącił Paluzzi. – Mówi się o tym od pewnego czasu, lecz komuniści, jak na razie, ukrywają te plany.

– Sądziś więc, że dojdzie do porozumienia przed kolejnymi wyborami? – zdziwił się Graham.

– Jest taka możliwość. Calvieri ma rację w tym sensie, komuniści nie mają szans na zwycięstwo, jeśli pójdą do wyborów sami. Potrzebne im jest większe poparcie, a Czerwone Brygady, przynajmniej teoretycznie, mogą im takie poparcie zapewnić.

– Ale większość społeczeństwa nie zaakceptuje takiej koalicji – wtrąciła Sabrina.

– To nie jest takie pewne. Sami wiecie, że sytuacja ekonomiczna Włoch jest rzeczywiście dramatyczna i pogarsza się z każdym dniem. Na tym tle dochodzi do kryzysu władzy. Społeczeństwo nie ufa politykom, a to w tych warunkach jest zrozumiałe i oczywiste. Wybory wygra ten, kto przekona naród do swojego programu, kto nakreśli wizję i da ludziom nadzieję. Jeśli koalicji komunistów z Brygadami uda się wyjść z takim programem, to niewątpliwie wygra ona wybory.

– Skoro koalicja ma takie szansę, to dlaczego jeszcze jej nie zawiązano? – spytał Graham.

– Bo Bellini jest przeciw, ot co.

– Przynajmniej jeden, który jeszcze ma skrupuły.

– Widać, że nie znasz Belliniego – zaśmiał się gorzko Paluzzi. – Enzo Bellini podpisałby pakt z samym diabłem, gdyby uznał, że dzięki temu utrzyma się przy władzy. Sprzeciwia się koalicji, utraciłby bowiem urząd premiera, przywileje i w ogóle. A on uwielbia władzę.

– To znaczy, że w nowym układzie straciłby stanowisko.

– Zapewne tak. On i jego najbliżsi współpracownicy. Zyskaliby natomiast znacznie młodszy działacze, rzeczywiście zdolni ludzie, obiektywnie rzecz biorąc, ludzie, którzy mogliby zrobić wiele dobrego dla naszego kraju. Podkreślam to, choć sam nigdy nie głosuję na komunistów. Partyjna młodzież popiera ideę koalicji i pewnie dlatego Bellini nie dopuszcza ich do stanowisk w rządzie.

Kolczynski słuchał tej wymiany zdań w milczeniu. Zamyślony patrzył przez okno.

Nagle odwrócił się do pozostałych i rzekł:

– A gdyby się okazało, że fiolka ma posłużyć nie tylko do uwolnienia Zocchiego, ale także do wymuszenia dymisji premiera Belliniego, aby pozbywszy się go, można było zawiązać koalicję, to co wtedy?

– Nie sądzę, by tak było – rzekł Paluzzi po namyśle. – Chodzi o to, że także w Brygadach jest silna opozycja przeciwko współpracy z komunistami. Opozycjoniści skupiali się właśnie wokół Zocchiego. Zocchi uważał, że nie wolno iść na żadne układy, że władzę trzeba wziąć siłą. Sprzeciwiał się rozmowom z komunistami. Nie tylko zresztą on, cała rzymska sekcja Brygad była przeciw. Koalicja to pomysł Pisaniego, Calvieriego i Luigiego Bettingi. Inaczej mówiąc, za koalicją są tak zwani umiarkowani, a żaden z nich nie maczał palców w kradzieży fiolki.

Zapukano do drzwi. Kelnerzy przynieśli tace z kanapkami i kawą, zamówione przez Kolczynskiego.

– Proszę się częstować – zachęcał gospodarz.

Paluzzi nalał sobie filiżankę kawy i sprawdził zawartość kanapek.

– Specjalnie dla ciebie zamówiłem z serem i jajkiem – oznajmił Kolczynski.

– Skąd wiedziałeś, że jestem jarozsem? – zdziwił się Paluzzi.

– No cóż, w UNACO mamy dość dokładne informacje o interesujących nas osobach.

– Czy to znaczy, że mam swoją teczkę w UNACO? – nie dawał wiary Paluzzi.

– Ostrożność nigdy nie zawadzi – pośpieszył z wyjaśnieniem Graham. – Wiesz, jak to jest: dziś przyjaciel, a jutro kto wie?

– Jak na przykład Calvieri?

– To nie jest trafny przykład. Calvieri zawsze będzie po drugiej stronie barykady.

– Znaleźliście coś w śmigłowcu? – zapytała Sabrina, podając kawę Kuhlmannowi.

– Nic. Nasi specjaliści jeszcze pracują, ale nie sądzę, by cokolwiek znaleźli.

– Żadnych śladów linii papilarnych, jeśli o to pytasz – dodał Paluzzi.

– A co z Ubrinem i Francią? Ktoś ich widział na lotnisku? – spytał Graham.

– Ustaliliśmy tylko, że jakiś kierowca odwoził na dworzec kolejowy dwóch mężczyzn odpowiadających rysopisowi poszukiwanych – odparł Kuhlmann. – Żadnych innych śladów nie mamy.

– Ale skoro byli na dworcu, to ktoś, u licha, musiał ich widzieć – naciskał Graham.

– Przesłuchaliśmy cały personel dworca, panie Graham, nikt ich nie widział.

– Możliwe, że nie wsiedli do żadnego pociągu, że z dworca wrócili do miasta – zasugerowała Sabrina.

– Badaliśmy i taką ewentualność, Sprawdziliśmy wszystkie pensjonaty i schroniska. Żadnego śladu. Obserwujemy wszystkich znanych nam sympatyków Czerwonych

Brygad w całej Szwajcarii. Na razie bez skutku.

– I niewiele więcej można jeszcze zrobić. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać – rzekł Paluzzi.

– Czy telefonowałeś do pułkownika, Siergiej? – zapytał Graham.

– Owszem. Przyleci do Szwajcarii nocnym samolotem. Rano jadę po niego na lotnisko.

– Czy szef mówił coś o Wisemanie?

– Wiseman też zniknął. Nie wiadomo, co się z nim dzieje.

– A co z Alexandrem? – spytała Sabrina.

– Widziano go dziś rano na jednej ze stacji metra w Londynie, Scotland Yard jest zdania, że jego ponowne aresztowanie jest kwestią kilku dni.

– Przyjechały karetki – oznajmił Paluzzi, wyglądając przez no.

– Jakie znowu karetki? – spytała Sabrina.

– Żeby zabrać zwłoki Escoletiego i Younga – odparł Paluzzi przepuszczając ją do okna.

– Escoletti? – Graham nie spotkał się jeszcze z tym nazwiskiem.

– Giancarlo Escoletti, jeden z najlepszych specjalistów od mokrej roboty w Czerwonych Brygadach, więc nic dziwnego, że to właśnie jemu polecono ścigać zabójcę Pisaniego.

– A skąd wiesz, że to właśnie on? Przecież nie byłeś tam, na miejscu? – spytała Sabrina.

– Wystarczyło to, co usłyszałem od Siergieja, że obok ciała znaleziono walizkę lekarską. To „znak firmowy” Escoletiego.

– Rozumiem, że C.W. nie będzie przesłuchiwany? – upewnił się Graham, oczekując odpowiedzi od Kolczyńskiego.

– Załatwiłem to już z panem Kuhlmannem. Uzgodniliśmy, że w oficjalnej wersji wydarzeń w klubie nie będzie wzmianki o Whitlocku. Prasie się powie, że Escoletti zaskoczył Younga i że doszło do wzajemnej wymiany strzałów. Takie komunikaty ukażą się w porannych gazetach.

– Skoro już mowa o dniu jutrzejszym, jakie mamy ustalenia? – spytał Graham.

Pan Kuhlmann i ja jedziemy o siódmej trzydzieści na lotnisko – a stamtąd prosto do Centrum imienia Offenbacha na spotkanie z przedstawicielami delegacji na konferencję.

– Czy oni już wiedzą o fiolce? – zapytała Sabrina.

– Pułkownik poinformował ambasadorów zainteresowanych państw w ONZ-cie.

– Co z nami? Jakie są nasze zadania? – zapytał Graham.

– Wy troje wraz Calvierim będziecie czekać w aucie kilkaset metrów od Centrum.

Będziemy w stałym kontakcie radiowym.

– Nie rozumiem! – oburzył się Graham. – Co to za pomysł! Wiemy, jak wygląda Ubrino, więc powinniśmy być na miejscu a nie siedzieć beczynnie w jakimś tam aucie.

Kolczyński nie odpowiedział od razu. Starannie wybrał kanapkę, spróbował i dopiero wtedy rzekł:

– Ubrino z kolei wie, jak wy wyglądacie. Gdyby zobaczył ciebie, Sabrinę albo Paluzziego w Centrum, zaczęłyby coś podejrzewać i trudno przewidzieć, co by zrobił. Mógłby na przykład się ulotnić. A wtedy co? Gdzie mielibyśmy go szukać? A tak będziemy go mieć na widelcu. Poza tym mówiłem już, że cały teren będzie patrolować setka policjantów po cywilnemu.

– Ubrino zjawi się w przebraniu, jestem tego pewien – rzekł Paluzzi. – Wątpliwe, aby pańscy ludzie go rozpoznali. Jest mistrzem charakteryzacji.

– Słyszałem o tym – rzekł Kuhlmann. – Wchodzący do budynku będą prześwietlani. Będziemy także sprawdzać teczki, torebki i w ogóle wszystko. Więc jeśli nawet Ubrino nie zostanie rozpoznany, to z pewnością odnajdziemy fiolkę. Nie uda mu przeniknąć do budynku, omijając nasze posterunki.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął Paluzzi. – Czy to już wszystko na dziś? – zapytał Kolczyńskiego. – Chciałbym złapać trochę snu, a jeszcze muszę załatwić kilka spraw telefonicznie.

– Wszystko.

– O której mamy jutro być na miejscu? – zapytała Sabrina.

– Ja będę o ósmej, wy też bądźcie o tej porze. Tu macie mapę – Kolczyński podał jej plan miasta. – Zaznaczyłem miejsce gdzie powinniście czekać. Blisko szosy wylotowej.

– Co z radiotelefonami?

– Fabio ma jeden aparat i to powinno wam wystarczyć, chyba że znowu ktoś zechce prowadzić akcję na własną rękę – Kolczyński spojrzał znacząco na Grahama.

– Jasne – mruknął Mike. Wstał i ziewnął. – Późno już, pójdę się położyć.

– Ja też – oznajmiła Sabrina.

– Nie tak szybko, moja panno – zatrzymał ją Kolczyński. – Musisz jeszcze przekazać ustalenia Calvieriemu.

– Zawsze znajdziesz dla mnie coś specjalnego.

Kolczyński odprowadził Kuhlmana i Paluzziego do drzwi.

– Popatrzcie, jakie to dziwne – powiedział, żegnając się z Sabriną i Grahamem. – Rozmawialiśmy tak, jakby chodziło o jakąś zwykłą sprawę, podczas gdy mamy do czynienia ze śmiertelnym zagrożeniem. Tymczasem nikt z nas nie zadał tego jednego, jedyne pytania, nad którym wszyscy się zastanawiamy: co będzie, Ubrino wymknie się

z sieci i rozpyli zawartość fiolki? Ile milionów ludzi zginie, nim wynajdzie się skuteczną szczepionkę? My zaś będziemy na pierwszej linii. Jeśli sprawdzą się najgorsze przewidywania, zginiemy na miejscu. A jednak nikt z nas, nie wyłączając mnie, w ogóle o tym nie wspomniał. To doprawdy dziwne.

– Podoba mi się twój optymizm – Graham poklepał Kolczyńskiego po ramieniu. – Wiesz, że w domu powieszzonego nie rozmawia się o sznurze.

Kolczyński zaśmiał się niepewnie, jakby nie do końca zrozumiał uwagę Grahama.

– Czeka mnie długa noc, chyba nie zmruję oka.

Sabrina zerknęła na Grahama i wydało jej się, że w jego wzroku też pojawił się cień niepewności. Ją samą również ogarniał niepokój. Kolczyński miał rację. Rzeczywiście, żadne z nich nie miało śmiałości postawić sprawy otwarcie, nawet Graham. W głębi duszy jedynie zastanawiali się nad ryzykiem.

– Chyba nikt z nas nie będzie spał tej nocy – rzekł Graham i wyszedł.

Sabrina popatrzyła jeszcze na Kolczyńskiego. Stał zamyślony przy oknie. Wyszła, zamykając cicho drzwi.

Whitlock wpatrywał się w jedzenie, usiłując wykrzesać choć odrobinę apetytu. *Choucroute garnie* – gotowana szynka z kiszoną kapustą – jedno z jego ulubionych dań. Kupił po drodze w restauracji, gdzie sprzedawano na wynos, gdy jednak zasiadł do jedzenia w domu – w pensjonacie – apetyt nagle znikł. Nie był głodny. Od godziny już grzebał bezmyślnie widelcem w talerzu, próbując się zmusić do jedzenia. Bez skutku. Posiłek wystygł, apetyt nie wrócił. Odłożył widelec i odsunął talerz. Spojrzał na zegarek. Dwudziesta druga czterdzieści. A zresztą czas i tak nie miał znaczenia. Wstał od stołu i podszedł do telefonu. Nakręcił numer mieszkania w Nowym Jorku. Odczekał. Żadnej odpowiedzi. Ile to już razy w ciągu ostatniej godziny podnosił słuchawkę i nakręcał znajomy numer? Dziesięć, a może piętnaście. Za każdym razem to samo. Kilka razy telefonował do Carmen do biura też bez skutku. Odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Spojrzał w dół na mroczną ulicę. Jakaś para całowała się w bramie przeciwko. Wzruszył gniewnie ramionami i wrócił do stołu, był w stanie o niczym myśleć, martwił się o Carmen. Gdzież i może być? Co się z nią dzieje? Nie było jej u siostry. Nikt znajomych i przyjaciół jej nie widział. Nigdy w ten sposób; postępowała. Telefonował prawie do wszystkich szpitali w Nowym Jorku. Nie, nie było jej na liście pacjentek. Informował się nawet w zakładach pogrzebowych. Nie, nie mieli nikogo o takim nazwisku. Musiał ją znaleźć. Musiał z nią porozmawiać. W bezsilnej rozpaczycy uderzył pięścią w stół. Musi przestać o niej myśleć. Ma zadanie do wykonania i to w tej chwili jest najważniejsze. Nie pora myśleć o prywatnych sprawach. Trzeba się opanować, i to zaraz.

Popatrzył na klucz leżący na stole, klucz do pokoju Younga. Już dawno postanowił zajrzeć tam, aby sprawdzić, czy nie znajdzie czegoś ciekawego. Może to zrobić teraz. Nie ma nic innego do roboty, a przynajmniej przestanie myśleć o Carmen. Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz. Pusto. Podeszedł do sąsiedniego pokoju i cicho otworzył zamek. Wślizgnął się do środka i zapalił światło. Pokój Younga wyglądał dokładnie tak samo jak jego: podwójne łóżko, stół, krzesło, komoda, umywalka pod oknem, nawet tapety były takie same. Przeszukał szuflady w komodzie. Znalazł paszport na nazwisko Vincent Yannick i pistolet Walther P5. Doskonała, niezawodna broń, używana głównie przez policję w Niemczech i Holandii, popularna także w obu Amerykach. On co prawda wolał zwykły browning, który był znacznie bardziej celny, ale nie miał wyboru. Browning, który dostał od Sabriny w Rzymie, był pewnie teraz w rękach funkcjonariuszy NOCS, jak zresztą; wszystkie rzeczy, które zostały w pensjonacie. Zajrzał pod łóżko, Wyciągnął torbę, którą Young zabrał ze skrytki na lotnisku Belpmoos w Bernie. Znalazł plik mocno zużytych franków szwajcarskich. Trzeba je będzie oddać Kolczyńskiemu z przeznaczeniem na UNICEF, ONZ-owską organizację pomocy dzieciom – pomyślał.

Nagle zaalarmował go dziwny szelest. Dźwięk dobiegał z sąsiedniego pomieszczenia, to znaczy z jego pokoju. Ktoś się zjawił. Może specjalista z Zurychu, który ma rozbroić zapalnik i zegarek? Ale była też inna możliwość. Mógł to być ktoś naślany przez Czerwone Brygady, aby wyrównać rachunki z Youngiem. Wyjrzał na korytarz. Pusto. Zamknął drzwi i z bronią gotową do strzału zaczął się skradać do swojego pokoju. Drzwi były uchylone. Otworzył je kopnięciem na oścież i przyklękając wymierzył walthera w intruza, który stał przy oknie. Mężczyzna, czterdziestoletni może blondyn w okularach o drucianej oprawie, milcząco podniósł ręce do góry.

– Kim pan jest? – zawołał Whitlock.

– Doktor Hans Gottfried – nieznajomy był wyraźnie przestraszony. – Przysyła mnie pan Rust. Pukałem, ale nie było odpowiedzi, więc wszedłem...

Whitlock wstał, wsunął walthera za pas.

– Przepraszam, że pana przestraszyłem, ale sam pan rozumie, że muszę być szczególnie ostrożny.

– Tak, tak, rozumiem. – Gottfried z ulgą opuścił ręce.

– Napije się pan czegoś? Kawy? Może herbaty.

– Dziękuję, nie. Mogę zobaczyć zegarek?

Whitlock wyciągnął rękę. Gottfried uważnie obejrzał zegarek, a następnie poprosił, aby pokazać mu urządzenie odpalające. Obracał je przez chwilę w ręku i odchylił pokrywkę osłaniającą przycisk zapalnika.

– Niech pan tego nie dotyka! – przeraził się Whitlock.

– Nie mam takiego zamiaru – uspokoił go Gottfried. – Badam tylko konstrukcję.

Whitlock ciężko usiadł na łóżku.

– Przepraszam pana, ale to ciągle napięcie. Z trudem panuję nad nerwami. Nie mogę przestać myśleć o tym cholernym zegarku, od kiedy zmusili mnie, abym go założył. Ciągle bałem się, że na przykład pasek odepnie się we śnie albo że Young wda się w jakąś pijatykę i pójdzie gdzieś, a więc oddali się bardziej, niż było można, a wtedy wiadomo, wybuch! Nie mogłem spać ani jeść i w ogóle.

– Wyobrażam sobie – rzekł Gottfried tonem pełnym współczucia, sięgając po swoją teczkę. – Dziś jednak będzie pan mógł spać całkiem spokojnie, zapewniam pana.

Spać spokojnie nie wiedząc, gdzie jest Carmen – pomyślał Whitlock, ale nie dał poznać, że coś jeszcze go nurtuje. Uśmiechnął się tylko do Gottfrieda.

– Czy znane jest panu pochodzenie tego urządzenia, czy zna pan jakieś szczegóły, które mogłyby pomóc w jego rozpracowaniu? – Gottfried zaczął starannie przygotowywać narzędzia, które wyjął z teжки.

– Wiem tylko tyle, ile mówił Young. Twierdził, że jest to prototyp. Zamierzał nawet opatentować urządzenie, gdy tylko rzecz sprawdzi się w działaniu.

– A więc oryginalna konstrukcja, tak też myślałem. Nie można w takim razie wykluczyć, że również w przekaźniku umieszczono ładunek wybuchowy, jako dodatkowe zabezpieczenie przed jakąś próbą unieszkodliwienia całego mechanizmu.

– Jeszcze tego brakowało – mruknął Whitlock z rezygnacją. – Co teraz? – zapytał wstając nerwowo z miejsca.

– Mam tu podręczny skaner. To stosunkowo nowy instrument, opracowaliśmy go przed niespełna rokiem. Działa mniej więcej tak, jak urządzenia do prześwietlania bagażu na lotniskach. Używając go przekonamy się, czy w przekaźniku znajduje się jakaś mina.

– A jeśli się okaże, że tak, to co wtedy?

– Wszystko zależy będzie od cech owego dodatkowego zabezpieczenia. Jeśli będzie to wyjątkowo złożony mechanizm, to trzeba pojechać do laboratorium w Zurychu, gdzie zawsze mamy pod ręką ekipę lekarską na wszelki wypadek.

– Pociesza mnie pan – rzekł Whitlock ponurym głosem.

– No cóż, trzeba się liczyć z każdą ewentualnością – powiedział Gottfried rzeczowo.

– Rozbrojenie zapalnika polega na tym, aby odłączyć źródło zasilania. To zaś wymaga oczywiście rozmontowania obudowy. Jeśli ów Young, czy jak on się nazywa, znał się na rzeczy, to zapewne zabezpieczył przekaźnik przed taką możliwością.

Whitlock otarł pot z czoła.

Gottfried wyjął kabel elektryczny z wtyczką.

– Gdzie jest gniazdko? – zapytał.

– Przy łóżku. Niech pan da, włączę. W porządku.

– Dziękuję. Działa znakomicie.

Whitlock stanął za plecami Szwajcara i pilnie obserwował wszystkie czynności. W teczce znajdował się miniaturowy monitor telewizyjny, jakieś pokrętła i wiele innych tajemniczo wyglądających instrumentów. Gottfried umieścił przełącznik w stosownej komorze, nacisnął odpowiednie guziki i na ekranie monitora ukazała się cała zawartość złowieszczego urządzenia.

– Nie widzę niczego specjalnego – oznajmił Gottfried po chwili. – Dwa kabelki łączące zapalnik ze źródłem zasilania – rzekł, pokazując poszczególne elementy na ekranie.

– A może jest coś na ściankach obudowy. Niewykluczone, że właśnie tam Young mógł coś zamontować.

Gottfried prześwietlił ścianki obudowy. Nie znalazł niczego, co zwróciłoby jego uwagę.

– Pozostaje jeszcze jedna możliwość – mruknął po chwili. – może Young zamontował w środku fotokomórkę, która zacznie przewodzić prąd na skutek działania światła, gdy tylko otworzymy obudowę, powodując wybuch.

– Krótko mówiąc, sprawa jest beznadziejna.

– Ależ nie. Posłużymy się specjalnym światłem podczerwonym.

– A więc musimy jechać do laboratorium, do Zurychu?

– Jak pan chce. Mam tu co prawda stosowną lampę, ale jeśli i woli, to możemy jechać...

– Nie, nie. Wolę załatwić sprawę na miejscu, W Bernie trwa dość poważna operacja i muszę być na miejscu.

– Rozumiem. Niech pan więc zgasi światło i zasłoni okno.

Whitlock zrobił, co mu kazano. Gottfried uruchomił lampę na podczerwień. Wyłączył monitor i umieścił przełącznik na stole. Przygotował sobie zestaw zegarmistrzowskich wkrętałów i zaczął odkręcać śrubki obudowy. Whitlock stał bez ruchu, nie śmiał nawet oddychać, patrząc na precyzyjne ruchy specjalisty. Odetchnął z ulgą, gdy Gottfried wreszcie odsłonił wnętrze urządzenia i uniósł pokrywkę do góry na znak, że jak na razie wszystko jest w porządku. Następnie wyjął niewielkie obciążki i z uwagą obejrzał dwa kabelki: niebieski i żółty, łączące zapalnik z baterią. Odsunął je najpierw na bok delikatnym ruchem, aby zobaczyć, czy w głębi nie kryje się nic szczególnego. Nie znalazł. Odłożył obciążki i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Coś jest nie tak? – zaniepokoił się Whitlock.

– Tego jeszcze nie wiem, ale czuję, że jest w tym jakaś pułapka. Wygląda to tak,

jakby konstruktor chciał, żebyśmy od razu przecięli kable. Na moje wyczucie coś tu jeszcze musi być.

Whitlock nic nie powiedział, a zresztą i tak nie mógłby wydobyć z siebie głosu. W gardle mu zaschło. Gottfried wziął teraz do ręki niewielki skalpel i zdecydowanym ruchem odchylił izolację niebieskiego kabla. Odsunął ostrożnie warstwę plastiku i oto ukazała się pajęcza siatka cienkich drutów. Naciął następnie izolację drugiego kabla i przez dłuższą chwilę studiował plątaninę drucików.

– I co, co? – spytał niecierpliwie Whitlock.

– Miałem rację. Jest dodatkowe zabezpieczenie. Mogłoby wybuchnąć – rzekł wskazując na jeden z drutów.

– Nic nie widzę – zdziwił się Whitlock. – Drut jak drut.

– A jednak. Zajmuję się tymi rzeczami od piętnastu lat, proszę pana, i niełatwo mnie zwieść. – Posługując się skalpelem, pokazał Whitlockowi, gdzie wiedzie ów szczególny odcinek drutu. – Jeśli pan spojrzy uważniej, to zobaczy pan, że ten drut podłączony jest zupełnie inaczej niż pozostałe. Doskonała pułapka.

– I to samo jest w drugim kablu?

– Niekoniecznie. Żeby unieszkodliwić ładunek, trzeba przeciąć oba kable, więc wystarczy zamontować zabezpieczenie w jednym z nich.

– Dzięki Bogu, że nabrał pan podejrzeń – Whitlock otarł pot z czoła.

– Doświadczenie, proszę pana. W mojej specjalności trzeba po prostu myśleć tak, jak myślał konstruktor, wejść w jego duszę.

Gottfried przeciął niebieski kabel, następnie zaś, izolując zapalnik, przeciął żółty.

– Może pan zdjąć zegarek.

Whitlock zawahał się.

– Naprawdę. Proszę mi wierzyć, nic się nie stanie.

– Wierzę panu, ale ciągle się boję, że Young mógł jeszcze coś wymyślić.

Gottfried zapalił światło i zaczął chować swoje narzędzia.

– Boi się pan, że może być jeszcze jakaś pułapka w pasku do zegarka?

– Właśnie. Znam Younga i wiem, że zawsze ubezpiecza się na wszystkie strony.

– Proszę się nie obawiać. Każda mina potrzebuje zapalnika, ten zaś potrzebuje źródła zasilania, a ja właśnie odciąłem baterię, więc nie ma się czego lękać. – Gottfried się uśmiechnął, aby zachęcić Whitlocka. – Śmiało! Jak mam pana jeszcze przekonać?

– Nie trzeba. Wierzę panu. – Whitlock usiadł na łóżku.

– No to niech pan wreszcie zdejmie ten zegarek.

Whitlock odpiął pasek, ale nie wypuszczał zegarka z ręki. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i dopiero wtedy rzucił złowrogi czasomierz na łóżko.

- Dziękuję – rzekł, masując przegub, jakby dźwigał na nim ogromny ciężar.
- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem panu pomóc. A ten zegarek mogę zabrać?

Chciałbym go zbadać w laboratorium.

- Ależ oczywiście. Im dalej ode mnie, tym lepiej.

Gottfried zamknął teczkę i szykował się do wyjścia.

- Czy mógłbym pana zaprosić na drinka albo na kolację, zanim pan odjedzie?

- Nie, dziękuję. Czekają na mnie. Nie pan jeden miał taki kłopot.

- Rozumiem. Życzę panu powodzenia.

- Dziękuję. Miło było pana poznać, panie Whitlock.

– I wzajemnie. – Podali sobie ręce. – Wolałbym co prawda poznać pana w bardziej miłych okolicznościach.

- *C'est la vie*, takie jest życie. – Gottfried się pożegnał.

Czwartek

– Która godzina? – spytał Graham.

– Na litość boską, Mike, przestań! – odparła Sabrina ze złością. – Pytasz co pięć minut. Już nie można tego wytrzymać.

– A co cię tak denerwuje? – obruszył się Graham. – Zapytać nie wolno?

– Dajcie spokój – wtrącił Paluzzi. – Wszyscy mamy tego dość, więc przynajmniej nie kłóćmy się.

Siedzieli w białym BMW 735i. Samochód na polecenie Kuhlmana podstawiono im rano do hotelu. Paluzzi – za kierownicą, Graham – obok, Sabrina z Calvierim – z tyłu. Przed niespełną godziną zaparkowali w umówionym miejscu, w pobliżu Centrum imienia Offenbacha i czekali na sygnał Kolczynskiego, ale radiotelefon milczał. Paluzzi wpatrywał się w gmach Centrum, „gigantyczną bombonierkę ze szkła i aluminium” – jak stwierdził, nie bez racji, jeden z krytyków, gdy nowoczesny budynek oddawano do użytku na początku tego roku. Dziesięciopiętrowy walec z przeszkloną fasadą i lądowiskiem śmigłowców na dachu nie był ładny. Paluzzi obserwował lądujące helikoptery. Ruch był spory i będzie jeszcze większy w ciągu dnia.

– Która godzina? – znów zapytał Graham.

Paluzzi spojrzał na złotego cartiera.

– Dziewiąta dwadzieścia cztery. Nie masz zegarka, czy co?

– Popsuł się wczoraj, gdy byliśmy w górach. Dam go do naprawy, jak tylko wrócę do Nowego Jorku. To pamiątkowy zegarek.

– Prezent od żony?

– Właśnie – mruknął Graham i pograżył się w myślach.

Paluzzi znów zaczął obserwować budynek Centrum. Im dłużej się wpatrywał, tym bardziej zgadzał się z opiniami krytyków, że nowoczesna budowla niezbyt pasuje do otoczenia. O uroku Berna stanowi jego historyczny charakter, zabytkowa architektura oraz intymny klimat małego miasta. Pomnie tego władze municypalne nie pozwalały wznosić nowoczesnych wieżowców w śródmieściu, więc Jacob Offenbach, multimilioner i inwestor, zbudował Centrum daleko od Starego Miasta, aby nie kłuło w oczy. Mimo to gmach budził wiele kontrowersji. Berneńczycy nadali mu trafną acz złośliwą nazwę: *Raumschiff* – statek kosmiczny – bo rzeczywiście przypominał futurystyczne konstrukcje, jakie widuje się w filmach o podboju kosmosu. W sumie wszyscy uważali, że Centrum szpeci miasto i nie darzyli gmachu sympatią.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli zapalę? – przerwał milczenie Calvieri.

– Będzie – warknął Graham, który korzystał z każdej okazji, dać wyraz swojej niechęci do Włocha. – Tam, do diabła – dodał – pójdę się przejść i niech pan pali, jeśli już pan musi.

– Tylko nie odchodź za daleko – zwrócił uwagę Paluzzi. – Siergiej może się odezwać lada moment.

– Nie denerwuj się. Pójdę tylko do owocarni tuż obok.

Graham wysiadł, mając wielką ochotę trzasnąć drzwiami. Opanował się jednak. Założył ciemne okulary, jak to miał w zwyczaju, wcisnął ręce do kieszeni i poszedł do sklepu, tuż przy rogu. Stał markizą i z całą uwagą zaczął wybierać jabłka. Doświadczenie, instynkt albo ów nieokreślony „szósty zmysł” człowieka żyjącego w ciągłym niebezpieczeństwie podpowiedział mu, aby się miał na baczności, gdyż ktoś go obserwuje. Obejrzał się. W drzwiach stał pięcioletni może chłopiec i celował do niego z pistoletu-zabawki. Graham udał przerażenie i wolno podniósł ręce do góry. Nagle dostrzegł zaskoczenie i przestraszony w oczach dziecka. Chłopiec nie odrywał wzroku od Grahama. Mike spojrzał po sobie i zrozumiał: pod rozpiętą marynarką widniała oksydowana beretta! Zapiął się. Chłopiec patrzył jeszcze przez chwilę, po czym pędem puścił się do sklepu. Graham zaklął i chciał już ruszyć za brzdącem, gdy ktoś złapał go za ramię. Obejrzał się. To Sabrina przybiegła zdenerwowana dziwną sceną.

– Co się stało?

Opowiedział najkrócej, jak potrafił.

– Pogadam z nim – rzuciła i skierowała się do sklepu. – Ciebie i tak by nie zrozumiał.

Wróciła po paru minutach, trzymając w ręku torbę pełną jabłek i prowadząc ze sobą chłopca.

– Policjant z Miami – krzyknął malec, podnosząc pistolet. „Zastrzelił” Grahama i pobiegł dalej, w głąb ulicy.

– A więc zostałem „Policjantem z Miami” – zaśmiał Graham.

– Powiedziałam, że jesteś prawdziwym policjantem z prawdziwego Miami. Uwierzył i był bardzo dumny ze spotkania. – Wyjęła jabłko z torby i poczęstowała Grahama.

Przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie rozbierano stary dom i usiedli na cegłach.

– Przepraszam, że tak na ciebie krzyknęłam w aucie – powiedziała Sabrina po chwili.

– Źle spałam, a właściwie to prawie w ogóle nie zmrużyłam oka.

– Ja też – mruknął Graham, obracając bezmyślnie jabłko w ręku.

– I co robiłeś?

– Gapiłem się w telewizor, bo co robić, gdy nie można zasnąć.

– Też nastawiłam telewizor, ale nie mogłam się skupić na żadnym programie. Nawet nie wiem, co oglądałam.

– Ja niby obejrzałem transmisję z meczu, ale nie zauważyłem, kto wygrał i jaki był wynik. – Wziął ją za rękę, aby spojrzeć na zegarek. Dziewięta trzydzieści siedem. Jeszcze dwadzieścia trzy minuty. – Mniej niż pół godziny do wyroku, a my siedzimy jakby nigdy nic.

– Też mnie to złości, ale dobrze wiesz, że tak trzeba. Gdyby Ubrino nas zobaczył, to nie wiadomo, co jeszcze mógłby zrobić Siergiej ma rację, że trzyma nas z daleka – pogłaskała go po ramieniu.

Dalszą rozmowę przerwał alarmujący dźwięk klaksonu białego BMW. Paluzzi wysiadł i energicznie machał rękami, dając znak, żeby natychmiast wrócili. Podbiegli do auta.

– Co się dzieje? – zapytał Graham, z trudem łapiąc oddech.

– Jest sygnał od Siergieja. Złapali Ubrina, ale drań nie chce niczego powiedzieć. Żąda, aby przyprowadzić Calvieriego.

– Znaleźli fiolkę? – spytała Sabrina, zajmując miejsce w aucie.

– Zrewidowali go od stóp do głów. Fiolki nie ma – odparł Paluzzi.

– Był w przebraniu? – spytał Graham.

– Dziwne, ale nie. To znaczy nie był przebrany w chwili, gdy i schwytano w środku budynku, ale wcześniej musiał być jakoś ucharakteryzowany, bo jakże inaczej mógłby przejść przez posterunki przy wejściu.

– To rzeczywiście dziwne i w ogóle nielogiczne! – wykrzyknęła Sabrina. – Dlaczego miałby zdejmować przebranie, gdy już się dostał do środka? – spojrzała pytająco na Calvieriego. – To tak, jakby chciał, aby go złapano.

– Wkrótce się dowiemy – odparł Calvieri dość obojętnie. – Najważniejsze, że go mają.

Paluzzi umieścił przenośnego „koguta” na dachu, uruchomił syrenę i ruszył. Przejechali paręset metrów trasą N12 i skręcili w pierwszy zjazd do Centrum Offenbacha. Zatrzymali się przed biało-czerwoną roгатką. Paluzzi pokazał strażnikowi przepustkę, którą dostali od ludzi Kuhlmana, i zapytał, jak dojechać do bocznego wejścia, gdzie czekał Kolczynski. Strażnik wyjaśnił. Podniesiono szlaban. Wjechali na teren Centrum.

Na parkingu obliczonym na dwa tysiące samochodów było tłoczno. Większość terenu wypełniały dziesiątki wozów transmisyjnych i technicznych największych światowych sieci telewizyjnych i radiowych. Paluzzi minął parking i skręcił za budynek Centrum, gdzie przy wyjściu awaryjnym czekał na nich Kolczynski.

– Dlaczego tędy i tak szalenie dyskretnie? – zainteresował się Calvieri. – Czy nie mogliśmy zajechać przed główne wejście, jak wszyscy?

– Nie, bo mamy broń – wyjaśniła Sabrina. – Nie moglibyśmy przejść przez posterunki i detektory.

– Czy udało ci się coś wycisnąć z Ubrina, Siergiej? – pytał Graham, gdy cała grupa spieszenie wchodziła do gmachu.

– Odmawia wszelkich zeznań. Domaga się widzenia z Calvierim. Kolczyński rozdał wszystkim plakietki z nazwiskiem i zdjęciem. Upoważniały do poruszania się po całym gmachu.

W kularach Centrum było gwarno. Dziennikarze oblegali polityków, ekipy telewizyjne rozstawiały sprzęt.

– A skąd wzięliście nasze zdjęcia? – spytał Graham przypinając plakietkę do klapy marynarki.

– Pułkownik przywiózł z Nowego Jorku.

Wjechali windą na piąte piętro, gdzie w jednej z małych sal konferencyjnych trzymano Ubrina pod strażą. Kolczyński zapukał w umówiony sposób, strażnik spojrzął przez wizjer i otworzył. Weszli do środka. Znaleźli się w niewielkiej salce bez okien. Pośrodku stał mahoniowy stół z czternastoma wygodnymi krzesłami. Kuhlmann odprawił strażnika. Kolczyński dopełnił prezentacji, przedstawiając Philpottowi Paluzziego i Calvieriego.

– A więc jest już pan Calvieri – rzekł Philpott do Ubrina. – Gdzie jest fiolka?

Ubrino nic nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami.

– Ja go przepytam – wyrwał się Graham.

Philpott przytrzymał krewkiego agenta.

– Niech pan z nim porozmawia – zachęcił Calvieriego. Może panu powie.

– Raczej nie, mój przyjaciel bowiem nie wie, gdzie jest fiolka – rzekł Calvieri z uśmiechem, poklepując terrorystę po mieniu.

– Jak to? – zdziwił się Kolczyński. – Nawet go pan nie zapytał.

Calvieri wyjął z kieszeni niewielki przekaźnik podobny do urządzenia, którym Young szantażował Whitlocka.

– Ubrino nie wie, bo nie może wiedzieć, gdyż mu tego powiedziałem.

– A więc to tak! – wykrzyknął zaskoczony Paluzzi. – to był pański pomysł i to pan pociąga za wszystkie sznurki, a daliśmy się zwieść jak dzieci.

Graham dyskretnie zaczął sięgać po broń. Calvieri położył palec na przycisku detonatora.

– Ten oto przekaźnik – wyjaśnił – współpracuje z niewielkim odbiornikiem, który,

wraz ze stosowną porcją materiału wybuchowego, przyczepiony jest do pojemnika z fiolką. Naciskając ten przycisk, mogę spowodować wybuch, w wyniku którego fiołka zostanie rozerwana, a jej wielce toksyczna, o czym państwo wiedzą, zawartość zostanie rozpylona w powietrzu. Nie sądzę, panie Graham – zakończył Calvieri – aby udało się panu wyciągnąć broń szybciej, niż ja uruchomię to urządzenie, a więc...

– Daj spokój, Mike – rzekł Philpott, nie odwracając od Calvieriego.

Graham opuścił ręce.

– A teraz – powiedział Calvieri – proszę, aby wszyscy wyjęli swoje pistolety i położyli na stole. Po kolei, nie jednocześnie. Panie mają pierwszeństwo – skłonił się nieznacznie w stronę Sabriny.

Sabrina wyjęła beretkę z kabury i rzuciła na stół, a za nią Graham i Paluzzi.

– Zapłacisz mi za to, Calvieri – rzucił Kuhlmann ze złością.

– To znaczy za co? Jeszcze nie wiecie, do czego zmierzam.

– Czego chcesz, Calvieri? – spytał Philpott ostrym tonem.

– Spokojnie, pułkowniku, wszystko w swoim czasie. Na razie i zechce mi pan dać klucz do kajdanek Riccarda. Proszę go położyć na stole obok broni.

– Nie mam klucza, strażnik wziął.

– Panie pułkowniku, proszę mnie traktować poważnie, tak jak ja traktuję poważnie pana i pańską instytucję UNACO! – Capieli uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc zdziwienie na obliczu rozmówcy. – Ależ oczywiście – pośpieszył z wyjaśnieniem – doskonale wiem, jaką instytucję pan reprezentuje. Co prawda pańscy ludzie nie chcieli mi tego powiedzieć, ale przeprowadziłem stosowne śledztwo. Trochę to trwało, ale się dowiedziałem.

– Od kogo? – zapytał Philpott.

– Mam swoje źródła informacji i niech to panu wystarczy, teraz proszę o klucz.

Philpott położył klucz na stole.

– To pan zamordował Zocchiego? – rzucił oskarżającym tonem.

– Niezupełnie, panie pułkowniku, ale przyznaję, że wydałem takie polecenie. – Calvieri uwolnił jedną rękę Ubrina i podał mu klucz, aby sam dokończył dzieła. – Muszę przyznać, że szczerze mnie ubawiły wasze teorie na temat domniemyanych sprawców śmierci Zocchiego. Dla mnie zaś od samego początku było oczywiste, że w momencie gdy zabraknie Zocchiego, władze nie będą miały innego wyjścia, jak tylko zwrócić się do nas o pomoc w znalezieniu fiolki. Wiedziałem także, że tak delikatną misję pan Pissani powierzy właśnie mnie, ponieważ cieszyłem się jego zaufaniem. I tak oto powstał cały plan działania, w wyniku którego dali się państwo zwieść jak dzieci, co słusznie zauważył major Paluzzi. Riccardo oczywiście nie miał fiolki przy sobie, gdy zjawił się

w Centrum. Byłoby to zbyt niebezpieczne. To ja ją miałem, wiedziałem bowiem, że idąc w państwa towarzystwie, nie będę rewidowany przy wejściu. Zaraz potem przekazałem ją dyskretnie jednemu z moich oddanych pomocników, aby ukrył ją w stosownym miejscu. Należą się państwu moje serdeczne podziękowania za pomoc w przeszmurowaniu fiołki na teren Centrum.

Ubrino zdjął wreszcie kajdanki. Wziął broń leżącą na stole. Dwa pistolety podał Calvieriemu, jeden wcisnął sobie za pas.

– A jaką rolę odgrywał w tym wszystkim ten człowiek? – spytał Paluzzi.

– Riccardo? Współpracujemy ze sobą od sześciu lat – odparł Calvieri. – Riccardo był moim człowiekiem w Rzymie, choć nikt o tym nie wiedział. Słusznie natomiast przypuszczałem, że gdy tylko się wyda, że to właśnie on zorganizował napad na Neo-Chem, to zaczną państwo podejrzewać Zocchiego.

– Jak się pan tu dostał? – spytał Kuhlmann Ubrina.

– W przebraniu pracownika obsługi technicznej – odparł Riccardo łamaną angielszczyzną. – Podszyłem się pod niejakiego Nina Ferzettego. Jesteśmy dość do siebie podobni, tylko on ma brodę i nosi okulary, ale to jedynie ułatwiło moje zadanie. Posłużyłem się jego przepustką i przepuszczono mnie bez żadnego problemu.

– A gdzie się podziwia prawdziwy Ferzetti? – spytał Philpott.

– Pewnie jeszcze leży w łóżku. Dostał dość solidną porcję środków nasennych – przerwał Calvieri. – Ale dość tych pytań, pułkowniku. Ani pan, ani ja nie mamy zbyt wiele czasu. Zechcą teraz panowie nas opuścić i proszę zaraz zatelefonować do mnie, podając numer telefonu, pod którym będę mógł pana znaleźć. Rokowania prowadzić będziemy przez telefon. Myślę, że nie muszę pana namawiać do pośpiechu.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, Calvieri – wtrącił Paluzzi. – Dlaczego wybrał pan Centrum Offenbacha?

– To proste, majorze. Z okazji szczytu zjechały się tu największe gazety i sieci telewizyjne. To moja dodatkowa, że tak powiem, broń. Jeśli pamiętają państwo panikę, jaka wybuchła w Stanach Zjednoczonych w 1938 roku, gdy Orson Wells nadał audycję o rzekomej inwazji Marsjan na Amerykę, to łatwo możecie sobie wyobrazić, co by nastąpiło teraz, gdyby prasa dowiedziała się o fiołce i jej zawartości!

– Zatelefonuję za parę minut – przerwał Philpott dywagacje Calvieriego, ruszając do drzwi.

– Będę czekał – skłonił się Calvieri – w towarzystwie panny Sabriny – dodał, a w jego głosie zabrzmiały groźne nuty.

– Wykluczone – warknął Graham.

– Nie wtrącać się – zareagował ostro Calvieri. – Rozmawiam tylko z pułkownikiem!

– Szepnął coś na ucho Riccardowi. Ten wyciągnął berettę zza pasa i wymierzył w stronę Kuhlmann. – Sabrina zostaje albo Riccardo zastrzeli Kuhlmann! Następny w kolejce będzie Kolczynski...

– W porządku, będzie tak, jak pan chce – rzekł Philpott. – Nie ma innego wyjścia – dodał zwracając się do Sabriny.

– Rozumiem, szefie – odparła z niepewnym uśmiechem.

– A po diabła ma tu zostać? – złościł się Graham. – Macie przekaźnik i to wystarczy, aby trzymać nas w szachu.

Przekaźnik to nasz ostateczny argument, rodzaj gwarancji, że moje żądania zostaną spełnione. Sabrina zaś będzie moją polisą ubezpieczeniową na wypadek, gdyby któryś z was chciał wystąpić w roli bohatera, rzucić się na nas jak, za przeproszeniem, jakiś kamikadze.

– I tak cię dopadnę, Calvieri – zagroził Graham. – Będę cię ścigał aż do skutku.

– A więc do miłego zobaczenia, *Mr* Graham. Tymczasem zechce nas pan zostawić i zamknąć drzwi za sobą... i to już.

Czwórka mężczyzn wyszła. Ubrino przekręcił klucz w zamku. Sabrina usiadła na krześle i z uwagą popatrzyła na Calvieriego.

– Nie ma takiej sprawy, Tony, dla której warto by poświęcać miliony istnień ludzkich – powiedziała cicho.

– Nie próbuj mnie zmiękczać – warknął.

– Nie próbuję, wiem, że jesteś wyzuty z wszelkich uczuć.

– *Manette!* – polecił Calvieri Ubrinowi.

Riccardo wykręcił Sabrinie ręce do tyłu i zatrzasnął kajdanki na przegubach. Zaśmiał się oblesnie, próbując pogłaskać ją po liczku. Kopnęła go mocno prosto w kostkę.

– Powiedz temu kundlowi, żeby trzymał łapy przy sobie – syknęła do Calvieriego.

– Chyba już zrozumiał – – odparł Calvieri, patrząc jak Riccardo masuje obolałą kończynę. Zabrał mu berettę, wyjął magazynek, schował do kieszeni i rzucił pistolet na stół. – Daj jej spokój – powiedział ostrym tonem. – Ona potrafi być niebezpieczna. Nie jest taka, jak te twoje naiwne dziwki w Rzymie.

– Nie boję się. Nikogo, a zwłaszcza baby – syknął Riccardo przez zęby.

– Żebyś potem nie mówił, że cię nie ostrzegłem – pogroził Calvieri. – A tymczasem daj jej spokój.

Zadzwoił telefon. Calvieri podniósł słuchawkę.

– Philpott z tej strony. Mój numer wewnętrzny: dwieście pięćdziesiąt siedem. Jestem w gabinecie dyrektora administracyjnego Centrum.

– W porządku. Wkrótce dam znać – rzekł Calvieri, odkładając słuchawkę. – No,

Riccardo – rzekł – zaczynamy!

Dieter Vlok był niskim, ale atletycznie zbudowanym brunetem. Dobiegał pięćdziesiątki, nosił starannie przystrzyżoną brodę i w rodzinnych Niemczech cieszył się opinią jednego z najlepszych menedżerów hotelowych. Zarządzał słynnym Vier Jahreszeiten w Hamburgu, później – hotelem Bremner's Park w Baden-Baden, a od niedawna stał na czele zarządu Centrum imienia Offenbacha w Bernie.

Z jego gabinetu na dziesiątym piętrze rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na całe miasto. Vlok stał w oknie i milcząc słuchał wyjaśnień Philpotta. Już wcześniej wtajemniczono go w szczegóły sprawy, ale do końca nie dawał wiary, że rzeczywiście może dojść do najgorszego.

– Jak już podkreślałem, panie dyrektorze, nieodzowne jest dochowanie ścisłej tajemnicy – kończył wyjaśnienia Philpott. – Gdyby cokolwiek przedostało się do prasy, to wybuchłaby niewyobrażalna panika.

– Rozumiem – odparł Vlok – choć Bóg mi świadkiem, że; trudno uwierzyć, że ów Calvieri rzeczywiście spełni groźbę i wydadź na śmierć miliony niewinnych istot.

– Panie Vlok, Calvieri to terrorysta, zwyczajny bandyta – rzekł ponuro Graham.

– Ale czego on właściwie chce?

– Dowiemy się wkrótce – odparł Philpott. – Myślę, że zatelefonuje. Tymczasem dziękuję panu, że zechciał pan od nas swój gabinet.

– Proszę nim swobodnie dysponować. Ja i tak muszę zejść teraz na dół i sprawdzić, czy wszystko gotowe na uroczyste otwarcie konferencji o jedenastej.

– Będą nam potrzebne dokładne plany budynku – rzekł Philpott, nabijając starannie fajkę.

– Zaraz każę przynieść.

– Mike pójdzie z panem. Im mniej osób będzie wiedzieć o naszej obecności, tym lepiej.

– Oczywiście.

– A gdybyśmy pana potrzebowali później, to gdzie pana szukać? – spytał Kolczynski.

– Mam aparat przyzywający. Proszę dać znać do sekretariatu, natychmiast mnie znajdą. A tymczasem, jeśli panowie nic więcej do mnie nie mają, zajmę się swoimi sprawami.

Graham wyszedł z Vlokiem, aby przynieść plany budynku. Philpott zapalił fajkę i pograżył się w myślach.

– Czy masz telefon do C.W.? – zapytał Kolczynskiego po chwili. – Trzeba go

ściągnąć.

– Też o tym pomyślałem – rzekł Kolczynski, podając Philpottowi notatnik z numerami telefonów.

– A kiedy zamierza pan poinformować delegatów na konferencję o Calvierim? – spytał Kuhlmann, krążąc nerwowo po gabinecie.

– Gdy wreszcie przedstawi on swoje żądania... na litość boską, Reinhardt, usiądź i przestań się zachowywać tak, jakbyś czekał na narodziny pierworodnego.

Kuhlmann zajął miejsce obok Kolczynskiego, ale po chwili mów poderwał się i zaczął wędrować z kąta w kąt.

– Nie powinienem zgadzać się na przyjazd Calvieriego – lamentował. – Nie powinienem was słuchać, nie byłoby wtedy tych wszystkich kłopotów...

– Zakaz wjazdu niczego by nie załatwił – rzekł Philpott. – Sprawa wybuchłaby tak czy owak.

– Ale nie tu, w Szwajcarii – powiedział Kuhlmann zrozpaczonym głosem.

– Ach, o to ci chodzi – mruknął Philpott. – Mamy takie powiedzenie w Anglii, że kto się boi wody, nie powinien chodzić na ryby. Może to i dobrze, Reinhardt, że idziesz na emeryturę, bo, jak widać, nie nadajesz się już na wędkarza.

Kuhlmann nic nie powiedział.

Philpott podniósł słuchawkę i nakręcił numer Whitlocka.

– C.W.?

– Słucham, szefie – Whitlock od razu poznał charakterystyczny, szkocki akcent Philpotta.

– Chciałbym, żebyś się natychmiast zameldował w Centrum. Przepustkę dostaniesz przy wejściu. Zgłoś się na dziesiąte piętro do gabinetu dyrektora.

– Tak jest, szefie.

Philpott odłożył słuchawkę.

– Będzie nam potrzebna broń – rzekł Kolczynski – pistolety dla Mike'a, C.W. i dla Paluzziego. Jaki typ dla ciebie?

– Berreta 92, tak samo jak dla Mike'a i Sabriny.

– Zaraz się tym zajmę.

– I jeszcze jedno. Postaraj się o dwa zegarki, dla Mike'a i dla C.W.

Kolczynski miał już wyjść, gdy zadzwonił telefon, ale Philpott dał mu znak, żeby nie czekał, i gdy Siergiej zamknął za sobą drzwi, podniósł słuchawkę.

– Halo.

– Co się tam dzieje? – pytał Calvieri ze złością. – Telefonowałem przed chwilą i numer był zajęty. Żeby to się więcej nie powtórzyło, zrozumiano?

- Owszem – odparł Philpott z godnością.
- Przedstawię teraz swoje warunki. Ma pan czym zapisać?
- Oczywiście.

– A więc warunki są dwa. Przede wszystkim Enzo Bellini, premier Włoch, ma zwołać na godzinę piątą specjalną konferencję prasową, na której ogłosi swoją rezygnację z urzędu z powodu stanu zdrowia. Wszyscy wiedzą, że ma pewne kłopoty z krążeniem, więc motywacja nie powinna wzbudzić żadnych podejrzeń. I niech pan pamiętaj pułkowniku, że mam tu monitor telewizyjny: więc jeśli o piątej nie zobaczę Belliniego na trybunie, to uruchomię przycisk, rozumie pan?

- A co właściwie chce pan osiągnąć, zmuszając Belliniego do rezygnacji?
- To już moja sprawa. Pan ma tylko przekazać wiadomość, jasne?
- A drugi warunek?

– W konferencji biorą udział szefowie szesnastu państw zachodnioeuropejskich. Żądam, aby wspólnie przekazały sto milionów funtów na rzecz następujących pięciu organizacji rewolucyjnych: francuskiej Action Directe, niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii, Czerwonych Brygad we Włoszech, hiszpańskiej Euskadita Askatasuna, ETA, oraz Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Każda z tych organizacji ma otrzymać dwadzieścia milionów. Pieniądze należy zebrać i przygotować do piątej po południu.

– Ależ to niemożliwe. Nie da się zebrać takiej sumy w ciągu siedmiu godzin. Niech pan przedstawi bardziej realistyczne warunki.

– Nie siedem, ale dokładnie sześć godzin pięćdziesiąt cztery minuty. Tuż po transmisji konferencji prasowej Belliniego przedstawiciele wymienionych przeze mnie organizacji skontaktują się z Ministerstwami Spraw Zagranicznych w swoich krajach i przekażą stosowne instrukcje w sprawie odbioru pieniędzy, a gdy już przejmą wymienione kwoty i upewnią się, że banknoty są prawdziwe i że między nimi nie schowano żadnych elektronicznych urządzeń, którymi gorliwa policja mogłaby później ich zlokalizować, dadzą mi znać. Uprzedzam pana, że każda wiadomość dla mnie będzie opatrzona odpowiednim hasłem, co wyklucza jakąkolwiek mistyfikację z pańskiej strony. Co do mnie, to gdy już się przekonam, że pieniądze są w rękach adresatów, zatelefonuję do pana. Pan zaś zadba o to, aby czekał na mnie śmigłowiec, którym odlecę stąd razem z Riccardem.

– A co z Sabriną?

– Odleci z nami. Wysadzimy ją gdzieś po drodze, a rano dam panu znać, gdzie znajduje się fiołka.

– Możemy mieć kłopot z pieniędzmi. Nie sądzę, aby udało się zgromadzić taką sumę w tak krótkim czasie.

– Gdyby jednak – ciągnął Calvieri, lekceważąc uwagę Philpotta – zainteresowane rządy odmówiły wypłaty wspomnianej sumy, gdyby usiłowały grać na czas, oszukać nas, lub gdyby podjęto próbę opróżnienia budynku, w którym się znajdujemy, to oczywiście uruchamiam zapalnik...

– Powiedziałem już, Calvieri, że nie da się zgromadzić takiej sumy w tak krótkim czasie.

– Niech pan nie będzie śmieszny, Philpott. Wie pan tak samo dobrze jak i ja, że uczestnicy tej konferencji, szefowie państw i rządów, są w stanie załatwić tego typu rzecz jednym telefonem, i to w ciągu kilkunastu minut, więc niech pan nie opowiada głupstw. Radzę wziąć się do roboty. Mają dokładnie sześć godzin pięćdziesiąt minut. Niech pan do mnie telefonuje, gdy będzie już pan znał decyzje. – Calvieri przerwał połączenie.

Philpott odłożył słuchawkę i spojrzał na Kolczynskiego, który właśnie wrócił.

– Załatwiłeś broń?

– Tak jest. Wkrótce przyniosą. Czego żąda? – zapytał, widząc zapisaną kartkę na biurku.

Zanim Philpott zdążył odpowiedzieć, zjawił się Graham. Przyniósł kilka arkuszy papieru – dokładne plany konstrukcyjne i architektoniczne budynku.

– Co się stało? – zapytał, wyczuwając napięcie.

– Calvieri właśnie przedstawił warunki – wyjaśnił Kolczynski.

– I co?

Philpott zrelacjonował żądania Calvieriego i sięgnął po fajkę.

– Moim zdaniem mogło być gorzej – skomentował Kolczynski.

– Owszem. Mógł na przykład zażądać znacznie więcej pieniędzy i też by dostał.

– Niewykluczone, że jeszcze podwoi stawkę – dodał Graham.

– A co pan myśli o warunku dotyczącym Belliniego? – zapytał Philpott Paluzziego.

– Słyszał pan o planach utworzenia koalicji Czerwonych Brygad z komunistami?

– Owszem, Siergiej mi mówił.

– I o to właśnie chodzi. Po eliminacji Belliniego koalicja staje się wielce prawdopodobna. – Paluzzi wstał i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył w niebo, po czym wrócił do przerwanej wątku. – Jak pan zapewne wie, mamy swojego człowieka w kierownictwie Brygad, więc to, co teraz powiem, musi oczywiście pozostać tajemnicą.

– Naturalnie – zgodził się Philpott.

– Czerwone Brygady dość skutecznie przeniknęły do struktur partii komunistycznej. Ich człowiekiem jest wicepremier Alberto Vietri.

– Wielki Boże! – szepnął Kolczynski. – Oznacza to, że po rezygnacji Belliniego, Vietri automatycznie staje na czele rządu...

– ...co doprowadzi do tego, że Brygady wchłoną *de facto* partię komunistyczną – dokończył Graham równie przerażony tą perspektywą jak Kolczynski.

– Owszem, tak może rzeczywiście być – ciągnął Paluzzi. – Plan ten stanowi największą tajemnicę Brygad. Oprócz Pisaniego ów plan znają tylko dwie osoby: Calvieri i nasz człowiek w kierownictwie, co podkreślam szczególnie mocno, gdyby bowiem sprawa została ujawniona, to oczywiście nasz agent zostałby spalony.

– Chyba że w tym czasie Vietriemu przydarzyłoby się jakieś nieszczęście. Powiedzmy... wypadek lub coś takiego – rzekł Graham.

– Tak też będzie – rzekł z przekonaniem Paluzzi. – Alberto Vietri nie zostanie szefem rządu, co do tego możecie być pewni!

– Co oznacza, że... – zaczął Kuhlmann i przerwał. Wziął głębszy oddech i wykrztusił wreszcie: – Ależ to będzie morderstwo!

– A co pan proponuje? – spytał Paluzzi z wyraźną ironią.

– Zagrozić mu, że ujawni się jego tajne powiązania. Politycy najbardziej boją się skandali.

– Kreśli pan bardzo ciekawy scenariusz. Zapomina pan jednak o drobnostce, o tym mianowicie, że Vietri nie ulegnie groźbie, bo nie musi, a to dlatego, że nie istnieją żadne materialne dowody świadczące o jego powiązaniach. Mamy tylko zeznania naszego informatora i nic więcej. Żadnych, powiadam, żadnych dowodów. A Vietri? Vietri może w każdej chwili wykończyć naszego człowieka: wziąć gnata i pociągnąć za cyngiel.

– A niby dlaczego Vietri miałby...

– Dość tego, Reinhardt. – Pułkownik Philpott sięgnął po laskę i wstał. – Daruj sobie ten wykład na temat rozwiązywania problemów wewnętrznych we Włoszech. Nikomu to nie jest potrzebne, a zwłaszcza majorowi.

– A więc i ty dopuszczasz możliwość morderstwa, tak? – upierał się przy swoim Kuhlmann.

– Nie ma czasu na kłótnie, Reinhardt. Jedno ci tylko powiem, Vietri nas nie obchodzi. Nasz problem to Calvieri i Bellini – odwrócił się, uznając rozmowę za skończoną. – Spotkam się najpierw z Bellinim – powiedział do Kolczynskiego – a dopiero później z pozostałymi szefami państw i rządów. Myślę, że wypada przedstawić mu żądania Calvieriego, zanim poznają je pozostali zainteresowani. Wy tymczasem przestudujcie plany budynku i przygotujcie listę wszelkich możliwych miejsc i kryjówek, gdzie może znajdować się fiołka.

– To jakby szukać igły w stogu siana.

– Wiem, ale i tak nie mamy nic innego do roboty.

Gdy Philpott wyszedł, Paluzzi oznajmił, że musi pilnie połączyć się z centralą

w Rzymie.

– Aby opracowano scenariusz „wypadku”, któremu ma ulec Vietri? – spytał Kuhlmann z wyraźnym przekąsem.

Aby przeszukano mieszkanie Calvieriego w Mediolanie, znajdzie się tam coś ciekawego – odparował Paluzzi i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia.

– A może Malcolm ma rację – rzekł Kuhlmann po namyśle. – Może rzeczywiście już się nie nadaje do tej roboty – westchnął ciężko i popatrzył na Kolczynskiego, jakby czekał na zaprzeczenie.

Kolczynski jednak milczał dyplomatycznie. Zajął się studiowaniem planów budynku.

Enzo Bellini liczył niewiele ponad sześćdziesiąt lat, był drobnej budowy, siwy, a na jego poorly zmarszczkami obliczu odbijały się całe lata manewrów i intryg politycznych, które zawiodły go na szczyt kariery, na fotel prezesa Rady Ministrów Republiki Włoch. Nie mówił po angielsku, więc w rozmowie z Philpottem uczestniczył także jako tłumacz Cesare Camillo, doradca premiera, młody człowiek przed trzydziestką, o którym powiadano, że w przyszłości zostanie liderem PCI – Komunistycznej Partii Włoch. Camillo był zausznikiem Belliniego i reprezentował swego szefa na porannym briefingu z Philpottem i Kolczynskim.

Siedzieli we trójkę w niewielkiej salce recepcyjnej na zapleczu auli konferencyjnej. Bellini w milczeniu wysłuchał treści pierwszego z dwóch warunków Calvieriego.

Philpott odczekał, aż Camillo skończy przekład, i dodał:

– Uznałem, że w pierwszej kolejności powinienem właśnie pana poinformować.

Camillo przełożył na włoski. Bellini milczał.

– Spotkanie z pozostałymi szefami rządów rozpocznie się za minut. Zanim jednak przedstawię im żądania Calvieriego, chcę wiedzieć, czy *Signore* Bellini spełni pierwszy z warunków.

Bellini znów wysłuchał w milczeniu, później zaś powiedział krótkich zdań. Camillo przełożył je na angielski.

– *Signore* Bellini jest zdania, że nie ma innego wyjścia, stanowił więc podać się do dymisji uważając, że jego pierwszym obowiązkiem jest zapewnić bezpieczeństwo narodom Europy. *Signore* Bellini nie weźmie udziału w spotkaniu z pozostałymi przywódcami, nie sądzi bowiem, aby jego obecność była niezbędna. Ja będę uczestniczył w jego imieniu.

– Rozumiem – potwierdził Philpott.

Bellini wstał i wyszedł. Idzie jak człowiek dźwigający ogromny ciężar – pomyślał Philpott, współczując jemu i sobie. Czuł się bowiem w pewien sposób winny wobec tego

starego mężczyzny, choć tylko przekazywał wiadomość od Calvieriego.

Camillo zamknął drzwi za premierem i wrócił na miejsce.

– Calvieri wyobraża sobie zapewne, że zmuszając mojego szefa do dymisji, stworzy szansę utworzenia koalicji partii komunistycznej z Czerwonymi Brygadami, nie sądzę jednak, aby do tego doszło. Rząd zachowa się lojalnie wobec *Signore* Belliniego i nie wejdzie w żadne układy z Brygadami. Mam zaufanie do wicepremiera Vietriego i wiem, że jest on zdecydowanym przeciwnikiem Brygad. Nadzieje Calvieriego nie spełnią się. Czeka go raczej wielka niespodzianka.

Philpott zamknął teczkę z dokumentami. Gdyby to od niego zależało, to ujawniłby prawdziwe oblicze Vietriego, ale nie wolno mu było tego uczynić. Nie miał żadnego prawa mieszać się w sprawy wewnętrzne Włoch, a poza tym i tak nie miał pewności, czy Camillo dałby wiarę. Nie było przecież żadnych dowodów na to, że Vietri kolaboruje z Brygadami. Przypomniawszy sobie solenne oświadczenie Paluzziego, że Alberto Vietri nigdy nie zasiądzie na fotelu premiera Włoch.

Być może Camillo ma rację, że Calvieriego czeka wielka niespodzianka.

Spotkanie z przywódcami zwołano w specjalnej, dźwiękoszczelnej sali niedaleko auli konferencyjnej. Wokół stołu zasiadło piętnastu premierów i prezydentów w otoczeniu doradców, tych samych, którzy obecni byli na porannym briefingu.

Philpott zabrał głos, opisał sytuację i przedstawił warunki stawiane przez Calvieriego. Czuł się trochę jak nauczyciel wobec uczniów. Gdy skończył, zapadła cisza, po chwili jednak wybuchła wrzawa, gdy zebrani jeden przez drugiego zaczęli wyrażać oburzenie wobec żądań terrorysty. Philpott odczekał chwilę, aby opadły emocje, po czym klasnął kilka razy w dłonie, aby zwrócić sobie uwagę.

– Jeśli wolno – powiedział – proponuję, abyśmy to spokojnie przedyskutowali i podjęli wspólną decyzję.

– A gdzie jest premier Bellini? – zapytał ktoś.

Philpott udzielił głosu Camillovi, uznając, że to on powinien odpowiedzieć.

– *Signore* Bellini konferuje właśnie ze swoimi doradcami. Nie weźmie udziału w ceremonii otwarcia „szczytu”, doszedł bowiem do przekonania, że w tej sytuacji będzie lepiej, jeśli Włochy reprezentowane będą przez któregoś z ministrów. Powiadomiłem już o tym pana przewodniczącego – Camillo skłonił się w stronę prezydenta Szwajcarii, który jako gospodarz konferencji był jednocześnie jej przewodniczącym. – Jeśli zaś chodzi o to spotkanie, to pan premier polecił, abym to ja wystąpił w jego zastępstwie.

Po tym oświadczeniu znów zabrał głos Philpott.

– Ja też, podobnie jak państwo, głęboko współczuję premierowi Belliniemu. Wiem, jak bolesną decyzję musiał podjąć. Pozwolę sobie jednak zaproponować, aby nie debatować teraz nad tym warunkiem, który dotyczy osoby pana Belliniego, lecz skupić się na drugim punkcie, na żądaniu okupu w wysokości stu milionów.

Premier Holandii podniósł rękę na znak, że prosi o głos.

– Czy sądzi pan – zwrócił się z pytaniem do Philpotta – że ten terrorysta naciśnie guzik, jeśli nie spełnimy jego żądań?

– Tak – odparł Philpott z przekonaniem.

– To szalenciec – krzyknął ktoś, na co zebrani zareagowali z aprobatą.

Tylko Philpott zaprotestował.

– Żaden szalenciec nie byłby zdolny do nakreślenia tak skomplikowanego planu operacji. Proszę zwrócić uwagę, że przewidziano najdrobniejsze nawet szczegóły, wyeliminowano zagrożenia. Nasz przeciwnik, panowie, to nie tuzinkowy morderca, to wybitnie inteligentny człowiek, co muszę przyznać z całym obiektywizmem.

– Czy pańscy ludzie nie mogliby wdrzeć się do ich pokoju i zwyczajnie ich obezwładnić? – spytał premier Norwegii.

– Wykluczone – odparł Philpott. – Nie ma tam okien, jedyne wejście to drzwi. Trzeba by je wysadzić, a tymczasem Calvieri trzyma palec na przekaźniku. Nie zdążylibyśmy go unieszkodliwić.

– Myślę, że tego typu pytania niczego nie rozwiążą – premier Wielkiej Brytanii. – Gdyby pułkownik Philpott widział jakąkolwiek możliwość odzyskania fiołki, to oczywiście powiedziałby nam. Skoro nie mówi, to znaczy, że takiej szansy nie ma, i trzeba to przyjąć do wiadomości. Przedyskutujmy lepiej decyzje, które tak czy owak musimy podjąć. Im szybciej, tym lepiej.

Philpott z wdzięcznością przyjął to oświadczenie. Znał premiera od dawna. W istocie jedna z pierwszych decyzji, jakie premier Wielkiej Brytanii podjął po objęciu urzędu, polegała na tym, że wystosował osobisty list do sekretarza generalnego ONZ, polecając kandydaturę Philpotta na dyrektora UNACO. Czy to właśnie ten list wpłynął na ostateczny wybór – nie wiadomo. Philpott jednak cenił sobie poparcie i zaufanie premiera rządu Jej Królewskiej Mości.

– Wszelkie decyzje – powiedział, zwracając się do zebranych – należą do panów, ja tylko mogę służyć radą. Premier Wielkiej Brytanii ma rację, czas nie jest po naszej stronie. Decyzje trzeba podjąć jak najszybciej.

– Jaki mamy wybór? – znów zabrał głos premier Wielkiej Brytanii. – Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana i groźna aniżeli zwykły, że tak powiem, akt terroru, taki jak uprowadzenie samolotu czy porwanie biznesmena. Wirus, który znalazł się

w posiadaniu naszego przeciwnika, to straszna broń, mogą od niej zginąć miliony ludzi. Szczepionki przeciwko tej zarazie jeszcze nie ma. Gdyby chodziło tylko o nasze własne życie, moi panowie, to byłbym zdania, że nie wolno ulegać żądaniom szantażysty. Chodzi jednak, powtórzę, o życie milionów ludzi. W tej sytuacji uważam, że nie ma innego wyjścia, musimy zapłacić żądany okup.

Po tej wypowiedzi zapadła cisza, którą przerwał kanclerz Austrii.

– Sto milionów funtów! Za tę sumę terroryści będą mogli kupić wystarczająco dużo broni, aby rozpocząć operacje w całej Europie. Przekonacie się, panowie, że terroryzm będzie lawinowo narastał.

– Nie sądzi pan chyba, że z lekkim sercem opowiadam się za złożeniem okupu. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie się za tym kryje. Chcę także przypomnieć panom, że to właśnie ja dokładałem wszelkich wysiłków, aby stworzyć wspólny front walki z międzynarodowym terroryzmem. Przeraza mnie myśl o tym, że damy im rzeczywiście górę pieniędzy, ale też nie widzę innego wyjścia.

– Wkradło się tu pewne nieporozumienie, panie premierze – usprawiedliwił się kanclerz Austrii. – Byłem jak najdalszy od krytyki, chciałem tylko uprzytomnić sobie i panom konsekwencje takiego rozwiązania sprawy, które, tu zgadzam się z panem, musimy niestety zaakceptować.

– Sto milionów funtów – wtrącił premier Szwecji – to niezbyt wysoka cena za życie naszych ludzi. Szwecja wniesie swój wkład.

– Francja też spełni swój obowiązek – zadeklarował doradca rezydenta Francji w jego imieniu.

Liczni delegaci zaczęli prosić o głos, znów zaczęła się wrzawa. Philpott uniósł rękę, aby przywołać zebranych do porządku.

– Widzę, że większość z panów już podjęła decyzję. Myślę, że najrozsądniej będzie, jeśli zapytam, czy któryś z krajów nie wyraża gotowości zapłacenia okupu.

Milczenie.

– W tej sytuacji przekażę decyzję panów Calvieriemu. Nie muszę dodawać, że jednocześnie czynić będziemy wszystko, co jest w naszej mocy, aby odnaleźć i odzyskać fiolkę przed upływem terminu ultimatum, choć szansę zdobycia jej są rzeczywiście niewielkie. Poszukiwania prowadzić będziemy w absolutnej tajemnicy, aby nie prowokować Calvieriego. Ważne jest jednak, aby nic nie przedostało się do prasy.

– To zrozumiałe – powiedział prezydent Szwajcarii, zabierając głos po raz pierwszy – a pieniądze będą przygotowane na godzinę piątą po południu.

Philpott z szacunkiem skłonił się w stronę przewodniczącego.

– Tymczasem – dodał – będziemy panów stale informować o rozwoju sytuacji, choć,

jak powiadam, nie ma zbyt wielkich szans na odnalezienie fiołki.

– Wiemy, że pan i pańscy ludzie uczynią wszystko, co trzeba w tej sytuacji zrobić – rzekł premier Wielkiej Brytanii.

– I oby się udało – dodał Philpott.

Whitlock zjawił się w Centrum, gdy konferencja w dźwiękoszczelnej sali jeszcze trwała. Czekając na Philpotta, przeglądał z Grahamem plany budynku. Pułkownik wrócił, zapalił fajkę i zrelacjonował przebieg narady z szefami rządów.

– Przynajmniej zgodzili się na okup – rzekł Kolczyński.

– To oczywiście ostateczność – rzekł Philpott. – Tymczasem trzeba dołożyć wszelkich starań, aby przed piątą znaleźć fiołkę. Jeśli bowiem doszłoby do złożenia okupu, to terroryści odnieśliby ogromny sukces także psychologiczny, my zaś, to znaczy UNACO, ponieśliśmyby sromotną klęskę. Nie brak bowiem polityków, którzy chcieliby rozwiązać naszą organizację, a porażka byłaby znakomitym pretekstem. Argumentowano by, że współpracowaliśmy z Calvierim, a nawet pomogliśmy mu przemycić fiołkę na teren Centrum.

– Kto mógł przypuszczać, że to właśnie on stoi za tym wszystkim – westchnął Graham.

– Tego nikt nie mógł przewidzieć, ale nie ma wątpliwości, że właśnie to stanie się koronnym argumentem naszych przeciwników. Krótko mówiąc, albo znajdziemy fiołkę, albo koniec z nami – Philpott stuknął cybuchem o biurko, jakby chciał podkreślić wagę tego, co powiedział. – Lista przygotowana? – zapytał.

Kolczyński podał mu arkusz papieru.

– Trzeba będzie więcej ludzi, Malcolm. Istnieje co najmniej pięćdziesiąt różnych punktów i miejsc, które musimy przeszukać. Sami nie damy rady.

– Też o tym pomyślałem, gdy zdałem sobie sprawę z ogromu tego budynku. Z drugiej strony nabór nowych ludzi oznacza, że coraz więcej osób będzie wiedziało o fiołce, co oczywiście potęguje niebezpieczeństwo, że sprawa przeniknie do prasy, a tego chciałbym uniknąć. Nie ma jednak innej rady. Musimy mieć co najmniej pięć dodatkowych osób.

– Czterech moich ludzi czeka na lotnisku – rzekł Paluzzi. – Sprowadziłem ich rano z Rzymu, spodziewając się, że będą potrzebni. Wszyscy zresztą znają sprawę. Są to ludzie, którzy brali udział w tej operacji od poniedziałku, a więc nie trzeba będzie im niczego wyjaśniać.

– Daj im znać, żeby zaraz przyjeżdżali – postanowił Philpott. – Nie ma chwili do stracenia.

Paluzzi wyszedł do sekretariatu, aby zatelefonować na lotnisko.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodał Kolczynski – którą trzeba zaraz rozwiązać. Michael zwrócił mi na to uwagę: jeśli Calvieri dał fiolkę do ukrycia kobiecie, a nie wiemy, czy ma tu pomocnika, czy pomocnicę, to potrzebna nam będzie kobieta, gdy dojdzie do ewentualnej rewizji. Sabrina niestety...

– Racja – przerwał Philpott. – Reinhardt – zwrócił się do Kuhlmana – ściągnij tu najlepszą policjantkę, jaką masz. Niech się zgłosi do mnie, sam zapoznam ją z zadaniem.

– Zaraz to załatwię – Kuhlmann pośpieszył do telefonu.

– Potrzebne wam będzie jakieś przebranie – rzekł Philpott, przeglądając listę Kolczynskiego – abyście mogli dość swobodnie ruszać się, bez zwracania na siebie uwagi.

– To już załatwione – odparł Kolczynski. – Poprosiłem Vloka, aby dał nam kilka kompletów kombinezonów pracowników obsługi technicznej. Zaraz mają przynieść.

– Moi ludzie będą tu za kwadrans – zameldował Paluzzi, skończywszy rozmowę telefoniczną. – Tymczasem zaś jeden z moich zastępców, kapitan Molinetti z ekipą śledczą, rozpoczyna przeszukiwanie mieszkania Calvieriego w Mediolanie. Dadzą znać, jeśli znajdą coś ciekawego. Zgłoszą się bezpośrednio do pana, pułkownika.

– Oby rzeczywiście coś znaleźli – odparł Philpott i sięgnął po telefon, aby połączyć się z Calvierim.

Calvieri odłożył słuchawkę i w geście zwycięstwa podniósł kciuk w górę. Ubrino aż podskoczył z radości i obdarzył Sabrinę szerokim uśmiechem. Był tak uradowany, że zapomniał o niedawnej scysji z Amerykanką.

– Na waszym miejscu jeszcze bym się nie cieszyła – mruknęła Sabrina. – Do piątej jeszcze daleko.

– Tak to może wyglądać z twojego punktu widzenia – rzekł Calvieri, siadając naprzeciwko dziewczyny. Nie wypuszczał przekaźnika z ręki. – Czas będzie ci się dłużył, ale twoi koledzy widzą to inaczej. Mają zaledwie sześć godzin na odnalezienie fiolki, czasu mało, a budynek wielki, a poza tym przeszukiwania muszą być dyskretne, aby prasa czegoś nie wywęszyła. Trudne zadanie, a fiolki i tak nie znajdują. Tyle wysiłku i wszystko na nic.

– Nie byłabym taka pewna – ucieła Sabrina, mierząc go zimnym spojrzeniem.

– Ależ doceniam ciebie i twoich kolegów. Wiem, że stanowicie zespół znakomitych fachowców, byłoby błędem myśleć, że jest inaczej, a ja staram się unikać błędów. Zakładam więc, że oczywiście będą się starać odnaleźć fiolkę. Wkalkulowałem to w swój plan operacji. Ale też ukryłem ją tak, że nigdy jej nie znajdują.

– A gdzie?

Calvieri nie odpowiedział, uśmiechnął się tajemniczo i położył palec na ustach.

– Jest takie łacińskie powiedzenie – rzekł po chwili – *Vir sapit qui pauca loquitur*.

– Mądry człowiek mówi mało – przełożyła Sabrina – milczenie jest złotem.

– Krótko mówiąc, lepiej trzymać język za zębami..

– Trzeba było wczoraj o tym pamiętać.

– Nie rozumiem – Calvieri wzruszył ramionami.

– A właśnie, wczoraj! Nie pamiętasz, jak opowiadałeś o planach odrodzenia Włoch? Dziś zaś chcesz te same Włochy zniszczyć, sprowadzić na nie zagładę. Nie tylko zresztą na Włochy. Chcesz poświęcić miliony ludzkich istnień. Nie da się tego pogodzić. Powstaje więc pytanie, kiedy mówiłeś prawdę, a kiedy kłamałeś?

– I pewnie znasz odpowiedź – odrzekł Calvieri z kpina w głosie.

– Nawet nie muszę zgadywać, bo sam ją dałeś, żądając, abym została tutaj z wami.

– A więc o to ci chodzi – odparł Calvieri kpiąco. – Uważasz, że wczoraj mówiłem prawdę. Sądzisz także, że zatrzymałem cię tutaj tylko dlatego, abyś nie mogła nikomu przekazać informacji o moim stanowisku i moich poglądach, mogłoby to bowiem mieć wpływ na decyzje w sprawie okupu. To wspaniała teoria – zaśmiał się – obarczona niestety pewnym błędem. Nie ty jedna wiesz o planach powołania rządu koalicyjnego, wiedzą o tym także Paluzzi i Mike, a przecież pozwoliłem im odejść...

– Tylko dlatego, że nie znają cię tak dobrze jak ja – weszła mu w słowo. – Fabio, owszem, wie dużo o Brygadach, ma tyle wiadomości, ile maolat o ulubionym zespole rockowym. Krótko mówiąc, może opisać twoje powiązania rodzinne, zna twoich współpracowników i karierę w Brygadach, ale niewiele wie o twojej duszy. W gruncie rzeczy nie potrafiłby powiedzieć, jakim jesteś człowiekiem. Ja tymczasem poznałam cię z tej właśnie, ludzkiej strony. Pamiętasz Wenecję i tego małego uciekiniera z sierocińca? Otóż na własne oczy widziałam, jak się do niego odniosłeś. Potraktowałeś go jak syna. Zdajesz sobie sprawę, Tony, że jeśli rozpylisz zawartość fiolki w atmosferze, pierwszymi ofiarami będą właśnie dzieci, takie jak nasz mały przyjaciel z Wenecji. Twierdzę więc, że nie będzie cię stać na naciśnięcie guzika na tym przekaźniku, tak jak nie mogłeś się zdobyć na to, aby tego chłopaka odesłać do sierocińca.

Calvieri odłożył przekaźnik i zaklaskał w dłonie.

– Bravo! – zawołał. – Co za znakomite przemówienie i jakie wzruszające.

– No i co z tą twoją piękną teoryjką, laleczko? – wtrącił się Ubrino.

– Ten aparat jest jak bomba atomowa – rzekł Calvieri, podnosząc przekaźnik. – Jest równie groźny jak ona. Mocarstwa atomowe nawzajem sobie grożą, ale w ostatecznej rozgrywce nikt jej jeszcze nie użył. – Zerknął na ekran telewizora i znów odwrócił się do

Sabriny. – Bomba atomowa to taki atut w grze – zaśmiał się.

Philpott zwołał odprawę na jedenastą piętnaście w sali konferencyjnej na dziesiątym piętrze. Zostawił Kuhlmana w gabinecie Vloka, aby odbierał telefony, sam zaś punktualnie o wyznaczonej godzinie dołączył do zebranych. Zasiadł na miejscu przewodniczącego, wyciągnął kapciuch z tytoniem i metodycznie zaczął napełniać fajkę. Po prawej miał Paluzziego i jego ludzi, a po lewej Kolczynskiego, Grahama i Whitlocka, obok którego zajęła miejsce sierżant Ingrid Hauser ze szwajcarskiej służby bezpieczeństwa. Tuż przed odprawą wtajemniczył ją w szczegóły operacji. Sierżant Hauser dobiegała trzydziestki. Wysoka, silna, z czarnymi kręconymi włosami, roztaczała wokół siebie atmosferę pewności i zaufania.

– Kawy, szefie? – spytał Whitlock.

Philpott odmówił. Zapalił fajkę, wypuścił chmurę aromatycznego dymu i otworzył teczkę z dokumentami.

– Podzieliłem „cele”, a więc miejsca, które musimy przeszukać, na cztery grupy. Jest was ośmiu, pracować będziecie parami, każda z par będzie odpowiedzialna za jedną z grup.

– Ja będę pracował z C.W. – zaoferował się Graham.

Philpott pokręcił głową.

– Przykro mi, Mike. Nie mówisz po włosku, a zresztą także Kolczynski i C.W. nie znają tego języka. W tej sytuacji każdy z was musi sobie dobrać jednego z kolegów z ekipy Paluzziego, aby w razie czego mogli tłumaczyć.

– Wobec tego ja pracuję z Paluzzim – znów odezwał się Graham.

– Nie zgadzam się – rzekł Philpott. – Czytałem raport z Korfu i uważam, że lepiej będzie was rozdzielić. Źle na siebie wpływacie.

Mike i Paluzzi zaśmiali się jak uczniowie schwytni na figlu.

– Ty będziesz pracował z majorem Paluzzim – zwrócił się Philpott do Whitlocka. – Stanowicie zespół numer jeden. Kogo pan proponuje dla Grahama i Kolczynskiego? – spytał Paluzziego.

– Dla Siergieja proponuję sierżanta Viscontiego – przedstawił Paluzzi swojego sąsiada.

– W porządku. Mamy więc zespół numer dwa – rzekł Philpott, zapisując nazwiska.

– Porucznik Marco może pracować z Mike’em – przedstawił sąsiada z drugiej strony.

– Znają się z Rzymu, a poza tym porucznik jest najspokojniejszy z nas wszystkich, więc nie będzie wywierał złego wpływu na Mike’a...

Żart Paluzziego wszyscy skwitowali gromkim śmiechem. Marco lekko się

zarumienił.

– W porządku. Mike i Marco to zespół numer trzy. Panowie więc stanowić będą zespół numer cztery – rzekł Philpott wskazując na dwóch pozostałych Włochów.

– Sierżant De Sica i sierżant Alberetto – przedstawił ich Paluzzi.

Philpott zanotował nazwiska, po czym wręczył każdej parze listę z „celami”.

– Zespoły jeden i dwa wystąpią jako funkcjonariusze ochrony Centrum, trzy i cztery jako pracownicy obsługi technicznej. To ułatwi wam poruszanie w wyznaczonych obszarach. Pogrupowałem „cele” mniej więcej równo, jeśli jednak któryś z zespołów napotka szczególne trudności, niech natychmiast daje znać, postaramy się posłać kogoś do pomocy. Zakładam, że pańscy ludzie mają broń – zwrócił się do Paluzziego.

– Tak jest, mamy beretty 92S.

– W porządku. Pozostali mogą odebrać broń w sekretariacie. Właśnie przysłano.

– A co z kombinezonami? – spytał Graham zawsze dbały o szczegóły.

– Już dostarczono, są również w sekretariacie Vloka. Mamy także do dyspozycji cztery aparaty przywoławcze, podłączone do centrali w sekretariacie, po jednym dla każdego z zespołów. Jeśli usłyszycie sygnał, powinniście natychmiast połączyć się z nami z najbliższego aparatu wewnętrznego. I jeszcze jedno, nie zbliżajcie się do głównego wejścia, gdzie jest detektor metali, a zresztą raczej nie powinniście opuszczać budynku. W razie czego, w razie jakichkolwiek trudności, proszę natychmiast do nas telefonować, łączyć się ze mną albo z komisarzem Kuhlmannem. Za wszelką cenę należy unikać incydentów, awantur i w ogóle wszystkiego, co mogłoby zwrócić uwagę zwłaszcza prasy – Philpott przerwał, spojrzawszy na obecnych i odłożył fajkę. – To byłoby wszystko. Pozostaje mi tylko życzyć wam powodzenia. Wszyscy wiecie, o co toczy się ta gra, więc nie muszę was specjalnie zachęcać do dołożenia wszelkich starań.

Kolczyński wstał, dając znak pozostałym, że odprawa jest skończona. Philpott został jeszcze w sali, gdy wszyscy już wyszli. Myślał o Sabrinie, jedynaczce w zespole oficerów operacyjnych UNACO. Sabrina była rzeczywiście wyjątkowa, nikt nie dorównywał jej zdolnościom, ambicji i przygotowaniu. Wyraźnie górowała nad kolegami, może poza Grahamem. Graham! Samotnik, utalentowany jak Jacques Rust, którego Philpott uważał za jeszcze lepszego agenta, ale do czasu. Graham służył w UNACO dopiero rok i Philpott nie wątpił, że przewyższy Rusta, zwłaszcza że pracował z Sabriną. Stanowili wyjątkowo dobrany zespół, mieli spore osiągnięcia. Wszystko, czym się zajmowali do tej pory, doprowadzali do końca. Właśnie, do tej pory... zasepił się Philpott myśląc, jak bardzo przydałaby się Sabrina.

Nie czas jednak na rozpamiętywanie. Otrząsnął się z ponurych refleksji, sięgnął po laskę, wziął teczkę z papierami, fajkę i wyszedł z sali, zamykając za sobą drzwi.

Whitlock sprawdził ostatni stolik w restauracji na ósmym piętrze – przykucnął, zajrzał pod blat. Nie znalazł niczego podejrzanego. Wstał i spojrzał wymownie na Paluzziego.

– Za kwadrans pierwsza – Paluzzi zerknął na zegarek. – Jeśli jedna tylko kuchnia i sala restauracyjna zajęły nam ponad godzinę, to nie zdążymy uporać się ze wszystkim.

– Niestety! Co teraz mamy na liście? – spytał Whitlock.

– Główny hall.

– Psiakrew, pełno tam dziennikarzy... – Whitlock nie dokończył myśli, w tym momencie bowiem rozległ się dźwięk aparatu przywoławczego, który miał przy pasku. Wyłączył. Obaj z Paluzzim pomyśleli o tym samym: być może któryś z pozostałych zespołów coś znalazł.

– Oby tak było – rzekł Paluzzi. – Porozmawiaj z szefem.

Whitlock podszedł do telefonu przy bufecie i zadzwonił pod numer gabinetu Vloka. Zgłosił się Philpott.

– Szefie, melduje się C.W. Fiolka się znalazła?

– Nie – odparł Philpott krótko. Whitlock dał znak Paluzziemu, że jednak nadzieje nie spełniły się. – Ale jest coś innego – ciągnął pułkownik – pewien trop, który trzeba sprawdzić.

– O co chodzi?

– Słyszałeś o Ninie Ferzettim?

– Mówiono mi. To pracownik z obsługi technicznej budynku. Pod jego personalia podszył się Ubrino.

– Właśnie. Ludzie Kuhlmana byli u niego, jeszcze spał po pigułkach nasennych. Dobudzili go. Ferzetti powiedział, że wczorajszej nocy pił w towarzystwie niejakiego Vita Celliny. Ów Cellina też pracuje w dziale obsługi technicznej w Centrum. Telefonowałem do Jacquesa, do Zurychu, aby sprawdził tego człowieka, i Jacques stwierdził, że Ferzetti jest czysty, ale jego przyrodnią siostrą, Luiza, miała pewne kontakty z Czerwonymi Brygadami, nim zmarła w zeszłym roku po zażyciu zbyt dużej dawki narkotyków.

– A więc to Cellina może być pomocnikiem Calvieriego?

– Wiele na to wskazuje. Z drugiej jednak strony byłoby to zadziwiająco łatwe rozwiązanie. Mam wrażenie, jakby Calvieri świadomie i celowo kierował nas na ten ślad, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Ubrino ni stąd, ni zowąd wymienił nazwisko Ferzettiego. Ale wolałbym niczego nie przesądzać. Na razie chciałbym, abyście

porozmawiali z tym Celliną.

– Gdzie go znaleźć?

– W warsztacie, w podziemiach.

Na dolne kondygnacje budynku wiodły schody oznaczone napisem „przejście służbowe”. Whitlock z Paluzzim zagłębili się w podziemny korytarz o ścianach wyłożonych glazurą. Znaleźli drzwi z szyldem *Erhaltung Manager* – kierownik techniczny. Za pukali.

– *Herein*, wejść – zabrzmiała odpowiedź po niemiecku.

Weszli. Za biurkiem siedział tęgi, mocno zbudowany mężczyzna w rogowych okularach, o nijakim obliczu, jeśli nie liczyć grymasu wyrażającego absolutną pewność siebie. Wedle plakietki na kombinezonie nazywał się Hans Kessler. Paluzzi przedstawił się jako funkcjonariusz ochrony budynku i zapytał po niemiecku, gdzie mogą znaleźć pracownika o nazwisku Cellina.

– O co chodzi? – Kessler wstał, zdjął okulary. – Vito to uczciwy pracownik...

– Nie interesuje nas pańska opinia, Kessler – uciął Paluzzi. – Chcemy z nim porozmawiać, a jeśli ma pan jakieś wątpliwości, niech pan telefonuje do dyrektora Dietera Vloka, ale nie radzę. Wątpię, aby pańskiego szefa ucieszyła wiadomość, że kierownik techniczny utrudnia pracę funkcjonariuszom ochrony, i to w sprawach związanych z bezpieczeństwem państwa.

Na takie *dictum* Kessler stracił pewność siebie i milcząc prowadził ich do jednego z dalszych pomieszczeń, gdzie przy warsztatach pracowało sześciu robotników. Palcem wskazał jednego z nich, który stał odwrócony tyłem do wejścia.

– W porządku, Kessler. Możecie odejść – powiedział Paluzzi. – Nie będziecie już nam potrzebni.

Kessler łypnął niechętnym wzrokiem, mruknął coś pod nosem i wyszedł. Piątka robotników patrzyła z ciekawością na rozgrywającą się scenę. Cellina, w masce na twarzy, zajęty spawaniem, niczego na razie nie zauważył. Paluzzi zawołał go po nazwisku.

– To wy jesteście Vito Cellina? – krzyknął po włosku, trzymając się z dala od palnika spawalniczego.

Przez sekundę wydawało się, że Cellina nie słyszy. Dopiero po chwili odłożył palnik i maskę i odwrócił się. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał kasztanowe włosy i ziemistą cerę.

– Tak, to ja. A wy kim jesteście?

– Ochrona. Interesuje nas wasz kumpel, Nino Ferzetti.

– Nie ma go – rzucił nerwowo Cellina. – Nie przyszedł do pracy.

– Wiemy. Nie przyszedł, bo nafaszerowaliście go środkami nasennymi.

– Nie wiem, o czym mówicie – wyjął Cellina.

Paluzzi złapał go za kłapy i przycisnął do warsztatu.

– Nie ma czasu na zabawy. Albo odpowiedzcie, albo...

Jeden z piątki robotników chwycił ciężki wkrętak i chciał ruszyć na pomoc Cellinie, ale drogę zablokował Whitlock. Wymownym gestem odpiął marynarkę, pod którą widać było czarną, oksydowaną rękojeść browninga. Robotnik przez chwilę ważył swoje szanse, po czym, demonstracyjnie, rzucił wkrętak na warsztat. Whitlock naparł na niego i na pozostałą czwórkę i wyrzucił ich za drzwi.

– Świadców nie ma – syknął Paluzzi, przyciskając Cellina. – Gdzie jest fiolka, którą dał ci Calvieri dziś rano?

Cellina próbował się bronić. Sięgnął po palnik, ale w tym momencie Paluzzi zgruchotał mu palce kolbą beretty. Cellina pęknął z bólu i puścił palnik, który z łoskotem spadł na podłogę, Paluzzi wykręcił Cellinie rękę do tyłu i popchnął go w stronę piły taśmowej, stojącej pośrodku pomieszczenia warsztatowego. Włączył maszynę i brutalnie złapał Cellinę za włosy, ciągnąc głowę obracającej się taśmie. Cellina wrywał się i szamotał, bez skutku jednak. Paluzzi nie popuszczał, jeszcze chwila, a zęby maszyny zaczną szarpać twarz ofiary.

– Puście mnie! – wrzasnął Cellina przerażonym głosem. – Powiem, tylko mnie puście.

– No więc gdzie jest fiolka? – syknął Paluzzi, trzymając go w dalszym ciągu.

– Pod moim warsztatem – pisnął Cellina ostatkiem sił. Paluzzi wyłączył maszynę, pchnął swoją ofiarę na podłogę.

Cellina zwinął się w kłębek i ukrył twarz w dłoniach.

Paluzzi znów szarpnął go za kołnierz, postawił na nogi i popchnął w stronę warsztatu. Wyjął pistolet. Przycisnął lufę do pleców nieszczęśnika.

– Pokaż! – rozkazał. – I żadnych numerów – ostrzegł.

Cellina kucnął i drżącą ręką wskazał metalowy pojemnik w kształcie cygara przymocowany pod stołem warsztatowym taśmą klejącą.

– Wiesz, co jest w środku? – spytał Paluzzi. Cellina pokręcił głową.

– Powiedziano mi, żebym to schował, i nic więcej.

Whitlock zajrzał pod stół, obejrzał pojemnik.

– Wygląda, że go nie otwierano – powiedział po angielsku.

Cellina słuchał zaskoczony. Nie znał angielskiego i nie rozumiał, o co chodzi. Whitlock kucnął i jeszcze raz, z całą uwagą, przyjrzał się metalowemu pojemnikowi. Nie dostrzegł nic podejrzanego, żadnego ładunku wybuchowego i żadnego zapalnika

radiowego. Odlepił taśmę klejącą, wziął fiolkę, sprawdził oznakowanie. SR4785. Taki sam numer, jak na pojemniku skradzionym w Neo-Chem.

– Zatelefonuję do pułkownika – powiedział, idąc do aparatu wiszącego na ścianie przy drzwiach.

– Czy Calvieri mówił ci, dlaczego masz to schować właśnie tu? – naciskał Paluzzi Cellinę.

– Powiedział tylko, że ktoś się po to zgłosi dziś po południu i że mam to wtedy oddać.

– A kto taki?

– Nie wiem. Miał podać hasło.

– Co ci za to obiecano?

Cellina nie odpowiedział od razu. Wsparł się ciężko o warsztat i zmęczonym ruchem przetarł czoło.

– Moja przyrodnia siostra należała do Brygad w Mediolanie. Umarła w zeszłym roku na skutek przedawkowania narkotyków. Calvieri groził mi, że powie wszystko matce. Matka wiedziała, że Luiza była narkomanką, ale nie miała pojęcia o Czerwonych Brygadach. Ciężko przeżyła śmierć Luizy. Przeszła zawał i wiadomość o Brygadach na pewno by ją zabiła. Co miałem robić? Nie było wyjścia...

– A pomyślałeś, jak matka zareaguje na twoje aresztowanie? Człowieku, coś ty narobił.

Cellina nie odpowiedział. Ukrył twarz w dłoniach. Paluzzi zostawił go w spokoju.

– Co zdecydował pułkownik? – zapytał Whitlocka.

– Kazał mi przynieść pojemnik na dziesiąte piętro. Trzeba natychmiast odesłać go do analizy. Ty masz pilnować Celliny do czasu, gdy zjawią się ludzie Kuhlmana. – Whitlock ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze w przejściu. – Co byś zrobił, gdyby Cellina nie chciał mówić?

– Nieważne. Znaleźliśmy fiolkę i tylko to się liczy – odparł Paluzzi, zerkając na piłę taśmową.

– A gdyby milczał?

– No cóż, byłaby jatka – odparł Paluzzi, wzruszając ramionami.

– Naprawdę? Pociąłbyś go? – spytał Whitlock z niedowierzaniem.

– Groźba skutkuje tylko wtedy, gdy gotów jesteś ją zastosować – odrzekł Paluzzi sentencjonalnie.

– Zrozumiałem wreszcie, co pułkownik miał na myśli.

– Pułkownik?

– Właśnie, chodzi mi o jego słowa, że ty i Mike wywieracie i siebie zgubny wpływ –

zakończył Whitlock i zamknął za sobą drzwi.

Nie jestem przekonany – rzekł Philpott, oglądając pojemnik. – Czuję przez skórę, że to jakiś podstęp, więc na razie nikomu nic nie powiemy, poczekamy na wynik analizy. Gdyby się zeszło, że mamy fiolkę, to nasi ludzie przestaliby się przykładać do poszukiwań, a tymczasem, powtarzam, to może być podstęp.

– Nie ma pan zaufania do naszych ludzi, szefie? – w głosie Whitlocka zabrzmiała nuta oburzenia.

– Ależ przeciwnie, mam, i to pod każdym względem, ale ludzie są tylko ludźmi. Staraliby się wykonać zadanie jak najlepiej, ale zupełnie podświadomie mogłaby oddziaływać myśl, że już jest po wszystkim i... – Philpott nie dokończył. Do gabinetu wpadł zdyszany Kolczyński.

– Biegłem co sił – powiedział łapiąc oddech.

– Co się stało? Co za tajemnica?

– Nie jestem pewien, czy to jest ta fiołka, o którą chodzi – odparł Philpott, wyjmując pojemnik z szuflady. – Mam nadzieję, że Visconti niczego nie wie.

– Powiedziałem mu tylko, że mam rozkaz stawić się na górze, bo trzeba jeszcze raz przeanalizować plan budynku.

– Bardzo dobrze. Do Viscontiego zaraz dołączy sierżant Hauser.

Kolczyński obejrzał pojemnik.

– Numer się zgadza – stwierdził. – Dlaczego sądzisz, że to jednak nie jest to, o co nam chodzi?

– Bo za łatwo się z tym uporaliśmy. Za szybko go znaleźliśmy, a to źle świadczyłoby o planie Calvieriego, gdy tymczasem, o czym wiemy, Calvieri zadbał o najmniejsze nawet szczegóły, praktycznie wykluczył jakikolwiek przypadek. Podejrzewam więc, że ten pojemnik to pułapka. – Philpott zapalił fajkę. – Ale jak jest naprawdę, przekonamy się, gdy nasi specjaliści zbadają zawartość. Polecisz do Zurychu, Siergiej. Helikopter już czeka, laboratorium też.

– Obyś się mylił, Malcolm. Miejmy nadzieję, że to jednak jest ta fiołka, o którą chodzi.

– Oby.

Kolczyński schował pojemnik do kieszeni i spiesznie wyszedł,

Bachstrasse – ulica Jana Sebastiana Bacha – to niewielki zaułek w okolicach Utoquai, przystani nad Jeziorem Zurychskim. Nie wygląda zachęcająco. Podniszczony bruk, tu i ówdzie kawałki cegieł i dachówek syjących się z dawno nie remontowanych

dachów, a domy sprawiają wrażenie opuszczonych i zapomnianych przez właścicieli. „Uwaga, roboty rozbiórkowe” – ostrzega napis przy wejściu do zaułka. Obok zaś widnieje drugi: „Uwaga, budynki nie zabezpieczone. Przebywanie grozi śmiercią lub kalectwem”.

Niewiele osób wie, że Bachstrasse należy do UNACO i specjaliści dołożyli naprawdę wielu starań, aby zaułek sprawiał odpychające wrażenie. Cegły, które rzekomo sypały się z dachów, ostały w istocie pieczołowicie ułożone. Ostrzegawcze napisy też były dziełem ludzi z UNACO. Wewnątrz pozornie opuszczonych budynków i głęboko pod nimi mieści się Europejska Kwatera UNACO i Centralne Laboratorium Badawcze. Jedyne wejście do wnętrza prowadzi przez magazyn na skraju zaułka, ów magazyn to spory, prostokątny budynek, sprawiający równie niechlujne wrażenie, jak cała zabudowa Bachstrasse. W oknach widnieją resztki powybijanych szyb, a brama z falistej blachy wygląda tak, jakby nikt jej od lat nie otwierał. Pozornie tylko, ciężkie wierzeje bowiem przesuwają się bezszelestnie, gdy ktoś w środku uruchomi elektroniczny mechanizm. To zaś następuje tylko wtedy, gdy przybysz poda stosowne hasło. Również dach rzekomego magazynu przesuwają się na szynach, podobnie jak brama, a otwiera się jedynie w szczególnych momentach, jak na przykład teraz, gdy od strony Berna nadlatywał śmigłowiec z niezwykle ważną przesyłką. Maszyna przez chwilę zawisła nieruchomo i gdy dach się odsunął, zeszła niżej, lądując w głębi magazynu. Płaty śmigłowca jeszcze się obracały, gdy dach ponownie zasunęło, jednocześnie zaś krąg betonu, na którym stała maszyna, jął opuszczać się w dół jak zapadnia na pokładzie lotniskowca. Gdy zaś maszyna zniknęła w podziemiach, podłoga w magazynie zasunęła się, podobnie jak dach, i znów wszystko dookoła wyglądało jak zapomniana przez ludzi, nikomu niepotrzebna budowla, która przeżyła swoje lata. Kolczyński odpiął pasy bezpieczeństwa, wziął ołowianą kasetkę, której przed lotem umieszczono pojemnik z fiolką, wysiadł i skierował się w stronę metalowych schodów nie opodal. Czekał tam na niego jeden z pracowników Centralnego Laboratorium. – *Monsieur Rust* oczekuje pana w swoim gabinecie – powiedział, biorąc pojemnik i ruszając spieszenie w głąb korytarza. Kolczyński odprowadził go wzrokiem i skierował się w drugą stronę. Przeszedł kilkanaście kroków w stronę drzwi z napisem: „J. Rust – Dyrektor”. Zapukał. Na kamerze telewizyjnej nad drzwiami zapaliło się na chwilę czerwone światło, po czym szczęknięcie zamka i drzwi się otworzyły. Kolczyński wszedł do środka, automat zasunął drzwi.

– Witaj, witaj – rzekł Rust podjeżdżając na wózku inwalidzkim. – Znasz profesora Helmuta Scheffera, prawda? – przedstawił kruczowłosego mężczyznę siedzącego w fotelu. – Pan profesor kieruje naszym wydziałem naukowym – dodał, zachęcając Kolczyńskiego, by usiadł.

- Oczywiście. Jak się masz, Helmut? – przywitał się Kolczynski.
- Całkiem nieźle, całkiem nieźle – odparł Scheffer, wyciągając rękę na powitanie.
- Emil nieźle się spisał – Rust spojrzął na zegarek. – Trzynasta czterdzieści. Dowiózł cię tu z Berna w dwadzieścia minut.
- Leciał jak szatan – potwierdził Kolczynski, siadając w fotelu naprzeciwko profesora. – Jak długo potrwa analiza zawartości fiołki? – zapytał.
- Gdyby to była próbówka albo szklana kolba, to kilka ledwie chwil. Zastosowalibyśmy spektroskopię w paśmie podczerwieni lub metodę rezonansu nuklearno-magnetycznego. Mamy jednak do czynienia z metalowym pojemnikiem, więc trzeba będzie go otworzyć w specjalnym, izolowanym pomieszczeniu...
- ...coś, jak akwarium? – upewnił się Kolczynski.
- Mniej więcej, z tym że jest to pomieszczenie absolutnie szczelne, w którym bezpiecznie można manipulować nawet radioaktywnymi materiałami. Ogląd próbek za pomocą telewizji przemysłowej. Zdalnie sterowane, elektroniczne manipulatory. Żadnego bezpośredniego kontaktu z materiałem. Po otwarciu metalowego pojemnika pobierzemy stosowną próbkę do szklanego naczynia i zacznie się właściwa analiza chemiczna, na podstawie której określimy elementy składowe badanej substancji.
- Jak długo to potrwa? – powtórzył pytanie Kolczynski.
- Ja długo? – zastanowił się Scheffer. – Mniej więcej dwie godziny.
- Dwie godziny?! – zdziwił się Kolczynski. – Z opisu procedury wydawało mi się, że najwyżej dwadzieścia minut.
- Przykro mi. Przedstawiłem ci tylko zasady postępowania. Cała procedura jest znacznie bardziej złożona. Jeśli chcesz, to mogę ją dokładniej opisać.
- I tak bym tego nie pojął. Chemia nigdy nie była moją mi stroną.
- Jak wolisz – rzekł Scheffer wstając. – Czekają na mnie w laboratorium. Dam wam znać, jak tylko będziemy mieli wynik.
- Rust uruchomił mechanizm otwierający drzwi i wypuścił profesora.
- Dwie godziny! – jeszcze raz powtórzył Kolczynski, zrywając się z miejsca. – Nie sądziłem, że aż tak długo.
- Ja też – przyznał Rust. – Siadaj, zamówię herbatę.
- Nie, nie będę czekał na wynik. Muszę wracać do Berna. Jest jeszcze tyle roboty, zwłaszcza że może się okazać, iż ta fiołka to podstęp. Zadzwoń do Malcolma, jak tylko będziesz znał wyniki.
- Oczywiście.
- Dwie godziny? – zasepił się Philpott, gdy Kolczynski powtórzył informacje

profesora Scheffera. – Trudno, poczekamy, a tymczasem kontynuujemy poszukiwania.

– Tak jest. Gdzie Visconti? – spytał Kolczynski, podrywając się z miejsca.

– Siadaj – uspokoił go Philpott. – Zachowujesz się jak nadpobudliwe dziecko...

– Czas ucieka.

– Siergiej, opanuj się – powiedział Philpott nieco ostrzej, gestem nakazując, aby usiadł.

Kolczynski wziął swoją berettę z biurka, schował do kabury i usiadł. Philpott podsunął mu filiżankę herbaty.

– Visconti pracuje z Ingrid Hauser. Ty na razie będziesz w rezerwie. Dołączysz do innych, gdy stanie się to konieczne. Nie róbmy zamieszania.

Kolczynski zapalił papierosa.

Zadzwoił telefon. Philpott podniósł słuchawkę. Przez dłuższą chwilę słuchał w milczeniu.

– Dziękuję za wiadomość – powiedział wreszcie i odłożył aparat.

– O co chodzi, Malcolm? – zaniepokoił się Kolczynski widząc zmarszczone czoło szefa.

– To Vlok. Właśnie otrzymał informację, że w Centrum podłożono bombę.

Graham i Marco wiedzieli tylko jedno, to mianowicie, że nowy alarm nie dotyczy fiolki. Tyle powiedział im Philpott, wzywając ich do gabinetu. Gdy dotarli na górę, trzy pozostałe zespoły już czekały.

– O co chodzi, szefie? – spytał Graham.

– Jest wiadomość, że w Centrum podłożono bombę – rzekł Philpott bez większych wstępów. – Anonimowy rozmówca zatelefonował do Dietera Vloka. Powiedział, że ładunek zostanie odpalony o piętnastej.

– To znaczy... za trzydzieści osiem minut – sprawdził czas Marco.

– Zawiadomił pan Calvieriego? – spytał Whitlock.

– Nie. Poza wami i oczywiście Vlokiem nikt jeszcze nie wie. Vlokowi zaś nakazałem całkowite milczenie. Nawet Kuhlmann niczego nie wie, a zresztą nie zamierzam go wtajemniczać. Co prawda tego typu sprawa jak zamach bombowy należy do jego kompetencji, ale domyślam się reakcji. Nakazałby natychmiastową ewakuację budynku, a to byłoby wbrew warunkom postawionym przez Calvieriego, który wyraźnie uprzedzał, że gdybyśmy zarządzili wyprowadzenie ludzi z Centrum, to spełni swoją groźbę i rozpyli zawartość fiolki.

– A gdzie jest Kuhlmann? – spytał Whitlock.

– Przesłuchuje Cellinę. Tymczasem przerywamy poszukiwania fiolki i zajmiemy się

lokalizacją bomby.

– Jeśli rzeczywiście ktoś podłożył bombę – dorzucił Graham,

– Nie możemy ryzykować, Mike. Jeśli bomba eksploduje, to koniec z nami, zwłaszcza gdyby wyszło na jaw, a wyjdzie, że ostrzegano nas o tym.

– Musi pan porozmawiać z Calvierim, przedstawić mu sytuację – rzekł Paluzzi.

– Tak też zamierzam. Pewnie nie zgodzi się na ewakuację budynku, ale może, swoimi metodami, zweryfikować wiadomość, a nawet ustalić miejsce, gdzie ewentualnie podłożono ładunek.

– A wtedy my wystąpimy w roli saperów?

– Też uważam, że lepiej byłoby wezwać specjalistów, Mike, ale wiesz, jak to z nimi jest. Najpierw nakazaliby ewakuację terenu, to zaś sprowokowałoby Calvieriego. Tak więc kółko się zamyka. Jesteśmy skazani na siebie – ostatnie zdanie Philpott podkreślił wymownym gestem ręki. – A teraz Kolczyński powie, co trzeba przeszukać i przydzieli zadania poszczególnym zespołom. Nie ma chwili do stracenia.

– Znów będziemy szukali igły w stogu siana – rzekł Graham tonem rezygnacji. – Mamy zerowe szanse – ocenił ponuro.

– A masz lepszą propozycję? – uciał Kolczyński, wstając z miejsca. – Idziemy – polecił wszystkim. – Jeśli pułkownik dowie się czegoś od Calvieriego, da nam znać. Tymczasem do roboty.

Philpott odczekał, aż wszyscy wyszli, po czym wybrał numer Calvieriego.

Calvieri oglądał właśnie w telewizji wywiad z prezydentem Francji, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę natychmiast i milcząc wysłuchał informacji Philpotta.

– Grecka ELA? – upewnił się, gdy Philpott przedstawił sytuację.

– Tak oświadczył anonimowy rozmówca – odparł Philpott. – Będziemy musieli ewakuować wszystkich ludzi, jeśli bowiem bomba...

– Nie ma mowy o ewakuacji – przerwał Calvieri. – Ostrzegam raz jeszcze, że jeśli zaczniecie wyprowadzać ludzi, to uruchamiam przekaźnik...

Philpott wstrzymał oddech. Starał się panować nad sobą.

– Nie zamierzam się z panem kłócić, Calvieri. Nie ma na to czasu. Jeśli chce pan uniknąć ewakuacji, to niech pan postara się dowiedzieć, czy mamy do czynienia z autentyczną próbą zamachu. Ma pan przecież swoje źródła i rozumie pan, że rozwiązanie tej sprawy leży zarówno w naszym, jak i w pańskim interesie.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć...

– Jest w tej chwili druga dwadzieścia pięć...

– Powiedziałem, że spróbuję! – Calvieri rzucił słuchawkę i złością uderzył pięścią w ścianę.

- Co się stało? – przeraził się Ubrino.
- Połącz mnie z Bettingą – Calvieri aż kipiał z wściekłości.
- Ale o co chodzi?
- Nie gadaj. Rób, co ci każą.

Ubrino nie pytał o nic więcej. Wziął telefon i nakręcił znany sobie numer w Rzymie.

Calvieri spojrział na pokrwawioną rękę, na odarte ze skóry kostki. Widać było, że całą siłą stara się trzymać nerwy na wodzy. Zerknął na Sabrinę.

– I co, cieszysz się, że się wreszcie zламаłem?

– Nie. Ale myślę sobie, że stało się coś, czego nie przewidziałeś – popatrzyła mu prosto w oczy.

– Niestety! – poruszył poranionymi palcami i zmienił temat. – Nieźle się urządziłem. Za parę godzin będzie bolało jak na cholera.

– Domyślam się, że pojawiła się groźba zamachu bombowego...

– Jesteś bardzo spostrzegawcza – skwitował Calvieri. – I co? – zwrócił się do Ubrina, który siedział ze słuchawką przy uchu.

– Mówią, że Bettinga jest nieosiągalny. Szukają go, ale to trochę potrwa.

– Kogo masz na linii?

– Larussa, to jeden z dowódców sekcji w Rzymie.

– Znam go, nie musisz mi tłumaczyć. Powiedz mu, żeby dał nam numer ELA w Atenach – polecił Calvieri i znów zwrócił się do Sabriny: – Owszem, rzeczywiście chodzi o zamach bombowy. Mówi ci coś skrót ELA?

-?

– To pierwsze litery nazwy *Espanastatikos Laikos Agonas*, co znaczy Rewolucyjna Walka Ludowa. To organizacja greckich radykalnych fundamentalistów, ale nic wielkiego – przerwał. Wyjął przekaźnik z kieszeni i z namysłem mu się przyglądał. – Całymi miesiącami człowiek ślęczy nad jakąś operacją, dopracowuje szczegóły, a potem zjawia się paru Greków i cała robota nic. Jeśli rzeczywiście ci z ELA podłożyli tu bombę, to naprawdę trzeba będzie ewakuować ludzi z całego terenu, co z kolei stworzy wymarzoną okazję twoim kolegom do przeszukania budynku.

– No cóż, czasami rzeczywiście spotykają nas przykre niespodzianki... Jeśli oczywiście ta bomba to nie blef.

– Raczej nie, zaraz się przekonasz.

– Mam numer w Atenach – zawołał Ubrino.

– Poproś Andreasa Kozanakisa, szefa ELA – polecił Calvieri i znów wrócił do rozmowy z Sabriną. – Jak już mówiłem, myślę, że to nie jest blef. Zdarza się oczywiście mnóstwo anonimowych i pustych gróźb. Gdy jednak jakaś organizacja z góry bierze

odpowiedzialność za zamach, to znaczy, że zależy jej na rozgłosie. Rozgłosu zaś nie uzyska, jeśli groźby nie spełni. Jestem więc pewien, że mamy do czynienia z realną groźbą zamachu.

– Pewnie masz rację, jesteś ekspertem w tych sprawach – powiedziała Sabrina z nutą ironii w głosie.

Calvieri uznał rozmowę za zakończoną. Wstał, schował przekaźnik.

– I jak? – spytał Ubrina.

– Czekam na połączenie.

Minęło kilka chwil długich jak wieczność.

– Są! – zawołał Ubrino i podał słuchawkę Calvieriemu.

– Z kim mówię? – spytał Calvieri po grecku.

– Andreas Kozanakis. A kto pyta?

– Tony Catoieri, Czerwone Brygady.

– Co za zaszczyt...

– Wsadź sobie ten zaszczyt... – uciął Calvieri. – A teraz słuchaj uważnie, Kozanakis, bo nie będę dwa razy powtarzał. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy wasi ludzie podłożyli bombę w Centrum Offenbacha w Bernie i czy wybuch ma nastąpić o trzeciej?

Kozanakis milczał.

– Żądam odpowiedzi!

– Nie sądzę, abym musiał się przed tobą spowiadać.

– A jak się ma Alexis? – spytał Calvieri chłodnym tonem, wyraźnie akcentując imię.

– Co? – zaskakujące pytanie zbiło Kozanakisa z tropu. Alexis, twoja córka. Ileż to ona ma lat? Siedemnaście? Osiemnaście? Studiuje na pierwszym roku na uniwersytecie w Rzymie, prawda? O ile wiem, a mam dobre informacje, to umówiłeś się z Linem Zocchim, że będzie miał na nią oko, ale Zocchi siedzi w pierdlu. Byłoby nam wszystkim bardzo przykro, gdyby twojej córce coś się stało. Taka młoda i ładna. Ma całe życie przed sobą...

– Zostaw Alexis w spokoju – rzucił Kozanakis ochrypłym losem – znak, że groźba poskutkowała.

– No więc, jak to jest z tą bombą? Kozanakis głośno westchnął.

– Semtex. Dziesięć kilogramów.

– Sporo – ocenił Calvieri. – Może być jatka. A gdzie ją podłożono?

– Nie wiem. Nie było mnie tam. Moi ludzie to załatwiali.

Calvieri spojrział na zegarek.

– Jest w tej chwili czternasta trzydzieści trzy – powiedział. – Masz dokładnie dwanaście minut na ustalenie, gdzie podłożono ładunek. Jeśli nie zatelefonujesz do mnie

przed czternastą czterdzieści pięć, daję znać do Rzymu, aby paru naszych chłopców złożyło wizytę twojej córeczce. Nie wątpię, że zrobią to z największą przyjemnością. Mówią, że dziewczyna jest rzeczywiście ładna...

– Nie! – krzyknął Kozanakis.

– Ależ oczywiście, Andreas. Jestem pewien, że do tego nie dopuścisz. Zanotuj sobie mój numer telefonu – podał mu centralę i numer wewnętrzny w Centrum Offenbacha. – Masz dwanaście minut. Pomyśl o Alexis.

– Nie przypuszczałam, że jesteś aż tak podły – syknęła Sabrina, gdy Calvieri odłożył słuchawkę.

– Nie wiedziałem, że znasz grecki. Bez przerwy mnie czymś zadziwiasz.

– Bez wzajemności, Calvieri – odparowała. – Siedemnastoletnia dziewczyna! Brzydzisz mnie. Jesteś łajdakiem.

– Doprawdy? A co UNACO zrobiłoby w tej sytuacji? – zapytał z całym spokojem, siadając przy stole.

– Na pewno nie grozilibyśmy gwałtem, nie mówilibyśmy, że paru drabów dobierze się do dziecka.

– Czy ja mówiłem coś o gwałcie? – wykrzyknął Calvieri z udawanym oburzeniem.

– Daj sobie spokój z tym teatrem, oboje dobrze wiemy, co mówiłeś.

– Kozanakis odezwie się za piętnaście trzecia.

– A jeśli nie?

– Odezwie się i zamykamy temat. – Calvieri spojrział na ekran telewizora. – Co słyhać na konferencji?

– Przemawia premier Holandii. Mówi o zjednoczeniu Europy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku – odparł Ubrino.

– Jest Bellini?

– Nie ma go. Włochy reprezentuje minister spraw zagranicznych.

– To dobrze! – Calvieri patrzył na ekran telewizora przez kilka chwil, po czym wstał zniecierpliwiony i wyjął paczkę papierosów z kieszeni. Była pusta. Zgniół pudełko w dłoni i ze złością rzucił na podłogę. – Masz co palić? – zapytał Ubrina.

– Też mi się skończyły – wzruszył ramionami Ubrino.

– Niech to szlag trafi! Nie wiadomo, kiedy stąd wyjdziemy, a nie ma co palić! – wyraźnie zdenerwowany zaczął grzebać w szufladach w nadziei, że znajdzie zapomnianą przez kogoś paczkę. – Jasna cholera! – złościł się. – Papiery, ołówki i ani jednego papierosa...

– To sala konferencyjna, a nie kiosk – skomentowała Sabrina.

Calvieri sprawdził szuflady do końca. Nie znalazł papierosów. Spojrział na zegarek.

Czternasta trzydzieści dziewięć.

– *Tempus fugit*, czas ucieka – rzuciła sentencjonalnie Sabrina.

– Spoko! Jeszcze sześć minut – Calvieri manifestował spokój i opanowanie. Usiadł za stołem, złożył ręce na piersiach. – Kozanakis zadzwoni! Postaw się na jego miejscu, chyba że nie wierzysz, iż gotów jestem spełnić groźbę w sprawie Alexis, tak jak wydaje ci się, że nie uruchomię przekaźnika.

– Wierzę. Sądzę, że w tych okolicznościach...

– W jakich okolicznościach?

– Mówiłeś przecież, że albo-albo. Albo jest się gotowym na wszystko, to znaczy na spełnienie każdej groźby, albo nikt cię nie będzie traktował poważnie. Wierzę, że gotów byłbyś posłać tych drabów do Alexis, ale nie sądę, byś był gotów uruchomić przycisk Tu rachunek strat i kosztów jest inny. Masz za wiele do stracenia.

– Bzdura! Jeśli zmuszą mnie do naciśnięcia guzika, to oznaczać będzie, że nie mam już nic do stracenia – odparł Calvieri z przekonaniem. – A zresztą czy nacisnę, czy nie – to akademicka dyskusja, bo wiadomo, że Bellini poda się do dymisji, że dostaniemy okup i że fiolka pozostanie nienaruszona.

– Pytanie tylko, czy ELA zastosuje się do tego scenariusza. – Sabrina sprawdziła czas. – Jeszcze trzy minuty. W dalszym ciągu sądzisz, że Kozanakis zatelefonuje?

– Naturalnie – odparł Calvieri z pozorną obojętnością. Zapadło milczenie, gdy oboje pograżyli się we własnych myślach.

Sabrina wiedziała, że Calvieri jednak nie uruchomiłby przycisku. Nie należał do tego typu ludzi. Nie był ani szaleńcem, ani megalomanem, jak powszechnie uważano. Ona, która poznała go lepiej niż inni, miała swoje zdanie. Calvieri w istocie tylko grał rolę twardego terrorysty, ale grał na tyle dobrze, że nawet Ubrino dał się zwieść. Lecz Ubrino był jak dziecko. Spojrzała na niego. Wpatrywał się w ekran telewizora szeroko otwartymi oczami, właśnie jak dziecko zafascynowane ruchomymi obrazkami, ale nieświadome treści, którą te obrazki ilustrują. Ubrino nie był ani bystry, ani inteligentny, ale przez to stawał się niebezpieczny, gotowy wykonać każdy rozkaz kogoś, kogo szanuje i komu jest oddany. Działa z całą bezwzględnością tępego osiłka. Zdawała sobie sprawę, że wzięli ją jako zakładniczkę, że jej osoba ma im zapewnić bezpieczne wyjście z Centrum, gdy już spełnione zostaną dwa zasadnicze żądania, gdy Bellini poda się do dymisji i gdy okup zostanie złożony. Była w rękach Calvieriego i tylko od niego zależało jej życie. Nie był to optymistyczny wniosek.

Calvieri poruszył niespokojnie palcami. Widać było, że doskwierają mu poranione kostki. Wyjął przekaźnik z kieszeni i nerwowo obracał w dłoni, jakby ów mały przedmiot miał złagodzić ból. Kątem oka zerkał niespokojnie na telefon. Przekłęci Grecy! Co

będzie, jeśli się okaże, że Kozanakis zwyczajnie nie dowie się, gdzie ukryto bombę? Co się stanie, jeśli mechanizm zegarowy zawiedzie i bomba wybuchnie przed czasem? Spojrzał na przekaźnik. Sabrina sądzi, że nie zdobędzie się na to, aby nacisnąć śmiertcionośny guzik. Uśmiechnął się. Tylko on wiedział, co naprawdę uczyni, gdy już nie będzie innego wyjścia...

Zadzwoił telefon.

Calvieri chwycił za słuchawkę.

– Calvieri? – upewnił się Kozanakis.

– Zdażyłeś! – Była czternasta czterdzieści cztery. – Więc?

– Ładunek znajduje się w bagażniku audi quattro, który stoi niedaleko głównego budynku.

– Numery rejestracyjne?

– Nie wiem – odparł Kozanakis z pewnym wahaniem.

– Niech cię szlag trafi. Jak mamy znaleźć to auto?

– Na tylnym siedzeniu leży kraciasty pled.

– Ładunek jest zabezpieczony?

– Tak – westchnął Kozanakis. – Wybuchnie przy najmniejszej próbie rozbrojenia.

– Moje gratulacje!

– Słuchaj, Calvieri, co, u diabła, się dzieje? Sprawdziłem i wiem, że jesteś w Centrum...

– Zgadza się – uciął Calvieri.

– Planowaliśmy tę operację od wielu miesięcy, a ty...

– Mam gdzieś wasze plany i waszą operację. Czerwone Brygady szykują tu znacznie większą sprawę. Zobaczysz w telewizji, a na razie trzymaj gębę na kłódkę, bo... Pamiętaj o Alexis.

– Zapłacisz mi za to, Calvieri.

– Dogadamy się – rzucił Calvieri i odłożył słuchawkę. – No i widzisz? Miałem rację – rzekł z dumą do Sabriny.

– Co to znaczy: „zobaczy w telewizji”? Wszystko przecież miało się odbyć dyskretnie, tak mi się przynajmniej wydawało,

– Do czasu, moja droga, do czasu. Gdy już będzie po wszystkim, zwołam specjalną konferencję prasową. Chcę, żeby świat wiedział, co się tu stało. Powiem wszystko. Ze szczegółami. Niech ludzie wiedzą, jak to zachodnie rządy, które publicznie oświadczały, że nigdy nie ustąpią wobec tak zwanych terrorystów, że nie będą prowadziły żadnych negocjacji, w istocie stchórzyły. Upokorzę ich w oczach całego świata, skompromituję i zniszczę, a jednocześnie wsławię naszą organizację, wsławię Czerwone Brygady.

Staniemy się legendą naszych czasów, a co ważniejsze: damy przykład naszym braciom rewolucjonistom na całym świecie, że jednak można wywalczyć sprawiedliwość, że można zwyciężyć, właśnie: zwyciężyć!

– To mrzonki, Tony, tylko mrzonki.

– Przekonasz się – powiedział z mocą i zatelefonował do Philpotta.

Philpott z Kolczynskim sprawdzili, które zespoły przeszukują parking przed Centrum. Jedynka i dwójka. Pułkownik wywołał oba i nerwowo przygryzał fajkę czekając, aż się odezwą. Spojrzał na zegar na biurku. Miał wrażenie, że wskazówki poruszają się coraz szybciej...

Minutę po telefonie do Philpotta Graham i Marco zlokalizowali audi quattro. Stało około pięćdziesięciu metrów od głównego budynku. Numery dyplomatyczne (później się okaże, że skradzione), kraciasty pled na tylnym siedzeniu. – Przydałby się kawałek drutu, żeby otworzyć zamek.

– Do diabła z zamkiem – krzyknął Graham i nie tracąc czasu, wybił boczną szybę kawałkiem cegły. Otworzył drzwi i zgarnął odłamki szkła z siedzenia.

Trzask rozbijanej szyby zaalarmował strażników przy głównym wejściu, dwóch z nich zaczęło biec w stronę auta, groźnie wymachując policyjnymi pałkami. Pierwszy natarł na Grahama, krzycząc coś po niemiecku. Prawy sierpowy Grahama był celny. Strażnik zwałił się na ziemię. Drugi wartownik ruszył mu na pomoc, ale zamarł, widząc wymierzoną w siebie berettę. W tym momencie nadbiegli Paluzzi z Whitlockiem. Whitlock podbił rękę Grahama, Paluzzi zaczął sięgać po legitymację NOCS, aby wyjaśnić sytuację strażnikowi, gdy zjawił się Vlok, krzycząc z daleka do strażnika, nie przeszkadzał. Strażnik ustąpił zrezygnowany. Vlok – łapiąc oddech – wyjaśnił mu krótko, o co chodzi, i rozkazał rozproszyć rosnący tłumek gapiów, sam zaś zajął się powalonym przez Mike'a wartownikiem.

– Czy to było konieczne? – rzekł z wyrzutem do Grahama.

– Później o tym porozmawiamy. Mamy tylko jedenaście minut! – krzyknął Graham spoglądając na zegarek. – Bomba wybuchnie o trzeciej.

– Będziecie rozbierać?

– Nie damy rady. Nie ma czasu ani potrzebnego sprzętu – wyjaśnił Whitlock. – Trzeba błyskawicznie usunąć to auto z terenu Centrum.

Graham zajął miejsce za kierownicą. Nie mając kluczyka, wprawnymi ruchami przełączał kable pod deską rozdzielczą, aby zapalić silnik z pominięciem stacyjki.

– Odprowadzę go w jakieś ustronne miejsce w pobliżu i trudno, niech tam wybuchnie.

– To zbyt niebezpieczne. Fala uderzeniowa po wybuchu może spowodować zejście lawiny z okolicznych gór. Za duże ryzyko.

Silnik zaskoczył, ale pracował tylko przez chwilę. Graham zaklął i znów zaczął przełączać kable pod deską rozdzielczą.

– Co robimy? – niepokoił się Vlok.

– Woda! – krzyknął Whitlock. – Potrzebna jest woda!

– Woda? – Vlok nie pojął, o co chodzi.

– Gdzie tu jest jakiś staw, jezioro, a ostatecznie basen? Jeśli zatopimy auto, woda uszkodzi elektryczny zapalnik, skutkiem czego bomba nie wybuchnie.

– Jest takie małe jeziorko niedaleko stąd.

– Co to znaczy: niedaleko?

– Jakieś pięć minut jazdy.

– Słyszałeś? – spytał Whitlock Grahama.

– Tak. Jedziemy, jak tylko przełączę te sukinyńskie kable. Silnik zaskoczył. Graham przegazował, dał znak Whitlockowi i Vlokowi, żeby wsiedli.

– A ty dzwoni do pułkownika – polecił Paluzziemu.

– A jak wrócicie z powrotem? – zmartwił się Marco.

– Później będę o tym myślał – Graham zatrzaskał drzwi i nacisnął gaz.

Paluzzi zdążył jeszcze klepnąć dłonią w dach audi, jak na starcie rajdu samochodowego, i auto ruszyło z piskiem opon w stronę głównej bramy.

– Jaki mamy plan? – spytał Whitlock.

– Za bramą stoi radiowóz policyjny. Powiemy im, żeby nas pilotowali do tego jeziorka. Z ich pomocą dotrzemy tam szybciej.

– Teoretycznie tak – rzekł Vlok ponuro.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Najkrótsza droga do Lottersee, tak się nazywa to jeziorko, prowadzi szosą Berno-Thun, a ta jest pełna ciężarówek, bo to jedyna trasa otwarta dla TIR-ów. Jest niestety szalenie wąska i kręta i możemy mieć sporo problemów z wyprzedzaniem.

– Jeszcze tego nam brakowało – mruknął Graham, zwalniając przed bramą.

– Może nie będzie aż tak źle – próbował pocieszyć go Vlok – ale lepiej wiedzieć, co nas może czekać.

Graham zahamował przed bramą. Vlok krzyknął na strażników, aby podnieśli szlaban. Za bramą Graham zatrzymał audi obok policyjnego radiowozu. Vlok wysiadł i najkrócej, jak tylko się dało, opowiedział posterunkowemu o bombie w bagażniku. Ten wysłuchał w milczeniu, nie zadając, na szczęście, żadnych pytań, po czym gestem zaprosił Vloka do środka, uruchomił silnik i syrenę.

– Chwileczkę – zawołał Graham, dając znak, aby jeszcze nie ruszać. – Przesiadaj się – polecił Whitlockowi. – Skoro mam zatopić wóz w jeziorze, to lepiej bez pasażerów.

Whitlock nie protestował. Biegiem przesiadł się do radiowozu. Ruszyli z piskiem opon. Graham zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej. Zostało jeszcze osiem minut. Skierowali się na autostradę N6. Jechali lewym pasmem. Radiowóz przodem, audi z tyłu. Policjant skręcił nagle w prawo, na środkowe pasmo. Graham za nim, tuż przed nosem jadącego z tyłu seata malagi, którego kierowca wściekle nacisnął klakson. Zbliżali się do zjazdu z autostrady, jadąc ciągle środkowym pasem w gęstym ruchu. Graham zaklął. Do zjazdu zostało może trzydzieści metrów, a prawym pasem jechał nieprzerwany sznur samochodów. Nie sposób skręcić, nie wywołując kolizji. Odczekał moment, przyśpieszył i na pełnym gazie śmignął tuż przed maską auta, które jeszcze przed chwilą jechało równoległe z audi. Usłyszał tylko pisk hamulców i trzask giętych lach, gdy na skutek gwałtownego manewru doszło do zderzenia kilku aut. Nawet się nie obejrzał. Miał nadzieję, że obeszło się bez ofiar.

Wjechali na szosę Berno-Thun. Radiowóz ciągle z przodu, Graham poczuł zimny pot na czole. Gęsty sznur ciężarówek jechał rolno. Vlok miał niestety rację. Szosa była kręta i wąska. Tylko dwa pasma, po jednym w każdą stronę. Nie ma mowy o wyprzedzaniu. Drogę wycięto w górskim zboczu. Z jednej strony – wysoka skała, z drugiej – urwisko. Znów spojrzął na zegar. Zostało tylko sześć minut. Przed radiowozem zdążał wielki, trzyosiowy wóz meblowy, zasłaniając ogromną skrzynią całą widoczność. Weszli w zakręt. W przeciwnym kierunku zdążał równie gęsty sznur TIR-ów. Żadnej szansy, żeby wyprzedzić. Graham nerwowo przygryzł wargi. W tym tempie nie ma mowy, żeby dotrzeć do jeziora na czas. Przestał liczyć na radiowóz, którego kierowca też był bezsilny. Zacisnął zęby, dodał gazu i dał sygnał, że chce wyprzedzić radiowóz. Policjant zrozumiał, przyhamował, tak aby Graham mógł się zmieścić między nim a wozem meblowym. Zaczęli właśnie wchodzić w kolejny zakręt. Graham uznał, że nie ma co czekać... Dodał gazu.

Kierowca ciężarówki zobaczył audi w lusterku wstecznym, zobaczył także TIR-a nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Nacisnął klakson, aby ostrzec przed nieuchronną katastrofą. Graham zerknął do tyłu. Nie da już rady przyhamować i schować się za ciężarówkę. Nie miał wyboru. Skręcił na pobocze po lewej stronie szosy. TIR zjechał w lewo, ocierając się niemal o ciężarówkę. Pobocze po lewej było wąskie. Pół metra dalej zaczynało się skaliste zbocze. Auto zajęczało, gdy Graham otarł się o kamienie. Rozległ się trzask rozdzieranych blach. Graham utrzymał kierownicę. Nie stracił kontroli. Wydostał się na szosę, Zerknął w lusterko. TIR i wóz meblowy zatrzymały się. Radiowóz podążał za nim.

Znów spojrzał na zegar. Jeszcze tylko trzy minuty. W zasięgu wzroku nie było jeziora. Jeśli nie zobaczy wody w ciągu kilku sekund, to zepchnie auto z urwiska w dół, wyskakując w ostatniej chwili. Nie miał ochoty ginąć ani od wybuchu bomby podłożonej przez terrorystów, ani tym bardziej w przepaści. A to, że wybuch może spowodować lawinę, jak ostrzegał Paluzzi... Trudno, granice poświęcenia.

Zaczął już rozglądać się za stosownym miejscem do przeprowadzenia tej operacji, gdy zauważył drogowskaz informujący, do Lottersee pozostało pół kilometra. Daleko, ale jest szansa, zobaczył lustro wody w oddali. Przypomniały mu się jeziora na północy stanu Nowy Jork, gdzie miał swój dom w lesie.

Droga biegła teraz w dół. Dojechał do skrzyżowania. Do jeziora prowadził piaszczysty trakt. Rozważał szansę. Nie można ot tak wjechać do wody. Nie ma pewności, czy wóz nie zatrzyma się na płyciźnie z nie zanurzonym bagażnikiem, co oczywiście przekreślało wszelkie szansę zapobieżenia eksplozji. Rzucił wzrokiem przed siebie. Pomost! Jest więc szansa. Skręcił w tamtą stronę. Na pomoście na szczęście nie było nikogo. Przyhamował. W lusterku wstecznym zobaczył radiowóz. Na pomost wjechał ostrożnie i powoli, zastanawiając się, czy drewniana konstrukcja wytrzyma ciężar auta. Zerknął na zegar. Za minutę trzecia. Za mało czasu na jakiegokolwiek kombinację, albo stoczy się do wody z autem, albo cały wysiłek na nic. Wydostanie się z wozu, gdy auto już się zanurzy.

Przyśpieszył. Wsparł się o kierownicę, gdy wóz łukiem stoczył się z pomostu do wody. Zanurzał się błyskawicznie. Graham odpiął pasy i sięgnął do klamki. Zamek nie ustępował. Uderzenie o skały, w chwili gdy wyprzedzał TIR-a, zgmiotło drzwi. Samochód zagłębiał się w toń jeziora. Graham naparł na drzwi ramieniem. Bez skutku. Wnętrze auta zaczęła wypełniać błotnista ciecz. Jedyna szansa to otworzyć drzwi od strony pasażera. Rzucił się w prawo. W tym momencie auto ostro pochyliło się do przodu, gdy przeważył ciężar silnika. Graham uderzył głową w przednią szybę. Oby tylko udało się otworzyć drzwi...

Whitlock zorientował się, że dzieje się coś złego, gdy zobaczył, jak Graham szarpie klamkę. Ułamek sekundy później wóz zanurzył się i tylko pęcherze powietrza wskazywały miejsce dramatu. Wskoczył z radiowozu. Jednym ruchem zrzucił marynarkę. Biegiem wpadł na pomost, wyszarpując jeszcze pistolet z kabury. Rzucił broń na brzeg. Nabrał pełne płuca powietrza i szczupakiem skoczył do wody. Przez zamknięte szyby widział, jak Graham walczy o życie. Whitlock chwycił oburącz klamkę drzwi od strony pasażera, zaparł się nogami o karoserię i pociągnął do siebie. Drzwi puściły. Pod ciśnieniem wody otwierały się jednak jak na zwolnionym filmie. Pociągnął mocniej. Uchyliły się na tyle, że Graham mógł się precyzyjnie. Razem wypłynęli na powierzchnię.

Wynurzyli się kaszłąc i krztusząc. Popłynęli do przystani. Wlok z policjantem pomogli im wyjść z wody. Na pomoście odetchnęli z głęboką ulgą, jak ludzie, którzy otarli się o śmierć.

– Nic ci nie jest? – spytał Whitlock Grahama kładąc mu delikatnie rękę na ramieniu.

– W porządku – Graham objął przyjaciela. – Dziękuję ci, stary. Niewiele już miałem powietrza.

Whitlock wzruszył ramionami, jak to miał w zwyczaju, a że wzruszenie ścisnęło mu gardło, nie powinno nikogo obchodzić, Odchrząknął i powiedział jak gdyby nigdy nic:

– Przydałby się gorący prysznic. No co? Podrzuci nas pan do hotelu? – spytał policjanta.

– Jasne, chłopaki. Siadajcie.

Rust siedział u siebie w gabinecie. Na biurku miał teczkę z bieżącymi meldunkami Dziewiątego Zespołu Operacyjnego z Paryża, ale nie potrafił się skupić. Po raz czwarty przerzucał dokumenty, lecz niczego nie zapamiętał. Pochłaniała go sprawa fiolki. Znów spojrzął na zegarek. Piętnasta trzydzieści. Minęło półtorej godziny od chwili, gdy pojemnik znalazł się w laboratorium. Analiza potrwa jeszcze co najmniej pół godziny, a może dłużej. Męczyło go oczekiwanie. Sięgnął po filiżankę z kawą. Napił się. Zbrzydził go zimny płyn i postanowił zaparzyć nową porcję, gdy rozległo się pukanie. Sprawdził obraz na monitorze kontrolnym. Scheffer. Otworzył drzwi.

Gdy Graham z Whitlockiem weszli do gabinetu, Philpott rozmawiał przez telefon. Gestem dał im znak, by usiedli.

– Dzięki za wiadomość, Jacques – powiedział i odłożył słuchawkę. – Właśnie dostaliśmy wyniki analizy – wyjaśnił. – Zero, fiolka zawiera zwykłą wodę.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzekł Whitlock. – Sam pan mówił, szefie, że za łatwo na to wpadliśmy.

– Czy Vlok zajął się audi quattro? – upewnił się Graham.

– Tak. Zawiadomił już specjalny oddział saperów. Reszta leży do nich. – Philpott sprawdził czas. – Zostało nam jeszcze dziewięćdziesiąt minut. Wracajcie, chłopcy, do swoich zespołów. Może jeszcze coś znajdziemy.

– A jeśli rzeczywiście się uda, to co wtedy? – spytał Graham. – Nie będzie już czasu na nową analizę w laboratorium.

– Poprosiłem Jacquesa, aby przysłał nam pilnie pancerny kontener Magnox. Rzecz jest stosunkowo niewielka, ale solidna, ze specjalnej stali węglowej. Przewożą w tym zwykle materiały radioaktywne. Za jakieś pół godziny Emil powinien nam to dostarczyć swoim helikopterem. Jeśli zamkniemy w tym pojemniku fiolkę, to możemy być spokojni. Tylko najpierw trzeba ją znaleźć.

– A jeśli to, co znajdziemy, okaże się znów atrapą? – Graham jak zwykle był sceptyczny.

– Na razie nie będziemy się tym martwić. Najpierw znajdziemy – odparł Philpott i wywołał Paluzziego i Marca, aby uprzedzić ich, że Graham z Whitlockiem zaraz do nich dołączą.

Przez następne dwadzieścia minut telefon milczał. Później zaś zadzwonił dwukrotnie w ciągu pięciu minut. Najpierw zgłosił się Emil – pilot śmigłowca – z informacją, że

właśnie wylądował i że ma magnox na pokładzie. Philpott polecił mu czekać na lądowisku, na dachu Centrum.

Później zaś telefonował Michele Molinetti. Philpott zrazu nie skojarzył nazwiska.

– Kapitan Molinetti z NOCS – przedstawił się jeszcze raz.

– Oczywiście – przypomniał sobie Philpott. – Paluzzi mówił mi, że to pan ma przeczesać mieszkanie Calvieriego. Telefon pan z Mediolanu?

– Tak jest.

– Znalazł pan coś ciekawego?

– Notatnik z adresami w skrytce pod podłogą w sypialni. Prawie wszystkie zapisy to adresy znanych nam członków Czerwonych Brygad. Jest także jedna interesująca notatka. Dwa numery telefonów, które mogą okazać się ważne dla pana, pułkownika. Oba w Zurychu, domowy i służbowy, na nazwisko Helga Dannhauser.

– Już notuję.

– Helga Dannhauser – powtórzył Molinetti i podał oba numery. – Nazwisko nic nam nie mówi. Nie występuje w naszych aktach. Być może ta Dannhauser ma związki z innymi europejskimi organizacjami terrorystycznymi, a nie z naszymi Czerwonymi Brygadami.

– Bardzo panu dziękuję za wiadomość, kapitanie.

– Nie ma sprawy, oby tylko się udało. Jeśli chodzi o pozostałe nazwiska z notatnika, to sprawdziliśmy wszystkie i wygląda na to, że nikt z tej listy nie ma nic wspólnego ze sprawą fiolki. Krótko mówiąc, my już niczego nie wniesiemy do sprawy.

– Rozumiem. Będziemy w kontakcie, jeśli coś wyniknie z numerów w Zurychu.

– *Signore* Paluzzi wie, gdzie nas szukać. Powodzenia, pułkownika.

Philpott odłożył słuchawkę i wywołał Paluzziego. Gdy ten zgłosił się telefonicznie, polecił mu zameldować się natychmiast w gabinecie. Po chwili Paluzzi już siedział naprzeciwko Philpotta.

– Helga Dannhauser? – przeczytał jeszcze raz nazwisko. – Nigdy nie słyszałem.

– Niech pan teraz zatelefonuje pod oba te numery – rzekł Philpott. – Wolę, żeby pan to zrobił. Zna pan lepiej niemiecki niż ja.

Paluzzi wybrał najpierw numer prywatny. Odczekał dziesięć dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Nakręcił drugi numer, służbowy.

– *Guten Tag, ZRF* – usłyszał w słuchawce.

– Czy zastałem panią Helgę Dannhauser? – spytał po niemiecku.

– A w jakim dziale pracuje?

– Przykro mi, nie wiem. Dostałem ten telefon od wspólnego przyjaciela w Berlinie, który poprosił, abym skontaktowałem się Helgą, gdy będę w Zurychu. Szczerze przyznam,

że nawet nie wiem, w jakiej instytucji Helga pracuje. Co to jest ZRF?

– *Zurich Rundfunk Firma*, niezależna telewizja – odparła rozmówczyni. – Przykro mi – dodała – nie znam pani Dannhauser, ale przełączę pana do naszego działu personalnego. Być może jest to jedna z naszych nowych dziennikarek, których jeszcze nie poznałam.

W biurze personalnym powiedziano mu, że nie mają nikogo o tym nazwisku na liście pracowników. Podziękował i odłożył słuchawkę. Poczłł krople potu na czole. Instykt policjanta podpowiadał mu, że gra jest warta świeczki, że za tajemniczymi numerami telefonów może kryć się cenny ślad. Połączył się z komendą policji. Poprosił o sprawdzenie numeru prywatnego. Musiał odczekać kilka chwil, nim wprowadzono dane do centralnego komputera. Minutę później dowiedział się, że numer należy do *Fräulein* Ute Rietler. Zatelefonował ponownie do ZRF, prosząc o połączenie z panną Ute Rietler. Skierowano go do redakcji dzienników.

– Czy mogę prosić pannę Ute Rietler?

– Ute nie ma w redakcji – odparł męski głos. – Jest w Bernie, obsługuje konferencję europejską.

Podziękował spiesznie i odłożył słuchawkę. Zerwał się z miejsca i bez pukania wpadł do Philpotta.

– Chyba coś mamy. Nie wierzę, aby to był zwykły zbieg okoliczności – zawołał.

– Też tak sędzę – rzekł Philpott, gdy Paluzzi przedstawił szczegóły. – Calvieri wpisał ją do notatnika pod innym nazwiskiem powodowany, jak sędzę, zwykłą ostrożnością. – Podniósł słuchawkę, wybrał numer centrum prasowego i poprosił o odszukanie panny Ute Rietler.

– Pani redaktor Rietler pojechała do hotelu jakieś dwadzieścia minut temu. Wróci za godzinę. Czy chce pan rozmawiać z kimś innym z ekipy ZRF?

– Nie. Telefonuję w sprawach prywatnych. A w którym hotelu zatrzymała się panna Rietler?

– Nie wiem – odparła sekretarka.

– To niech się pani dowie, moje dziecko – zareplikował Philpott ojcowskim, ale i ostrym tonem.

– Jedną chwilę – usłyszał w odpowiedzi.

W minutę później wiedział już, że panna Ute Rietler ma rezerwację w hotelu Ambassador przy Seftigenstrasse.

– Wie pan, gdzie to jest?

– Znajdę. Dziękuję pani – odrzekł Philpott, notując ulicę i hotel na kartce papieru.

– Weź C.W. – rzucił do Paluzziego. – Zaraz tam jedźcie. To nasza ostatnia szansa.

Tylko biegiem. Zostało już jedynie czterdzieści minut.

Paluzzi wziął kartkę i wybiegł z gabinetu. Philpott wsparł się na fotelu. Spojrzał na telefon.

– A jednak dobraliśmy się do ciebie – mruknął po nosem.!

Zostawili auto na sąsiedniej ulicy, bo nie było gdzie zaparkować. Biegiem ruszyli do hotelu. Zdyszani dotarli do recepcji.

– Czym mogę służyć? – blondynka w hotelowym uniformie uśmiechnęła się służbowo.

– Numerem pokoju panny Ute Rietler – odparł Paluzzi.

– Apartament dwieście czterdzieści – sprawdziła w komputerze. – Zawiadomię pannę Rietler, że ma gości. Panów nazwiska?

– Proszę się nie trudzić – uciał Paluzzi. – Panna Rietler wie, że tu jesteśmy. Byliśmy umówieni.

– Drugie piętro. Windy są po prawej – zakończyła recepcjonistka i zajęła się następnymi osobami w kolejce.

Nie czekali na windę. Wbiegli na schody. Whitlock sprawdził czas. Za dwadzieścia jeden piątą. O piątej premier Bellini wystąpi na telewizyjnej konferencji prasowej i ogłosi rezygnację z urzędu. Paluzzi energicznie zapukał do drzwi apartamentu 240. Cisza.

– A jeśli jej nie ma? – szepnął Whitlock.

– Musi być – Paluzzi zapukał jeszcze raz.

– Kto tam? – usłyszeli damski głos zza zamkniętych drzwi.

– Policja.

Drzwi uchyliły się nieznacznie, na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

– Mogę zobaczyć panów legitymacje?

Paluzzi wyjął odznakę włoskich *carabinieri*, Whitlock pokazał fałszywą legitymację Scotland Yardu, sporządzoną w Centrum Badawczym w Nowym Jorku.

– Policja włoska i brytyjska? Tu w Szwajcarii? To nie wasz teren.

– Ma pani rację, ale zabezpieczamy konferencję na szczycie i w związku z tym mamy parę pytań. Pozwoli pani.

Wahała się przez dłuższą chwilę, po czym przymknęła drzwi i zwolniła łańcuch. Wpuściła ich do środka. Rudowłosa, postawna kobieta przed trzydziestką, o znakomitej figurze. Miała na sobie szlafrok kąpielowy.

– Przeszkadziliśmy pani w kąpeli – przeprosił Paluzzi na wstępie.

– Właśnie brałam prysznic, gdy panowie zapukali. A o co właściwie chodzi? Nie mogę poświęcić panom zbyt wiele czasu. Za czterdzieści minut muszę wrócić do

Centrum.

– Interesuje nas pani przyjaciel – rzekł Paluzzi, sięgając po winogrona na stoliku – Tonino Calvieri.

– Kto taki? – odrzekła, wzruszając ramionami.

Whitlock pilnie baczył na każde słowo i każdy jej gest. Nie zareagowała na dźwięk nazwiska Calvieriego. Nawet powieka jej nie drgnęła. Ale była przecież zawodową prezenterką telewizyjną, jedną z najbardziej doświadczonych dziennikarek ZRF – jak zdążyli ustalić – więc oczywiście umiała panować nad sobą. Jeśli gra – ocenił – to jest rzeczywiście doskonałą aktorką.

– A więc nigdy pani nie słyszała o Toninie Calvierim? – powtórzył Paluzzi.

Zastanawiała się przez chwilę. Włożyła ręce do kieszeni szlafroka i zmarszczyła brwi.

– Nie, chyba nie – odparła zawieszając głos. – Chociaż nie! Słyszałam to nazwisko! To jeden z przywódców Czerwonych Brygad. Numer jeden w istocie. Tak, już sobie przypominani: mieliśmy taką wiadomość w dzienniku kilka dni temu, że Calvieri został pełniącym obowiązki szefa Czerwonych Brygad. Ale cóż ja mogę mieć z tym wspólnego?

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć, panno Rietler – uciął Paluzzi.

– To znaczy czego?

– A na przykład tego, dlaczego pani numery telefoniczne znalazły się w osobistym notatniku Calvieriego, w skrytce, w jego mieszkaniu w Mediolanie – odparł Paluzzi ostrym tonem.

– Tego już za wiele, mój panie. Wypraszam sobie. Zaraz wezwę ochronę hotelową. – Zniknęła w drzwiach sypialni.

– Na pani miejscu odłożyłbym tę słuchawkę – Paluzzi pobiegł za nią i widział, jak Rietler sięga do telefonu. – Tak właśnie bym zrobił panno... Dannhauser!

Zesztywniała. Zacisnęła ręce na słuchawce. Zrozumiała, że gra dobiegła końca. Odłożyła telefon i jak ktoś bardzo zmęczony usiadła na skraju łóżka. Nie podnosiła wzroku.

Paluzzi zainteresował się fotografią w ramkach, stojącą na nocnym stoliku. Wziął do ręki, przyjrzał się uważniej i zmrużył oczy pojmując raptem, co właściwie zwróciło jego uwagę.

– O co chodzi? – Whitlock też spojrział na zdjęcie piegowatego chłopca.

– Wypisz, wymaluj tata! A wydawało mi się, że naprawdę wiem wszystko o Calvierim.

– Ten dzieciak to syn Calvieriego? – nie kojarzył jeszcze Whitlock.

– Nie da się ukryć. Wygląda identycznie – rzekł Paluzzi. – A więc Calvieri dał pani fiolkę...

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła słabym głosem.

– Ute, musi nam pani pomóc – Paluzzi zmienił ton. Mówił teraz cichym, łagodnym głosem.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo on... – wyjąkała – bo on ujawni całą moją przeszłość. Powiedział, że mnie zniszczy, jeśli nie zrobię tego, czego żąda.

– Ute, to już się nie liczy – rzekł Paluzzi. – To już się stało. Wiemy o twojej przeszłości. Masz tylko jedno, jedyne wyjście: musisz nam pomóc.

– Nie. Nie mogę – powtórzyła.

– Pomyśl o synu. Pomyśl, co się z nim stanie, gdy dostaniesz dożywocie za udział w zamachu terrorystycznym. Zabiorą go do sierocińca i nigdy go już nie zobaczysz. Chciałabyś, aby tak się stało?

Zaległo milczenie. Uta Rietler walczyła ze sobą. Wreszcie podniosła wzrok.

Jest pod wozem transmisyjnym. Przylepiłam pod podwoziem. Wóz stoi niedaleko głównego wejścia – powiedziała niemal szeptem.

Whitlock wybiegł do salonu, aby natychmiast zawiadomić Philpotta.

– Nie wiem, co to jest, możecie mi wierzyć – powiedziała łamiącym się głosem. – Tony powiedział tylko, że ktoś to zabierze, jeszcze dziś. Nic więcej nie wiem.

– A skąd znasz Tony’ego?

– Poznałam go w Rzymie, jakieś osiem lat temu, kiedy zamieszkałam tam u przyjaciół moich rodziców, po tym jak matka i ojciec zginęli w wypadku samochodowym niedaleko Bonn. Spotkałam go na jakimś wiecu Czerwonych Brygad. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Tak przynajmniej wtedy mi się wydawało. Później jednak przekonałam się, że takich jak ja – naiwnych – miał na pęczki. Tymczasem spotykaliśmy się i po paru miesiącach okazało się, że jestem w ciąży. To mnie otrzeźwiło. Nie chciałam, aby moje dziecko wychowało się wśród terrorystów... Pragnęłam dla niego prawdziwego domu. Tony, owszem, mówił, że rozumie i że w ogóle, ale twierdził też, że nie może porzucić Brygad, że jego miejsce jest wśród towarzyszy. Postanowiłam wtedy rozpocząć nowe życie. Zerwać z tym wszystkim, zacząć od początku, aby oszczędzić mojemu synkowi Brunowi rozczarowań. Przy pomocy Tony’ego zainscenizowałam wypadek, że niby zginęłam w czasie rejsu jachtem po Adriatyku. Taki też werdykt wydała Izba Morska. Uznano mnie za zaginioną bez wieści. Tony wystarał mi się o nowe papiery, zmieniłam kolor włosów, zrezygnowałam

z okularów, sprawiłam sobie szkła kontaktowe. Przeprowadziłam się do Szwajcarii. Podjęłam pracę w ZRF, a resztę już znacie... Nie spotykałam się z Tonym, nie słyszałam nawet o nim i tak było przez wiele lat, aż w zeszłym tygodniu zatelefonował nagle do mnie i poprosił o pomoc. Powiedziałam mu, że nie chcę mieć nic wspólnego z Czerwonymi Brygadami, żeby zostawił mnie w spokoju. Na to on powiedział, że jeśli się nie zgodzę, to ujawni we wszystkich gazetach, w całej Europie, moją prawdziwą przeszłość. Jestem osobą dość znaną i zdawałam sobie sprawę, że na taką sensację rzuci się cała brukowa prasa, więc co miałam zrobić? Nie pozostawił mi żadnego wyboru. Wczoraj zgłosiłam się do niego do hotelu. W recepcji czekała na mnie paczka. W środku był taki metalowy pojemnik, przypominał cygaro. Nie miałam pojęcia, co to jest, ale wzięłam i ukryłam go pod wozem transmisyjnym, tak jak mi kazał. – Zamilkła i tylko łyzy potoczyły się po jej policzkach. – Ale nie zabierzecie mojego Bruna do sierocińca? – spytała błagalnie.

– Nie – rzekł Paluzzi. – I jeszcze jedno – dodał już od drzwi – postaram się, żeby prasa dała pani spokój.

Uśmiechnęła się smutno i ukryła twarz w dłoniach. Płakała, Whitlock czekał w sąsiednim pokoju. Patrzył przez okno, jednak myślami błądził zupełnie gdzie indziej.

– Idziemy?

– Jestem gotów. Jak poszło? – zapytał, gestem głowy wskazując sypialnię.

– Opowiem ci po drodze – odparł Paluzzi.

Wyszli zamykając za sobą drzwi. Whitlock spojrzął na zegar. Była szesnasta czterdzieści sześć.

Philpott skontaktował się z Grahamem i Markiem i polecił im odszukać fiolkę. Vlok oddał im do dyspozycji jeden z samochodów obsługi technicznej Centrum. Marco zasiadł za kierownicą. Graham obok niego. Ruszyli na parking, gdzie gęsto stały telewizyjne wozy techniczne. Kierowali się w stronę głównej bramy, bacząc na znaki ZRF. Nie znaleźli. Zapytali strażnika. Ten wziął plik papierów z dyżurki, chwilę przeglądał i pokazał im na planie miejsce tuż za parkingiem, na trawniku. Zawrócili, kierując się między wozy transmisyjne, ale dalej nie sposób było jechać: drogę blokowała płatanina kabli. Wskoczyli z auta. Pędem ruszyli w stronę białego wozu z czarnymi literami ZRF. Marco rozejrzał się, czy nikt nie widzi i wślizgnął się pod samochód. Graham sprawdzał już błotniki i progi. Zakładał, że Ute Rietler ukryła pojemnik gdzieś w stosunkowo łatwo dostępnym miejscu – nie wczolgiwała się przecież pod samochód.

Usłyszeli nagle jakieś głosy. Zamarli. Paru techników z ekipy ZRF weszło do wozu. Graham dał znak Marcowi, aby zaczął sprawdzanie podwozia od strony maski, on sam

natomiast zajmie się stroną przeciwną. Marco przeczołgał się w wyznaczone miejsce. Graham wyjął latarkę i zaczął skrupulatnie przeglądać zakamarki wewnątrz błotników i nad osi. Znow otworzyły się drzwi wozu. Graham wyłączył latarkę. Ktoś wyszedł i zatrzymał się na zewnątrz, kilkanaście ledwie centymetrów od miejsca, gdzie leżał Graham. Padły jakieś słowa po niemiecku i Graham zobaczył, jak na ziemię spada paczka papierosów. Mike leżał bez ruchu, bojąc się, że lada chwila zostaną odkryci i zanim sprawa się wyjaśni, miną cenne minuty i wybije godzina piąta.. W prześwicie między podwoziem a trawnikiem ujrzał rękę. Właściciel na szczęście nie schylił się niżej. Ręka wzięła papierosy, kroki się oddaliły. Graham odetchnął z ulgą i włączył latarkę. Wyciągnął szyję, żeby dokładnie obejrzyć przestrzeń wewnątrz błotnika. Usłyszał cichy gwizd. Sygnał od Marca. Spojrzał w jego stronę. Marco znacząco poklepał się po kieszeni kombinezonu.

– Masz? – szeptem zapytał Graham.

– Była za przednim chlapaczem.

Wyczołgali się spod wozu i właśnie podnosili się z ziemi, gdy nagle znow ktoś stanął w drzwiach wozu transmisyjnego. Patrzył i nich podejrzliwie.

Marco spokojnie otrzepał kombinezon z trawy i ze smutkiem pokiwał głową.

– Sprawdziłszy – rzucił. – Podwozie całe przerdzewiałe, musicie oddać wóz do przeglądu.

Człowiek oniemiał, nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Nie protestował, gdy Marco z Grahamem ruszyli w swoją stronę. Po paru krokach zaczęli biec. Dotarli do swego samochodu.

– Mamy tylko dziewięć minut, aby dostać się na dach, na lądowisko helikopterów. Nie zdążymy, jeśli pójdziemy bocznym wejściem. Jedź pod główne – powiedział Graham.

– Nie damy rady przejść przez bramkę z wykrywaczem metali. Straż nas zatrzyma.

– Nie mamy wyjścia, musimy przejść, bo inaczej będzie za późno.

Marco nacisnął gaz, na pełnej szybkości przejechał przez parking i z piskiem opon zastopował przed głównym wejściem.

– Leć do przodu. Nie zatrzymuj się. Kieruj się w stronę schodów. W żadnym wypadku nie bierz windy. Windę mogą zatrzymać między piętrami – krzyknął Graham.

– A co z tobą?

– Zajmę się ochroną. Ktoś musi! Pędź i nie oglądaj się na nic.

Marco kiwnął głową. Graham poklepał go po ramieniu, wyskoczyli z samochodu i wbiegli w drzwi. Marco pierwszy, za nim Graham. Gdy przechodzili przez bramkę, zapaliło się czerwone światło i zajęczał dzwonek alarmu. Strażnicy poderwali się

z miejsc. Marco gnał przed siebie. Padły ostrzegawcze okrzyki. Graham całą mocą natarł na ochroniarza, który wyciągnął broń. Wybił mu pistolet z dłoni i obaj zwalili się na posadzkę. Graham poderwał się pierwszy. Podniósł w biegu broń strażnika i pognał na schody za partnerem. Straż wezwała pomoc przez radio. Zresztą niewiele więcej mogli zrobić. Nie chcieli strzelaniny w zatłoczonym hallu, a poza tym Graham znikł już na schodach. Pędem wbiegł na piąte piętro. Przystanął, aby złapać oddech. Ze zdziwieniem zorientował się, że nikt go nie goni. Pobiegł dalej. Na dziesiątym znów się zatrzymał. W dalszym ciągu żadnego pościgu. Może to oznaczać tylko jedno: ochrona postanowiła przechwycić ich przy wyjściu na lądowisko na dachu. Ale skąd mogli wiedzieć, dokąd obaj z Markiem zmierzają? Na wszelki wypadek wyjął broń i dopiero wtedy uchylił drzwi zamykające wyjście na dach.

Cisza.

– Michael? – usłyszał po chwili.

Poznał Kolczyńskiego. On jeden zresztą nazywał go „Michael”.

– Michael, to ty? – Kolczyński zawołał jeszcze raz.

Graham przetarł spocone czoło i wyszedł na zewnątrz. Obok Kolczyńskiego stał Marco i Vlok. Ten ostatni mówił coś do radiotelefonu.

– Obaj z Vlokiem pomyśleliśmy – zaczął wyjaśniać Kolczyński – że pewnie zdecydujecie się na główne wejście, bo nie będzie już czasu na krążenie wokół budynku. Gdy więc nadszedł meldunek, że dwóch osobników w kombinezonach obsługi technicznej wdarło się na schody, byliśmy pewni, że to wy, i Vlok nakazał odwołanie alarmu, aby wam nie przeszkadzano.

– A więc niepotrzebnie tak się bałem na schodach. Zrobiłeś mi numer, Siergiej – zaśmiał się Graham.

– Ale za to ustanowiłeś rekord, Michael. W cztery minuty wbiegłeś na dziesiąte piętro. Gratuluję – rzekł Kolczyński sprawdzając czas. – Na przyszłość korzystaj jednak z windy. Mniej się zmęczysz.

– Dzięki za radę.

– Nie ma za co – uciął Kolczyński i poszedł zatelefonować do Philpotta.

– Zapraszam – rzekł Calvieri do Sabriny. – Zaraz się zacznie – gestem wskazał jej krzesło przed telewizorem.

– Dziękuję, nie skorzystam. Im dalej od was, tym lepiej. Powietrze czystsze – odparła wydymając usta.

– Podoba mi się, że nie tracisz humoru nawet w obliczu klęski. – Calvieri rozsiadł się przed ekranem i niecierpliwie zacierał ręce. – Dwa lata czekałem na tę chwilę. Całe dwa

lata – powtórzył – od kiedy PCI sprawuje władzę. Marzyłem o tym, co się teraz stanie: Bellini upokorzy się przed całym światem.

– Piąta – rzekł Ubrino, spoglądając na zegarek. – Zaraz się zacznie – cieszył się jak dziecko przed rozpoczęciem spektaklu.

– Brakuje tylko papierosów – westchnął Calvieri.

– O rany, jak chce mi się palić – zawtórował Ubrino i z niechęcią wziął w usta pastylkę miętową z torebki, którą znaleźli w jednej z szuflad.

Nie odrywali oczu od ekranu. W drzwiach sali konferencyjnej pokazał się... prezydent Szwajcarii. Niespiesznie przeszedł do stołu prezydalnego i przez dłuższą chwilę patrzył na tłum dziennikarzy. Błysnęły flesze fotoreporterów, zaterkotały kamery kronik filmowych, podniosły się dziesiątki rąk, rozległy się niecierpliwe pytania. Prezydent dał znak, że prosi o ciszę. – Panie i panowie – zaczął – chciałbym na wstępie podziękować za tak liczną obecność na naszej konferencji prasowej. Zaprosiłem państwa po to, aby oficjalnie zdementować pogłoski, jakoby premier Włoch, pan Enzo Bellini, zamierzał podać się do dymisji z uwagi na zły stan zdrowia. To prawda, że *Signore* Bellini nie czuł się najlepiej dziś rano, stąd jego nieobecność na inauguracyjnej sesji i, jak sądzę, późniejsze pogłoski, ale było to zwykłe przeziębienie i pan Bellini ma się już znacznie lepiej. Rychło przystąpi do wykonywania swoich obowiązków, tymczasem zaś za moim pośrednictwem deklaruje, że nie nosił się i nie nosi z zamiarem złożenia urzędu...

– Co on opowiada – wrzasnął Calvieri, nie odrywając wzroku od ekranu. Przetarł nerwowo usta. Wargi miał wyschnięte na papier. – Bellini musi ustąpić. Taka przecież jest umowa!

Zadzwoił telefon.

Calvieri rzucił się do słuchawki, przewracając po drodze krzesło.

– Pomyślałem sobie, że powinien pan najpierw zobaczyć przynajmniej początek konferencji prasowej... – rzekł Philpott.

– Co to za gra, Philpott? – warknął Calvieri ciężko dysząc. – Zdaje pan sobie sprawę, co się stanie, jeśli moje żądania nie zostaną spełnione. Zrobił pan błąd, pułkowniku, błąd, który będzie pana drogo kosztował...

– Nie sądzę. Mamy fiołkę.

– Znaleźliście? – Calvieri zmrugał oczy. – A gdzie, jeśli wolno spytać?

– W warsztacie, na dole.

Calvieri wybuchnął śmiechem.

– Podejrzewaliśmy jednak, że to pułapka, więc szukaliśmy w dalszym ciągu i dzięki pomocy panny Rietler, czy raczej *Fräulein* Dannhauser, bo przecież pod tym nazwiskiem

figuruje w pańskim notatniku, znaleźliśmy co trzeba.

Calvieri zbladł i jak chory człowiek opadł ciężko na krzesło.

– Piętnaście minut temu nasze laboratorium potwierdziło zawartość fiolki – Philpott blefował, ale czynił to całkiem świadomie. Musiał. Nie miał innego wyjścia. Trzeba było wszystko postawić na jedną kartę. – Nasi specjaliści stwierdzili, że fiolki zawiera hodowlę niezwykle niebezpiecznych wirusów. W laboratorium nie próbowano nawet rozbroić ładunku wybuchowego, zamontowanego na zewnętrznym pojemniku, w obawie przed ewentualną eksplozją. Wyjęto tylko próbkę, ale pańska broń, Calvieri, nie jest już groźna.

To jeszcze nie koniec, pułkowniku – rzekł Calvieri ochryłym głosem. Wierzchem dłoni przetarł krople potu na czole.

Niech pan nie zapomina, że mamy Sabrinę. To nasza polisa ubezpieczeniowa. I niech pan nas nie lekceważy. My naprawdę nie mamy nic do stracenia. Zwłaszcza teraz.

– Uprzedzam pana, Calvieri. Jeśli Sabrinie spadnie choć jeden włos z głowy...

– Nic jej się nie stanie, pod warunkiem że spełni pan żądania. Jakie? Zawiadomię pana za chwilę, musimy przeanalizować sytuację. Tymczasem ostrzegam, żadnych numerów, żadnych prób wdzierania się do naszego pokoju, chyba że chce pan mieć Sabrinę na sumieniu. – Calvieri odłożył słuchawkę. Wyglądał jak człowiek, któremu odebrano wszelką nadzieję. Przecierał oczy, jakby nie widział, co się dzieje wokół. Spojrzał wreszcie na Ubrina. – Znaleźli Helgę – powiedział.

– Jak to?! – zawołał Ubrino. – Mówiłeś przecież, że jest czysta, że do kogo jak do kogo, ale do niej nigdy nie dotrą.

– Nie musisz mi przypominać, co mówiłem – uciął. Zaczął nerwowo kręcić w palcach kosmyk włosów. – Znaleźli jej nazwisko i telefony w starym notatniku, w skrytce pod podłogą. Nie miałem pojęcia, że zapisałem kiedyś jej dane. Sądziłem, że zatarłem wszelkie ślady, i to wiele lat temu. O Boże, co ja narobiłem!

– To koniec, Calvieri. Cały twój kunsztowny plan wart jest funta kłaków – Sabrina zaśmiała się, nie kryjąc satysfakcji. – Jesteś skończony, Tony. Lepiej zrobisz, jeśli od razu się poddasz. Nie masz już na co liczyć, a już szczególnie nie licz na te swoje Brygady. W Brygadach nie toleruje się przegranych, dobrze mówię?

– *Sta zitta!* – milcz – wrzasnął Ubrino, wyciągając pistolet zza pasa.

– Daj jej spokój – mitygował go Calvieri. – Będzie potrzebna, żeby się stąd wydostać.

– Myślisz, że to już koniec? A może tylko grają na czas? Gdyby grali na czas, to przełożyliby konferencję prasową. Tamta gra już skończona. Mają fiolkę i teraz już nie ustąpią.

– No to, do cholery, naciśnij ten zapalnik!

Calvieri wyjął przekaźnik z kieszeni i z namysłem obracał w dłoni.

– To nic nie da. Wyjęli fiolkę z pojemnika, więc po co wywoływać eksplozję?

– Skąd wiesz, że wyjęli. Może tylko tak mówią? Może blefują. Weź, naciśnij ten cholerny zapalnik. Nie mamy już nic do stracenia. No, zaczynaj!

– Nie! – krzyknął Calvieri. Wzrok mu płonął. – Zbyt długo pracowałeś z Zocchim, Ubrino! Jeśli nawet fiolka jest ciągle na swoim miejscu, to co zyskamy zabijając miliony niewinnych ludzi? Nic. Absolutnie nic!

Ubrino zerknął na Sabrinę.

– A więc to ona miała rację. Nigdy nie zamierzałeś nacisnąć tego guzika, co?

– To prawda – rzekł ponuro Calvieri. – Ale oni tego nie wiedzieli. Gdyby było inaczej, to od razu odrzuciliby nasze żądania. Chciałem ich przycisnąć do muru i prawie mi się to udało, rozumiesz?

– Ufałem ci, Tony, a ty mnie zdradziłeś. Oszukałeś mnie, Calvieri – Ubrino wycelował berettę prosto w przyjaciela. – Daj mi ten przekaźnik.

– Po moim trupie – odrzekł Calvieri mocnym głosem. – Musiałbyś mnie zabić, a tego przecież nie zrobisz. Nie zrobisz, bo jestem ci potrzebny, Ubrino. Ktoś musi za ciebie myśleć, bo sam niczego nie ogarniasz. Jesteś tępy, głupi jak but.

Ubrino zmarszczył brwi. Widać było, że coś pilnie rozważa. Wreszcie opuścił pistolet.

– Kiedy tylko stąd wyjdziemy...

– ...to wtedy mnie wykończysz – uzupełnił Calvieri. Wzruszył ramionami i sięgnął po telefon, aby porozmawiać z Philpottem.

– I co powiedział, szefie? – spytał Whitlock, gdy tylko Philpott odłożył słuchawkę.

– Chce, aby za dwadzieścia minut podstawić mu helikopter. Odleca, zabierając Sabrinę jako zakładniczkę – wyjaśnił Philpott i zaczął wydawać niezbędne rozkazy. – Paluzzi, uda się pan ze swoimi ludźmi na lądowisko i dopilnuje, aby nie było tam innych maszyn poza naszą. Dieter – zwrócił się do Vloka – pójdiesz z nimi, żeby nie dopuścić do żadnej wpadki.

Włosi i Vlok wybiegli z gabinetu.

– Siergiej, sprawdzisz z Grahamem piąte piętro, jest co prawda zabezpieczone, ale chcę mieć absolutną pewność, że nie będzie żadnych przeszkód.

– Tak jest – Kolczynski z Grahamem opuścili gabinet.

– Reinhardt – polecił Philpott Kuhlmannowi – twoje zadanie polega na zabezpieczeniu wind. Wystaw posterunki na wszystkich piętrach, poza piątym, aby

Calvieri z Ubrinem mogli błyskawicznie przejechać na dach.

- Zaraz się tym zajmę – potwierdził Kuhlmann i wyszedł.
- A ja? – niecierpliwił się Whitlock. – Co ja mam robić?
- Jeśli dobrze pamiętam, to zawsze marzyłeś o tym, aby pilotować helikopter...

Zadzwoił telefon. Calvieri podniósł słuchawkę.

- Spóźnia się pan, pułkowniku – rzekł zgryźliwie.
- Postawił pan skomplikowane zadania.
- Śmigłowiec gotowy?
- Czeka na dachu.
- Winda?
- Jest na piątym piętrze.
- Niech pan pamięta, jeden podejrzany ruch z waszej strony...
- ...i koniec z Sabriną. Już mi pan to mówił – uciał Philpott.
- Jeśli umowa zostanie dotrzymana, uwolnimy Sabrinę, gdy tylko dotrzemy do celu.

Zatelefonuję do pana rano do hotelu powiadomię, gdzie będzie pan mógł ją odebrać, a tymczasem *ciao*, pułkowniku. – Calvieri odłożył słuchawkę. – Zabieraj! – polecił Ubrinowi.

- Sam ją sobie zabieraj – obraził się Ubrino.
- Nie kłóćcie się, chłopcy – powiedziała Sabrina wstając miejsca.

Ubrino chwycił ją za ramię i przystawił lufę beretty do karku. Calvieri otworzył drzwi, wziął Sabrinę za drugie ramię i cała trójka wyszła na pusty korytarz. Wokół panowała przejmująca cisza. Ubrino jeszcze mocniej chwycił Sabrinę za ramię i pchnął w stronę otwartej windy. Calvieri trzymał broń w pogotowiu, uważnie obserwując cały korytarz. Liczył się z tym, że za każdymi drzwiami może się kryć niebezpieczeństwo. Nie wykluczał próby odbicia zakładniczki, choć z drugiej strony opierał się na założeniu, że Philpott dotrzyma umowy. On sam dotrzymywał umów tylko o tyle, o ile służyło to jego własnym celom. Dochowywał wierności tylko SPRAWIE. Wszystko inne nie miało dlań żadnego znaczenia. Zerknął na Ubrina. Znał go dobrze i wiedział, że lata współpracy z Zocchim wywarły nań wielki wpływ. Ubrino był groźny, a zwłaszcza w sytuacji, w jakiej się znaleźli. Calvieri zdawał sobie sprawę, że Ubrino nie będzie się wahał i wykończy go, gdy tylko helikopter wystartuje. Ale wiedział też, że jeszcze przez dobrą chwilę są sobie wzajemnie potrzebni. Z dawnej przyjaźni został tylko chwilowy interes.

Weszli do windy. Ubrino nie opuszczał broni. Lufę beretty przyciskał do karku Sabriny. Calvieri jeszcze raz obrzucił baczny spojrzeniem cały korytarz. Ruszyli.

Whitlock siedział za sterami śmigłowca. Miał na sobie czapkę pilota, którą dostał od Emila. Obserwował windę. Gdzie oni się podziewają?

Zadanie, jakie wyznaczył mu Philpott, jedynie z pozoru było proste: uratować Sabrinę. Ma zrobić wszystko, aby wyszła z tego cała i zdrowa. Oznaczało to, że będzie musiał zabić co najmniej jednego z terrorystów, a może nawet obu. Z dwójki porywaczy Ubrino był znacznie bardziej groźny – zawodowy morderca i psychopata. Calvieri wydawał się mniej niebezpieczny. Owszem, nosił pistolet, ale wiadomo było skądinąd, że sam nigdy nie strzela. Robią to za niego wierni *Brigatisti*, tacy jak Ubrino. Whitlock sprawdził browning i raz jeszcze uważnie obrzucił wzrokiem całe lądowisko. Niecierpliwiał się. Nad Bernem zapadał mrok. Na lądowisku zapalono już światła nawigacyjne. Powiewała wieczorna bryza... Gdzież oni się podziewają?

Nagle otworzyły się drzwi do windy i wychylił się Calvieri. Uważnie obejrzał lądowisko i dał znak Ubrinowi, że można wychodzić. Wyszli trójką. Ubrino trzymał Sabrinę. Whitlock przygryzł wargi. Trudny strzał. Wystarczy chybić o centymetr, a Ubrino ujdzie z życiem, pocisk zaś dosięgnie Sabrinę.

Calvieri machnął ręką w stronę płatów śmigła, dając znak, że życzy sobie, aby natychmiast uruchomiono silniki. Whitlock nacisnął starter dokładnie tak, jak poinstruował go Emil. Dwójka terrorystów z zakładniczką podeszła do maszyny. Byli o dziesięć, a może mniej kroków od Whitlocka, który zacisnął palce na browningu. Pocił się. Calvieri szarpnął za drzwi do kabiny i najpierw sprawdził, czy we wnętrzu nie kryje się ktoś jeszcze, a następnie wskoczył. Ubrino popchnął Sabrinę do drzwi. Calvieri chwycił ją za ramię, aby wciągnąć do środka. Ubrino jeszcze raz rozejrzał się dookoła i ruszył jej śladem. W tym momencie Sabrina wymierzyła mu potężnego kopniaka. Trafiła w skroń. Ubrino zważył się na lądowisko, zaskoczony nagłym atakiem. Beretta wypadła mu z ręki. Whitlock wymierzył z browninga w Calvieriego, ale kątem oka zobaczył, że Ubrino wstaje i chwyta za pistolet. Zawahał się. Trwało to ułamek sekundy, jednocześnie bowiem Sabrina napała mocno na Calvieriego. Wbiła mu łokieć pod żebra i przycisnęła do ściany kabiny. Calvieri jęknął z bólu i wypuścił broń z ręki. Whitlock kopnął drzwi od strony miejsca pasażerskiego i z odległości metra strzelił prosto w twarz Ubrina, gdy ten podnosił pistolet, celując w Sabrinę. Strzał był celny. Ubrino padł martwy na lądowisko. Whitlock odwrócił się i zaszachował Calvieriego. Sabrina dokończyła dzieła, wykopując z kabiny broń terrorysty.

W drzwiach prowadzących na klatkę schodową mignęły sylwetki Grahama i Paluzziego. Biegli do maszyny, a za nimi podążał Philpott, Kolczynski i Kuhlmann. Graham podniósł obie beretty i gestem kazał Calvieriemu opuścićabinę. Calvieri wyskoczył z maszyny i wolno podniósł ręce do góry. Paluzzi zrewidował go z wprawą

doświadczony policjanta, rekwirując przekaźnik zapalnika i klucz do kajdanek. Rozkuł Sabrinę, a następnie pomógł jej wysiąść z helikoptera. Sabrina odebrała od Grahama swoją berettę i wsunęła ją do kabury pod lewym ramieniem.

Whitlock wyłączył silniki i też wysiadł.

– Nic ci nie jest? – zatroszczył się o Sabrinę.

– W porządku – masowała obolałe od kajdanek przeguby. – Dziękuję ci, C.W.

Whitlock uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i podszedł do Philpotta.

– Dobra robota, C.W.

– Dziękuję, szefie.

– Zakujcie go – rozkazał Philpott, gestem wskazując Calvieriego.

Zostawcie mi tę przyjemność – Sabrina wzięła kajdanki od Paluzziego i zacisnęła je na rękach swego niedawnego prześladowcy.

– Poproszę papierosa – odezwał się Calvieri, patrząc błagalnie na Kolczyńskiego. – Nie paliłem od południa.

Kolczyński wyjął paczkę papierosów, zapalił i wsunął jednego w usta terrorysty. Calvieri zaciągnął się głęboko, po czym podniósł zakute dłonie i oburącz wyjął papierosa z ust.

– Nie będę sam brał wszystkiego na siebie – rzekł zwracając się do Philpotta. – Jeśli się pośpieszycie, to zastaniecie jeszcze Nikkiego Karosa w jego domu, na Korfu.

– Karos żyje? – zdziwił się Paluzzi. – To absurd. Widzieliśmy z Grahamem na własne oczy, jak go załatwiono.

– To był trick, widowisko na wasz użytek.

– Dom jest pod obserwacją...

– I Karos o tym wie – uciał Calvieri. – Właśnie dlatego Boudien zwolnił całą służbę, żeby wszyscy myśleli, że Karos nie żyje.

– Ale przecież widzieliśmy, jak go zabito – wtrącił Graham.

– Nie mam pojęcia, jak to rozegrał, ale daję słowo, że Nikki Karos żyje. Wiem, bo rozmawiałem z nim przez telefon jeszcze dziś rano.

– Sprawdzisz to z Sabriną – polecił Philpott Grahamowi. – Polecicie z Emilem.

– Ja popilotuję śmigłowiec – zaoferował się Kolczyński. – Emil nie ma doświadczenia operacyjnego. Jeśli Karos rzeczywiście żyje, to może dojść do strzelaniny.

– W porządku. Zgadza się – rzekł Philpott po chwili zastanowienia, a następnie wziął Whitlocka i Paluzziego na bok.

– Kuhlmann daje nam dwie godziny na przesłuchanie Calvieriego, później musi go oddać w ręce prokuratora. Spróbujcie wycisnąć z niego, co tylko się da.

– Gdzie możemy go przesłuchać?

– Zabierzcie go do gabinetu Vloka.

– A co z nim? – Whitlock miał na myśli ciało Ubrina.

– Zaraz przybędą przedstawiciele miejscowej policji. Zajmiemy się nimi. W tymczasem zabierzcie Calvieriego, żeby nikogo nie kłuł w oczy.

Whitlock z Paluzzim otoczyli Calvieriego i po chwili cała trójka zniknęła na schodach.

Kolczyński zerknął na zegarek. Wypluł papierosa i zgniótł niedopałek obcasem.

– Czeka nas długi lot – powiedział – więc nie traćmy czasu.

– Ile godzin zajmie podróż na Korfu? – spytała Sabrina.

– Ile godzin? Ty będziesz moim nawigatorem, więc sobie sama policz.

Sabrina spojrzała wymownie na Grahama i nic już nie mówiąc, zajęła miejsce w kabinie. Kolczyński zasiadł za sterami.

– Niech pan siada – Whitlock wskazał Calvieriemu fotel biurkiem Vloka.

– A to? – Calvieri wyciągnął ręce zakute w kajdanki.

– To? Nam nie przeszkadza.

– A mnie tak. Więc albo mi to zdejmiecie, albo...

– ...albo co?

– Nic. Nie będę mówił. Oddajcie mnie w ręce prokuratora.

– Za dwie godziny.

– Dlaczego? A tymczasem...

– ...tymczasem zaprotokołujemy pańskie zeznania. Radzę niczego nie ukrywać.

– A co z tego będę miał? Nie przypuszczam, aby mnie sąd uniewinnił.

– Co to, to nie, ale może nieco lżejszy wyrok – powiedział Whitlock.

– Dwadzieścia pięć zamiast dożywocia. Żadna różnica!

Paluzzi wsparł się na biurku i spojrzał głęboko w oczy Calvieriego.

– Słuchaj, Tonino – powiedział. – Tak czy inaczej, dożywocie czy dwadzieścia pięć, sporo z tego odsiedzisz we Włoszech. Wiesz, jak to jest w pudle, prawda? Będziesz potrzebował pomocy, kumpli, kolegów, bo inaczej nie przetrwasz. Wiesz także, że wystarczy jeden mój telefon, a trafisz do kicia, w którym będziesz sam, sam, jak palec, bo postaram się, żebyś nie miał tam nikogo z Czerwonych Brygad. Pójdiesz do celi, gdzie będą, na przykład, faceci z organizacji neofaszystowskich. Zdajesz sobie sprawę, jak to będzie, Tonino? Wiesz, co oni mogą ci zrobić? I nikt palcem nie ruszy, żeby cię wybronić.

– W porządku, Paluzzi! Co jak co, ale wiesz, jak przemówić człowiekowi do rozumu. Robimy interes.

– Zaraz przyniosę coś do pisania.

– I papierosa.

– Zobaczą, co się da zrobić w tej sprawie. – Paluzzi wyszedł do sekretariatu.

– Jednego nie rozumiem – rzekł Whitlock. – Jak to się stało, że wszedł pan w układ w Karosem? Jesteście tak do siebie niepodobni, że...

– To nie był układ, ale czysty interes. Mnie potrzebny był kapitał na sfinansowanie operacji, on zaś potrzebował gotówki, aby zniknąć i rozpocząć nowe życie. Nie znam szczegółów, ale wygląda na to, że Karos czuł się zagrożony i wiedział, że jeśli nie zniknie, to rywale go wykończą.

– I wtedy zainscenizował własną śmierć, i to w obliczu przedstawicieli władzy, żeby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości?

– Właśnie. Urządził wszystko tak, aby nikt go nie ścigał, gdy zniknie z Korfu.

– Ale co miał dostać za sfinansowanie waszej operacji?

– Dwadzieścia baniek.

– Skąd? Żądaliście stu milionów do podziału między pięć organizacji terrorystycznych... Ach, rozumiem, w istocie było tylko czterech udziałowców. Pozostałe dwadzieścia milionów funtów miało przypaść Karosowi!

– Dokładnie tak. Niemiecka Frakcja Czerwonej Armii faktycznie nie brała udziału w tym wszystkim. Pieniądze przeznaczone rzekomo dla nich miał wziąć Karos.

– A kto wynajął braci Francia?

– Karos. To byli jego ludzie. Ja ich nawet nie znałem. Raz tylko rozmawiałem z Carlem przez telefon, kiedy chodziło o pozorny zamach w Wenecji. Wymyśliliśmy to, aby odsunąć ode mnie wszelkie podejrzenia.

Whitlock pokiwał głową.

– Jeszcze jedno. W jaki sposób zdołał pan ostrzec Ubrina, że Mike, Sabrina i Fabio zamierzają dobrać się do niego, gdy przebywał w chacie w górach?

– To proste. Mieliśmy kontakt radiowy. Wywołałem go z hotelu i tyle. A pan – Calvieri też miał kilka pytań – pan to Anderson, zgadłem? Tak mi się wydawało, gdy tylko zobaczyłem pana na lądowisku. Znałem pański rysopis. A proszę mi powiedzieć, kto to był Yardley?

– Nie wiem, o kim pan mówi – skłamał Whitlock bez zmruczenia oka.

– Jasne – mruknął Calvieri i nie pytał już o nic więcej, zresztą właśnie wrócił Paluzzi, niosąc plik papieru, paczkę papierosów i zapalniczkę. Położył to wszystko na biurku przed Calvierim i zdjął mu kajdanki.

– Pisz zeznanie, Tonino – zachęcił go.

Podróż z Berna na Korfu trwała w sumie pięć i pół godziny, wliczając w to trzykrotne lądowania w celu uzupełnienia paliwa.

Tuż przed dotarciem do celu Kolczyński obniżył lot i nad lagunę Khalikiopoulos wyszli na pułapie paru ledwie metrów. Sabrina z Grahamem nałożyli na twarze warstwę kremu maskującego. Ubrani byli w czarne kombinezony, które pobrali po drodze z magazynów UNACO w Zurychu. Sabrina wcisnęła na głowę czarną kominiarkę, aby ukryć blond włosy.

– Gotowi? – spytał Kolczyński.

– Tak jest – odparła Sabrina, repetując broń.

– Ile mamy jeszcze minut? – spytał Graham, wsuwając magazynek do beretty.

– Niecałe dwie.

– Jesteś pewien, że dom nie jest strzeżony? – upewniła się Sabrina.

– Tak przynajmniej wynika z meldunku – rzekł Kolczyński. – W ciągu ostatnich paru dni widywano tylko Boudiena.

Graham przypiął radiotelefon do pasa.

– A ja coś czuję, że z tym Karosem to pułapka – mruknął.

– Ale dlaczego Calvieri miałby nas wyprowadzać w pole? – Sabrina nie podzielała wątpliwości partnera.

– Też nie wiem, lecz na własne oczy widziałem, jak Karos dostał całą serię i zwałił się w przepaść. Nie pojmuję, jak mógłby z tego wyjść cało.

Kolczyński położył maszynę w ostry wiraż i w chwilę później śmigłowiec usiadł na lądowisku przed rezydencją Karosa.

– Pamiętaj – rzucił Graham wysiadając – jeśli nie damy znać w ciągu trzydziestu minut, to przylatujesz i rozpoczynasz ogień.

– Tak jest, ale liczę, że wam się uda.

Sabrina wyskoczyła za Grahamem. Zatrzasnęli drzwi do kabiny. Helikopter natychmiast wystartował i po chwili zniknął z pola widzenia. Kolczyński skierował się na plażę, gdzie w ukryciu miał czekać na wiadomość.

Dwójka agentów tymczasem zaczęła się skradać do rezydencji Karosa. Postanowili podejść od strony gaju oliwnego. Gęstwina dawała doskonałe ukrycie i nikt z okien willi nie mógł ich widzieć, ale gaj kończył się jakieś trzydzieści metrów przed domem. Dalej rozciągał się tylko trawnik, a za nim widać było cztery potężne, betonowe kolumny, na których wspierała się budowla. Zatrzymali się, aby zdecydować, jak postąpić dalej. Wedle meldunków z obserwacji do wnętrza willi można się dostać wyłącznie windą.

Szyb windy zbudowano na ścianie budynku. Klatka była przeszklona, a więc nie dawała żadnego ukrycia. Mieszkańcy domu, kimkolwiek byli, mieliby ich jak na dłoni. Graham zasugerował, aby wspiać się po betonowych kolumnach, okazało się to jednak niewykonalne, kolumny bowiem zabezpieczono gęsto wmurowanymi odłamkami szkła. Sabrina była zdania, że można zarzucić linę na taras na dachu i wspiać się na samą górę, ale to też okazało się niemożliwe z uwagi na system alarmowy. Koniec końców zdecydowali się na windę.

Graham pobiegł pierwszy, chyżo przemierzając trzydzieści metrów otwartej przestrzeni między gajem oliwnym a willą. Sabrina posuwała się tuż za nim. Stali z bronią gotową do strzału czekając, aż kabina zjedzie. Wsiedli. Włączyli przycisk pierwszego piętra. Tam chcieli rozpocząć przeczesywanie pomieszczeń. Winda ruszyła. Oboje przykucnęli, szykując się do skoku, gdy tylko zatrzymają się na pierwszym przystanku. Tymczasem winda minęła pierwsze piętro. Nie zatrzymała się także na drugim. Stała wreszcie na trzecim, najwyższym. Nie rozumieli, jak to się stało. Nerwy mieli napięte do ostateczności.

Drzwi się otworzyły. Zobaczyli przed sobą pusty korytarz, tylko nad stalowymi drzwiami zamykającymi przejście do dalszych pomieszczeń błyszczał obiektyw zdalnie sterowanej kamery TV. Ktoś obserwował ich ruchy na monitorach telewizji wewnętrznej, Graham miał już strzelić w obiektyw, gdy stalowe drzwi się rozsunęły, odsłaniając przejście. Również i następne pomieszczenie wyglądało jak wymarłe. Mogła to być pułapka, ale kto mógł ją zastawić? W zasięgu wzroku nie było nikogo. Z bronią gotową do strzału ruszyli w stronę drzwi. Graham przodem, Sabrina osłaniała go od tyłu. I właśnie w tej chwili stało się coś, czego żadne z nich ani nie oczekiwało, ani potrafiło pojąć: oboje padli bez przytomności na podłogę, jakby powaleni ręką niewidzialnego mocarza. Sabrinę odrzuciło aż pod windę, Graham wylądował pod ścianą. W drzwiach stanął Boudien z pistoletem CZ75 w rękę. Potężna sylwetka zapaśnika zasłaniała niemal całe przejście. Jednym ruchem zarekwirował broń obu agentów i spokojnie wsparł się o framugę czekając, aż odzyskają świadomość.

Pierwszy ocknął się Graham. Przetarł oczy i spróbował wstać. Czuł drzenie w całym ciele. Kolana miał miękkie, wzrok zamglony. Spojrzał na Sabrinę. Leżała bez ruchu tuż przy windzie. Martwa? Tak wyglądało to przez sekundę, może dwie. W końcu jednak Sabrina poruszyła się i z bolesnym jękiem usiadła na podłodze. Graham pomógł jej wstać. Boudien dał znak, aby poszli za nim.

Znaleźli się w obszernym, wygodnym salonie, którego bogaty wystrój świadczył o tym, że właściciel musi mieć upodobanie w gadach; ściany zdobiły sztychy z wizerunkami najprzeróżniejszych gatunków węży, wokół stały liczne rzeźby –

drewniane, brązowe, a nawet z porcelany – wyobrażające świat gadów, także dywan utkano w węzowe motywy.

– Ależ proszę, proszę. Zechcą państwo usiąść – zapraszał Karos. Siedział w wygodnym fotelu i gestem ręki wskazał im miejsce na sofie.

Boudien czekał cierpliwie, nie ruszając się z miejsca, i gdy Sabrina z Grahamem zasiedli, podał berettę Karosowi, drugą zatknął sobie za pas. Następnie stanął za plecami przybyszów założył ręce na piersiach.

– Cieszę się, że wyszliście, państwo, z tego bez szwanku – rzekł Karos, kładąc pistolet na kolanach. – Nie byłem do końca pewien, jak działa to moje specjalne urządzenie, nie miałem bowiem okazji sprawdzić, i całkiem poważnie się obawiałem, że impuls elektryczny może się okazać zbyt duży. Gdyby zaś okazał się śmiertelny, to skomplikowałoby to wielce moje plany.

Impuls elektryczny? Tak też mi się wydawało. A jak to się uruchamia? Jakiś automatyczny czujnik? – spytał Graham.

Karos wziął do ręki urządzenie podobne do pilota służącego do zdalnego przełączania kanałów telewizyjnych.

– Zgadł pan – powiedział. – Impuls elektryczny wyzwała się, gdy ukryty w suficie czujnik zareaguje na ciepło ludzkiego ciała, miałem jednak obawy co do dawki prądu. Chodzi o to, że nigdy przedtem nie było konieczności korzystania z tegoż urządzenia, więc nie mieliśmy doświadczenia...

– A urządzenie, które ma pan w rękę, służy do zdalnego programowania windy? – zainteresowała się Sabrina.

– Nie tylko, droga pani, nie tylko – odparł Karos z wyraźną dumą. – To zintegrowany sterownik wszystkich urządzeń elektronicznych w tym domu, także telewizji wewnętrznej. Muszę przyznać, że współczesna technika daje nam naprawdę zdumiewające możliwości.

– A zatem widział nas pan, gdy zbliżaliśmy się do willi?

– Od chwili gdy wylądował śmigłowiec. Całe otoczenie tego domu jest w zasięgu kamer.

– Z pańskiego tonu wnoszę, że nasza wizyta nie była niespodzianką.

– Żadną miarą. Kiedy o piątej nie ogłoszono dymisji premiera Belliniego, zdałem sobie sprawę, że cały plan spełził na niczym. Było też dla mnie jasne, że jeśli Calvieri nie zginął na miejscu, to z całą pewnością ujawni mój udział w przedsięwzięciu, aby ratować własną skórę. Tak więc spodziewałem się, *Miss Carver*, że ktoś się tu zjawi, ktoś z waszej instytucji albo z NOCS. – Karos wstał, wsunął berettę za pas. – Czy mogę państwu zaproponować coś do picia? – zapytał uprzejmie, wskazując gestem bar. –

Koniak? Whisky? A może bourbon?

– A niech pan powie – spytał Graham – jak zdołał pan zainscenizować własną śmierć? Incydent był bardzo przekonujący – dodał.

– Właśnie myślałem sobie, że zechce pan o to zapytać – odrzekł Karos, nalewając sobie szklaneczkę szkockiej. – Widzi pan, mam wielu wrogów, co zresztą nie powinno nikogo dziwić, jeśli się wie, w jakiej branży działam. Faktem jest, że wiele osób zaprzysięgło mi zemstę. Przeżyłem dwa zamachy na swoje życie w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Wszedłem cało tylko dzięki mojemu wiernemu Boudienowi, ale przecież nie mogę polegać wyłącznie na nim. Doszedłem więc do wniosku, że jedyne rozwiązanie to... śmierć. Moi prześladowcy przestaną mnie wtedy ścigać i będę mógł rozpocząć nowe życie z dala od Korfu. Nie mogłem wszakże wycofać kapitałów z kont bankowych, wzbudziłoby to bowiem uzasadnione podejrzenia wszystkich, którzy na mnie czyhają. W tej to sytuacji wszedłem w porozumienie z Calvierim. Nasz układ polegał na tym, że ja zobowiązałem się sfinansować operację w zamian za piątą część okupu.

– To wyjaśnia tylko motywy, nie rozumiem natomiast, jak zainscenizował pan własne zabójstwo.

– Ależ to zupełnie proste. Proszę pamiętać, że bracia Francia pracowali kiedyś jako kaskaderzy w filmie i mieli bogate doświadczenie, jeśli chodzi o najprzeróżniejsze tricki stosowane podczas produkcji filmów. To właśnie oni zaproponowali stosowne rozwiązanie. Polegało na tym, że pierwsze sto ładunków w działkach śmigłowca stanowiły ślepe naboje, ja zaś miałem w kamizelce kilka specjalnie spreparowanych mini-ładunków wybuchowych. To znany trick, powszechnie wykorzystywany w filmach. W odpowiednim momencie, gdy Tommaso Francia rozpoczął ogień, Boudien nacisnął przekaźnik urządzenia, które odpaliło te ładunki, powodując rozerwanie niewielkich pojemników wypełnionych krwią, wszytych uprzednio w ubranie. Rezultat, jak pan powiedział, był wielce przekonujący. Ale to nie wszystko. Stoczyłem się, jak pan pamięta, przez poręcz i runąłem w przepaść, lecz nie mogłem pan widzieć, że wylądowałem nie na skałach, ale na ochronnej płachcie, dokładnie takiej, jakie stosuje straż pożarna. Trzymało ją kilku moich zaufanych ludzi, którzy w chwilę później zwinęli płachtę i ukryli się w skałach. Gdy pan i Paluzzi spojrzeliście w dół, zobaczyliście już tylko mnie, rzekomą ofiarę zabójstwa. Czyż mógłbym sobie wymarzyć lepszych i bardziej wiarogodnych świadków własnej śmierci?

– Niezwykle pomysłowe, przyznaję – zawołał zaskoczony Graham. – Jednego nie rozumiem w dalszym ciągu: skąd pan wiedział, że zjawimy się z Paluzzim na Korfu?

– Zadbalem o to. Kwity bankowe w safesie Dragottiego stanowiły przynętę. Mogłem być pewien, że je znajdziecie i że wcześniej czy później zjawicie się u mnie. Gdy więc

Paluzzi zatelefonował, zapowiadając waszą wizytę, uruchomiłem cały plan. Resztę pan zna. – Karos dopił whisky i odstawił szklankę. – A teraz, skoro już zaspokoilem państwa ciekawość, to przystąpmy do rzeczy. Zechcą państwo dać sygnał pilotowi śmigłowca, że przechwyciliście mnie i Boudiena i że obaj oddajemy się w ręce władz. Proszę mu powiedzieć, aby wylądował na tarasie na górze, i proszę wyjaśnić, że nie chcecie ryzykować wędrownki na lądowisko na zewnątrz domu.

– I co będzie dalej? – Sabrina przejrzała plan Karosa. – Gdy zjawi się już helikopter, wykończycie nas i zmusicie pilota, aby was wywiózł z Korfu, a gdy dolecie do celu, wykończycie także i jego, ostatniego świadka waszej ucieczki?

– Dramatyzuje pani, panno Carver. W istocie nie mam powodu pozbawiać was życia, pod warunkiem oczywiście, że nie będziecie przeszkadzać w moim wyjeździe z Korfu. Tylko o to mi chodzi.

– A jeśli odmówimy? – spytał Graham.

– Nie sądzę, aby pan odmówił współpracy. Gdyby jednak, to najpierw zginie panna Carver – rzekł Karos, wymownym gestem wskazując Boudiena, który cały czas trzymał Sabrinę na muszce.

Graham nic już nie powiedział. Włączył radiotelefon i zaczął wywoływać Kolczyńskiego:

– Graham do Emila, Graham do Emila. Odbiór.

Emil? – zdziwiła się Sabrina, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Zrozumiała, że Graham po prostu ostrzega Kolczyńskiego, aby miał się na baczności. Tylko czy Kolczyński zrozumie?

Odetchnęła z ulgą, gdy w słuchawce zabrzmiała odpowiedź:

– Emil do Grahama, Emil do Grahama. Słyszę cię dobrze. Odbiór.

– Aresztowaliśmy Karosa i Boudiena. Ląduj na tarasie. Odbiór.

– Zrozumiałem. Ląduję na tarasie. Będę za chwilę. Bez odbioru.

– Doskonale! – zawołał Karos i nalał sobie następną szklankę. – Może jednak państwo się zdecydują? – ponowił zaproszenie, oferując cały wybór trunków.

Graham z Sabrina milczeli.

– Jak państwo sobie życzą, ale proszę mi wierzyć, whisky jest naprawdę znakomita. Powinienem był poczęstować nią obu braci Francia, gdy byli tu ostatnio. Potrafili docenić dobry trunek. – Karos zamyślił się. – Tommaso bardzo przeżył śmierć brata – powiedział cicho. – Musiałem nawet wycofać go z operacji. Nie można już było na nim polegać. Cały czas myśli tylko o zemście. Znajdzie panią, panno Carver. Jestem tego pewien – rzekł złowieszczo.

– Chyba że ja najpierw go odzyskam.

Karos zastanawiał się, jak na to odpowiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami i podniósł szklanę do ust.

Zapadła cisza. Przerwał ją dopiero warkot silników śmigłowca. Karos otworzył drzwi wiodące na taras i dał znak, że już czas.

– A torba? – przypomniał Boudien.

– Weź ją.

Boudien zarzucił na ramię białą, płócienną torbę i szturchnął Grahama lufą CZ75.

– Ręce na kark! – rozkazał.

Graham zrobił to, co mu polecono.

– A teraz wychodzić. Wolno. Nie rozglądać się.

Boudien szedł za Grahamem zachowując ostrożny dystans. Cały czas trzymał go na muszce. Wyszli na jasno oświetlony taras. Karos z Sabrina ruszyli za nimi. Sabrina też z rękami na karku. Karos szedł ostrożnie, parę kroków z tyłu, w obawie przed ewentualną nagłą akcją z jej strony.

Śmigłowiec zawisł nad tarasem. Kolczyński oczywiście zrozumiał ostrzeżenie Grahama i czekał teraz na stosowny moment, aby przyjść z pomocą dwójce przyjaciół. Karos skrzywił się. Huk silników maszyny zagłuszał wszystko. – Powiedz mi, żeby usiadł – krzyknął Boudien do Grahama, mając na myśli helikopter.

Graham odpiął radiotelefon od pasa i jednym ruchem rzucił do basenu. Boudien zareagował jak automat: uderzył Grahama w plecy kolbą pistoletu. Graham zachwiał się, ale nie zdążył upaść. Boudien otoczył go żelaznym uściskiem ramienia i przycisnął pistolet do skroni.

Kolczyński obrócił maszynę wokół osi i celował prosto w windę. Odpalił. Wokół posypały się odłamki cegieł i szkła, a podmuch rzucił wszystkich na ziemię. Pierwsza poderwała się Sabrina. Złapała berettę, którą zszokowany Karos wypuścił z ręki. Wymierzyła w Karosa skulonego pod ścianą. Dźwignął się wolno i podniósł ręce do góry.

– Rzuć broń – usłyszała za sobą warknięcie Boudiena.

Spojrzała przez ramię, nie odwracając lufy pistoletu od Karosa. Boudien stał zalany krwią. Odłamek trafił go prosto w czoło. CZ75 skierował prosto na Grahama, który leżał bez ruchu na tarasie. Wiedziała, że rzucając broń, złamie podstawową zasadę obowiązującą w UNACO: nigdy nie wolno kapitulować w obliczu wroga. Ale nie miała wyjścia. Jeśli nie rzuci broni, Boudien zastrzeli Grahama. Wypuściła pistolet z ręki. Karos schylił się, błyskawicznie podniósł broń i pchnął ją w stronę schodów wiodących na dół, do garażu. Graham jęknął. Boudien pochylił się, aby chwycić go za kark i postawić na nogi. Graham tylko na to czekał. Udawał, że jest ogłuszony. Wyprowadził

cios, trafiając Boudiena w szczękę, co jednak nie zrobiło zbyt wielkiego wrażenia na Algierczyku. Gdy Graham próbował poderwać się na nogi, Boudien znów objął go żelaznym uściskiem ramion. Szamotali się przez ułamek sekundy i w zwarciu zwalili się obaj do basenu. Fontanna wody chlusnęła na taras.

Sabrina już miała rzucić się na Karosa, gdy kątem oka dostrzegła królewską kobrę, syczącą nie opodal, najwyraźniej rozwścieczoną. Eksplozja rakiety zniszczyła pancerne szkło terrariów, w których Karos trzymał swoje najcenniejsze okazy gadów. Kobra uniosła łeb i groźnie kołysała się w lewo i prawo. Znak, że szykuje się do ataku. Sabrina udawała, że potyka się o gruz na tarasie i padła w stronę Karosa, popychając go w kierunku pięciometrowego cielska błyszczącego groźnie w cieniu. Zobaczyła jeszcze, jak łeb węża sunie błyskawicą w stronę łydki Karosa... Zamarła. Stała bez ruchu, nie reagując na rozpaczliwy krzyk Karosa. Kobra była tuż, tuż i Sabrina wiedziała, że najmniejszy ruch z jej strony może ponownie zaalarmować bestię. Nie miała więc wyjścia. Musiała czekać jak skamieniała, aż wąż popełni gdzieś, szukając schronienia.

Karos miał absolutną rację, gdy opowiadał o wyjątkowej sile Boudiena. Graham miał wrażenie, że ma przed sobą nieprzeparty mur. Zdawało się, że jego ciosy nie sprawiają na Algierczyku najmniejszego wrażenia, jednocześnie zaś każdy chwyt Boudiena przypominał żelazne kleszcze. Gdy wpadli razem do basenu, Grahamowi udało się wyzwolić ze śmiertelnego uścisku siłacza. Popłynął do brzegu. Nie zdążył jednak wydostać się z wody, bo Algierczyk znów omotał go ramionami i znów pociągnął w głębinę. Przypadkowy, a może przeciwnie, niezwykle precyzyjny cios rozerwał świeżą jeszcze ranę na policzku Grahama i Mike spływał krwią, barwiąc czerwienią niebieskawą wodę w basenie. Boudien zamknął stalowy uścisk i zaczął topić Amerykanina. Graham szarpał się i wykręcał, ale bez skutku. Jeszcze chwila, a płuca nie wytrzymają. W tym momencie Graham przypomniał sobie, że Algierczyk zatknął sobie za pas zarekwirowaną beretę. Pytanie tylko, czy pistolet jeszcze tam jest, czy nie wypadł w czasie szamotaniny? Graham sięgnął do pleców Boudiena. Niczego nie znalazł. Spróbował jeszcze raz. Wyczuł palcami karbowaną rękojeść. Chwycił mocniej i gdy już miał wyciągnąć broń, otoczyła go ciemność.

W chwilę później śmiertelny chwyt siłacza jakby osłabł. Graham wysunął się z jego ramion i przywołując na pomoc resztkę świadomości, odbił się nogami od dna basenu i wypłynął na powierzchnię. Nabrał w płuca ożywczy haust, podpłynął do drabinki i dopiero wtedy rozejrzał się dookoła. Ciało Boudiena unosiło się bezwolnie na wodzie twarzą w dół. Na karku Algierczyka widniały dwie świeże rany postrzałowe.

– Nic ci nie jest? – Sabrina uklękła na brzegu i z troską spoglądała na Mike'a. W ręku miała CZ75 – pistolet, który jeszcze niedawno należał do Algierczyka.

Graham zakaszał kilka razy, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie powiem, żebyś się zbyt pośpieszyła – odrzekł z wyrzutem.

– Miałam parę chwil wspaniałego sam na sam z pięciometrową kobrą – odparła.

– Jaką kobrą, do diabła? O czym ty mówisz?

– Gdy Siergiej wystrzelił raketę, pękło terrarium, w którym Karos trzymał dwie królewskie kobry. Jeden wąż padł na miejscu, a drugi... no właśnie.

– I gdzie jest ten gad? – Graham obejrzał się wyraźnie zatrwożony.

– Kiedy go widziałam ostatni raz, pełził schodami w dół. – Podniosła się z klęczek, aby dać znak Kolczynskiemu, który szykował się do lądowania na tarasie.

– A Karos? Co z nim? – Graham wspiał się na brzeg.

– Nie żyje. Pośpiesz się. Trzeba się zmywać. Lada moment zjawi się tu policja. – Wyciągnęła rękę, aby mu pomóc stanąć na nogi, ale Graham nie chciał niczyjej pomocy, nawet jej. Chwytał płócienną torbę, którą Boudien zabrał z willi na polecenie Karosa, i chwiejnym krokiem ruszył za Sabriną do śmigłowca.

– Michael, nic ci nie jest? – zawołał Kolczynski, przekrzykując huk silnika.

– W porządku – Graham otarł krew rękawem koszuli.

– Lecimy do Arty w Grecji, to takie miasto na zachodnim wybrzeżu. Jest tam mój stary znajomy z KGB. Zostaniemy u niego na noc, a rano polecimy do Szwajcarii. Żona mojego znajomego jest pielęgniarką, więc cię opatrzy.

Graham machnął ręką na znak, że nie ma nic przeciwko propozycji. Otworzył torbę i aż gwizdnął z wrażenia. Była wypełniona banknotami.

– Kilkaset tysięcy funtów szterlingów – ocenił.

– No, no – zawtórowała Sabrina, wając kilka plików w rękę – niezły szmal.

– Więcej niż trzeba, aby rozpocząć nowe życie – rzekł Graham, zasuważąc zamek.

– No to gdzie zaczynamy to nowe życie? – spytała Sabrina z niewyraźnym uśmiechem.

– Czy ja wiem, może w Arcie?

– Zgoda – zaśmiała się i kawałkiem waty zaczęła ścierać z twarzy krem maskujący.

Śmigłowiec wtopił się w mrok nocy, kierując się na wschód, nad Morze Jońskie.

Piątek

Była druga rano, gdy Kolczynski zatelefonował do Philpotta z Arty, zdając mu sprawozdanie z wydarzeń na Korfu. Uprzedził szefa, że nie jest w stanie określić, kiedy zameldują się w Bernie, ale nastąpi to nie wcześniej niż późnym popołudniem. Philpott nie nalegał na wcześniejszy przylot. Powiedział tylko, że na trzecią po południu wyznaczono przesłuchanie Calvieriego w sądzie (wedle procedury szwajcarskiej, sąd decyduje o zatrzymaniu oskarżonego w areszcie), ale że pójdą tam Paluzzi z Whitlockiem.

Tymczasem na niewielkiej uliczce, o dwie przecznice od budynku sądów w Bernie, zatrzymała się taksówka. Pasażer złożył gazetę, którą czytał po drodze, wziął aktówkę i wysiadł, zostawiając kierowcy suty napiwek. Artykuł, który zwrócił jego uwagę, nosił tytuł: „Przywódca terrorystów oskarżony o morderstwo”.

Richard Wiseman odczekał chwilę, aż taksówka zniknie z pola widzenia, i udał się w kierunku niewielkiego hotelu dokładnie naprzeciwko gmachu sądów. Był już tu wcześniej, by rozpoznać teren. Obejrzał się, czy ktoś go nie śledzi, i skręcił w zaułek przed hotelem. W chwilę później znalazł się na zapleczu hotelu. Raz jeszcze rozejrzał się i po drabinie przeciwpożarowej wspiął się na dach. Sprawdził godzinę. Dziesiąta siedem. Zostało jeszcze sporo minut. Gdy zjawi się samochód policyjny z Calvierim, Wiseman będzie przygotowany.

Zastanawiał się nad wydarzeniami ostatnich dni. Gdy nie doczekał się telefonu od Younga z Berna, opuścił hotel Hassler-Villa Medici i pod fałszywym nazwiskiem wynajął pokój w znacznie skromniejszym Cesari Hotel. We wczorajszej gazecie znalazł informację o dwóch ofiarach mordu, które znaleziono w klubie naprzeciwko hotelu Metropole w Bernie. Prasa nie podała nazwisk, ale Wiseman domyślał się, że chodzi o Younga. Nie dociekał, kim była druga ofiara.

Zaraz też udał się samolotem do Berna. W recepcji Metropole dowiedział się, że pan Calvieri wyszedł wcześniej rano i że jeszcze nie wrócił do siebie. Telefonował później kilkakrotnie do hotelu, ale odpowiedź ciągle była taka sama: pana Calvieriego nie ma. I tak trwało to do wieczora, gdy w wiadomościach telewizyjnych podano o aresztowaniu terrorysty. Wtedy to Wiseman uruchomił swoje znajomości z wojska i ustalił, że Calvieri stanie przed sądem nazajutrz rano, znacznie wcześniej, niż podano oficjalnie. Wedle oficjalnej wersji Calvieri miał zostać dowieziony do sądu o trzeciej po południu.

Faktycznie zaś, miano go przywieźć za kilka minut. Celowo podano inną godzinę, gdyż władze liczyły się z ewentualnością jakiejś akcji ze strony Czerwonych Brygad. Chciano też uniknąć tłumów kamer telewizyjnych i dziennikarzy. Aby nikt niczego nie podejrzewał, nie wzmocniono rankiem ochrony budynku i nie wystawiono dodatkowych posterunków. Taka sytuacja była na rękę Wisemanowi...

Obserwował wąską uliczkę naprzeciwko. Właśnie tam podjedzie samochód wiozący Calvieriego. Zaczął przygotowywać broń. Wyjął z aktówki złożony karabin snajperski Vaime MK2 z tłumikiem. Nabył go na zamówienie Younga i dziś rano zabrał ze skrytki na dworcu. Sprawdził magazynek. Dziesięć naboí. Zajął pozycję i czekał na Calvieriego.

O dziesiątej dwadzieścia cztery zajechała policyjna więźniarka eskortowana przez dwa radiowozy. Konwój wjechał na dziedziniec. Zamknięto bramę. Paluzzi z Whitlockiem jechali drugim radiowozem.

Więźniarka zatrzymała się przy bocznym wejściu do budynku sądów. Eskortujący policjant otworzył wóz, wszedł do środka i otworzył pierwszą celę, z której wynurzył się Calvieri. Zmrużył oczy od słońca. Na rękach miał kajdanki. Dostrzegł Paluzziego i uśmiechnął się na powitanie.

Pierwszy pocisk trafił Calvieriego prosto w ramię. Odrzuciło go w stronę otwartych drzwi więźniarki. Paluzzi ruszył na pomoc, ale kula była szybsza. Drugi pocisk trafił w pierś. Policjanci przykucnęli, szukając osłony przed zamachowcem. Obserwowali okoliczne dachy, chcąc dostrzec, skąd padły strzały. Czterech funkcjonariuszy pod komendą kapitana wybiegło na ulicę. Paluzzi pochylił się nad Calvierim.

– Zaraz przyjedzie karetka – szepnął Whitlock, też śpiesząc na pomoc.

– Nie ma już potrzeby – rzekł Paluzzi.

Whitlock ze złością uderzył pięścią w stalową karoserię więźniarki.

– Połącz się z Philpottem i zawiadom go o tym, co się stało – rzekł Paluzzi. – A ja zobaczę, czy policjanci coś znaleźli.

Whitlock wbiegł do budynku sądów, aby poszukać telefonu. Paluzzi wyszedł na ulicę, gdzie już zaczął zbierać się tłum gapiów. Dwóch policjantów pilnowało wejścia do hotelu, dwóch innych blokowało zaułek. Zjawił się jeszcze jeden radiowóz i Paluzzi polecił, aby usunięto tłum, sam zaś skierował się w stronę zaułka. Wspiął się na dach hotelu. Był tam już kapitan policji. Wspólnie obejrzeni porzucony karabin snajperski.

– Sprawca zbiegł – mruknął kapitan.

Paluzzi zbadał broń i spojrzał z góry na dziedziniec sądów, na przykryte kocem ciało Calvieriego.

– Mówiłem, że trzeba zastosować szczególne środki ostrożności, ale nikt mnie nie

chciał słuchać. To wina Kuhlmana, że dopuścił do tego. On w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jakich mamy przeciwników.

– Komisarz Kuhlmann powziął wszelkie niezbędne decyzje – rzekł służbiście kapitan.

– Niewarte funta kłaków – uciął Paluzzi. – Ciekaw jestem, jak ten pański wspaniały komisarz da sobie radę, gdy zjawią się tu u was bandyci z Czerwonych Brygad, a że się zjawią, to pewne jak dwa razy dwa – nie czekał już na reakcję kapitana. Zszedł na ulicę. Zajechała karetka. Zabrano zwłoki.

Śmierć Calvieriego postawiła Czerwone Brygady przed koniecznością wyznaczenia nowego przywódcy. W istocie liczył się tylko jeden kandydat, Luigi Bettinga, informator NOCS.

Paluzzi wsadził ręce do kieszeni i pograżony w myślach wszedł do gmachu sądów.

Kolczyński z Grahamem i Sabriną dotarli do Berna o czternastej trzydzieści, a do hotelu pół godziny później. Philpott zwołał naradę u siebie w pokoju. Whitlock opowiedział o porannych wydarzeniach.

– A gdzie jest Fabio? – zainteresowała się Sabrina.

– Pakuje się – odparł Philpott. – Wraca do Rzymu.

– Co będzie z Wisemanem? – Whitlock nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. – Wygląda na to, że to właśnie on był owym „nieznanym sprawcą”.

– Nic nie będzie – odparł Philpott, kończąc kawę.

– Jak to nic? – spytała Sabrina.

– Wiemy co prawda, że był w Bernie dziś rano, ale ma gwarantowane alibi na czas, kiedy zamordowano Calvieriego.

– Pewnie dał trochę szmalu jakiejś prostytutce, aby zeznała co trzeba, gdy zajdzie taka konieczność – mruknęła Sabrina.

– Owszem. A my nie mamy żadnego świadka, który zaświadczyłby, że Wiseman był rano w hotelu, a poza tym żaden sąd nie uwierzyłby, że Wiseman może celnie strzelać, nie mając wskazującego palca. Krótko mówiąc, nie mamy żadnych dowodów przeciwko niemu.

– Ejże, przecież Whitlock może udowodnić, że to właśnie Wiseman wynajął Younga, a to oznacza, że współdziałał w przestępstwie – powiedział Graham.

– Tylko że sprawa byłaby dla nas zupełnie nieopłacalna. Trzeba by bowiem powiedzieć wszystko, także i to, że wspólnie ze Scotland Yardem zorganizowaliśmy porwanie aresztanta w drodze do sądu. Podniosłaby się wrzawa i Scotland Yard już nigdy by nam nie pomógł, a nie mamy innych partnerów w Wielkiej Brytanii.

Graham wzruszył ramionami. Argumenty Philpotta były oczywiste.

– A na razie Scotland Yard i tak ma sporo własnych kłopotów. Ciągłe jeszcze nie złapano Alexandra, więc lepiej nie dolewać oliwy do ognia.

– A co będzie z Contem i Ute Rietler? – spytał Graham.

– Conte stanie przed sądem za udział w napadzie na Neo-Chem. Czeką go dosyć długi wyrok, a jeśli chodzi o panią Rietler, to rozmawiałem z komisarzem Kuhlmannem. Nic jej nie grozi. Szwajcarzy nie postawią jej żadnych zarzutów.

Dalszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Kolczyński wprowadził gościa.

– Przyszedłem się pożegnać – powiedział Paluzzi, bo to on właśnie nadszedł.

– A więc wracasz do siebie? – rzekł Whitlock.

– Tak. Mam samolot za godzinę. Wpadłem tylko, żeby wam powiedzieć *ciao*.

– Dziękuję panu za pomoc – Philpott wstał i uściśnął rękę Włocha. – Bez pana i pańskich ludzi nie dalibyśmy sobie rady.

– A my bez UNACO – odparł Paluzzi równie uprzejmie. Pożegnał się z Kolczyńskim i Whitlockiem. Sabrina z Grahamem odprowadzili go do drzwi.

– Może cię podrzucić na lotnisko? – zaoferował się Graham.

– Nie, dziękuję. Mam audi, które tak czy owak muszę dostarczyć do firmy na lotnisku. *Ciao, bella* – pocałował Sabrinę w policzek.

– *Ciao* brzmi lepiej niż *addio*.

– Właśnie.

– A co za różnica? – zainteresował się Graham.

– *Addio* to żegnaj, a *ciao* znaczy mniej więcej do zobaczenia.

– A więc *ciao* – powtórzył Graham. – Wpadnij do mnie, kiedy będziesz w Nowym Jorku. Zabiorę cię na mecz baseballu.

– Z przyjemnością. A tymczasem mam dla ciebie mały prezent. – Paluzzi wyjął niewielki pakiecik z kieszeni i podał Grahamowi.

– Co to jest? – zdziwił się Graham.

– Zobaczysz. Rozpakuj, gdy wyjdę. – Paluzzi pożegnał się i znikł na korytarzu.

– No, rozpakowuj – zachęciła Sabrina. Jak każda kobieta była strasznie ciekawa.

Graham rozerwał papier. Sabrina wybuchnęła śmiechem.

– No i co to jest? – dopytywał się Whitlock.

– Samouczek włoskiego – odparł rozbawiony Graham.

– Bardzo dobry prezent – skomentował Philpott. – Przyda ci się na urlopie. Będziesz miał co robić.

– To znaczy, że daje nam pan urlop, szefie?

– Tak, począwszy od jutra. Ale przedtem chciałbym jeszcze od was dostać pisemne sprawozdania z operacji.

– Oczywiście.

– Daję wam trzy tygodnie wakacji. Nie będziemy liczyć tych paru dni, które już wykorzystaliście wcześniej.

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni – rzekł Graham sarkastycznie.

Philpott udał, że nie słyszy.

– Zarezerwowałem pięć miejsc w nocnym samolocie do Nowego Jorku. Jak sądzę, co najmniej trójka z was poleci ze mną.

– Z największą przyjemnością – oznajmił Whitlock myśląc o Carmen.

Sabrina zerknęła na Grahama.

– A my – powiedziała – chcielibyśmy jeszcze trochę tu zostać. Pojeździmy na nartach, pozwiedzamy Szwajcarię, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – spojrzała pytająco na Philpotta.

– Nie mam. Rezerwację mogę jeszcze odwołać – Philpott zapalił fajkę i wypuścił kłąb aromatycznego dymu. – Siergiej, C.W., o dziewiętnastej trzydzieści mamy samolot do Zurychu. Stamtąd o dwudziestej drugiej lot do Nowego Jorku. Teraz zostawcie mnie samego, mam jeszcze trochę papierkowej roboty. A wy – zwrócił się do Sabriny i Grahama – poczekajcie jeszcze chwilę. Uzgodniłem z miejscową policją – powiedział, gdy Kolczynski i C.W. wyszli – że macie trzydzieści sześć godzin na znalezienie Tommasa Francii. Jeśli wam się nie uda, to trudno, sprawę przejmą Szwajcarzy. Zaraz potem macie wracać do Nowego Jorku i – dodał z surową powagą – żadnych numerów! Nie będę tolerował niesubordynacji. Jeśli przekroczycie czas, zawieszę was w czynnościach.

– A skąd pan wie, że chcemy go odnaleźć? – spytała Sabrina.

– Mam doświadczenie w tych sprawach. A poza tym wiem, że Francja chce się zemścić. Mogę wam powiedzieć tymczasem, że zatrzymał się u jednego ze swoich współpracowników mniej więcej niecały kilometr stąd. Ludzie Kuhlmana obserwowali dom, ale wczoraj wieczorem Francja znikł. Myślę jednak, że wciąż jest w Bernie, i jestem pewien, że będzie chciał wyrównać rachunki z wami.

– Jeśli pan wiedział, że Francja chce mnie załatwić, to dlaczego mnie pan nie ostrzegł?

– Nie było kiedy. Nasze źródła potwierdziły to dopiero dziś rano. Zresztą, zobacz sama – Philpott podał jej meldunek operacyjny. – I pamiętajcie – powtórzył – trzydzieści sześć godzin i ani minuty więcej. To wszystko – zakończył.

Graham z Sabriną spojrzeli po sobie i wyszli.

Tommaso Francia od dwudziestu minut siedział nad pełną szklanką piwa. Nie wypił

ani kropli. Lokal był niewielki, zapuszczony, klienci nieciekawi. Dwóch gości grało w bilard, parę prostytutek przy barze chichotało nie wiadomo z czego, znudzony barman zerkał w telewizor.

Francia zdusił niedopałek w popielniczce i zapalił kolejnego papierosa. Zdawał sobie sprawę, że policja go poszukuje, zwrócił bowiem uwagę, że jego mieszkanie jest pod obserwacją, ale nie przejmował się tym zbyt. Przepajała go tylko jedna jedyna myśl: musi pomścić brata. Wszystko jedno jak. A gdy już tego dokona, to sam odbierze sobie życie. Śmierć Carla wstrząsnęła nim do głębi. Bez niego życie straciło wszelki sens. Nie spał, nie jadł, myślał tylko o jednym: musi zabić tę kobietę. To był jego święty obowiązek, hołd, który musi złożyć bratu. I tylko to się liczyło.

– Ma pan ogień?

Pytanie zaskoczyło go. To jedna z prostytutek postanowiła spróbować szczęścia. Była nawet ładna, choć przesadnie umalowana. Wyjął pudełko zapalek z kieszeni i rzucił na bar. Zapaliła i oddała mu zapalki głaszcząc go znacząco po dłoni. Wyrwał rękę jak oparzony.

– Chciałbyś pogadać? – spytała przysuwając się do niego. – Siedzisz tu już pół godziny i nawet nie tknąłeś piwa. Co się z tobą dzieje, chłopie?

Nie odpowiedział. Ścisnął szklankę w dłoni z taką mocą, że szkło pękło z trzaskiem. Piwo rozlało się po całym barze, dłoń spłynęła krwią. Spojrzał na zaciśniętą rękę i niespiesznie, jak w zwolnionym filmie, otworzył palce. W dłoni utkwił spory odłamek szkła. Wyrwał go z rany i rzucił na bar. Wstał, schował zapalki, otarł krwawiącą rękę o dżinsy i wyszedł.

Sobota

Pogoda wyraźnie zaczęła się psuć. Niebo skryły ciemne chmury, z gór wiał chłodny, południowo-zachodni wiatr.

Francja nawet nie zwrócił uwagi na aurę. Opatrzył rękę, założył ciepły kombinezon narciarski, spakował do czarnej torby mini-uzi i cztery dodatkowe magazynki oraz pistolet automatyczny P220. Zamknął mieszkanie. Wsiadł do wynajętego volkswagena passata i pojechał do hotelu Metropole. Znalazł wolne miejsce naprzeciwko głównego wejścia. Potraktował to jako dobry omen. Zapalił papierosa i szykował się na długie czekanie.

Graham z Sabriną zamówili śniadanie na dziewiątą, do pokoju. Raz jeszcze omówili plan, który opracowali poprzedniego wieczoru. Nie wiedzieli, gdzie znajduje się kryjówka Francii, byli jednak pewni, że będzie on obserwował hotel, czekając na dogodną okazję do ataku. Postanowili, że najpierw trzeba go zwabić gdzieś na otwartą przestrzeń, sprowokować, aby opuścił kryjówkę. Problem polegał tylko na tym, że mieli niewiele czasu. Zdecydowali więc, że trzeba zacząć od razu, bez zwłoki.

Graham wyszedł pierwszy. Zszedł po drabinie przeciwpożarowej. Założył czapkę klubową „Jankesów” – mistrzów baseballu z Nowego Jorku – i ciemne okulary. Nie zauważony wsiadł do wynajętego volkswagena jetty i zaczął obserwować otoczenie. Zgodnie z planem za parę minut Sabriną opuści hotel głównym wejściem i wtedy okaże się, czy ktoś ją śledzi, czy nie. Tymczasem Mike nastawił radio, znalazł jakiś program muzyczny i zaczął bębnić palcami o kierownicę w rytm melodii.

Sabrina schowała beretkę do kabury pod ramieniem, włożyła białą puchową kurtkę, poprawiła włosy, wzięła słoneczne okulary i wyszła z pokoju. W recepcji zostawiła informację, gdzie jej szukać, gdyby ktoś pytał, i wyszła z hotelu. Po drodze zajrzała jeszcze do kiosku z gazetami. Wielki tytuł we włoskim dzienniku głosił: *Vietri morto – attacco cardiaco*. Kupiła gazetę i z zainteresowaniem przeczytała informację o nagłej śmierci Alberta Vietri, wicepremiera Włoch. Właśnie wczoraj znaleziono jego ciało w mieszkaniu. Zmarł na atak serca, czemu oczywiście nie dała wiary, zwłaszcza że w dalszej części artykułu podkreślano, iż zwłoki zostały znalezione przez agenta NOCS – włoskiej elitarniej jednostki antyterrorystycznej. Użyto zapewne związków cyjanku, które powodują natychmiastowe zatrzymanie pracy serca i są trudno wykrywalne w organizmie. Tradycyjne metody są jednak najlepsze – pomyślała i wyszła na ulicę.

Wsiadła do wynajętego fiata croma i ruszyła w swoją stronę.

Francia zobaczył ją, gdy tylko wyszła z hotelu. Ruszył za jej samochodem. Graham natychmiast się zorientował, kto siedzi w passacie, który z piskiem opon zastartował za fiatem. Miał zresztą fotografię Francii obok siebie na siedzeniu pasażerskim. Na odwrocie zdjęcia zapisał numer telefonu komórkowego Sabriny i zaraz do niej zatelefonował informując, że Francja jedzie za nią. Podał numer rejestracyjny passata i trzymał się dyskretnie z tyłu.

Sabrina odłożyła słuchawkę i spojrzała w lusterko wsteczne. Między jej fiatem a passatem jechały dwa obce auta. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Francja dał się sprowokować. Skreśliła w stronę niewielkiego ośrodka narciarskiego tuż na przedmieściach Berna. Zatrzymała przed kolorowym plakatem reklamującym wypożyczalnię nart. Dobrała narty i kijki. Francja zaparkował niedaleko, ale tymczasem nie opuszczał samochodu. Graham stanął jeszcze dalej. Nie widział passata, bo zasłaniała go jakaś ciężarówka.

Francja dobył mini-uzi z torby i ukrył pod kurtką narciarską. P220 wsunął za pas, a zapasowe magazynki schował do kieszeni. Zastanawiał się, czy lepiej zabić tę kobietę, gdy tylko wyjdzie z wypożyczalni, czy lepiej poczekać i przystąpić do dzieła później, kiedy znajdzie się na stoku. Uznał, że jednak lepiej poczekać. Był przecież doświadczonym narciarzem i na stoku będzie miał przewagę pod każdym względem. Z nawyku, który wypracował jeszcze w czasach, gdy był czynnym zawodnikiem, zwrócił uwagę na narty, jakie wybrała w wypożyczalni: czerwone VOLKL P9 SL. Dobra firma, a więc nie jest nowicjuszka. On sam też cenił tę właśnie markę. Tymczasem dziewczyna poszła prosto do wyciągu. Przypięła narty, wspięła się na krzeselko i pojechała w górę. Francja pośpieszył do wypożyczalni sprzętu. Błyskawicznie wybrał buty, narty i kijki i ruszył jej śladem, nie bacząc nawet na resztę ze sporego banknotu, który wręczył obsłudze.

Zadecydował, że skorzysta raczej z kolejki linowej. Tym sposobem znajdzie się wyżej i łatwiej będzie mógł ją odnaleźć na stoku. Stanął w kolejce. Nie czekał długo. Zajął miejsce w wagoniku, tuż przy ścianie. Narty trzymał przed sobą, aby nikt w tłoku nie wyczuł broni, którą ukrywał pod kurtką. W wagoniku było – jak policzył – dwudziestu siedmiu pasażerów, mniej więcej połowa tego, co zwykle. Ucieszył się, bo to oznaczało, że wagonik dotrze na szczyt stosunkowo szybciej, co tylko ułatwi mu poszukiwania. Znajdzie ją, co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Gdy kolejka zatrzymała się na górnej stacji, ruszył do wyjścia. Zatrzymał się na sekundę, aby rzucić okiem na ośłą łączkę – na wszelki wypadek, nie przypuszczał bowiem, aby kręciła się wśród początkujących amatorów białego szaleństwa. Już raz

widział ją na nartach i wiedział, że jeździ całkiem nieźle. Ktoś najechał nań z tyłu. Francia instynktownie przytrzymał kurtkę, aby przypadkiem mini-uzi nie wypadło na zewnątrz. Spojrzał gniewnie na nieostrożnego narciarza, już śpieszącego z przeprosinami. Przypomniały mu się miesiące, które spędził z bratem jako instruktor narciarski w Alpach, gdy zdyskwalifikowano i Carla, i jego za środki dopingujące. Wyszkolili wtedy dziesiątki a może setki ceprów, ucząc ich tajników kristiany, slalomu i zjazdu. I znów wpadł na niego jakiś nieostrożny adept narciarstwa, Francia cofnął się, żeby przepuścić gapę. Obejrzał się za siebie, rzucił okiem na przeszkloną werandę restauracji tuż przy stacji kolejki linowej. Dostrzegł ją. Siedziała spokojnie przy stoliku pijąc kawę. Pułapka czy co? Nie wykluczał i takiej możliwości, ale też zbytnio się tym nie przejmował. Był pewny swego i wiedział, że pierwszy strzał będzie należał do niego. Wszedł do restauracji. Zamówił kawę przy bufecie i wybrał stolik tuż przy wejściu. Nie sądził, aby go rozpoznała. Niczym się nie wyróżniał. Sięgnął do kieszeni po papierosy. Został już tylko jeden, ostatni. Ostatni papieros skazańca! – pomyślał z rozbawieniem. Zapalił, zaciągnął się. Czekał.

Miał rację. Sabrina nie zwróciła na niego żadnej uwagi. Obserwowała początkujących narciarzy na oślej łączce. Przypomniała sobie swoje pierwsze kroki. Miała cztery lata, kiedy rodzice zabrali ją na wakacje w okolice Innsbrucku. Gdy miała lat piętnaście, uchodziła już za doświadczoną narciarkę. Pasjonował ją zjazd. Nie bała się nawet najtrudniejszych tras. Whitlock też jeździł nieźle, także Kolczynski, co stwierdziła kiedyś z pewnym zdziwieniem, bo nie wyglądał na narciarza. Ale najlepiej ze wszystkich jeździł Graham. Było to o tyle zaskakujące, że nauczył się dość późno – w wojsku, w siłach specjalnych Delta – gdy miał już dwadzieścia kilka lat. Tymczasem jeździł tak, jakby całe życie nic innego nie robił. Wspomnienie Grahama przywróciło ją rzeczywistości. Rozejrzała się, szukając Mike'a wzrokiem. Dostrzegła go w jednej sekundzie, bo jak nie zwrócić uwagi na kogoś, kto na ośnieżonym zboczu paraduje w czapeczce baseballowej. Dopija kawę, wzięła narty i wyszła na śnieg.

Francia wsunął rękę do kieszeni i zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Między nim a Sabriną nie było nikogo i gdyby strzelił właśnie teraz, gdy pochylona przypinała narty, nie mógłby chybić. Nie zrobił jednak tego. Uznał, że byłoby to zbyt łatwe. Chciał, aby cierpiała, aby miała świadomość zbliżającej się śmierci, jak Carlo, gdy leżał na kruchym nawisie i wiedział, że za chwilę runie w przepaść. Wyjął rękę z kieszeni i pośpieszył za nią. Sabrina skierowała się na strome zbocze i zaczęła karkołomny zjazd. Francia rozejrzał się dyskretnie, aby upewnić się, czy Sabrina nie ma obstawy. Nikt nie pojechał za nią, co też specjalnie go nie zdziwiło. Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z zawodowcami, więc obstawa – jeśli jest – poczeka, aż on, Francia, wykona pierwszy

ruch.

Zgasił papierosa, zabrał narty i wyszedł z restauracji. Chwilę trwało, nim zacisnął wiązania. Ruszył kierując się jej śladem w stronę stromej trasy zjazdowej. Poczul ból w zranionej odłamkiem szkła ręce, ale nie zwracał na to uwagi. Odepchnął się jeszcze mocniej kijkami, czując, jak krew sączy się ze świeżej rany. Spojrzał za siebie. Nikt go nie śledził. A może niepotrzebnie się obawia. Może Sabrina jest sama. Jechał dokładnie jej śladem. Za pierwszą kępą drzew znów się zatrzymał, pilnie obserwując otoczenie. Gdyby rzeczywiście miała obstawę, to ktoś musiałby się pojawić na zboczu, a gdyby tak się stało, to on, Francia, dałby sobie z nim radę. Zza drzew widział doskonale całe zbocze. Ktoś, kto jechałby za nim, wystawiłby się na pewny strzał. Znów poczuł ból w ręce. Na szczęście była to lewa dłoń, więc nie będzie kłopotów, gdy sięgnie po broń. I w tym momencie właśnie mignęła jakaś sylwetka na zboczu. A więc jednak. Starano się wciągnąć go w pułapkę. Instynkt człowieka, który przeżył wiele niebezpieczeństw, nie zawiódł go i tym razem. Zacisnął palce na kolbie pistoletu, ale zmienił zamiar. Odgłos strzału zaalarmowałby nie tylko Sabrinę, ale także policję. Musi więc uniknąć hałasu. Załatwi sprawę inaczej. Wziął w rękę uzi jak maczugę.

Graham dopiero w ostatniej chwili zwrócił uwagę, że ślady nart gwałtownie skręcają w stronę kępy drzew. Nie zdążył nawet wyhamować, gdy Francia wymierzył mu potężny cios w plecy kolbą uzi. Padł na śnieg, wypuszczając berettę z ręki. Francia błyskawicznie podniósł broń, jednym ruchem wyciągnął magazynek i odrzucił daleko od siebie. Przykucnął przy Grahamie przyciskając mu do gardła ostry koniec narciarskiego kijka.

– Rzuć to! – usłyszał nagle za sobą.

Wolno odwrócił wzrok. Sabrina stała jakieś trzydzieści metrów dalej, w wyciągniętej dłoni trzymała berettę. Mierzyła prosto w pierś bandyty. A więc czekała na niego między drzewami.

– Rzuć to! – zawołała raz jeszcze.

Francia zacisnął palce na kolbie mini-uzi, czego Sabrina nie mogła widzieć, ale uskoczyła w bok, gdy tylko zobaczyła, że Francia podrywa broń do strzału. Seria przeszła górą, w drzewa. Rozejrzała się za swoją berettą, która wypadła jej z ręki, gdy rzuciła się na ziemię, kryjąc się przed ogniem uzi. Za daleko i żadnej osłony! Zerwała się na nogi i slalomem ruszyła przed siebie. Kolejna seria z uzi też chybiła. Sabrina nie oglądała się za siebie. Skoncentrowała się na zjeździe. Jakies pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczyła pionowy niemal, kilkumetrowy uskok. Wbiła kijki w śnieg, aby nabrać szybkości. Ugięła kolana i odbiła się mocno od grani. Zerknęła przez ramię. Francia już wyłonił się z kępy drzew. Kolejna seria wryła się w śnieg, w miejscu gdzie Sabrina była jeszcze przed sekundą. Uskok był bardziej stromy, niż myślała. Wylądowała niezręcznie.

Straciła równowagę i runęła na zbocze głową do przodu. Nim zdążyła się pozbierać, Francja pojawił się na grani. Zatrzymał się, starannie wymierzył. Sabrina zdała sobie sprawę, że wybiła jej ostatnia godzina. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle.

Francja skrzywił się z radości. Mierzył w jej nogi. Zależało mu, aby śmierć była długa. Najpierw zada jej cierpienie, a dopiero później skończy z nią na zawsze. Zemści się, tak jak powinien się zemścić za brata. Miał już nacisnąć spust, gdy kątem oka dostrzegł Grahama. Nie zdążył jednak nic zrobić. Graham całym pędem wpadł na niego i obaj stoczyli się z grani. Francja zdołał jeszcze wystrzelić serię, nim ciężko padł na śnieg. Tuż za nim na zbocze zwałił się Graham. Obaj leżeli bez ruchu, z twarzami w śniegu. Sabrina podbiegła błyskawicznie do obu mężczyzn. Najpierw wyrwała Francii broń z zaciśniętej dłoni i dopiero wtedy obróciła bandytę na plecy. Zadrżała z przerażenia, widząc, co się stało. Francja nie żył. Spadł z grani tak nieszczęśliwie, że kijek narciarski wbił mu się prosto w brzuch. Na kurtce potężniała szkarłatna plama krwi. Kijek tkwił w trzewiach, kołysząc się groteskowo na wietrze. Nic już nie można było zrobić. Zajęła się Grahamem. Nie wyglądał na rannego.

– Mike? – wzięła go za rękę. – Mike, nic ci nie jest?

Graham otworzył oczy, uśmiechnął się.

– W porządku – powiedział – tylko bolą mnie wszystkie kości, jakby zwałił się na mnie zapaśnik sumo.

– Ty draniu! Jak nie baseball to sumo! Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym jak o zawodach sportowych?

– Czy ja wiem... – mruknął, próbując stanąć na nogi.

Pomogła mu.

– Dziękuję ci, Mike – powiedziała z prostotą.

– Nie ma o czym mówić – wzruszył ramionami, jak zwykle.

Usłyszeli warkot silników i w sekundę później zobaczyli policyjny helikopter. Graham westchnął na myśl o tym, że znów trzeba będzie pisać zeznania, i machnął kijkami, dając znak pilotowi.

Nad Nowym Jorkiem niebo było bezchmurne. Miasto błyszczało w pełnym słońcu. Jak na marzec panowało wyjątkowe ciepło. Whitlock lubił upały. Przyzwyczał się do nich w Kenii, gdzie się wychował. Stał na balkonie i z wysokości szóstego piętra przyglądał się – zamyślony – tłumom spacerowiczów w Central Parku. Wrócił do domu w nocy, oszołomiony sześciogodzinną różnicą czasu między Zurychem a Nowym Jorkiem. Z ulgą stwierdził, że Carmen też wróciła, ale gdy zapytał, gdzie się podziewała przez ostatnie pięć dni, dawała wymijające odpowiedzi. Mówiła, że zatrzymała się

w hotelu w mieście i że zrobiła tak, ponieważ chciała wszystko przemyśleć, zastanowić się nad przyszłością. Nie powiedziała jednak, do jakich wniosków doszła, co oczywiście zirytowało go do tego stopnia, że nie położył się obok niej w sypialni, ale poszedł spać do pokoju gościnnego. Przy śniadaniu nie rozmawiali ze sobą, później zaś Carmen zajęła się czymś w kuchni. On natomiast spędził rano na balkonie, zastanawiając się, co powinien zrobić dalej. Ogarniała go to wściekłość, to litość nad sobą. Rozmowa z Carmen – myślał – do niczego nie doprowadzi, skoro zamknęła się w sobie i zachowywała jak obca osoba. Byli małżeństwem od sześciu lat i wyglądało na to, że rychło nastąpi koniec.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk dzwonka. Nie spodziewał się gości i nie miał ochoty na towarzystwo. Postanowił, że nie otworzy, ale przybysz dzwonił uparcie. Carmen krzyknęła, żeby wreszcie podszedł do drzwi. Zaklął z cicha i zrobił, co mu kazała. Zdziwił się niepomiarnie widząc... Philpotta.

– Dzień dobry – powitał szefa. – Co za niespodzianka. Niech pan wchodzi.

– Dzień dobry – rzekł Philpott, korzystając z zaproszenia. Rozejrzył się po mieszkaniu. – Bardzo tu ładnie – pochwalił.

– Proszę, niech pan siada.

Philpott rozsiadł się w fotelu. Wyjął fajkę i kapciuch.

– Można u was palić? – zapytał.

– Proszę bardzo. Popielniczka jest na stoliku obok. Czego się pan napije?

– Odrobinę szkockiej. – Philpott zaczął nabijać fajkę i przyglądał się, jak Whitlock przygotowuje napoje przy barku.

– Aresztowali Alexandra. Pomyślałem sobie, że zainteresuje cię ta wiadomość.

– Spodziewałem się tego. Z lodem? – spytał Whitlock nalewając dwie szklanki whisky.

– Trochę wody, ale bez lodu. Mówią, że nawet nie stawiał większego oporu. Miał chyba dość ukrywania się. Dziękuję – Philpott wziął szklankę.

Whitlock usiadł naprzeciwko.

– Ale czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę, szefie? Nie fatygowałby się pan, gdyby chodziło tylko o Alexandra.

– Zgadłeś – miał już wyjaśnić powód nagłej wizyty, gdy do salonu weszła Carmen. Philpott wstał z szacunkiem.

– Miło panią znowu widzieć, *Mrs* Whitlock.

Przywitali się i Carmen usiadła na sofie obok Whitlocka.

– Znowu? – zdziwił się C.W. – Nie wiedziałem, że państwo się znają.

– A i owszem, złożyłam wizytę pułkownikowi zaraz po powrocie z Paryża – wyjaśniła Carmen.

– Co? – wykrzyknął Whitlock. – Poszłaś do pułkownika? Znasz zasady... – nie dokończył, bo Philpott dał znak, że chce coś powiedzieć.

– To nic takiego – rzekł mitygująco – i tamta wizyta nie ma nic wspólnego z moim przyjściem. A z Carmen odbyliśmy długą i szczerą rozmowę i za moją namową wynajęła pokój w hotelu. Byłem zdania, i chyba słusznie, że powinna wszystko sobie przemyśleć, bez ingerencji rodziny czy przyjaciół. – Philpott przerwał, pociągnął łyk whisky i mówił dalej. – Bo widzisz, C.W., nie chcielibyśmy cię stracić. Ani my, czyli UNACO, ani Carmen. Muszę jednak dodać, że wtedy, gdy Carmen zechciała mnie odwiedzić w biurze, nie mogłem jej jeszcze nic powiedzieć na temat twojej przyszłości w firmie. Musiałem najpierw porozmawiać z sekretarzem generalnym i właśnie dziś miałem okazję odbyć z nim dłuższą konferencję. Za jego zgodą chciałbym wam obojgu coś powiedzieć. Powtarzam, za jego zgodą, gdyż to jeszcze tajemnica i oczywiście musicie wszystko zachować dla siebie.

– Ależ naturalnie – zapewnił Whitlock.

Philpott dokończył whisky, odmówił jednak następnej porcji.

– Jak wiecie – ciągnął dalej – już od pewnego czasu trwają debaty na temat mojego ewentualnego następcy, ponieważ, o czym też pewnie wiecie, wybieram się niebawem na emeryturę. Nie przypuszczacie natomiast, że nastąpi to już w tym roku. Nie mam wyjścia, tak wyrokuje lekarze. Moim następcą nie zostanie jednak Jacques Rust, jak się powszechnie sądzi. Uznaliśmy bowiem, że nie powinniśmy wycofywać go z Zurychu. Jacques nawiązał wiele cennych kontaktów w Europie i wszystko to poszłoby na marne, gdyby musiał zwolnić obecne stanowisko. W tej sytuacji postanowiliśmy, że mój fotel przypadnie w udziale Siergiejowi, ty zaś, C.W., zostaniesz jego zastępcą. Ale to nie wszystko. Kolczynski zgadza się na nową funkcję, ale tylko na rok. Chce już wrócić do siebie, do Rosji, gdzie dzieje się tyle nowego. Uważa, że jego miejsce jest w ojczyźnie. No cóż, ma takie prawo i sekretarz generalny wyraził zgodę. Zgodził się także, i to właśnie chciałem wam powiedzieć, że po odejściu Kolczynskiego ty obejmiesz funkcję dyrektora generalnego UNACO.

– Ja? – Whitlock był całkowicie zaskoczony. Marzył, aby kiedyś objąć wyższe stanowisko, ale do głowy mu nie przyszło, że może liczyć na fotel dyrektorski.

– Tak, ty. Osobiście rekomendowałem twoją kandydaturę sekretarzowi generalnemu i uczyniłem to z całym przekonaniem. Masz wszelkie predyspozycje, a co najważniejsze, doświadczenie i szacunek kolegów. Jestem pewien, że znakomicie dasz sobie radę.

– A Siergiej? Już wie?

– Nie tylko wie, ale też uważa, że nie ma lepszego rozwiązania. Cieszy się. Mam nadzieję, że ty też.

– No cóż, oczywiście, że się cieszę i, co tu ukrywać, jestem zaszczycony. – Whitlock przerwał, szukając odpowiednich słów, żeby wyrazić to, co naprawdę czuje. – Tylko, szefie? Co będzie z moim zespołem, z Trójką? Ma pan kogoś na moje miejsce?

– A owszem, mam. To kolejna niespodzianka! Fabio Paluzzi.

– Przechodzi do nas? – ucieszył się Whitlock.

– Wczoraj mu to zaproponowałem. Przyjął bez namysłu. Zjawi się w Nowym Jorku za miesiąc. Najpierw dołączy do innego zespołu, żeby poznał nowych ludzi, a później przeniosę go na stałe do Trójki, co nastąpi w listopadzie, a więc dokładnie wtedy, gdy ty zostaniesz wycofany z funkcji operacyjnych i obejmiesz stanowisko po Kolczyńskim. – Philpott przerwał i spojrzał uważnie na Carmen. – Mam nadzieję, pani Whitlock, że to rozwiązuje także inne problemy, prawda? No, będę już uciekał. Rozumiem, że chcecie to teraz omówić sami. – Philpott wstał, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Byłbym zapomniiał – dodał, wyjmując z kieszeni dwa bilety lotnicze. – Wasz samolot odlatuje do Paryża jutro po południu. Macie zarezerwowane miejsca w tym samym hotelu co zwykle. Pobyt dwutygodniowy na koszt firmy i tym razem, *Mrs* Whitlock, proszę się nie martwić. Przrzekam pani, że nie ma mowy o odwołaniu z urlopu.

Carmen zaśmiała się nerwowo. Widać było, że jest zbyt przejęta, aby cokolwiek powiedzieć.

– No, czas już na mnie. Życzę państwu miłych wakacji.

– Dziękujemy. Za wszystko. – Oboje odprowadzili gości do drzwi.

– I ja dziękuję, pułkowniku – powiedziała Carmen na pożegnanie.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z pani życzeniami. Tylko nie zapomnijcie przysłać mi pocztówki z Paryża – rzucił jeszcze na odchodnym.

Whitlock zaśmiał się i zamknął drzwi. Gdy odwrócił się do Carmen, zobaczył wielkie łzy na jej policzkach.

– Kochanie, co to ma znaczyć? – zaniepokoił się.

– Nic. Nie mogę opanować wzruszenia – odparła, czule go obejmując.